

CASSANDRA CLARE

MIASTO
POPIOŁÓW

Tom II trylogii

„Dary Anioła”

Przełożyła Anna Reszka

Wydawnictwo MAG

Warszawa 2012

Mojemu ojcu, który wcale nie jest zły.

No, może trochę.

Gorzki język

Znam twoje ulice, urocze miasto,
Znam demony i anioły, które się gromadzą
i nocują na twoich konarach jak ptaki.
Znam ciebie, rzeko, jakbyś płynęła przez moje serce.
Jest twoją córką wojowniczką.
Są litery utworzone z twojego ciała,
tak jak fontanna z wody.
Są języki, z których powstał twój plan,
i kiedy nimi mówimy,
wyrasta miasto...

PROLOG

DYM I DIAMENTY

Wspaniała budowla ze szkła i stali wyrastała na Front Street niczym skrzący się obelisk przebijający niebo. Metropole, najdroższy nowy blok z mieszkaniami w centrum Manhattanu, liczył sobie pięćdziesiąt siedem pięter. Najwyższe, pięćdziesiąte siódme, zajmował luksusowy apartament Metropole, arcydzieło lśniącego, czarno-białego wzornictwa. Nagie marmurowe posadzki, zbyt świeże, żeby zgromadzić kurz, odbijały światło gwiazd widocznych przez ogromne okna sięgające od podłogi do sufitu. Dzięki idealnie przezroczystym szybom złudzenie, że między patrzącym a miastem nie ma nic, przyprawiało o zawrót głowy nawet tych, którzy nie cierpią na lęk wysokości.

Daleko w dole ciągnęła się srebrna wstęga East River, spięta rozjarzonymi mostami, upstrzona łodziami, które z tej odległości wyglądały jak muchy, oddzielająca dwa wielkie skupiska światła: Manhattan i Brooklyn. W pogodnej nocy, na południu można było zobaczyć oświetloną Statuę Wolności, ale tego wieczoru całą Liberty Island zasłaniał biały wał mgły.

Choć widok był niezwykły, nie zrobił szczególnego wrażenie na mężczyźnie stojącym przy oknie. Kiedy odwrócił się od szyby i ruszył przez pokój, stukając obcasami po marmurze, na jego wąskiej, ascetycznej twarzy malowała się groźna mina.

– Jeszcze nie jesteś gotowy? – zapytał, przeczesując ręką włosy białe jak sól. – Jesteśmy tutaj już prawie godzinę.

Kłęczący na podłodze chłopiec uniósł wzrok, zdenerwowany i skruszony.

– To marmur. Twardszy, niż myślałem. Trudno na nim narysować pentagram.

– Więc daj sobie spokój z pentagramem. – Z bliska było widać, że mimo siwych włosów mężczyzna nie jest stary. Twarz miał surową, ale bez zmarszczek, oczy czyste i spokojne.

Chłopiec głośno przełknął ślinę. Błoniaste czarne skrzydła wyrastające z jego wąskich łopatek (dżinsowa kurtka miała na plecach pionowe rozcięcia) zatrzepotały nerwowo.

– Pentagram jest niezbędną częścią każdego rytuału przywołania demona. Dobrze pan o tym wie. Bez niego...

– Nie będziemy chronieni. Wiem, młody Eliasie, ale kontynuuj. Znam czarowników, którzy potrafią wezwać demona, porozmawiać z nim i odesłać z powrotem do piekła w czasie, który tobie zabrało narysowanie połowy pięcioramiennej gwiazdy.

Chłopiec nic nie odpowiedział, tylko z nową energią i zawziętością zaatakował marmur. Pot ściekał mu z czoła. Elias odgarnął włosy. Palce jego dłoni były połączone delikatnymi jak pajęczyna błonami.

– Gotowe – oznajmił w końcu, z westchnieniem siadając na piętach.

– Dobrze. – W głosie mężczyzny brzmiało zadowolenie. – Zaczynamy.

– Pieniądze...

– Mówiłem ci. Dostaniesz zapłatę dopiero po tym, jak porozmawiam z Agramonem. Nie wcześniej.

Elias wstał z podłogi i zdjął kurtkę. Mimo otworów, które w niej wyciął, nadal nieprzyjemnie uciskała mu skrzydła. Rozprostował je z ulgą i zaraz złożył, wprawiając w ruch zastałe powietrze. Były czarne i mieniły się tęczowymi kolorami jak plama ropy na wodzie. Mężczyzna odwrócił z niesmakiem wzrok, ale chłopiec nic nie zauważył. Zaczął okrężyć pentagram zgodnie z ruchem wskazówek zegara i śpiewać w języku demonów, który brzmiał jak trzask płomieni.

Rysunek nagle buchnął płomieniami z takim sykiem, jaki wydaje uchodzące z opony powietrze. W dwunastu ogromnych oknach odbiło się dwanaście płonących pięcioramiennej gwiazd.

W pentagramie coś się poruszyło, coś czarnego i bezkształtnego. Elias śpiewał coraz szybciej, unosząc błoniaste ręce, palcami kreśląc w powietrzu delikatne wzory. W ich miejsce pojawiał się trzaskający niebieski ogień. Mężczyzna nie potrafił płynnie mówić po chtońsku, w języku czarowników, ale znał dość słów, żeby zrozumieć powtarzającą się pieśń: *Agramonie, wzywam cię. Z przestrzeni między światami wzywam cię.*

Mężczyzna wsunął rękę do kieszeni. Uśmiechnął się, gdy jego palce natrafiły na twardy, zimny metaliczny przedmiot.

Elias przestał chodzić wokół pięcioramiennej gwiazdy. Stał przed nią, nadal powtarzając słowa monotonnej pieśni. Niebieskie płomienie trzaskały wokół niego jak

błyskawice. Nagle ze środka pentagramu wzniósł się pióropusz dymu, popłynął spiralą do góry, rozrósł się i zestalił. W cieniu pojawiła się para oczu, błyszczących niczym klejnoty uwięzione w pajęczej sieci.

– Kto mnie przywołał poprzez światy? – zapytał Agramon głosem, który przypominał brzęk tłukącego się szkła. – Kto mnie wzywa?

Elias przestał śpiewać. Stał przed pentagramem, powoli poruszając skrzydłami. W pomieszczeniu cuchnęło rdzą i spalenizną.

– Agramonie, jestem czarownik Elias. To ja cię wezwałem.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Potem demon się roześmiał – jeśli tak można nazwać unoszący się z jego ust i żrący jak kwas dym.

– Głupi czarownik – wysyczał Agramon. – Głupi chłopiec.

– To ty jesteś głupi, jeśli myślisz, że możesz mi grozić – odparł Elias, ale jego głos drżał, podobnie jak skrzydła. – Będziesz więźniem tego pentagramu, Agramonie, dopóki cię nie uwolnię.

– Naprawdę?

Dym ruszył do przodu, formując coś w rodzaju macki. Ta z kolei zmieniła się w ludzką rękę i musnęła brzeg płonącego pentagramu. Następnie chmura przekroczyła brzegi gwiazdy i rozlała się po niej jak fala przerywająca tamę. Płomienie zaskwierczały i zgasły, a Elias zatoczył się z krzykiem do tyłu. Zaczął szybko śpiewać po chtońsku zaklęcia uwiezienia i odegnania. Nic się nie stało. Czarny dym nieustępliwie sunął dalej, przybierając nowy kształt: zdeformowanej, ogromnej, szkaradnej postaci o oczach wielkich jak spodki, gorejących straszliwym blaskiem.

Mężczyzna obserwował z chłodnym zainteresowaniem młodego czarownika, który wrzasnął i rzucił się do ucieczki. Nie dotarł jednak do drzwi, bo Agramon pochłonął go jak jęzor wrzącej smoły. Elias jeszcze przez chwilę walczył słabo... a potem znieruchomiał.

Czarna postać cofnęła się, zostawiając na marmurowej podłodze wykrzywione ciało czarownika.

– Mam nadzieję, że nie zrobiłeś mu nic, co by sprawiło, że stanie się dla mnie bezużyteczny – powiedział mężczyzna. Już wcześniej wyjął z kieszeni zimny metalowy przedmiot i teraz się nim bawił. – Potrzebuję jego krwi.

Czarny słupek odwrócił się i utkwił spojrzenie przerażających diamentowych oczu w mężczyźnie w drogim garniturze, o wąskiej, niewzruszonej twarzy, z czarnymi Znakami na skórze i lśniącym przedmiotem w dłoni.

– Zapłaciłeś dzieciakowi, żeby mnie wezwał? – spytał. – I nie powiedziałeś mu, co potrafię?

– Właśnie.

– To było sprytne – przyznał Agramon z niechętnym podziwem.

Mężczyzna zrobił krok w stronę demona.

– Jestem bardzo sprytny. I jestem teraz twoim panem. Mam Kielich Anioła. Musisz mnie słuchać albo pożałujesz.

Demon milczał przez chwilę, po czym opadł na podłogę w parodii poddańczego gestu... o ile istota pozbawiona ciała może uklęknąć.

– Jestem do twoich usług, panie...

Mężczyzna się uśmiechnął.

– Możesz nazywać mnie Valentine.

CZĘŚĆ PIERWSZA

SEZON W PIEKLE

„Sądzę, że znajduję się w piekle, więc jestem w nim”.

– Arthur Rimbaud

Strzała Valentine'a

– Nadal jesteś wściekły?

Alec, oparty o ścianę windy, spiorunował Jace'a wzrokiem. – Nie jestem wściekły.

– Owszem, jesteś.

Jace oskarżycielskim gestem wycelował palec w przybranego brata i syknął, kiedy ból przeszył jego ramię. Cały był obolały po tym, jak po południu przeleciał przez trzy piętra zbutwiałego drewna i wylądował na stosie złomu. Nawet palce miał posiniaczone. Alec, dopiero niedawno odstawiwszy kule, których musiał używać po walce z Abbadonem, nie wyglądał dużo lepiej od niego. Jego ubranie pokrywały zaschnięte grudy błota, włosy wisiały w strąkach, na policzku widniała długa dęta rana.

– Nie jestem – rzucił Alec przez zęby. – Mówiłeś, że smocze demony dawno wymarły...

– Powiedziałem, że są prawie wymarłe.

– Prawie wymarłe to niedostatecznie wymarłe. – Głos Aleca drżał z wściekłości.

– Rozumiem. Każę zmienić wpis w podręczniku demonologii z „prawie wymarłe” na „niedostatecznie wymarłe zdaniem Aleca. On woli potwory, które naprawdę wymarły”. Czy to cię uszczęśliwi?

– Chłopcy, chłopcy, nie kłóćcie się – skarciła ich Isabelle, przyglądając się swojej twarzy w lustrze windy. Odwróciła się do nich z promiennym uśmiechem. – Fakt, że było więcej akcji, niż się spodziewaliśmy, ale w gruncie rzeczy niezła zabawa.

Alec spojrział na nią i pokręcił głową.

– Jak to robisz, że nigdy nie masz na sobie błota? – zapytał.

Jego siostra wzruszyła ramionami.

– Mam czyste serce – odparła filozoficznie. – To odpycha brud.

Jace prychnął tak głośno, że Isabelle łypnęła na niego, marszcząc brwi. Przybrany brat pomachał do niej umorusanymi palcami. Za paznokciami miał żalobę.

– Brud w środku i na zewnątrz.

Isabelle już miała mu coś odpowiedzieć, kiedy winda zatrzymała się z przeraźliwym zgrzytem.

– Czas ją wreszcie naprawić – stwierdziła, otwierając drzwi.

Jace wyszedł za nią na korytarz. Już nie mógł się doczekać, kiedy pozbędzie się broni, zrzuci zbroję i wskoczy pod gorący prysznic. Przekonał przybranego brata i siostrę, żeby wybrali się z nim na polowanie, choć oboje niechętnie opuszczali Instytut, odkąd zabrakło Hodge'a, udzielającego im instrukcji. Jace jednak pragnął odwrócenia uwagi, brutalnej rozrywki i zapomnienia, które mogła dać walka, a nawet odniesione rany. Alec i Isabelle się zgodzili, wiedząc, że właśnie tego mu potrzeba. Pełzli więc przez brudne, opuszczone tunele, aż znaleźli i zabili smoczego demona. We trójkę działali jak zgrany zespół. Jak rodzina.

Jace rozpiął kurtkę i powiesił ją na kołku wbitym w ścianę. Alec siedział obok niego na niskiej drewnianej ławie i zdejmował zabłocone buty. Nucił niemelodyjnie pod nosem, by pokazać, że wcale nie jest zły. Isabelle wyjmowała szpilki z długich ciemnych włosów. Kiedy opadły wokół niej jak kurtyna, oznajmiła:

– Jestem głodna. Chciałabym, żeby mama tu była i coś nam ugotowała.

– Lepiej, że jej tu nie ma – powiedział Jace, odpinając pas z bronią. – Już by krzyczała, że brudzimy dywany.

– Masz rację – usłyszał za plecami chłodny głos.

Jace znieruchomiał z rękami przy pasie i odwrócił głowę. W drzwiach, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, stała Maryse Lightwood. Miała na sobie czarny strój podróżny. Jej włosy, czarne jak u Isabelle, były ściągnięte w gruby koński ogon sięgający połowy pleców. Spojrzenie lodowatych, błękitnych oczu przesunęło się po całej trójce, jak snop światła z reflektorów.

– Mama! – Isabelle pierwsza odzyskała zimną krew. Podbiegła do matki i uściskała ją serdecznie.

Alec wstał z ławy i dołączył do siostry, starając się nie utykać.

Jace został na swoim miejscu. W oczach Maryse dostrzegł wyraz, który go zmroził. Z pewnością to, co powiedział, nie było aż takie straszne. Często żartowali z jej obsesji na punkcie starych dywanów...

– Gdzie tata? – zapytała Isabelle, odsuwając się od matki. – 1 Max?

Maryse zawahała się ledwo dostrzegalnie.

– Max jest w swoim pokoju, a twój ojciec, niestety, nadal w Alicante. Pewna sprawa wymagała jego obecności.

– Coś się stało? – zainteresował się Alec, na ogół bardziej niż siostra wyczulony na wszelkie nastroje.

– To raczej ja mogłabym zadać ci to pytanie. – Ton matki był suchy. – Utykasz?

– Ja...

Alec był fatalnym kłamcą. Isabelle gładko wybawiła go z kłopotu.

– Mieliśmy starcie ze smoczym demonem w podziemnych tunelach. Ale to nic takiego.

– Zapewne Wielki Demon, z którym walczyliście w zeszłym tygodniu, to też nic wielkiego?

Nawet Isabelle straciła rezon. Spojrzała na Jace'a.

– To nie było zaplanowane. – Jace miał trudności ze skupieniem się. Maryse jeszcze się z nim nie przywitała, nie powie działa mu nawet „cześć” i nadal spoglądała na niego oczami twardymi jak sztylety. Ucisk, który czuł w żołądku, powoli rozplątywał się po całym brzuchu. Nigdy wcześniej tak na niego nie patrzyła, choćby nie wiadomo co zrobił. – To był błąd...

– Jace! – Najmłodszy z Lightwoodów precyzyjnie się obok matki i wpadł do pokoju, umykając przed jej ręką. – Wróciłeś? Wszyscy wróciliście. – Z zadowoleniem uśmiechnął się do Aleca i Isabelle. – Tak mi się wydawało, że słyszę windę.

– A mnie się wydawało, że miałeś zostać w swoim pokoju – powiedziała Maryse.

– Nie pamiętam – odparł Max z takim dostojeństwem, że nawet Alec się uśmiechnął.

Max był mały jak na swój wiek – wyglądał na siedem lat – ale tak poważny i samodzielny, że, zwłaszcza w połączeniu ze zbyt dużymi okularami, wydawał się starszy. Alec zmierzył mu włosy, ale chłopiec wpatrywał się płomiennym wzrokiem w przybranego brata. Jace poczuł, że zimna pięść zaciśnięta w jego żołądku trochę się rozluźnia. Max zawsze wielił jak bohatera właśnie jego, a nie Aleca, pewnie dlatego, że Jace lepiej tolerował jego obecność.

– Słyszałem, że walczyliście z Wielkim Demonem – powie działa chłopiec. – Był straszny?

– Był... inny – odparł Jace wymijająco. – Jak Alicante?

– Super. Widzieliśmy fajne rzeczy. W Alicante jest ten wielki arsenał. Zabrali mnie w parę miejsc, gdzie wyrabia się broń. Pokazali mi nowe sposoby robienia serafickich noży, żeby

dłużej przetrwały. Spróbuję namówić Hodge'a, żeby mi pokazał... Jace zerknął na Maryse z wyrazem niedowierzania na twarzy. Więc Max nie wiedział o Hodge'u? Nic mu nie powiedzieli? Maryse dostrzegła jego spojrzenie i zacisnęła wargi.

– Wystarczy, Max. – Wzięła najmłodszego syna za ramię. Chłopiec zadarł głowę i popatrzył na nią zaskoczony.

– Ale ja rozmawiam z Jace'em.

– Widzę. – Matka pchnęła go lekko w stronę siostry. – Isabelle, Alec, zaprowadźcie brata do jego pokoju. Jace – jego imię wymówiła tak, jakby niewidzialny kwas wypalił sylaby w jej ustach – doprowadź się do porządku i przyjdź do biblioteki naj szybciej, j ak będziesz mógł.

– Nie rozumiem – odezwał się Alec, przenosząc wzrok z matki na Jace'a i z powrotem. – Co się dzieje? Jace poczuł zimny pot na plecach.

– Chodzi o mojego ojca? – zapytał.

Maryse drgnęła, jakby słowa „mój ojciec” były policzkiem.

– Biblioteka – rzuciła przez zęby. – Tam porozmawiamy. – To, co się wydarzyło, kiedy was nie było, to nie wina Jace'a –

powiedział Alec. – Wszyscy braliśmy w tym udział. A Hodge mówił...

– O Hodge'u też porozmawiamy później – przerwała mu matka ostrzegawczym tonem, zerkając na Maksa.

– Ale, mamó – zaprotestowała Isabelle. – Jeśli zamierzasz ukarać Jace'a, powinnaś ukarać również nas. Tak byłoby sprawiedliwie. Robiliśmy dokładnie to samo.

– Nie – rzekła Maryse po dłuższej chwili, kiedy już się wydawało, że nic nie powie. – Tak nie było.

– Zasada *anime* numer jeden – powiedział Simon. Sie dział oparty o stos poduszek rzuconych na podłogę obok łóżka, z paczką chipsów ziemniaczanych w jednej ręce i pilotem w drugiej. Miał na sobie czarną bawełnianą koszulkę i džinsy z dziurą na kolanie. – Nigdy nie zadzieraj ze ślepym mnichem.

– Wiem. – Clary wzięła chipsa z torebki i umoczyła go w misce z sosem stojącej na tacy między nimi. – Z jakiegoś powodu oni zawsze lepiej walczą niż mnisi, którzy widzą. – Zerknęła na ekran. – Czy ci faceci tańczą?

– Nie tańczą. Próbują się pozabijać. Ten gość jest śmiertelnym wrogiem tego drugiego, nie pamiętasz? Zabił jego tatę. Dlaczego mieliby tańczyć?

Clary chrupała chipsa, patrząc w zamyśleniu na ekran, gdzie między dwoma skrzydłatymi mężczyznami, którzy fruwali wokół siebie ze świetlnymi mieczami w rękach, falowały animowane kłęby różowo– żółtych chmur. Od czasu do czasu bohaterowie coś mówili, ale ponieważ był to japoński film z chińskimi napisami, dialogi niewiele wyjaśniały.

– Ten w kapeluszu to zły facet? – spytała.

– Nie, facet w kapeluszu był ojcem. Zły to ten z mechaniczną ręką która mówi.

W tym momencie zabrzączał telefon. Simon odłożył paczkę chipsów i zrobił ruch, jakby zamierzał wstać i go odebrać, ale Clary położyła dłoń na jego nadgarstku.

– Nie. Niech dzwoni.

– To może być Lukę. Może dzwonić ze szpitala.

– To nie Lukę – powiedziała Clary z przekonaniem, którego w rzeczywistości wcale nie czuła. – Zadzwoiłby na moją komórkę, a nie na twój domowy numer.

Simon patrzył na przyjaciółkę przez dłuższą chwilę, po czym opadł z powrotem na dywan obok niej.

– Skoro tak twierdzisz.

Clary słyszała powątpiewanie w jego głosie, ale również niewypowiedziane słowa: „Ja tylko chcę, żebyś była szczęśliwa”. Nie wierzyła, że to w ogóle jest możliwe w sytuacji, kiedy matka leżała w szpitalu podłączona rurkami do piszczącej aparatury, a Lukę siedział na twardym plastikowym krześle przy jej łóżku i wyglądał jak zombie. W dodatku Clary przez cały czas martwiła się o Jace’a. Dziesiątki razy sięgała po telefon, żeby zadzwonić do Instytutu, i odkładała słuchawkę, nie wykręciwszy numeru. Gdyby Jace chciał z nią rozmawiać, sam by się odezwał.

Może popełniła błąd, zabierając go ze sobą do szpitala, żeby zobaczyć Jocelyn. Była pewna, że matka się obudzi, kiedy usłyszy głos pierworodnego syna. Niestety, nie obudziła się, a Jace stał sztywno obok łóżka, z pustym, obojętnym wzrokiem. Clary w końcu straciła cierpliwość i na niego nakrzyczała na co on też zareagował krzykiem i wypadł z sali. Lukę, który obserwował go z klinicznym zainteresowaniem malującym się na zmęczonej twarzy, zauważył:

– Po raz pierwszy zobaczyłem, że zachowujecie się jak brat i siostra.

Clary nie odpowiedziała. Nie było sensu mówić, jak bardzo chciała, żeby Jace nie okazał się jej bratem. Nie można zmienić DNA, choćby nie wiadomo jak się tego pragnęło. Choćby nie wiadomo jak by ją to uszczęśliwiło.

Ale nawet jeśli nie mogła być szczęśliwa, przynajmniej tutaj, u Simona, w jego sypialni, czuła się swobodnie, jak u siebie. Znała go dostatecznie długo, by pamiętać, że kiedyś miał łóżko w kształcie wozu strażackiego i stosy klocków lego leżące w kącie pokoju. Teraz miał futon z kołdrą w kolorowe paski, prezent od siostry, a na ścianach wisiały plakaty z zespołami takimi jak Rock Solid Panda i Stepping Razor. W kącie, gdzie kiedyś walały się klocki, teraz stał zestaw perkusyjny, a w drugim komputer, na którego ekranie widniał zamrożony obraz z „World of Warcraft”. Czuła się tutaj prawie jak we własnym domu... który już nie istniał, więc dobrze, że przynajmniej miała tyle.

– Za dużo *chibi* – stwierdził ponurym tonem Simon. Wszystkie postacie na ekranie zmieniły się w calowe dziecięce wersje samych siebie i goniły się wokół garnków i patelni. – Zmieniam kanał. – Sięgnął po pilota. – Znudziło mi się już to *cmime*, Nie wiem, na czym polega intryga, a w dodatku nikt tutaj nie ma płci.

– Oczywiście, że nie – powiedziała Clary, biorąc następnego chipsa. – *Aninie* to zdrowa rodzinna rozrywka.

– Jeśli jesteś w nastrój u do mniej zdrowej rozrywki, moglibyśmy spróbować kanałów porno – zaproponował Simon. – Wolisz „Czarownice z Cyckowa” czy „Kiedy kładę się z Dianne”?

– Daj mi to! – Clary sięgnęła po pilota, ale Simon ze śmiechem przerzucił na inny kanał.

Ucichł tak raptownie, że Clary spojrzała na niego zaskoczona. Zobaczyła, że przyjaciel gapi się tępo w telewizor. Leciał w nim stary, czarno– biały „Dracula”. Oglądała kiedyś ten film razem z matką. Na ekranie akurat pojawił się Bela Lugosi, chudy, o białej twarzy, w znajomej szacie z wysokim kołnierzem, pokazując w uśmiechu ostre zęby, oświadczył z twardym węgierskim akcentem:

– Nigdy nie piję... wina.

– Uwielbiam, kiedy pajęczyny są zrobione z gumy – powiedziała Clary, siląc się na lekki ton. – Od razu to widać.

Ale Simon już wstał z podłogi, rzucił pilota na środek łóżka i mruknął:

– Zaraz wracam.

Jego twarz miała barwę zimowego nieba tuż przed deszczem. Clary odprowadziła go wzrokiem, przygryzając wargę. Po raz pierwszy, odkąd jej matka znalazła się w szpitalu, uświadomiła sobie, że może Simon też nie jest zbyt szczęśliwy.

Wycierając włosy ręcznikiem, Jace z marsową miną patrzył na swoje odbicie w lustrze. Znak uzdrawiający poradził sobie z najgorszymi obrażeniami, ale nie pomógł na cienie pod oczami ani na drobne zmarszczki w kącikach ust. Głowa go bolała, był nieco oszołomiony. Powinien rano coś zjeść, ale zaraz po obudzeniu się miał mdłości i ciężko dyszał po nocnych koszmarach. Nie chciał tracić czasu najedzenie, tylko rzucić się w wir fizycznej aktywności, żeby wymazać sny siniakami i potem.

Cisnął ręcznik na bok i pomyślał z tęsknotą o słodkiej czarnej herbacie, którą Hodge parzył z nocnych kwiatów rosnących w oranżerii. Napar łagodził skurcze głodowe i szybko dodawał energii. Po zniknięciu nauczyciela Jace próbował gotować liście w wodzie, żeby osiągnąć ten sam efekt, ale otrzymał w rezultacie gorzki płyn o smaku popiołu. Zakrztusił się nim i zaczął pluć.

Boso poszedł do sypialni, włożył dzinsy i czystą koszulkę. Odgarnął w tył mokre blond włosy, marszcząc brwi. Stwierdził, że są już za długie; wpadały mu do oczu. Za takie rzeczy Maryse zawsze go karciała. Choć nie był ich biologicznym dzieckiem, Lightwoodowie traktowali Jace'a jak syna, odkąd adoptowali go w wieku dziesięciu lat po śmierci jego ojca. Rzekomej śmierci, poprawił się w myślach Jace. Natychmiast wróciło uczucie pustki w brzuchu. Przez kilka ostatnich dni czuł się tak, jakby wyrwano mu widelcem wnętrzności, a zarazem przyklejony uśmiech nie schodził z jego twarzy. Jace często się zastanawiał, czy cokolwiek z tego, co wiedział o swoim życiu albo o sobie, w ogóle jest prawdą. Uważał, że jest sierotą a wcale nim nie był. Sądził, że jest jedynakiem, a miał siostrę.

Clary. Ból wrócił, jeszcze silniejszy, ale Jace go zdusił. Jego wzrok padł na odłamek lustra leżący na komodzie. Zachował się w nim obraz zielonych gałęzi i kawałka błękitnego nieba. W Idrisie zapadał zmierzch. Niebo miało kobaltową barwę. Dręczony przez uczucie pustki, Jace wciągnął buty i ruszył na dół do biblioteki.

Zbiegając po kamiennych stopniach, zastanawiał się, co Maryse chce mu powiedzieć na osobności. Wyglądała, jakby chciała odciągnąć go na bok i uderzyć. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz podniosła na niego rękę. Lightwoodowie nie uznawali kar cielesnych, co stanowiło odmianę

po metodach wychowawczych Valentine'a, który wymyślał najróżniejsze bolesne sposoby, żeby wymusić posłuszeństwo. Skóra Nocnego Łowcy szybko się goiła,

nawet z najgorszych ran. W dniach i tygodniach po śmierci ojca Jace pamiętał, jak szukał blizn na ciele, śladów, które stanowiłyby pamiątkę wiążącą go fizycznie ze zmarłym rodzicem. Gdy dotarł do biblioteki, zapukał raz i otworzył drzwi. Maryse już na niego czekała, siedząc w starym fotelu Hodge'a przy kominku. W świetle wpadającym przez wysokie okna Jace dostrzegł pasma siwizny w jej włosach. Trzymała w ręce kieliszek czerwonego wina. Na stoliku obok niej stała karafka z rżniętego szkła.

– Maryse – powiedział.

Drgnęła, rozlewając trochę wina.

– Jace. Nie słyszałam, jak wszedłeś.

– Pamiętasz piosenkę, którą śpiewałaś Isabelle i Alecowi, kiedy byli mali i bali się ciemności?

– O czym ty mówisz? – Maryse wyglądała na poruszoną.

– Słyszałem was przez ścianę – powiedział Jace. – Sypialnia A leca była wtedy obok mojej.

Maryse milczała.

– Była po francusku. Ta piosenka.

– Nie wiem, dlaczego miałbyś coś takiego pamiętać. – Patrzyła na niego z taką miną jakby o coś ją oskarżał.

– Mnie nigdy jej nie śpiewałaś.

– Ty nigdy nie bałeś się ciemności – odparła Maryse po chwili wahania.

– A jaki dziesięciolatek nie boi się ciemności?

Jej brwi powędrowały w górę.

– Siadaj, Jonathanie – rzuciła rozkazującym tonem.

Jace ruszył przez pokój. Szedł specjalnie wolno, po to, by ją zirytować. Opadł na jeden z foteli z wysokim oparciem, stojących przy biurku.

– Wolalbym, żebyś nie nazywała mnie Jonathanem.

– Dlaczego? To twoje imię. – Popatrzyła na niego badawczo. – Od jak dawna wiesz?

– Co wiem?

– Nie udawaj głupiego. Dobrze wiesz, o co pytam. – Obróciła kieliszek w palcach. – Od jak dawna wiesz, że Valentine jest twoim ojcem?

Jace zastanowił się nad kilkoma odpowiedziami i wszystkie odrzucił. W takich sytuacjach zwykle radził sobie, rozśmieszając przybraną matkę. Należał do nielicznych osób, które potrafiły pobudzić ją do śmiechu.

– Prawie od tak dawna jak ty.

Maryse pokręciła głową.

– Nie wierzę.

Jace usiadł prosto. Dłonie spoczywające na oparciach fotela zacisnęły się w pięści. Widział, że jego palce lekko drżą i zastanawiał się, czy kiedykolwiek wcześniej przytrafiło mu się coś takiego. Nie sądził. Zawsze miał ręce pewne jak bicie serca.

– Nie wierzysz mi?

Usłyszał niedowierzanie we własnym głosie i skrzywił się. Oczywiście, że mu nie wierzyła. To było oczywiste od chwili, kiedy wróciła do domu.

– To nie ma sensu, Jace. Jak mogłeś nie wiedzieć, kto jest twoim ojcem?

– Mówił mi, że jest Michaeliem Waylandem. Mieszkaliśmy w wiejskim domu Waylandów...

– A twoje imię? Jak brzmi twoje prawdziwe imię.

– Przecież je znasz.

– Jonathan. Wiedziałałam, że tak miał na imię syn Valentine'a. Wiedziałałam, że Michael również miał syna o imieniu Jonathan. To imię dość powszechne wśród Nocnych Łowców. Nigdy nie uważałam za dziwne tego, że dwaj chłopcy noszą takie samo imię, a jeśli chodzi o drugie imię syna Michaela, nie zapytałam o nie nigdy. Nie mogę jednak przestać się zastanawiać. Jak brzmiało drugie imię syna Michaela Waylanda? Jak długo Valentine snuł swój plan? Od kiedy wiedział, że zamorduje Jonathana Waylanda...? – Maryse umilkła, wpatrując się w Jace'a. – Nigdy nie byłeś podobny do Michaela. Choć czasami dzieci nie są podobne do rodziców. Nie myślałam o tym wcześniej, lecz teraz dostrzegam w tobie Valentine'a. W tym, jak na mnie patrzysz. Wyzywająco. Nie obchodzi cię to, co mówię, prawda? Obchodziło, ale skutecznie to przed nią ukrywał.

– A to jakaś różnica?

Maryse odstawiała na stolik pusty kieliszek.

– Odpowiadasz pytaniem na pytanie, żeby mnie zbyć, tak jak zawsze robił Yalentine. Powinnam była się domyślić.

– Może nie. Nadal jestem tym samym człowiekiem, którym byłem przez ostatnie siedem lat. Nic się we mnie nie zmieniło. Jeśli wcześniej nie przypomniałem ci Valentine’a, dlaczego teraz miałyby być inaczej?

Przesunęła po nim wzrokiem, jakby nie potrafiła spojrzeć mu w *oczy*.

– Z pewnością kiedy rozmawialiśmy o Mchaelu, musiałeś wiedzieć, że nie mamy na myśli twojego ojca. To, co o nim mówiliśmy, zupełnie nie pasowało do Valentine’a.

– Mówiliście, że był dobrym człowiekiem. – W Jasie narastał gniew. – Dzielnym Nocnym Łowcą kochającym ojcem. Myślałem, że to dość dokładny opis.

– A co ze zdjęciami? Musiałeś widzieć zdjęcia Mchaela Waylanda i zorientować się, że to nie człowiek, którego nazywałeś ojcem. – Maryse przygryzła wargę. – Pomóż mi, Jace.

– Wszystkie zdjęcia przepadły w czasie Powstania. Tak mi powiedzieliście. Teraz się zastanawiam, czy to nie Valentine je spalił, żeby nikt nie wiedział, kto należał do Kręgu. Nigdy nic miałem żadnej fotografii – oświadczył Jace. Zastanawiał się, czy gorycz, którą czuł, słyhać również w jego głosie.

Maryse pomasowała skronie, jakby bolała ją głowa.

– Nie mogę w to wszystko uwierzyć – powiedziała bardziej do siebie. – To niedorzeczne.

– Więc uwierz mnie. – Jace’owi coraz bardziej drżały dłonie.

Przybrana matka opuściła rękę.

– Myślisz, że nie chcę?

Przez chwilę Jace jakby słyszał dawną Maryse, która przychodziła w nocy do jego sypialni, kiedy miał dziesięć lat i wpatrywał się w sufit, myśląc o ojcu. Siadała na brzegu łóżka i czekała, aż Jace wreszcie zaśnie, tuż przed świtem.

– Nie wiedziałem – powtórzył. – A kiedy poprosił mnie, że bym wrócił z nim do Idrisu, odmówiłem. Nadal jestem tutaj. Czy to o niczym nie świadczy?

Przybrana matka spoglądała na karafkę, jakby się zastanawiała, czy nie dolać sobie wina, ale najwyraźniej się rozmyśliła.

– Chciałabym, żeby tak było. Ale jest tyle powodów, dla których twój ojciec .mógł chcieć, żebyś został w Instytucie. Nie mogę pozwolić sobie na ufanie komuś, na kogo Valentine miał wpływ.

– Na ciebie też miał wpływ – zauważył Jace i, gdy zobaczył wyraz jej twarzy, natychmiast tego pożałował.

– Ja się od niego uwolniłam – oświadczyła Maryse. – A ty? Potrafiłbyś? – Jej niebieskie oczy miały taki sam kolor jak u Aleca, ale przybrany brat nigdy nie patrzył na niego w taki sposób. –

Powiedz mi, że go nienawidzisz, Jace. Powiedz, że nienawidzisz tego człowieka i wszystkiego, co on reprezentuje.

Minęła dłuższa chwila. Jace opuścił wzrok i – zobaczył, że knykcie ma całkiem zbieleła. Tak mocno zaciskał pięści.

– Nie mogę tego powiedzieć.

Maryse wciągnęła z sykiem powietrze.

– Dlaczego?

– A dlaczego ty nie możesz zapewnić, że mi ufasz? Mieszkałam z wami przez pół swojego życia. Chyba powinnaś mnie już poznać?

– Wydajesz się taki szczery, Jace. Zawsze byłeś uczciwy, nawet wtedy, gdy jako mały chłopiec próbowałeś zrzucić winę, za to, co robiłeś, na Isabelle albo Aleca. Spotkałam tylko jedną osobę, która potrafiła być równie przekonująca jak ty.

Jace poczuł w ustach smak miedzi.

– Masz na myśli mojego ojca.

– Dla Valentine’a istniały na świecie tylko dwa rodzaje ludzi – powiedziała Maryse. – Ci, którzy należeli do Kręgu, i ci, którzy występowali przeciwko niemu. Ci drudzy byli wrogami, ci pierwsi bronią w jego arsenale. Widziałam, jak próbował uczynić ze wszystkich swoich przyjaciół, nawet z własnej żony, broń w walce o Sprawę, i ty chcesz, bym uwierzyła, że nie zrobił tego samego ze swoim synem. – Potrząsnęła głową. – Znałam go lepiej. – Po raz pierwszy Maryse spojrzała na niego bardziej ze smutkiem niż z gniewem. – Jesteś strzałą wypuszczoną prosto w serce Clave, Jace. Jesteś strzałą Valentine’a. Czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy nie.

Clary zamknęła drzwi sypialni, w której ryczał telewizor, i poszła szukać Simona. Znalazła go w kuchni, pochylonego nad zlewem. Rękami ścisnął jego brzegi, z kranu płynęła woda.

– Simon?

Kuchnia była jasna, pomalowana na wesoły żółty kolor, na ścianach wisiały oprawione w ramki szkolne prace Simona i Rebekki. Rebecca miała trochę talentu plastycznego, natomiast na rysunkach jej brata ludzie wyglądali jak parkometry z kępkami włosów.

Przyjaciel nie spojrział na nią, ale po napięciu mięśni jego ramion Clary zorientowała się, że ją usłyszał. Podeszła do zlewu i położyła dłoń na plecach Simona. Przez cienką bawełnianą koszulkę wyczuła kręgi i zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem ostatnio nie schudł. Patrząc na niego, nie potrafiła tego stwierdzić, ale z drugiej strony, widywała go prawie codziennie, więc mogła nie zauważyć drobnych zmian w jego wyglądzie.

– Dobrze się czujesz?

Zakręcił wodę gwałtownym ruchem.

– Jasne. Wszystko w porządku.

Ujęła go pod brodę i odwróciła do siebie jego twarz. Pocił się, ciemne włosy miał przyklejone do czoła, choć powietrze wpadające przez uchylone kuchenne okno było chłodne.

– Nie wyglądasz dobrze. Chodzi o film?

Nie odpowiedział.

– Przepraszam – bąknęła Clary. – Nie powinnam była się śmiać. To tylko...

– Nie pamiętasz? – Mówił ochryplym głosem.

– Ja... – Clary urwała. Kiedy spoglądała wstecz, z tamtej nocy zostały jej niewyraźne wspomnienia ucieczki, krwi i potu, cieni w drzwiach, spadania. Pamiętała białe twarze wampirów,

niczym papierowe wycinanki na tle ciemności, i Jace'a, który ją trzymał i krzyczał jej coś do ucha. – Niezupełnie. Wszystko jest zamazane.

Simon się zawahał.

– Wydaję ci się inny? – spytał w końcu.

Clary uniosła wzrok. Jego oczy miały kolor mocnej kawy, były nie całkiem czarne, tylko ciemnobrązowe z domieszką szarej albo orzechowej barwy. Czy wydawał się inny? Może miał trochę więcej pewności siebie od dnia, kiedy zabił Abbadona. Ale była w nim również czujność, jakby na coś czekał albo czegoś wypatrywał. Zauważyła ją również u Jace'a. A może po prostu uświadomił sobie własną śmiertelność.

– Nadal jesteś Simonem.

Przymknął oczy, jakby z ulgą. Clary zauważyła, jakie wydatne są jego kości policzkowe. A jednak schudł, pomyślała, i już miała to powiedzieć, kiedy nachylił się i ją pocałował.

Gdy poczuła dotyk jego ust, była taka zaskoczona że zeszywniała i chwyciła się brzegu zlewu. Nie odepchnęła go jednak, a on najwyraźniej wziął to za zachętę, bo objął dłonią tył jej głowy i rozchylił jej wargi swoimi. Usta miał miękkie, delikatniejsze niż Jace, a ręka spoczywająca na jej szyi była ciepła i delikatna. Smakował solą.

Clary zamknęła oczy i przez chwilę czuła się jak pijaną kiedy Simon przeczesał palcami jej włosy. Ze stanu oszołomienia wyrwał ją ostry dzwonek telefonu. Odskoczyła do tyłu, jakby Simon ją odepchnął, choć nawet się nie poruszył. Patrzyli na siebie przez chwilę, jak ludzie, którzy nagle znaleźli się w całkiem obcej okolicy.

Simon pierwszy się odwrócił i sięgnął po telefon wiszący na ścianie, obok półki na przyprawę.

– Halo? – Mówił normalnym głosem, ale jego pierś unosiła się i opadała szybko. Podał jej słuchawkę. – To do ciebie.

Clary nadal czuła dudnienie serca aż w gardle, niczym trzepot skrzydeł owada uwięzionego pod skórą.

To Lukę. Dzwoni ze szpitala. Coś się stało mamie.

Przełknęła ślinę.

– Lukę? To ty?

– Nie. Tu Isabelle.

– Isabelle? – Clary uniosła wzrok i zobaczyła, że Simon ją obserwuje. Rumieniec już zszedł z jego policzków. – Dlaczego... to znaczy... o co chodzi?

– Jest u was Jace? – Głos Isabelle brzmiał tak, jakby powstrzymywała płacz.

Clary odsunęła od ucha słuchawkę i popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

– Jace? Nie. Dlaczego miałby tu być?

Oddech Isabelle niosący się echem przez linię telefoniczną przypominał stłumiony okrzyk.

– Chodzi o to, że on... zniknął.

„Księżyc Łowcy”

Maia nigdy nie ufała pięknym chłopcom i dlatego znienawidziła Jace’a Waylanda od chwili, kiedy go ujrzała.

Jej starszy brat Daniel urodził się ze skórą koloru miodu, po matce, i z wielkimi ciemnymi oczami, a okazał się osobnikiem, który podpałał skrzydła motylom, żeby obserwować, jak płoną i umierają w locie. Ją również dręczył, wymyślając różne wredne sposoby. Szczypał ją w takich miejscach, że nie wstawiał żadnych śladów, zamieniał szampon w butelce na wybielacz. Szła wtedy na skargę do rodziców, lecz oni jej nie wierzyli. Nikt nie wierzył, patrząc na Daniela; wszyscy mylili jego urodę z niewinnością i łagodnością. Kiedy złamał jej rękę w dziewiątej klasie, uciekła z domu, ale rodzice sprowadzili ją z powrotem. W dziesiątej klasie potrącił go na ulicy samochód. Daniel zginął na miejscu, a kierowca uciekł. Stojąc obok rodziców nad jego grobem, Maia wstydziła się, że czuje ulgę.

Bóg, pomyślała, z pewnością ukarze mnie za to, że cieszę się ze śmierci brata.

W następnym roku rzeczywiście tak zrobił. Poznała Jordana: długie, ciemne włosy, wąskie biodra w wytartych dzinsach, podkoszulki z nazwami zespołów grających alternatywny rock i rzęsy jak” u dziewczyny. Nigdy nie sądziła, że się nią zainteresuje – tego typu chłopcy zwykle wolą chude, blade dziewczyny w okularach z grubymi oprawkami – ale wyglądało na to, że jemu podobają się jej zaokrąglone kształty. Między pocałunkami mówił jej, że jest piękna. Pierwsze kilka miesięcy upłynęło jak sen, kilka ostatnich – jak koszmar. Jordan stał się zazdrosny, zaborczy. Kiedy się na nią rozgniewał, warczał i wymierzał jej policzki grzbietem dłoni, zostawiając ślady podobne do rumieńców. Gdy próbowała z nim zerwać, popchnął ją i zdzielił pięścią na jej własnym podwórku, zanim zdążyła wbiec do domu i zatrzaskać drzwi.

Później specjalnie pozwoliła, żeby zobaczył, jak całuje się z innym. Nie pamiętała nawet imienia tego chłopca. Pamiętała tylko, że kiedy tamtej nocy wracała do domu na skrót przez park, deszcz pokrywał jej włosy mgiełką drobnych kropelek, błoto brudziło nogawki dzinsów. Pamiętała ciemną postać, która wyskoczyła tuż przed nią zza metalowej karuzeli. Wielkie i mokre wilcze cielsko powaliło ją na trawę. Pamiętała potworny ból, kiedy szczęki zacisnęły się

na jej gardle. Krzyczała i walczyła, czuła w ustach własną krew, a głos w jej umyśle krzyczał: „To niemożliwe! Niemożliwe!”. W New Jersey nie było wilków, nie na zwykłych przedmieściach, nie w dwudziestym pierwszym wieku.

Jej wrzaski sprawiły, że w okolicznych domach zapaliły się światła. Wilk ją puścił. Z pyska stworza skąpy wały strużki krwi i strzępki ciała.

Dwadzieścia cztery szwy później leżała w swojej różowej sypialni, a koło niej skakała zaniepokojona matka. Lekarz z pogotowia powiedział, że to wygląda na pogryzienie przez dużego psa, ale Maia wiedziała swoje. Zanim wilk rzucił się do ucieczki, usłyszała znajomy szept przy uchu:

– Teraz jesteś moja na zawsze.

Nigdy więcej nie zobaczyła Jordana. On i jego rodzice spakowali się i wynieśli z mieszkania, żaden z jego przyjaciół nie wiedział, dokąd pojechali, albo się do tego nie przyznał. Maia nie była zaskoczona, kiedy przy następnej pełni księżyca poczuła tak silne i rozrywające bóle w nogach, że aż padła na ziemię, a jej kręgosłup wygiął się jak łyżeczka pod okiem magika. Gdy jej zęby wyskoczyły z dziąseł i zagrzechotały o podłogę jak rozsypane pastylki gumy do żucia, zemdlła. Albo tak jej się wydawało. Obudziła się wiele mil od domu, naga, umazana krwią. Blizna na szyi pulsowała do rytmu jej serca. Tamtej nocy wsiadła do pociągu jadącego na Manhattan. Nie była to trudna decyzja. Życie mieszańca na konserwatywnych przedmieścia nie nalegało do łatwych. Bóg wie, jak ich mieszkańcy potraktowaliby wilkołaka.

Nie miała trudności ze znalezieniem stada. Na samym Manhattanie było ich kilka. Przyłączyła się do sfory ze śródmieścia, która zajmowała stary budynek komisariatu policji w Chinatown.

Przywódcy się zmieniali. Pierwszym był Kito, potem Veronique, po niej Gabriel i wreszcie Lukę. Owszem lubiła Gabriela, .ile Lukę okazał się lepszy. Mał wygląd godny zaufania, łagodne niebieskie oczy i nie był zbyt przystojny, więc nie znieubiła go z miejsca. Czuła się dobrze w stadzie, nocowała w starym komisariacie, grała w karty, jadła chińskie potrawy w te noce, kiedy księżycyca przybywało lub ubywało, w czasie pełni polowali w parku, a następnego dnia leczyła kaca Przemiany w „Księżycu Łowcy”, – jednym z najlepszych w mieście podziemnych barów dla wilkołaków. Serwowano tam piwo w wysokich szklanicach i nikt nie sprawdzał, czy zamawiający ma dwadzieścia jeden lat. Likantrop szybko dojrzewa, a dopóki raz

w miesiącu wyrastają mu sierść i kły, może spokojnie popijać w „Księżycu”, nieważne ile lat skończył według ludzkich kryteriów.

W tamtych czasach Maia rzadko myślała o rodzinie, ale kiedy do baru wkroczył chłopak w długim, czarnym płaszczu, zeszywniała. Niezbyt przypominał Daniela. Jej brat miał ciemne włosy, kręcone na karku, i miodową skórę, a ten chłopak był blondynem. Obaj jednak mieli takie same szczupłe ciała, taki sam sposób chodzenia, jak pantera szukająca zdobyczy, tę samą pewność siebie i przekonanie o własnej atrakcyjności. Maia kurczowo zacisnęła palce na szklance i nakazała sobie spokój. On nie żyje. Daniel nie żyje.

Po wejściu nowego klienta przez bar przebiegł szmer, niczym spieniona fala rozchodząca się przed dziobem łodzi. Chłopak zachowywał się tak, jakby niczego nie zauważył. Nogą odsunął stółek barowy i usiadł na nim, opierając łokcie na kontuarze. W ciszy, która zapadła po szeptach, Maia usłyszała, że zamówił single malt. Trunek miał taki sam kolor jak jego włosy. Blondyn wprawnym ruchem uniósł szklaneczkę i wychylił pół drinka. Kiedy odstawiał naczynie na ladę, Maia zobaczyła grube, spiralne, czarne Znaki na jego nadgarstkach i grzbietach dłoni.

Bat siedzący obok niej – kiedyś się z nim umawiała, ale teraz byli tylko przyjaciółmi – mruknął pod nosem coś, co zabrzmiało jak Nefilim.

A więc to tak. Nieznajomy wcale nie był wilkołakiem, tylko Nocnym Łowcą, członkiem tajnej światowej policji, która dbała o przestrzeganie Prawa i Przymierza. Nikt nie mógł do niej wstąpić tylko dlatego, że tego chciał; musiał pochodzić z rodu Nocnych Łowców. Krążyło o nich wiele plotek, większość niepochlebnych. Wyniośli, dumni i okrutni, patrzyli z góry na przyziemnych i pogardzali nimi. Niewielu istot likantrop nie znosił bardziej od nich, może z wyjątkiem wampirów.

Mówiono również, że Nocni Łowcy zabijają demony. Maia dobrze pamiętała, kiedy pierwszy raz usłyszała o istnieniu demonów i o tym, co robią. Przyprawilo ją to o ból głowy. Wampiry i wilkołaki to byli po prostu chorzy ludzie, tyle rozumiała, ale jak uwierzyć w całe to gadanie o niebie i piekle, diabłach i aniołach, skoro nikt nie potrafił jej zapewnić, że istnieje Bóg, albo wyjaśnić, gdzie idzie się po śmierci? Teraz wierzyła w demony – widziała, co potrafią nie mogła więc zaprzeczyć ich istnieniu – ale żałowała, że wie.

– Pewnie nie podajecie tutaj srebrnej kuli – odezwał się chłopak, oparty łokciami o bar. – Za dużo złych skojarzeń? – Jego oczy się jarzyły, wąskie i błyszczące jak księżyc w trzeciej kwa drze.

Barman, Freaky Pete, tylko na niego spojrział i zde gustowany potrząsnął głową. Gdyby gość nie był Nocnym Łowcą przypuszczała Maia, Pete wyrzuciłby go z „Księżycy”, ale w tej sytuacji przeszedł do drugiego końca baru i zajął się wycieraniem kieliszków.

– Nie serwujemy tego piwa, bo to wyjątkowe świństwo – odezwał się Bat, który nie potrafił się nie wtrącać.

Chłopak zwrócił ku nim błyszczące oczy i uśmiechnął się. Większość ludzi nie uśmiechała się, kiedy Bat na nich patrzył.

Miał sześć i pół stopy wzrostu, połowę jego twarzy szpeciła gruba blizna w miejscu, gdzie srebrny proch wypalił mu skórę. W przeciwieństwie do innych członków stada, którzy nocowali w starych celach komisariatu, miał swoje mieszkanie, a nawet pracę. Był dobrym przyjacielem do chwili, kiedy rzucił Maię dla rudowłosej wiedźmy o imieniu Eve, mieszkającej w Yonkers i wróżącej z ręki w swoim garażu.

– A ty co pijesz? – zapytał chłopak, przysuwając się tak blisko do Bata, że wyglądało to na prowokację. – Trochę sierści psa, który wszystkich gryzie?

– Naprawdę myślisz, że jesteś zabawny?

W tym momencie reszta stada nadstawiła uszu, gotowa wesprzeć Bata, gdyby postanowił przytrzeć nosa aroganckiemu smarkaczowi.

– Bat – rzuciła ostrzegawczo Maia. Zastanawiała się, czy tylko ona z całego stada wątpi w to, że Bat potrafi pozbawić chłopaka przytomności do następnego tygodnia. Nie dlatego, że nie wierzyła w przyjaciela. Chodziło o oczy nieznajomego. – Nie rób tego.

Bat ją zignorował.

– Tak? – rzucił zaczepnie.

– Kimże jestem, żeby zaprzeczać temu co oczywiste? – Wzrok Nocnego Łowcy przesunął się po Mai, jakby była niewidzialna, i wrócił do wilkołaka. – Pewnie nie zechcesz mi powiedzieć, co się stało z twoją twarzą? Wygląda, jakby... – Nachylił się do Bata i powiedział coś tak cicho, że Maia nie usłyszała.

W następnej chwili Bat zamachnął się do ciosu, który powinien roztrzaskać chłopakowi szczękę, ale jego już nie było przy barze. Stał dobre pięć stóp dalej i roześmiał się, kiedy pięść wilkołaka trafiła w jego szklanę i posłała ją łukiem przez całą salę. Naczynie uderzyło w przeciwległą ścianę i roztrzaskało się w drobny mak.

Freaky Pete znalazł się w dwóch susach przy Bacie i chwycił go za koszulę, zanim Maia zdążyła mrugnąć powieką.

– Wystarczy – syknął. – Nie powinieneś się przejść, żeby ochłonąć?

Bat wykręcił się z jego uścisku.

– Przejść się? Słyszałeś...

– Słyszałem. – Pete mówił cichym głosem. – On jest Nocnym Łowcą. Idź lepiej na spacer, szczeniaku.

Bat zaklął i odsunął się od barmana. Dumnym krokiem, sztywno wyprostowany, ruszył do wyjścia. Trzasnął drzwiami.

Chłopiec przestał się uśmiechać i popatrzył na barmana z urazą jakby Freaky Pete zabrał mu sprzed nosa zabawkę.

– To nie było konieczne ~ powiedział. – Sam umiem sobie radzić.

Pete zmierzył go wzrokiem.

– Martwię się o bar – wyjaśnił krótko. – Może poszedłbyś gdzie indziej, Nocny Łowco, jeśli nie chcesz kłopotów.

– Nie mówiłem, że nie chcę kłopotów. – Chłopak usiadł z powrotem na stołku przy kontuarze. – Poza tym, jeszcze nie skończyłem drinka.

Maia obejrzała się na mokrą od alkoholu ścianę.

– Wygląda na to, że skończyłeś – zauważyła.

Przez chwilę blondyn patrzył na nią pustym wzrokiem. Potem w jego złotych oczach pojawiła się iskra rozbawienia. W tym momencie tak przypominał Daniela, że Maia miała ochotę uciec.

Zanim chłopak zdążył coś odpowiedzieć, Pete postawił przed nim następną szklaneczkę bursztynowego płynu.

– Proszę – burknął i przesunął wzrok na Maię. Czyżby w jego oczach malowała się nagana?

– Pete... – zaczęła Maia, ale nie dokończyła zdania, bo drzwi baru otworzyły się szeroko.

W progu stał Bat. Minęła chwila, zanim Maia spostrzegła, że przód jego koszuli i rękawy są czerwone od krwi.

Zsunęła się ze stołka i podbiegła do przyjaciela.

– Bat! Jesteś ranny?

Jego twarz była szara, srebrna blizna przecinająca policzek wyglądała jak skręcony drut.

– Atak – wykrztusił. – W zaułku leży ciało. Martwy dzieciak. Krew... wszędzie. – Potrzęsął głową i spojrzał na siebie. – To nie moja krew. Nic mi nie jest.

– Ciało? Ale kto...

Odpowiedź Bata zagłuszyło szuranie krzeseł, kiedy stado zerwało się od stolików i popędziło do drzwi. Pete też wybiegł zza kontuaru i pognął do wyjścia. Tylko Nocny Łowca został na swoim miejscu i spokojnie sięgnął po drinka.

W drzwiach kłębił się tłum, tak że Maia dostrzegła jedynie szare płyty chodnikowe zbryzgane krwią, która jeszcze nie zdążyła skrzepnąć; spływała w pęknięcia niczym czerwone pędy jakiejś rośliny.

– Ma podejrzięte gardło? – spytał Pete, zwracając się do Bata, któremu tymczasem wróciły kolory. – Jak...

– Ktoś był w alejce. Ktoś nad nim klęczał. – Bat mówił zdławionym głosem. – Nie wyglądał jak człowiek, raczej cień. Uciekł, kiedy mnie zobaczył. Chłopak j jeszcze żył. Ledwo. Po chyliłem się nad nim, ale... – Bat wzruszył ramionami. Żyły najego szyi nabrzmiały niczym grube korzenie oplatające pień drzewa. – Nic nie powiedział. Umarł.

– Wampiry – skwitowała piersiasta likantropka stojąca przy drzwiach. Miała na imię Amabel. – Nocne Dzieci. Nikt inny.

Bat spojrzał na nią, po czym odwrócił się i pomaszerował do baru. Chwyił Nocnego Łowcę za tył płaszcza... albo przynajmniej próbował, bo chłopak zeskoczył ze stołka i obrócił się płynnym ruchem.

– O co chodzi, wilkołaku?

Bat stał z wyciągniętą ręką.

– Ogluchłeś, Nefilim? – warknął. – W uliczce leży martwy chłopak. Jeden z naszych.

– Masz na myśli likantropa czy jakiegoś innego Podziemne go? – Blondyn uniósł brwi. – Wszyscy jesteście dla mnie jednakowi.

Maia usłyszała ciche warczenie i z lekkim zdziwieniem stwierdziła, że wydobywa się ono z gardła Freaky Pete'a, który już wrócił do baru i, otoczony przez resztę stada, wpatrywał się w Nocnego Łowcę.

– Był jeszcze szczeniakiem – powiedział. – Mał na imię Joseph.

Imię nic nie mówiło Mai, ale widząc zaciśnięte szczęki Pete'a, poczuła skurcz żołądka. Stado wstąpiło na ścieżkę wojenną i jeśli Nocny Łowca miał choć odrobinę rozsądku, powinien natychmiast uciekać gdzie pieprz rośnie. Ale on stał bez ruchu i patrzyła na nich złotymi oczami, z uśmiechem na twarzy.

– Mały likantrop? – rzucił chłopak.

– Należał do stada – odparł Pete. – Miał dopiero piętnaście lat.

– A czego właściwie ode mnie oczekujecie? – zapytał Nocny Łowca.

Barman spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Jesteś Nefiłem – przypomniał. – W tych okolicznościach należy się nam ochrona Clave.

Chłopak powoli rozejrzał się po barze, z tak bezczelną miną, że na twarzy Pete'a rozlał się rumieniec.

– Nie widzę tutaj nic, co wymagałoby ochrony – stwierdził Nocny Łowca. – Chyba że przed kiepskim wystrojem i grzybem na ścianach. Ale na to drugie wystarczy trochę wybielacza.

– Pod drzwiami baru leży martwy chłopiec – odezwał się Bat, starannie formułując słowa. – Nie sądzisz...

– Sądzę, że dla niego jest już za późno na ochronę, skoro nie żyje – stwierdził chłopak.

Pete nie spuszczał z niego wzroku. Jego uszy zrobiły się spiczaste, zęby przybrały kształt wilczych kłów.

– Doradzam ci ostrożność – wy warczał. – Dużą ostrożność.

Chłopak odwzajemnił spojrzenie.

– Naprawdę?

– Więc nic nie *zamierzasz* zrobić? – zapytał Bat.

– Zamierzam dokończyć drinka – odparł Nocny Łowca, zerkając na prawie pełną szklaneczkę stojącą na kontuarze. – Jeśli mi pozwolicie.

– Więc tak wygląda postawa Clave tydzień po Porozumieniach? – skomentował z oburzeniem Pete. – Śmierć Podziemnego nic dla ciebie nie znaczy?

Gdy chłopak się uśmiechnął, po plecach Mai przebiegł dreszcz. Wyglądał dokładnie jak Daniel tuż przed wyrwaniem skrzydełek ważce.

– Czy Podziemni oczekują, że Clave posprząta za nich bałagan? Myślicie, że można nam zawracać głowę tylko dlatego, że jakiś głupi szczeniak postanowił zabrudzić swoją krwią ulicę...

I zakończył słowem, którego wilkołaki nigdy nie używały, brzydkim, nieprzyjemnym określeniem sugerującym niewłaściwe relacje między wilkami a ludzkimi kobietami.

Zanim ktokolwiek zdążył się ruszyć, Bat skoczył na intruza, ale Nocny Łowca zniknął. Bat potknął się i rozejrzał, wytrzeszczając oczy. Stado zgodnie westchnęło.

Maia rozdziawiła usta. Chłopak stał na barze, na szeroko rozstawionych nogach. Wyglądał jak anioł zemsty szykujący się do wymierzenia boskiej sprawiedliwości, co należało do zadań Nocnych Łowców. Ale on wykonał ręką gest znany jej z podwórkowych zabaw: „Złap mnie”. Sforze to wystarczyło. Bat i Amabel wskoczyli na bar. Chłopak okręcił się tak szybko, że jego odbicie w lustrze za barem wyglądało jak rozmyte. Wymierzył kopniaka i dwójka wilkołaków runęła na podłogę pośród brzęku tłuczonego szkła. Nocny Łowca się roześmiał. Ktoś próbował ściągnąć go z kontuaru, ale on rzucił się w tłum z lekkością która świadczyła, że zrobił to z własnej woli. Potem Maia już go nie widziała w plątaninie wymachujących rąk i nóg. Zdawało jej się jednak, że nadal słyszy jego śmiech. Zobaczyła błysk stali i z sykiem wciągnęła powietrze. – Dość tego! Głos był cichy i spokojny jak bicie serca. Głos przywódcy. Maia odwróciła się i zobaczyła, że w drzwiach baru stoi Lukę, jedną ręką oparty o ścianę. Wyglądał nie tyle na zmęczonego, ile na wyniszczonego, jakby coś zżerało go od środka. Mmo to powtórzył opanowanym tonem: – Wystarczy. Zostawcie chłopaka.

Stado odsunęło się od Nocnego Łowcy. Został przy nim tylko Bat, który jedną ręką nadal ścisnął tył jego koszuli, a w drugiej trzymał nóż o krótkim ostrzu. Chłopak miał zakrwawioną twarz,

ale nie wyglądał na kogoś, kto potrzebuje ratunku. Uśmiechał się ironicznie. Podłogę baru zaścielało rozbite szkło.

– To nie j est żaden chłopiec, tylko Nocny Łowca – zaprotestował Bat.

– Nocni Łowcy są tutaj mile widziani – rzekł Lukę neutralnym tonem. – Są naszymi sojusznikami.

– Powiedział, że to nie ma znaczenia – rzucił z gniewem Bat. – O Josephie...

– Wiem – przerwał mu Lukę i przeniósł spojrzenie na nie sfornego klienta. – Przyszedłeś tutaj, żeby wywołać bójkę, Way-land?

Nocny Łowca uśmiechnął się, a z rozciętej wargi pociekła mu na brodę wąska strużka krwi.

– Lukę.

Kiedy z ust Nocnego Łowcy padło imię przywódcy stada, zaskoczony Bat puścił jego koszulę i bąknął:

– Nie wiedziałem...

– Nie szkodzi – uspokoił go Lukę znużonym głosem.

– Powiedział, że Clave nie obchodzi śmierć jednego likantropa, nawet dziecka – wtrącił grzmiącym basem Freaky Pete. – Jest tydzień po Porozumieniach, Lukę.

– Jace nie występuje w imieniu Clave – odparł Lukę. – I nic nie mógłby zrobić, nawet gdyby chciał. – Spojrzał na Nocnego Łowcę. – Zgadza się?

Chłopak był bardzo blady.

– Skąd...

– Wiem, co się stało – przerwał mu Lukę. – Wiem o Maryse.

Jace zeszywniał, a Maia dostrzegła pod maską dzikiego rozbawienia mrok i udrękę. Wyraz oczu Nocnego Łowcy przypominał jej raczej ten, który widywała, przeglądając się w lustrze, niż kiedyś u brata.

– Kto ci powiedział? Clary?

– Nie Clary.

Maia nigdy wcześniej nie słyszała tego imienia, ale obaj wymówili je tonem, który sugerował, że jest to dla nich ktoś szczególny.

– Jestem przywódcą stada, Jace. Słyszysz różne rzeczy. Chodź my do biura Pete'a i porozmawiajmy.

Jace wahał się przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

– Dobrze, ale jesteś mi winien za szkocką, której nie wy piłem.

– To był mój ostatni domysł – powiedziała Clary z westchnieniem rezygnacji. Opadła na stopnie przed Metropolitan Museum of Art i ze smutkiem spojrzała na Piątą Aleję.

– Całkiem dobry. – Simon usiadł obok niej, wyciągając przed siebie długie nogi. – To facet, który lubi broń i zabijanie, więc dlaczego nie największa kolekcja broni w całym mieście? Zresztą ja zawsze chętnie odwiedzam ten dział muzeum. Nasuwają mi się tam dobre pomysły do mojej kampanii.

Clary spojrzała na niego zaskoczona.

– Nadal grasz z Erikiem, Kirkiem i Mattem?

– Jasne. Dlaczego miałbym nie grać?

– Myślałam, że gra straciła dla ciebie atrakcyjność, odkąd... Odkąd nasze życie zaczęło przypominać jedną z twoich kampani. Dobrzy i źli faceci, groźna magia i bardzo ważne zaczarowane przedmioty, które trzeba znaleźć, żeby wygrać.

Tyle że w grze dobrzy faceci zawsze wygrywali, pokonywali złych i wracali do domu ze skarbami. Natomiast w prawdziwym życiu tracili skarby, a w dodatku czasami nie było nawet wiadomo, kto jest dobry, a kto zły.

Clary spojrzała na Simona i ogarnął ją smutek. Gdyby zrezygnował z grania, byłaby to jej wina, tak jak wszystko, co mu *śłą* przydarzyło w ostatnich tygodniach. Pamiętała jego bladą twarz nad zlewem tego ranka, tuż przed tym, jak ją pocałował.

– Simon... – zaczęła.

– Teraz gram duchownego, półtrolla, który chce się zemścić na orkach, którzy zabili jego rodzinę – wyjaśnił wesołym to nem. – Świetne.

Zaśmiała się i w tym momencie zabręczczała jej komórka. Clary wyłowiła ją z kieszeni i otworzyła. To był Lukę.

– Nie znaleźliśmy go – powiedziała, zanim zdążył się przy witać.

– Aleja znalazłem.

Usiadła prosto.

– Żartujesz. Jest obok ciebie? Mogę z nim porozmawiać? – Dostrzegła spojrzenie Simona i ściszyła głos. – Wszystko z nim w porządku?

– Raczej tak.

– Co to znaczy raczej?

– Wdał się w bójkę ze stadem wilkołaków. Ma parę ran i siniaków.

Clary przymknęła oczy. Dlaczego, och, dlaczego Jace wdał się w bójkę ze stadem wilkołaków? Co go opętało? Z drugiej strony, to był Jace. Wszcząłby bójkę z ciężarówką, gdyby nasza go taka ochota.

– Myślę, że powinnaś tutaj przyjechać – stwierdził Lukę. – Ktoś musi przemówić mu do rozumu, bo mnie się nie udało.

– Gdzie j esteś? – zapytała Clary.

Odparł, że w „Księżycu Łowcy” na Hester Street. Clary była ciekawa, czy bar jest zaczarowany. Wyłączyła telefon i odwróciła się do Simona, który patrzył na nią z uniesionymi brwiami.

– Powrót marnotrawnego?

– Coś w tym rodzaju. – Dźwignęła się ze chodów i rozprostowała nogi, w myślach obliczając, ile czasu zajmie im dotarcie do Chinatown metrem i czy warto wybulić na taksówkę kieszonkowe, które dał jej Lukę. Jednak nie, doszła do wniosku... Jeśli utkną w korku, dojazd potrwa dłużej niż metrem.

– ...pójść z tobą? – dokończył Simon, też się podnosząc. Stał stopień niżej, dzięki czemu byli tego samego wzrostu. – Jak myślisz?

Clary otworzyła usta i szybko je zamknęła.

– Eee...

– Nie słyszałaś ani słowa z tego, co mówiłem przez ostatnie dwie minuty – stwierdził Simon zrezygowany.

– To prawda – przyznała Clary. – Myślałam o Jasie. Zdaje się, że jest w kiepskim stanie. Przepraszam.

Brązowe oczy przyjaciela pociemniały.

– Domyślam się, że pędzisz, żeby opatrzeć jego rany?

– Lukę prosił mnie, żebym przyjechała. Małam nadzieję, że pojedziesz ze mną.

Simon kopnął stopień.

– Pojadę, ale... po co? Lukę nie może odwieźć Jace’a do Instytucie bez twojej pomocy?

– Pewnie może, ale uważa, że ze mną Jace porozmawia chętniej o tym, co się dzieje.

– Myślałem, że moglibyśmy zrobić coś razem dzisiaj wieczorem – powiedział Simon. – Obejrzeć film. Zjeść kolację na mieście.

Clary zmierzyła go wzrokiem. W oddali słyszała plusk wody w fontannie. Pomyślała o kuchni Simona, o jego wilgotnych rękach w jej włosach, ale to wszystko wydawało się bardzo odległe, nawet kiedy próbowała przywołać ten obraz w pamięci, tak jak się ogląda zdjęcia z wypadku, choć samego wypadku już się nie pamięta.

– On jest moim bratem – powiedziała w końcu. – Muszę iść.

Simon sprawiał wrażenie, jakby był zbyt zmęczony nawet na to, żeby westchnąć.

– Więc pojedę z tobą.

Biuro „Księżycy Łowcy” znajdowało się na końcu wąskiego korytarza wysypanego trocinami. W niektórych miejscach trociny były poplamione ciemnym płynem, który nie wyglądał jak piwo. Cuchnęło tu dymem i czymś jakby... mokrym psem, stwierdziła Clary, ale nie podzieliła się z Lukiem tą obserwacją.

– Nie jest w dobrym nastroju – uprzedził Lukę, zatrzymując się pod drzwiami. – Zamknąłem go w biurze Freaky Pete’a po tym, jak omal nie zabił gołymi rękami połowy mojego sta da. Nie chciał ze mną rozmawiać, więc... – wzruszył ramiona mi – pomyślałem o tobie. – Przeniósł wzrok ze skonsternowanej Clary na Simona. – O co chodzi?

– Nie mogę uwierzyć, że tutaj przyszedł – powiedziała Clary.

– Nie mogę uwierzyć, że znasz kogoś o imieniu Freaky Pete – dodał Simon.

– Znam wielu ludzi – odparł Lukę. – Co prawda Freaky Pete nie jest człowiekiem, ale to nieistotne.

Otworzył drzwi. Za nimi znajdował się pokój bez okna,

o ścianach obwieszonych sportowymi proporczykami. Na biurku zarzuconym papierami stał mały telewizor, a za nim, na krześle obitym skórą popękaną tak, że wyglądała jak żyłkowany marmur, siedział Jace.

W chwili, gdy drzwi się otworzyły, sięgnął po żółty ołówek leżący na biurku i cisnął nim z całej siły. Ołówek poleciał łukiem przez pokój i trafił w ścianę tuż obok głowy Luke’a. Utkwił w niej, wibrując. Oczy Luke’a się rozszerzyły.

Jace uśmiechnął się słabo.

– Przepraszam. Nie wiedziałem, że to ty.

Clary ścisnęło się serce. Nie widziała Jace’a od wielu dni. Wyglądał jakoś inaczej i nie chodziło tylko o zakrwawioną twarz i siniaki, które teraz były wyraźnie widoczne, ale o to, że skóra na jego policzkach wydawała się ściągnięta, kości mocniej za znaczone.

Lukę wskazał ręką na Simona i Clary.

– Przeprowadziłem ich, żeby z tobą porozmawiali.

Jace powiódł po nich wzrokiem. Jego spojrzenie było puste, oczy wyglądały jak namalowane.

– Niestety, miałem tylko jeden ołówek.

– Jace... – zaczął Lukę.

– Nie chcę go tutaj. – Jace wskazał brodą na Simona.

– To niesprawiedliwe. – Clary była oburzona. Czyżby zapomniał, że Simon uratował życie Alecowi, a może i im wszystkim?

– Wynocha, Przyziemny – rzucił Jace, pokazując mu drzwi.

Simon machnął ręką.

– W porządku. Zaczekam na korytarzu.

Wyszedł z pokoju. Clary wyczuła, że z trudem powstrzymał się od trzaśnięcia drzwiami. Odwróciła się do Jace'a.

– Musisz być taki... – Urwała na widok jego miny. Sprawiał wrażenie...”, obnażonego, podatnego na zranienie.

– Nieprzyjemny? – dokończył za nią. – Tylko w te dni, kiedy moja przybrana matka wyrzuca mnie z domu z żądaniem, żebym nigdy więcej nie przekroczył jego progu. Zwykle jestem bardzo pogodny. Sprawdź innego dnia, który nie kończy się na „a” albo „k”.

Lukę zmarszczył brwi.

– Nie przepadam za Lightwoodami, ale nie mogę uwierzyć, że Maryse to zrobiła.

Jace wyglądał na zaskoczonego.

– Znasz ich? Lightwoodów?

– Byli ze mną w Kręgu – odparł Lukę. – Zdziwiłem się, kiedy usłyszałem, że kierują tutejszym Instytutem. Zdaje się, że po Powstaniu zawarli umowę z Clave, zapewniając sobie coś w rodzaju łagodniejszej kary, podczas gdy Hodge... no, cóż, wiemy, co się z nim stało. – Milczał przez chwilę. – Czy Maryse mówiła, dlaczego skazuje cię na wygnanie, że się tak wyrażę?

– Nie wierzy, że byłem przekonany, że jestem synem Michaela Waylanda. Oskarżyła mnie, że przez cały czas wspierałem Valentine'a i pomogłem mu uciec z Kielichem Anioła.

– Więc dlaczego nadal tutaj jesteś? – obruszyła się Clary. – Dlaczego nie uciekłeś razem z nim?

– Nie powiedziała tego wprost, ale pewnie uważa, że zostałem jako szpieg. Żmija wyhodowana na ich łonie. Co prawda nie użyła tego określenia, ale tak właśnie myśli.

– Szpieg Valentine'a? – W głosie Luke'a brzmiała konsternacja.

– Według niej Valentine założył, że ze względu na ich uczucia do mnie ona i Robert uwierzą we wszystko, co im powiem, tak więc Maryse doszła do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem jest nie żywić do mnie żadnych uczuć.

– To tak nie działa. – Lukę potrząsnął głową. – Uczuć nie można wyłączyć jak światła. Zwłaszcza jeśli jest się rodzicem.

– Oni nie są moimi prawdziwymi rodzicami.

– Rodzicielstwo to nie tylko więzy krwi. Lightwoodowie byli twoimi rodzicami przez siedem lat. Pod każdym względem, który się liczy. Maryse po prostu została zraniona.

– Zraniona? – powtórzył z niedowierzaniem Jace. – Ona jest zraniona?

– Kochała Valentine’a, pamiętaj – powiedział Lukę. – Tak jak my wszyscy. On bardzo ją zranił i teraz Maryse nie chce, żeby jego syn zrobił to samo. Zadręcza się myślą że ich okłamałeś. Że oszukiwałeś ich przez wiele lat. Musisz ją uspokoić i odzyskać zaufanie.

Na twarzy Jace’a upór mieszał się ze zdumieniem.

– Maryse jest dorosła! Nie potrzebuje ode mnie żadnego uspokajania.

– Och, daj spokój, Jace – powiedziała Clary. – Nie możesz oczekiwać od wszystkich idealnego zachowania. Dorośli też po trafią wiele rzeczy schrzanić. Wróc do Instytutu i porozmawiaj z nią rozsądnie. Bądź mężczyzną.

– Nie chcę być mężczyzną – oświadczył Jace. – Chcę być gniewnym nastolatkiem, który nie umie poradzić sobie z wewnętrznymi demonami i dlatego wyżywa się werbalnie na innych.

– Cóż, świetnie ci idzie – zauważył Lukę.

– Jace – rzuciła Clary pospiesznie, nim zaczęli się kłócić na poważnie. – Musisz wrócić do Instytutu. Pomyśl o Alecu i Izzy.

– Maryse jakoś ich uspokoi. Może powie, że uciekłem.

– Nie uwierzą – stwierdziła Clary. – Isabelle wydawała się; bardzo zdenerwowana, kiedy z nią rozmawiałam przez telefon.

– Isabelle zawsze wydaje się zdenerwowana – odparował Jace, ale sprawiał wrażenie zadowolonego. Odchylił się na oparcie krzesła. Siniaki na jego szczęce i kościach policzkowych wyglądały jak ciemne, bezkształtne Znaki. – Nie wrócę tam, gdzie mi nie ufają. Nie mam już dziesięciu lat. Potrafię o siebie zadbać.

Lukę zrobił taką minę, jakby wcale nie był tego pewien.

– Dokąd pójdziesz? Z czego będziesz żył?

Oczy Jace’a rozblęły.

– Mam siedemnaście lat. W zasadzie jestem dorosły. Każdy dorosły Nocny Łowca ma prawo do...

– Każdy dorosły. Ale ty nim nie jesteś. Nie możesz brać pensji od Clave, bo jesteś za młody, a Lightwoodowie są przez Prawo zobowiązani do opieki nad tobą. Jeśli nie będą tego robić, zostanie wyznaczony ktoś inny albo...

– Albo co? – Jace zerwał się z krzesła. – Pójdę do sierocińca w Idrisie? Zostanę podrzucony rodzinie, której nie znam? W świecie Przyziemnych mogę dostać pracę na rok, jak oni wszyscy...

– Nie możesz – odezwała się Clary. – Wiem, co mówię, bo też byłam Przyziemną. Jesteś za młody na pracę, która by ci od powiadała, a twoje umiejętności... cóż, większość zawodowych zabójców jest od ciebie starsza. I są kryminalistami.

– Nie jestem zabójcą.

– Gdybyś żył w świecie Przyziemnych, tym właśnie byś był – powiedział Luke.

Jace zeszytniał, zacisnął zęby. Clary wiedziała, że słowa Luke'a trafiły w czuły punkt.

– Nie rozumiecie. – W głosie Jace'a raptem zabrzmiała desperacja. – Nie mogę tam wrócić. Maryse chce, żebym powiedział, że nienawidzę Valentine'a, a ja nie mogę tego zrobić.

Uniósł głowę i spojrzał na wilkołaka, jakby się spodziewał, że ten zareaguje drwiną albo zgrozą. Ostatecznie Luke miał więcej powodów, żeby nienawidzić Valentine'a, niż wszyscy inni na świecie. Ale on powiedział tylko:

– Wiem. Ja też kiedyś go kochałem.

Jace odetchnął niemal z ulgą a Clary nagle pomyślała: Nie przyszedł tutaj, żeby zacząć bójkę, tylko żeby porozmawiać z Lukiem. Bo wiedział, że on go zrozumie.

Nie wszystko, co robił Jace, było szalone i samobójcze, a jedynie takie się wydawało.

– Nie powinieneś być zmuszony do składania oświadczenia,

/e nienawidzisz swojego ojca – stwierdził Luke. – Nawet po to, żeby uspokoić Maryse.

Ona powinna to zrozumieć.

Clary uważniej przyjrzała się Jace'owi, starając się odczytać coś z jego twarzy. Ale oblicze chłopaka było jak książka napisana w obcym języku, który Clary studiowała zbyt krótko.

– Naprawdę powiedziała, że nie chce, żebyś wracał? – zapytała. – Czy tylko uznałaś, że to miała na myśli, więc odszedłeś?

– Powiedziała, że byłoby lepiej, gdybym na jakiś czas znalazł sobie inne miejsce – odparł Jace. – Nie dodała, jakie.

– A dałeś jej szansę? – zapytał Lukę. – Posłuchaj, Jace. Oczywiście możesz zostać u mnie, jak długo będzie trzeba. Chcę, żebyś o tym wiedział.

Żołądek Clary wykonał podskok. Myśl o Jasie mieszkającym w tym samym domu, zawsze blisko, nappełniła ją radością i jednocześnie przerażeniem.

– Dzięki – mruknął Jace.

Jego głos był spokojny, ale spojrzenie pomknęło na chwilę ku Clary, a ona dostrzegła w jego oczach mieszaninę emocji, które sama odczuwała. Lukę, czasami chciałabym, żebyś nie był taki wspaniałomyślny. Albo taki ślepy.

– Powinieneś jednak wrócić do Instytutu, żeby porozmawiać z Maryse i dowiedzieć się o, co naprawdę chodzi – oznajmił Lukę. – Wydaje mi się, że ona nie mówi ci wszystkiego. Może jest w tym coś więcej, niż chciałbyś usłyszeć. Jace oderwał spojrzenie od Clary.

– Dobrze. – Jego głos był zachrypnięty. – Ale pod jednym warunkiem. Nie chcę iść tam sam.

– Pójdę z tobą – zaproponowała szybko Clary. – Wiem i chcę, żebyś ze mną poszła – zapewnił ją Jace i dodał cicho: – Ale chcę również, żeby poszedł z nami Lukę. Lukę wyglądał na zaskoczonego.

– Jace... mieszkam tutaj od piętnastu lat i nigdy jeszcze nic byłem w Instytucie. Ani razu. Wątpię, czy Maryse lubi mnie bardziej...

– Proszę – przerwał mu Jace, a Clary od razu wyczuła, ile wysiłku kosztowało go przełknięcie dumy i wymówienie tego jednego słowa.

– Dobrze. – Lukę skinął głową jak przywódca stada przyzwyczajony do robienia tego, co musi, a nie tego, na co ma ochotę. – Pójdę z wami.

Simon opierał się o ścianę korytarza pod biurem Pete'a i starał się nie użalać nad sobą.

Dzień zaczął się dobrze. Dość dobrze. Najpierw był przykry epizod z „Dracula”, kiedy to zrobiło mu się niedobrze i słabo, bo film lecący w telewizji przywołał wszystkie emocje i tęsknoty, które on od dawna starał się w sobie zdusić. Mdłości na tyle wytrąciły go z równowagi, że pocałował Clary, na co od lat miał ochotę. Ludzie mówią że to, o czym marzyli, w rzeczywistości nigdy nie okazuje się takie, jak sobie wyobrażali. Ludzie się mylili.

A Clary odwzajemniła pocałunek...

Teraz jednak była z Jace'em, a Simon czuł w żołądku sensacje, jakby połknął miskę robaków. Do tego nieprzyjemnego wrażenia musiał się ostatnio przyzwyczaić. Wcześniej go nie

znał, nawet po tym, jak sobie uświadomił, co czuje do Clary. Nigdy jej nie naciskał, nigdy nie wyjawiał swoich uczuć. Zawsze był pewien, że pewnego dnia ona otrząśnie się z mrzonek o księciu z bajki albo o ożywionych bohaterach kung-fu i zrozumie, co i na w zasięgu ręki. Uważał, że są sobie przeznaczeni. A jeśli nie wydawała się nim zainteresowana, to przynajmniej nie przejawiała zainteresowania nikim innym.

Dopóki nie poznała Jace'a. Pamiętał, jak siedział na schodach ganku Luke'a, a Clary wyjaśniała mu, kim jest nowy znajomy i co zrobił, podczas gdy Jace z wyniosłą miną oglądał swoje paznokcie. Simon prawie jej nie słuchał, pochłonięty obserwowaniem, jak ona gapi się na blondyna z dziwnymi tatuażami i kościstą ładną twarzą. Zbyt ładną jego zdaniem, ale Clary najwyraźniej tak nie uważała. Wpatrywała się w niego, jakby był jednym z jej ożywionych bohaterów. Simon nigdy nie widział, żeby wcześniej tak na kogoś patrzyła, i zawsze się łudził, że może kiedyś tak spojrzeć na niego. Stało się inaczej, i to zabolalo bardziej, niż się spodziewał.

Gdy się dowiedział, że Jace jest bratem Clary, poczuł się tak, jakby stanął przed plutonem egzekucyjnym i w ostatniej chwili wręczono mu ułaskawienie. Nagle świat znowu stał się pełen możliwości.

Teraz nie był już tego taki pewien.

– Hej. – Ktoś szedł korytarzem, ktoś niezbyt wysoki, i ostrożnie stąpał między plamami krwi. – Czekasz na Luke'a? Jest w środku?

– Niezupełnie. – Simon odsunął się od drzwi. – To znaczy, coś w tym rodzaju. Jest z moimi znajomymi.

Osobą która właśnie do niego dotarła, zatrzymała się i zmierzyła go wzrokiem. Simon zobaczył, że jest to dziewczyna w wieku mniej więcej szesnastu lat, o gładkiej jasnobrązowej skórze. Kasztanowo-złote włosy, zaplecione w dziesiątki warkoczyków przy samej głowie, okalały twarz w kształcie serca. Miała drobne, krągłe ciało, szerokie biodra i wąską talię.

– Z tym facetem z baru? Z Nocnym Łowcą?

Simon tylko wzruszył ramionami.

– Cóż, niechętnie ci to mówię, ale twój przyjaciel to dupek.

– Nie jest moim przyjacielem – odparł Simon. – I nie mogę się z tobą nie zgodzić.

– Ale mówiłeś, że...

– Czekam na jego siostrę – wyjaśnił Simon. – To moja najlepsza przyjaciółka,

– Jest tam z nimi? – Dziewczyna wskazała kciukiem drzwi. Na wszystkich palcach miała pierścionki, proste obrączki z brązu i złota. Jej dżinsy były wytarte, ale czyste, a kiedy odwróciła głowę, Simon zobaczył bliznę przecinającą szyję, tuż nad kołnierzykiem T- shirtu. – Co nieco wiem o braciach, którzy są dupka mi – dodała z niechęcią w głosie. – Chyba to nie jej wina.

– Istotnie – zgodził się Simon. – Ale zdaje się, że jest jedyną osobą której on może posłuchać.

– Nie zrobił na mnie wrażenia kogoś, kto potrafi słuchać – stwierdziła dziewczyna i zerknęła na niego z ukosa. Gdy przy łapała go na podobnym spojrzeniu, na jej twarzy pojawił się wyraz rozbawienia. – Patrzysz na moją bliznę. Właśnie tam zostałam ugryziona.

– Ugryziona? Masz na myśli, że...

– Jestem wilkołakiem – oznajmiła dziewczyna. – Jak wszyscy tutaj. Z wyjątkiem ciebie i dupka. I siostry dupka.

– Ale nie zawsze byłaś wilkołakiem. To znaczy, nie urodziłaś się taka.

– Jak większość z nas. I to nas różni od twoich kumpli, Nocnych Łowców.

– Co?

Uśmiechnęła się przelotnie.

– My kiedyś byliśmy ludźmi.

Simon nie odpowiedział. Po chwili dziewczyna wyciągnęła do niego rękę.

– Jestem Maia.

– Simon. – Jej dłoń była sucha i miękka. Dziewczyna patrzyła na niego przez złoto-brązowe rzęsy, barwy tostu z masłem. – Skąd wiedziałaś, że Jace to dupek? A może powinienem raczej zapytać, jak to odkryłaś?

Maia zabrała rękę.

– Zdemolował bar. Uderzył mojego przyjaciela. Znokautował parę osób ze stada.

– Nic im nie jest? – Simon był szczerze zaniepokojony. Nie miał wątpliwości, że Jace mógł zabić kilka osób w jeden poranek, .1 potem spokojnie wybrać się na gofity. – Poszli do lekarza?

– Chyba do czarownika? – powiedziała Maia. – Raczej nie miewamy do czynienia z Przyjemnymi lekarzami. Nasz gatunek.

– Czyli Podziemni?

Dziewczyna uniosła brwi.

– Ktoś nauczył cię żargonu?

Simon się zirytował.

– Skąd wiesz, że nie jestem jednym z nich? Albo z was? Nocnym Łowcą, Podziemnym albo...

Maia potrząsnęła głową, ażzakołysały się jej warkoczyki.

– To widać z daleka. Twoje ludzkie pochodzenie.

Nuta goryczy w jej głosie przyprawiła Simona o dreszcz. Nagle poczuł się niezręcznie.

– Mógłbym zapukać do drzwi, jeśli chcesz porozmawiać z Lukiem – zaproponował.

Maia wzruszyła ramionami.

– Powiedz mu, że przyjechał Magnus. Bada, co się stało w zaułku. – Simon chyba wyglądał na zaskoczonego, bo wyjaśniła: – Magnus Bane to czarownik.

„Wiem”, chciał powiedzieć, ale tego nie zrobił. Cała ta rozmowa była już dostatecznie dziwna.

– Dobrze.

Maia odwróciła się, jakby chciała odejść, ale jeszcze się zatrzymała, kładąc rękę na futrynie drzwi.

– Myślisz, że przemówi mu do rozsądku? – spytała. – Jego siostra?

– Jeśli Jace kogokolwiek posłucha, to właśnie jej.

– To słodkie – stwierdziła Maia. – Że tak kocha siostrę.

– Rzeczywiście wzruszające.

Inkwizytor

Kiedy Clary pierwszy raz zobaczyła Instytut, wyglądał jak zniszczony kościół z zapadniętym dachem i żółtą policyjną taśmą naklejoną na drzwiach. Teraz już nie musiała się koncentrować, odganiając złudzenie. Nawet z drugiej strony ulicy widziała wysoką gotycką katedrę z iglicami, które wyglądały, jakby (przebijały granatowe niebo.

Lukę milczał. Po jego twarzy było widać, że toczy jakąś wewnętrzną walkę. Kiedy weszli po stopniach, Jace z nawyku sięgnął pod koszulę, ale kiedy wyciągnął rękę, była pusta. Zaśmiał się bez cienia wesołości.

Zapomniałem, że Maryse zabrała mi klucze, zanim odszedłem.

Oczywiście, że tak. – Lukę delikatnie dotknął symboli wyrytych w drewnie, tuż pod architrawem. – Te drzwi są identyczne z tymi w Sali Anioła w Idrisie. Nigdy nie sądziłem, że jeszcze kiedyś takie zobaczę.

Clary niemal czuła się winna, że przerywa wspomnienia Luce'a, ale musiała omówić praktyczne sprawy.

Skoro nie mamy klucza... – Nie jest konieczny. Instytut powinien być otwarty dla każdego Nefilim, który nie zamierza zrobić krzywdy jego mieszkańcom.

A jeśli to oni zamierzają nas skrzywdzić? – mruknął Jace.

Kącik ust Luke'a zadrżał.

Nie sądzę, żeby to coś zmieniało.

Tak, Clave zawsze tasuje karty na swój sposób. – Jace mówił trochę niewyraźnie. Jego dolna warga była spuchnięta, lewa powieka robiła się fioletowa. Dlaczego się nie uzdrowi?

Stelę też ci zabrała? – domyśliła się Clary.

Nie wziąłem jej – odparł Jace. – Nie chciałem niczego brać od Lightwoodów. Lukę popatrzył na niego z troską. – Każdy Nocny Łowca powinien mieć stelę.

Zdobędę inną – powiedział Jace, kładąc dłoń na drzwiach Instytutu. – „W imieniu Clave proszę o wejście do tego świętego miejsca. W imię anioła Razjela proszę o pobłogosławienie mojej misji przeciwko...”.

Drzwi się otworzyły. Clary zobaczyła mroczne wnętrza katedry, które miejscami rozjaśniały świece umieszczone w wysokich żelaznych świecznikach.

Wygodne – stwierdził Jace. – Dzięki błogosławieństwu jest tu łatwiej wejść, niż sądziłem. Może powinienem poprosić, o błogosławieństwo dla mojej misji przeciwko tym wszystkim, którzy noszą białe rzeczy po Świecie Pracy.

Anioł wie, na czym polega twoja misja – skarcił go Lukę. – Nie musisz wypowiadać tych słów na głos, Jonathanie.

Przez chwilę Clary zdawało się, że przez twarz Jace'a przemyka cień... niepewności, zaskoczenia, może nawet ulgi? Ale on tylko burknął:

Nie nazywaj mnie tak. To nie jest moje imię.

Ruszyli nawą, mijając puste ławki i ołtarz, na którym zawsze paliły się lampki. Lukę'a, który rozglądał się z ciekawością, zadziwiła winda przypominająca złotą klatkę dla ptaków.

To musiał być pomysł Maryse – stwierdził, kiedy wchodzili do środka. – Całkiem w jej stylu.

Jest tutaj, odkąd pamiętam – powiedział Jace, kiedy drzwi zamknęły się za nimi z trzaskiem. Jazda w górę była krótka. Nikt się nie odzywał. Clary nerwowo skubała brzeg szalika. Miała wyrzuty sumienia, że kazała Simonowi iść do domu i czekać na telefon. Kiedy oddalał się Canal Street, widziała po napięciu jego pleców, że poczuł się bezceremonialnie odprawiony. Nie mogła jednak wyobrazić sobie, że on, Przyziemny, słuch, jak Lukę wstawia się za Jace'em u Maryse Lightwood. Sytuacja byłaby bardzo niezręczna.

Winda zatrzymała się ze zgrzytem. Pod drzwiami czekał na nich Church z lekko podniszczoną czerwoną obrózką na szyi. Jace schylił się i pogłaskał go po głowie. Gdzie jest Maryse?

Kot wydał gardłowy dźwięk, coś pomiędzy pomrukiem i w mruknięciem, i ruszył korytarzem. Poszli za nim. Jace milczał, Lukę nadal się rozglądał.

– Nigdy nie sądziłem, że zobaczę to miejsce w środku – powiedział.

Wygląda tak, jak się spodziewałeś? – zapytała Clary.

Byłem w Instytutach w Londynie i Paryżu. Ten jest inny, Jakoś...

Co? – rzucił Jace przez ramię.

– Tutaj jest zimniej – odparł Lukę.

Jace nic nie odpowiedział. Gdy dotarli do biblioteki, Church usiadł, jakby dawał im do zrozumienia, że dalej nie zamierza isc. Zza grubych drewnianych drzwi dobiegały słabe głosy, ale Jace otworzył je bez pukania i wmaszerował do środka.

Clary usłyszała okrzyk zaskoczenia. Serce jej się ścisnęło, kiedy pomyślała o Hodge'u i o jego stałym towarzyszu, kuku Hugonie, który na rozkaz swojego pana omal nie wydrapał jej oczu.

Oczywiście Hodge'a nie było w pokoju. Za ogromnym mahoniowym biurkiem wspartym na dwóch klęczących, kamiennych aniołach siedziała kobieta w średnim wieku, o kruczoczarnych włosach jak u Isabelle i chudej, zylastej budowie jak u Aleca. Miała na sobie czarny kostium, bardzo prosty, kontrastujący z licznymi jaskrawymi pierścionkami zdobiącymi jej palce.

Obok niej stał smukły nastolatek o kręconych ciemnych włosach i skórze koloru miodu. Na jego widok Clary nie zdołała powstrzymać okrzyku zdumienia:

Raphael?

Przez chwilę chłopak wyglądał na zaskoczonego. Potem się uśmiechnął. Zęby miał bardzo białe i ostre. Nic dziwnego, skoro był wampirem.

– *Dios*, co ci się stało, bracie?– zapytał, patrząc na Jace'a.– Wyglądasz, jakby stado wilków próbowało cię rozerwać na strzępy.

Zadziwiająco trafny domysł – skwitował Jace. – Albo słyszałeś co się stało.

Uśmiech Raphaela stał się szerszy.

Słyszysz różne rzeczy.

Kobieta siedząca dotąd za biurkiem wstała.

Jace, coś się stało? – W jej głosie brzmiał niepokój. – Dlaczego tak szybko wróciłeś? Myślałam, że zostaniesz u...

– Spojrzała na pozostałych gości. – A ty kim jesteś?

Siostrą Jace'a – odparła Clary.

Pani Lightwood wbiła w nią wzrok.

Tak, widzę. Jesteś podobna do Valentine'a. – Odwróciła się z powrotem do Jace'a. – Przyprowadziłeś ze sobą siostrę? To Przyziemna, tak? Teraz nie jesteście tutaj bezpieczni. Zwłaszcza Przyziemni...

Lucy uśmiechnął się słabo i powiedział:

Ale ja nie jestem Przyziemnym.

Na twarzy Maryse najpierw odmalowała się konsternacja, a potem szok, kiedy przyjrzała się Luke'owi.

Lucian?

Cześć, Maryse. Kopę lat.

Twarz Maryse była nieruchoma. W tym momencie pani Lightwood wyglądała na dużo starszą od Luke'a. Usiadła powoli.

Lucian – powtórzyła, kładąc ręce płasko na biurku. – Lucian Graymark.

Raphael, który obserwował ich z ciekawym ptasim spojrzeniem, zwrócił się do Luke'a i rzucił oskarżycielskim tonem: Zabiłeś Gabriela.

Kto to był Gabriel? Clary ze zdziwieniem popatrzyła na Luke'a, a on tylko wzruszył ramionami.

Owszem. Podobnie jak on wcześniej zabił przywódcę stada. Tak to jest u likantropów. Maryse uniosła wzrok znad biurka.

– Przywódca stada?

– Skoro ty teraz dowodzisz sforą, czas, żebyśmy porozmawiali – stwierdził Raphael, z wdziękiem skłaniając głowę, ale jego oczy pozostały czujne. – Choć może nie w tym momencie.

Przyślę kogoś, żeby zaaranżował spotkanie – obiecał Luke.

Ostatnio dużo się działo. Być może jestem do tyłu, jeśli chodzi o konwenanse.

– Być może – zgodził się Raphael i zwrócił do Maryse: – Omówiliśmy już nasze sprawy?

– Skoro twierdzisz, że Nocne Dzieci nie są zamieszane w te zabójstwa, wierzę ci na słowo – odparła z wysiłkiem pani Lightwood. – Muszę wierzyć, chyba że wyjdą na jaw jakieś dowody. zmarszczył brwi.

– Wyjdą na jaw? Nie podoba mi się to określenie.

Kiedy się odwrócił, Clary zauważyła ze zdziwieniem, że jego kontury rozmywają się jak na starej fotografii. Lewą rękę miał zupełnie przezroczystą, tak że widziała przez nią duży metalowy globus, który Hodge zawsze trzymał na biurku. Gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy ta przejrzystość objęła ramię, a potem pierś. Chwilę później Raphael zniknął jak postać wymazana z rysunku. Maryse odetchnęła z ulgą.

Clary rozdziawiła usta.

– On nie żyje?

– Raphael? – zapytał Jace. – To była tylko jego projekcja. On nie może przyjść do Instytutu w swojej cielesnej postaci.

Dlaczego?

Bo to poświęcona ziemia, a on jest przeklęty – wyjaśniła Maryse.. Jej lodowate spojrzenie nie straciło nic ze swojego chłodu kiedy skierowała wzrok na Luke'a. – Ty głową stada? Chyba nie powinnam być zaskoczona. Zdaje się, że to twoja metoda, prawda?

Luke zignorował gorycz w jej głosie.

Raphael był tu w sprawie szczeniaka, który został dzisiaj zabity?

I w sprawie martwego czarownika również – odparła Maryse – Zamordowanego w śródmieściu dwa dni temu.

Ale po co zjawił się tu Raphael?

Z czarownika utoczono całą krew. Zdaje się, że temu, kto zabił wilkołaka, przeszkodzono, zanim zdążył zrobić to samo, ale podejrzenie naturalnie padło na Nocne Dzieci. Wampir przybył tutaj, by mnie zapewnić, że jego lud nie ma z tym nic wspólnego.

Wierzysz mi? – spytał Jace.

Nie mam ochoty omawiać z tobą spraw Clave, Jace, zwłaszcza w obecności Luciana Graymarka.

Teraz jestem Lukę. Lukę Garroway.

Maryse potrząsnęła głową.

Ledwo cię poznałam. Wyglądasz jak Przyziemny.

I o to chodzi.

Myśleliśmy, że nie żyjesz. Mielicie nadzieję – poprawił ją spokojnie Lukę. – Mielicie nadzieję, że nie żyję. Maryse miała taką minę, jakby połknęła coś ostrego. Usiądźcie – rzekła w końcu, wskazując na krzesła ustawione przed biurkiem, i poczekała, aż zajmą miejsca. – A teraz może mi powiesz, z czym przychodzicie.

Jace chce procesu przed Clave, a ja zamierzam za niego poręczyć – oznajmił bez wstępów Lukę. – Byłem tamtej nocy w Renwick, kiedy pojawił się Valentine. Walczyłem z nim. Omal się nie pozabijaliśmy. Mogę potwierdzić, że wszystko, co mówił Jace, jest prawdą.

– Nie jestem pewna, ile jest warte twoje słowo – stwierdziła Maryse.

– Może jestem likantropem, ale również Nocnym Łowcą – odparł Lukę. – Jestem gotowy poddać się próbie Miecza, jeśli to pomoże.

Próbie Miecza? To zabrzmiało groźnie. Clary spojrzała na Jace'a. Splótł na kolanach palce i miał kamienny wyraz twarzy, ale wyczuła w nim napięcie, jakby był o włos od wybuchu. Pochwycił jej spojrzenie i wyjaśnił:

– Miecz Dusz, drugi z Darów Anioła. Używa się go w czasie procesów, żeby ustalić, czy Nocny Łowca nie kłamie.

Nie jesteś Nocnym Łowcą – powiedziała Maryse, zwracając się do Luke'a i ignorując Jace'a. – Od bardzo dawna nie postępujesz zgodnie z Prawem Clave.

– Był czas, kiedy ty też go nie przestrzegałaś – odparował Lukę. – Można by sądzić, że do tej pory wyrosłaś z nieufności do wszystkich, Maryse.

Niektórych rzeczy nigdy się nie zapomina. – Na jej policzkach wykwitły rumieńce, głos pobrzmiwał zwodniczo miękko. – Myślisz, że udawanie własnej śmierci jest największym kłamstwem Valentine'a? Myślisz, że wdzięk jest tym samym co uczciwość? Kiedyś tak sądziłam. Myliłam się. – Wstała z fotela i oparła na biurku szczupłe dłonie. – Mówił, że odda życie dla Kręgu i że oczekuje od nas tego samego. I poświęcilibyśmy życie, wszyscy. Ja omal tego nie zrobiłam. – Zerknęła na Jace'a i Cliry, a następnie wróciła spojrzeniem do Luke'a. – Pamiętasz, jak nam mówił, że Powstanie to będzie nic, krótka walka, paru nieuzbrojonych ambasadorów przeciwko całej potędze Kręgu. Byłam taka pewna naszego szybkiego zwycięstwa, że kiedy pojechałam do Alicante, zostawiłam Aleca w domu w kołysce. Poprosiłam Jocelyn, żeby przypilnowała moich dzieci, kiedy mnie nie będzie. Odmówiła. Teraz rozumiem dlaczego. Ona wiedziała. Ty też, ale nas nie ostrzegłeś.

Próbowałam was ostrzec przed Valentine'em – oświadczył Luke. – Nie chcieliście mnie słuchać.

Nie chodzi mi o Valentine'a, tylko o Powstanie! Gdy przybyliśmy na miejsce, okazało się, że jest nas pięćdziesięcioro przeciwko pięciu tysiącom Podziemnych...

A kiedy myślałaś, że będzie ich tylko pięciu, byłaś gotowa wyróżnić ich nieuzbrojonych – przypomniał Lukę spokojnie.

Maryse zacisnęła dłonie spoczywające na biurku.

To na nas dokonano rzezi – powiedziała. – Szukaliśmy Valentine'a, żeby nami dowodził, ale jego tam nie było. Tymczasem Clave otoczyło Salę Anioła. Myśleliśmy, że Valentine ostał

zabity, byliśmy gotowi oddać życie w ostatecznym desperackim zryw. I wtedy przypomniałam sobie o Alecu. Gdybym zginęła, co by się stało z moim synkiem? – Jej głos się załamał. – Tak więc złożyłam broń i poddałam się Clave.

Postąpiłaś słusznie – zapewnił ją Lukę. Maryse spojrzała na niego płonąącym wzrokiem.

Nie bądź protekcyjny, wilkołaku. Gdyby nie ty...

Niech pani na niego nie krzyczy! – wtrąciła się Clary, niemal wstając z krzesła. – To pani wina, że uwierzyła pani Valentine'owi...

– Myślisz, że tego nie wiem? – Do głosu Maryse wkradł się ton znużenia. – Clave wyraźnie dało nam to do zrozumienia, kiedy nas przesłuchiwało. Mieli Miecz Dusz i wiedzieli, kiedy kłamiemy, ale nie potrafili zmusić nas do mówienia. Nic nie mogło nas zmusić do mówienia, aż...

– Aż co? – spytał Lukę. – Zawsze się zastanawiałem, co takie go wam powiedzieli, że obróciliście się przeciwko niemu.

Tylko prawdę – odparła Maryse, nagle zmęczona. – Że Valentine nie zginął w Sali Anioła. Uciekł i zostawił nas, żebyśmy zginęli bez niego. Powiedziano nam, że później spłonął w swoim domu. Inkwizytor pokazał nam jego kości. Oczywiście to było kolejne oszustwo... – Urwała, a po chwili podjęła rzeczowym tonem: – Do tej pory i tak wszystko się skończyło. Wreszcie zaczęliśmy ze sobą rozmawiać, my z Kręgu. Przed bitwą Valentine odciągnął mnie na bok i powiedział, że mnie ufa najbardziej z całego Kręgu, że jestem jego prawą ręką. Kiedy Clave nas przesłuchiwało, okazało się, że to samo powiedział wszystkim.

– Nie zna piekło straszliwszej furii... – mruknął Jace tak cicho, że usłyszała go tylko Clary.

Okłamał nie tylko Clave, ale również nas. Wykorzystał naszą lojalność i uczucia. Podobnie jak wtedy, gdy przysłał cię do nas – powiedziała Maryse, patrząc na Jace'a. – A teraz wrócił i ma Kielich Anioła. Planował to od lat, przez cały czas. Nie mogę pozwolić sobie na to, żeby ci zaufać, Jace. Przykro mi.

Jace nic nie odpowiedział. Jego twarz pozostała bez wyrazu, ale jeszcze bardziej zbladł. Świeże siniaki wyraźnie odznaczały się zielenią na jego szczęce i policzku.

Więc czego od niego oczekujesz? – zapytał Lukę. – Dokąd ma pójść?

Pani Lightwood zerknęła na Clary. Może do swojej siostry? Rodzina...

Siostrą Jace'a jest Isabelle – przerwała jej Clary. – Alec i Max są jego braćmi. Co im pani powie? Znienawidzą panią, jeśli wyrzucicie Jace'a z domu.

Maryse zmierzyła ją wzrokiem. A co ty o tym wiesz?

Znam Aleca i Isabelle – odparła Clary. Przez głowę przemknęła jej myśl o Valentine, ale ją odepchnęła. – Rodzina to coś więcej niż więzy krwi. Valentine nie jest moim ojcem. Jest nim Luke. Podobnie jak Alec, Max i Isabelle są rodziną Jace'a. Jeśli spróbuje pani wyrwać go z waszej rodziny, pozostanie rana, która nigdy się nie zagoi.

Luke patrzył na nią z lekkim zdziwieniem, ale i z szacunkiem. W oczach Maryse ukazał się błysk... niepewności?

Clary, wystarczy – odezwał się cicho Jace. Sprawiał wrażenie pokonanego.

Clary odwróciła się do pani Lightwood. A co z Mieczem? – zapytała. Maryse patrzyła na nią przez chwilę ze szczerym zdumieniem.

Mieczem?

Mieczem Dusz – wyjaśniła Clary. – Tym, którego używacie, żeby stwierdzić, czy Nocny Łowca kłamie. Możecie sprawdzić nim Jace'a.

To dobry pomysł. – W głosie Jace'a pojawiła się nuta ożywienia.

Clary, chcesz dobrze, ale nie wiesz, co to oznacza – wtrącił się Luke. – Miecza może używać tylko Inkwizytor. Jace usiadł prosto na krześle.

Więc ją wezwijcie. Wezwijcie Inkwizytorkę. Chcę zakończyć tę sprawę.

– Nie – powiedział Luke. Pani Lightwood spojrzała na Jace'a.

– Inkwizytorka już jest w drodze...

Maryse! – Głos Luke'a się załamał. – Powiedz, że jej nic wezwałeś!

Nie wezwałam! Myślałeś, że Clave nie zainteresuje się samo szalonymi historiami o Wyklętych, Bramach i upozorowanych zgonach? Po tym, co zrobił Hodge? Wszyscy jesteśmy teraz objęci śledztwem, dzięki Valentine'owi. – Popatrzyła na bladego i zaskoczonego wychowanka. – Inkwizytorka może wtrącić Jace'a do więzienia. Może pozbawić go Znaków. Pomyślałam, że byłoby lepiej...

Gdyby Jace zniknął, zanim ona tu przybędzie – dokończył Luke. – Nic dziwnego, że tak szybko chciałaś się go pozbyc.

Kim jest Inkwizytorka? – spytała Clary. Słowo kojarzyło się jej z hiszpańską inkwizycją, torturami i stosami. – Czym się, zajmuje?

W imieniu Clave prowadzi śledztwa w sprawach związanych z Nocnymi Łowcami – wyjaśnił Luke. – Dba o to, żeby Nefilim nie łamali prawa. Przesłuchiwała wszystkich członków Kręgu po Powstaniu.

Rzuciła klątwę na Hodge'a? – spytał Jace. – Zesłała was tutaj?

Wybrała miej sce naszego wygnania i karę dla niego. Nie kochała nas i nienawidzi twojego ojca.

Nigdzie nie idę – oświadczył Jace, nadal bardzo blady. – Co zrobi Inkwizytorka, jeśli tutaj dotrze, a mnie nie będzie?

Pomyśli, że uknułicie spisek, żeby mnie ukryć. Ukarze was Ciebie, Aleca, Isabelle i Maksa.

Panii Lightwood nic nie odpowiedziała.

Maryse, nie bądź głupia – odezwał się Luke. – Jeśli pozwolisz Jace'owi odejść, ona cię o to obwini. Zatrzymując go tutaj i pozwalając na proces Miecza, wykażesz się dobrą wolą.

Chyba nie mówisz poważnie, Luke! – wykrzyknęła Clary. Użycie Miecza to był jej pomysł, ale teraz zaczynała żałować, że i min wyskoczyła. – Ona wygląda mi na groźną.

Ale jeśli Jace odejdzie, może nigdy nie wrócić – zauważył Luke. – Już nigdy nie będzie Nocnym Łowcą. Podoba ci się to czy nie, Inkwizytorka pilnuje przestrzegania Prawa. Jeśli Jace chce zostać częścią Clave, musi z nią współpracować. Ma po swojej stronie to, czego nie mieli po Powstaniu członkowie Kręgu.

Co takiego? – zapytała Maryse.

Luke uśmiechnął się słabo.

W przeciwieństwie do was, Jace mówi prawdę.

Maryse wzięła głęboki wdech i zwróciła się do przybranego syna.

To twoja decyzja – orzekła. – Jeśli chcesz procesu, możesz tu zostać, dopóki nie przybędzie Inkwizytorka.

Zostanę – postanowił Jace.

Jego głos zabrzmiał twardo, a nie gniewnie, co zaskoczyło Clary. Patrzył gdzieś poza przybraną matkę, a w jego oczach jaśniał blask, jakby odbitego ognia. W tym momencie wydawał się bardzo podobny do ojca.

Kukułka w gnieździe

Sok pomarańczowy, melasa, jajka z terminem przydatności, który minął parę tygodni temu i... coś, co wygląda na sałaty.

Sałate? – Clary zajrzała do lodówki ponad ramieniem przyjaciela. – A, to mozzarella. Simon zamknął kopniakiem drzwi lodówki.

– Zamówić pizzę? – spytał.

Już to zrobiłem – powiedział Luke, wchodząc do kuchni z bezprzewodowym telefonem w ręce. – Jedna duża wegetariańska i trzy kole. Dzwoniłem do szpitala. U Jocelyn bez zmian.

Aha – mruknęła Clary.

Siedziała przy drewnianym stole w jego kuchni. Odkąd znała Luke'a, zawsze panował tu porządek, ale w tym momencie na blacie leżała nie otwarta poczta, a obok stały stopy brudnych talerzy. Na oparciu krzesła wisiał zielony worek. Clary wiedziała, że powinna pomóc w sprzątaniu, ale ostatnio nie miała energii. Kuchnia była mała i trochę zapuszczona nawet w najlepszych czasach. Luke nie przepadał za gotowaniem. Półka na przyprawy wisząca nad staromodną kuchenką gazową służyła mu do przechowywania puszek z kawą i herbatą.

Luke sprzątnął ze stołu brudne talerze i wstawił je do zlewu, Simon usiadł obok niej i zapytał cicho:

Wszystko w porządku?

Tak – Clary zdobyła się na uśmiech. – Nie oczekiwałam, że dzisiaj się obudzi. Mam wrażenie, że ona... na coś czeka.

Wiesz na co?

Nie. Po prostu czegoś brakuje. – Spojrzała na Luke'a, ale on był zajęty zmywaniem naczyń. – Albo kogoś.

Przyjaciel spojrzał na nią pytająco, a potem wzruszył ramionami.

Coś mi się zdaje, że spotkanie w Instytucie było dość przykre.

Clary zadrżała,

Mama Aleca i Isabelle jest straszna.

Jak ma na imię?

May– ris – odparła Clary, naśladując wymowę Luke’a.

To stare imię Nocnych Łowców – powiedział Lukę, wycierając rece w ścierkę.

Jace postanowił zostać i stanąć przed Inkwizytorem? Nie wolał odejść? – zapytał Simon.

Musi to zrobić, jeśli chce pozostać Nocnym Łowcą – wyjaśnił Lukę. – A bycie Nefilim jest dla niego wszystkim. Znałem w Idrisie podobnych do niego. Gdyby mu to zabrać...

W tym momencie zabrzączał dzwonek. Lukę rzucił ścierkę.

Zaraz wracam.

Gdy tylko wyszedł z kuchni, Simon powiedział:

– Nie mogę oswoić się z myślą, że Lukę kiedyś był Nocnym Łowcą. Fakt, że jest wilkołakiem, aż tak bardzo mnie nie dziwi.

– Naprawdę? Dlaczego? Simon wzruszył ramionami.

O wilkołakach słyszałem wcześniej. To coś znanego. Luke zmienia się w wilka raz w miesiącu, i w porządku. Ale Nocny Łowca... kojarzy mi się raczej z jakimś kultem.

– Wcale nie.

– Właśnie, że tak. Nocne polowania są całym ich życiem, Patrzą z góry na wszystkich innych, nazywają nas Przyziemnymi, zupełnie jakby sami nie byli ludzkimi istotami. Nie przyjaźnij się ze zwykłymi śmiertelnikami, nie chodzą w te same miejsca, uważają, że są lepsi od nas. – Simon wyciągnął przed siebie i zaczął skubać postrzępiony brzeg dziury na kolanie dzinsów. Dzisiaj poznałem innego wilkołaka.

Nie mów mi, że zaprzyjaźniłeś się z Pete’em z „Księżym Łowcy”. – Clary poczuła nieprzyjemne ściskanie w żołądku.

Nie. To dziewczyna. Mniej więcej w naszym wieku. Ma na imię Maia.

– Maia? – Lukę wrócił do kuchni z pizzą.

Położył kartonowe pudełko na stole, a Clary je otworzyła, Zapach gorącego ciasta, sosu pomidorowego i sera uświadomił jej, jak bardzo jest głodna. Oderwała kawałek,

nie czekając, aż Lukę podsunie jej talerz. Usiadł, potrząsając głową i szeroko się, uśmiechając.

Maia należy do stada, tak? – zapytał Simon, biorąc kawałek pizzy.

Tak. To dobry dzieciak. Przychodziła doglądać księgarni, kiedy byłem w szpitalu. Pozwala, żebym płacił jej książkami.

Krucho u ciebie z pieniędzmi? – domyślił się Simon.

Lukę – wzruszył ramionami.

Pieniądze nigdy nie były dla mnie ważne, a stado dba o swoich.

Mama zawsze mówiła, że kiedy zabraknie nam pieniędzy, sprzeda jedną z akcji mojego taty – powiedziała Clary. – Ale ponieważ facet, którego uważałam za ojca, nie był moim ojcem, a wątpię, czy Valentine ma jakieś akcje...

Twój a matka wyprzedawała swoją biżuterię – przerwał jej – Valentine dał jej trochę rodzinnych klejnotów, które od pokoleń należały do Morgensternów. Nawet za drobiazg można było dostać wysoką cenę na aukcji. – Westchnął. – Teraz wszystko przepadło... chyba że Valentine uratował je z waszego zniszczonego mieszkania.

Cóż, mam nadzieję, że wyprzedawanie jego skarbów sprawiło jej trochę satysfakcji – rzucił Simon, biorąc trzeci kawałek pizzy.

Zadziwiająco, pomyślała Clary, ile są w stanie zjeść nastoletni chłopcy, nie tyjąc ani nie dostając mdłości.

Musiałeś dziwnie się poczuć, kiedy zobaczyłeś Maryse Lightwood po takim długim czasie – zwróciła się do Lukę'a.

Właściwie nie. Maryse aż tak się nie zmieniła. Prawdę mówiąc, jest bardziej sobą niż kiedykolwiek, jeśli to ma sens.

Rzeczywiście, Maryse Lightwood wyglądała bardzo podobnie jak na zdjęciu, które pokazał jej Hodge: smukła, ciemnowłosa dziewczyna z dumnie uniesioną głową.

A ona? – zapytała Clary. – Naprawdę mieli nadzieję, że nie żyjesz?

Luke się uśmiechnął.

Może nie tyle z nienawiści, ile z wygody, byłoby dla nich mniej kłopotliwe, gdybym naprawdę umarł. A ja nie tylko żyję, ale przewodzę śródmiejskiemu stadu. Tego się nie spodziewali. Starają się zachować pokój między Podziemnymi, bo tym polega ich praca, a tutaj zjawiam się ja i w dodatku mam wiele powodów, żeby pragnąć zemsty. Jestem dla nich niewiadomą.

– A jesteś? – zapytał Simon. Pizza się skończyła, więc sięgnął po jeden z brzegów zostawionych przez Clary. Wiedział, że ich nie lubi. – To znaczy niewiadomą.

– Wprost przeciwnie. Jestem solidnym, przewidywalnym człowiekiem w średnim wieku.

– Tyle że raz w miesiącu zmieniasz się w wilka i polujesz na różne stworzenia – zauważyła Clary.

Mogło być gorzej – skwitował Luke. – Mężczyźni w moim wieku są znani z tego, że kupują drogie sportowe samochody i śpią z supermodelkami.

– Masz dopiero trzydzieści osiem lat – zaprotestował Simon. – To nie jest średni wiek.

– Dziękuję, Simonie. Jestem ci wdzięczny. – Luke otworzył pudełko z pizzą, zobaczył, że jest puste, i zamknął je z westchnieniem. – Choć zjadłeś całą pizzę.

– Tylko pięć kawałków – obruszył się Simon, balansując niebezpiecznie na dwóch nogach krzesła.

A jak myślisz, ile kawałków ma pizza, idioto? – warknęła Clary.

Mniej niż pięć to nie posiłek, tylko przekąska. – Simon spojrzał z obawą na Luke'a. – Czy to oznacza, że zmienisz się w wilka i mnie zjesz?

– Z pewnością nie. – Luke wstał od stołu i wyrzucił pudełko do śmieci. – Byłbyś żyłasty i twardy.

Ale koszerny.

Z pewnością napomknę o tobie żydowskim likantropom. – Luke oparł się o zlew. – Odpowiadając na twoje wcześniejsze pytanie, Clary, spotkanie z Maryse Lightwood rzeczywiście było dziwne, ale nie ze względu na nią, tylko na otoczenie. Instytut za bardzo przypomina mi Salę Anioła w Idrisie. Czułem wokół siebie noc runów Szarej Księgi po piętnastu latach prób zapomniałem o nich. Naprawdę udało ci się je zapomnieć? Są rzeczy, których nigdy się nie zapomina. Runy w Księdze to coś więcej niż ilustracje. One stają się częścią ciebie. Nigdy nie przestaje się być Nocnym Łowcą. To dar, który ma się we krwi, nie można go zmienić, tak jak nie zmienisz swojej grupy krwi.

Zastanawiałam się, czy sama nie mogłabym otrzymać Znaków.

Simon odłożył brzeg pizzy na stół. Cyba żartujesz.

Nie dlaczego miałabym żartować w takiej sprawie? I dlaczego nie miałabym dostać Znaków? Jestem Nocnym Łowcą. Przyda mi się ochrona, którą zapewniamą.

Ochrona przed czym? – Simon pochylił się nad stołem, przednie nogi krzesła ze stukiem opadły na podłogę.

– Myślałem, że już skończyłaś z zabawą w Nocnych Łowców. Myślałem, że starasz się prowadzić normalne życie.

Nie jestem pewien, czy istnieje coś takiego jak normalne – rzekł Lukę łagodnym tonem. Clary spojrzała na swoje ramię, na którym Jace narysował jej jedyny znak. Pozostała po nim biała koronkowa siateczka, bardziej wspomnienie niż blizna.

Jasne że chcę uciec od całej tej dziwaczności. Ale co będzie, jeśli ona mnie dopadnie? Jeśli nie będę miała wyboru?

– A może wcale nie chcesz od niej uciec – powiedział Simon. – W każdym razie, dopóki jest w nią zamieszany Lukę odchrząknął.

– Większość Nefilim przechodzi szkolenie, zanim dostanie Znaki. Nie polecałbym ich, póki nie zdobędziesz podstawowej wiedzy. Ale, oczywiście, to zależy od ciebie. Jest jednak coś co powinnaś mieć. Co powinien mieć każdy Nocny Łowca.

Wyniosła, arogancką postawę? – wtrącił Simon. Stelę. Każdy Nocny Łowca powinien mieć stelę.

– A ty masz? – spytała Clary, zaskoczona.

Lukę bez słowa wyszedł z kuchni. Wrócił po chwili, trzymając w ręce jakiś przedmiot owinięty w czarną tkaninę. Położył go na stole i rozwinął materiał, odsłaniając narzędzie podobne do różdżki, zrobione z jasnego, matowego kryształu.

Ładna – powiedziała Clary.

– Cieszę się, że tak uważasz, bo chcę, żebyś ją wzięła.

– Ja? – Clary popatrzyła na niego zdumiona. – Ale przecież jest twoja, prawda?

Lukę pokręcił głową.

– Należała do twojej matki. Jocelyn nie chciała trzymać steli w mieszkaniu, żebyś jej nie znalazła, więc poprosiła mnie, żebym ją przechował.

Clary wzięła stelę do ręki. Początkowo chłodna w dotyku używana rozgrzewała się i zaczynała jaśnieć. Była za krótka, żeby służyć jako broń, i za długa, żeby można się nią posługiwać jak przyborem do pisania. Naprawdę mogę ją zatrzymać?

– Jasne. To oczywiście stary model, prawie dwudziestoletni. Od tamtej pory je ulepszyli, ale nadal można na niej polegać.

Clary uniosła stelę jak batutę dyrygenta i nakreśliła w powietrzu widzialne wzory.

Pamiętam, jak dziadek dawał mi stare kije golfowe – odezwał się Simon.

Clary się roześmiała i opuściła rękę. Tylko że ty ich nigdy nie używałaś. A ja mam nadzieję, że ty nigdy nie będziesz musiała użyć tego – rzucił Simon. I szybko odwrócił wzrok, zanim zdążyła coś powiedzieć.

Dym unosił się ze Znaków czarnymi spiralami, a on czuł dławiący zapach własnej spalonej skóry. Ojciec stał nad nim ze stelą. Jej czubek jarzył się czerwono jak koniec pogrzebacza zbyt długo trzymanego w ogniu. „ Zamknij oczy, Jonathanie ” – powiedział. „ Tylko od ciebie zależy, jak silny poczujesz ból”. Ale jego dłoń sama się zwinęła, odruchowo, jakby uciekała przed stelą. Jace usłyszał trzask, jakby w rękę złamała mu się kość, potem następny...

Otworzył oczy i zamrugał w ciemności. Głos ojca oddalał się niczym unoszony przez wiatr. Jace poczuł na języku metaliczny smak. Przygryzł wargę i usiadł, krzywiąc się.

Trzask rozległ się znowu. Jace mimo woli spojrział w dół na swoją rękę. Nie było na niej żadnego śladu. Uświadomił sobie, że dźwięk dochodzi z zewnątrz. Ktoś pukał – z wahaniem – drzwi.

stoczył się z łóżka i zadrzał, kiedy bosymi stopami dotknął zimnej podłogi. Spał w ubraniu. Spojrział z odrazą na pogniecioną koszulę. Pewnie nadal cuchnął wilkiem. I był cały obolały.

Pukanie rozległo się znowu. Jace przeszedł przez pokój i otworzył drzwi. Zrobił zaskoczoną minę. Alec?

– Przepraszani, że tak późno. – Alec nieśmiało wzruszył ramionami, trzymając ręce w kieszeni dzinsów. – Mama mnie po ciebie przysłała. Czeka w bibliotece.

– Która godzina?

– Prawie północ.

Więc co tutaj robisz, do diabła? Nie mogłem zasnąć. – Wyglądało na to, że mówi prawdy. Jego niebieskie oczy były podkrążone. Jace przeczesał dłonią zmierzwione włosy.

Dobrze, poczekaj chwilę, to się przebiorę.

Ruszył do szafy, przejrzał stopy starannie złożonych ubrań, aż znalazł granatowy T– shirt z długimi rękawami. Ostrożnie zdjął koszulę. Przywarła do skóry w miejscach, gdzie zaschła krew. Alec odwrócił wzrok.

– Co ci się stało? – zapytał dziwnie zdławionym głosem.

Wdałem się w bójkę ze stadem wilkołaków. – Jace wciągnął T-shirt przez głowę i wyszedł na korytarz. – Masz coś na szyi. Alec odruchowo uniósł rękę. Co?

– Wygląda jak ślad po ugryzieniu. Co robiłeś przez całą noc?

– Nic. – Alec, czerwony jak burak, ruszył przed siebie, dotykając ręką szyi. – Spacerowałem w parku. Chciałem oczyścić umysł.

– I natknąłeś się na wampira? Co? Nie! Upadłem.

– Na szyję? – Gdy Alec prychnął, Jace doszedł do wniosku, że lepiej zostawić go w spokoju. – Mniejsza o to. W jakiej kwestii próbowałeś rozjaśnić sobie w głowie?

Twojej. Moich rodziców. Matka wytłumaczyła mi, dlaczego była taka zła po tym, jak zniknąłeś. I powiedziała mi o Hodge'u. A tak przy okazji, dzięki, że nawet się o tym nie zająknąłeś.

Przepraszam. – Teraz z kolei Jace się zarumienił. – Nie potrafiłem się do tego zmusić.

Cóż, sytuacja nie wygląda dobrze. – Alec spojrzał na niego oskarżycielsko. – Zdaje się, że ukrywałeś różne rzeczy. Na temat Valentine'a.

Jace zatrzymał się raptownie. Myślisz, że kłamałem? Uważasz, że wiedziałem, że Valentine jest moim ojcem?

Nie! – Alec wyglądał na przestraszonego jego gwałtownością. – Nie obchodzi mnie, kto jest twoim ojcem. Dla mnie to nie ma znaczenia. Nadal jesteś tą samą osobą.

Kimkolwiek jestem. – Te słowa wyrwały się z ust Jace'a, zanim zdołał je powstrzymać.

Właśnie to mówię. – Ton Aleca był pojednawczy. – Może bywasz.... porywczy. Po prostu się zastanów, zanim coś powiesz, tylko o to cię proszę. Nikt tutaj nie jest twoim wrogiem.

Dzięki za radę. Sam trafię do biblioteki.

Jace...

Ale on już ruszył dalej, zostawiając Aleca. Nie znosił, kiedy ludzie się o niego martwili. Wydawało mu się wtedy, że rzeczywiście istnieje powód do zmartwienia.

Drzwi biblioteki były uchylone. Nie zadając sobie trudu, żeby zapukać, Jace wszedł do środka. Zawsze lubił ten pokój. Kojąco działało na niego połączenie drewna, mosiężnych elementów, książek oprawionych w skórę i aksamit, które jak starzy przyjaciele czekały na jego powrót. Teraz poczuł chłodny przeciąg.

Zamiast ognia, który zwykle płonął w wielkim kominku przez całą jesień i zimę, ujrzał stos popiołu. Lampy były zgaszone. Jedyne światło wpadało przez wąskie, żaluzjowe okna i świetlik na wieży.

Jace, chcąc nie chcąc, pomyślał o Hodge'u. Gdyby nauczyciel tutaj był, ogień by się palił, lampy gazowe rzucałyby plamy złotego światła na parkiet. Hodge siedziałby w fotelu przy kominku, z Hugonem na ramieniu i książką w ręce...

Ale w starym fotelu Hodge'a siedział ktoś inny. Chudy i siwy. Ten ktoś wstał płynnym ruchem, rozwijając się jak kobra, i odwrócił do niego z zimnym uśmiechem.

To była kobieta, ubrana w długą, staromodną, ciemnoszarą szatę, sięgającą do czubków butów. Pod nią nieznajoma miała dopasowany szaroniebieski kostium z mandaryńskim kołnierzem, którego sztywne końce wpijały się jej w szyję. Spłowiałe blond włosy były gładko zaczesane do tyłu i upięte grzebieniami; miała szare oczy, jak kawałki krzemienia.

Kiedy przesunęła po nim wzrokiem – od ubłoconych dżinsów po posiniaczoną twarz – i tam go zatrzymała, Jace odniósł wrażenie, że dotknęły go sople lodu.

W jej spojrzeniu pojawił się błysk, niczym uwięziony pod lodem ogień, ale zaraz zgasł.

Ty j esteś tym chłopcem?

Zanim Jace zdążył odpowiedzieć, od drzwi dobiegł głos Maryse, która weszła za nim do biblioteki. Nie słyszał jej kroków, bo zmieniła buty na obcasach na miękkie pantofle. Miała na sobie długą suknię z wzorzystego jedwabiu.

Tak, Inkwizytorko. To jest Jonathan Morgenstern.

Kobieta zbliżyła się do niego niczym dryfujący szary dym.

Wyciągnęła białą rękę o długich palcach. Ta dłoń skojarzyła się Jace'owi z pająkiem albinosem.

Spójrz na mnie, chłopcze – powiedziała. Ujęła go pod brodę i uniosła mu głowę. – Będiesz nazywał mnie Inkwizytorką. Nie waż się zwracać do mnie inaczej. – Skórę wokół jej oczu przecinał labirynt drobnych zmarszczek, od kącików ust do podbródka biegły dwie wąskie bruzdy. – Rozumiesz?

Przez całe życie Inkwizytorką była dla niego odległą, na pół mityczną postacią. Jej tożsamość i dużą część obowiązków otaczała tajemnica. Jace zawsze wyobrażał ją sobie jako jedną z Cichych Braci, z ich sekretami, niezależnością i mocą. Nie przypuszczał, że zobaczy

kogoś tak bezpośredniego i... wrogiego. Jej oczy jakby go przeszywały, obnażały do kości, krusząc zbroję jego pewności siebie i rozbawienia.

Mam na imię Jace, a nie chłopiec – powiedział. – Jace Wayland.

Nie masz prawa do nazwiska Wayland. Jesteś Jonathanem Morgensternem. Twierdząc, że nazywasz się Wayland, kłamiesz, tak jak twój ojciec.

Prawdę mówiąc, wolę myśleć, że jestem kłamcą jedynym w swoim rodzaju – odparował Jace.

Rozumiem. – Nikły uśmiezek wykrzywił blade usta kobiety. Nie był miły. – Nie znosisz autorytetów, tak jak twój ojciec. I jak anioł, którego nazwisko obaj nosicie. – Ścisnęła mu brodę z taką gwałtownością, że paznokcie wbiły się w skórę. – Lucyfer został nagrodzony za swój bunt, kiedy Bóg wtrącił go do otchłani piekielnej. – Jej oddech był kwaśny jak ocet.

Jeśli sprzeciwisz się mojej władzy, obiecuję, że pozazdrościsz mu losu.

Puściła go i odsunęła się o krok. Jace poczuł ciepłą strużkę na podbródku, gdzie zadrapała go paznokciami. Ręce trzęsły mu gniewu, ale nie unióśł ich, żeby wytrzeć krew.

Imogen... – zaczęła Maryse, ale zaraz się poprawiła: – Inkwizytorko Herondale, Jace zgodził się na próbę Miecza. Możesz się przekonać, czy mówi prawdę.

– O swoim ojcu? Tak, wiem, że mogę. – Sztywny kołnierz wpił się mocniej w szyję Herondale, kiedy się odwróciła, żeby spojrzeć na panią Lightwood. – Wiesz, że Clave nie jest zadowolony z ciebie i Roberta jako strażników Instytutu. Macie szczęście, że wasza kartoteka przez lata była w miarę czysta. Do niedawna tylko parę demonicznych incydentów, a przez kilka ostatnich dni panuje spokój. Żadnych meldunków, nawet z Idrisu, tak więc Clave jest wyrozumiały. Czasami zastanawialiśmy się, czy rzeczywiście wyrzekliście się lojalności wobec Valentine'a. On zastawił na was pułapkę, a wy w nią wpadliście. Można by przypuszczać, że znacie go lepiej.

Nie było żadnej pułapki – wtrącił się Jace. – Ojciec wiedział, że Lightwoodowie mnie wychowają, jeśli będą myśleli, że jestem synem Michaela Waylanda. To wszystko. Inkwizytorka popatrzyła na niego jak na, nie przymierzają, karalucha.

– Wiesz coś o kukułkach, Jonathanie Morgenstern?

Jace zastanawiał się, czy funkcja Inkwizytora – a nie mogło to być przyjemne zajęcie – nie sprawiła, że Imogen HerondaK trochę pomieszało się w głowie.

– Kukułki to pasożyty– mówiła dalej. – Składają jaja w gniazdach innych ptaków. Kiedy jajo pęka, świeżo wykluty pisklak wypycha rywali z gniazda. Biedni rodzice zaharowują się na śmierć, żeby wykarmić ogromne kukułcze pisklę, które zabiło ich dzieci i zajęło ich miejsce.

– Ogromne? Czyżby pani sugerowała, że jestem gruby?

– To była analogia.

Nie jestem gruby.

A ja nie chcę twojej litości, Imogen – odezwała się Maryse. – Nie wierzę, że Clave ukarze mnie albo mojego męża za to, że postanowiliśmy wychować syna zmarłego przyjaciela. Zresztą uprzedziliśmy was o naszych zamiarach.

A ja nigdy nie skrzywdziłem żadnego z Lightwoodów – oświadczył Jace. – Pracowałem ciężko i pilnie trenowałem. Możecie mówić o moim ojcu, co chcecie, ale to on zrobił ze mnie Nocnego Łowcę. Zasłużyłem na swoje miejsce tutaj.

Nie broń przede mną ojca– ostrzegła Inkwizytorka. – Znałam go. On był... jest najnikczemniejszym ze wszystkich ludzi na świecie.

Najnikczemniejszym? Kto mówi „nikczemny”? Co to w ogóle znaczy?

Bezbarwne rzęsy Inkwizytorki musnęły policzki, kiedy zmrużyła oczy. Przez chwilę patrzyła na niego taksujące.

Jesteś arogancki – stwierdziła w końcu. – I nietolerancyjny. To ojciec nauczył cię takiego zachowania?

Nie wobec niego – odparł krótko Jace.

Zatem małpujesz go. Valentine był jednym z najbardziej aroganckich i niegrzecznych ludzi, jakich znałam. Najwyraźniej wychował cię na swoje podobieństwo.

Tak. – Jace nie zdołał się powstrzymać. – Od najmłodszych lat szkolił mnie jak być złym. Wyrwanie skrzydełek muchom, zatrucie wody... robiłem to w już przedszkolu. Chyba wszyscy mieliśmy szczęście, że ojciec zainscenizował własną śmierć, zanim doszło do nauki gwałcenia i grabieży, bo inaczej nikt nie byłby bezpieczny. Z gardła Maryse wyrwał się odgłos podobny do jęku.

Jace...

– I podobnie jak twój ojciec nie umiesz się pohamować – przerwała jej Inkwizytorka. – Lightwoodowie tak cię rozpuścili, że do głosu doszły twoje najgorsze cechy. Może masz wygląd aniołka, Jonathanie Morgenstern, ale sam dobrze wiesz, jaki jesteś.

To tylko chłopiec – odezwała się Maryse. Czyżby go broniła? Jace na nią zerknął, ale ona odwróciła wzrok.

– Valentine też kiedyś był tylko chłopcem. A teraz, nim zaczniemy grzebać w tej blond głowie, żeby odkryć prawdę, proponuję, żebyś poskromił swój temperament. I wiem, gdzie najlepiej sobie z tym poradzisz.

Jace zamrugał.

– Odsyła mnie pani do mojego pokoju?

Posyłam cię do więzienia w Cichym Mieście. Sądzę, że po spędzonej tam nocy będziesz bardziej skłonny do współpracy.

Maryse głośno wciągnęła powietrze.

– Imogen... nie możesz!

– Oczywiście, że mogę. – Oczy Inkwizytorki błysnęły niczym dwie brzytwy. – Masz mi coś do powiedzenia, Jonathanie?

Jace był w stanie tylko się na nią gapić. Ciche Miasto miało wiele poziomów, a on widział dotąd pierwsze dwa. Archiwum i miejsce posiedzeń rady Braci. Więzienne cele znajdowały się na najniższym poziomie, pod cmentarzyskiem, gdzie spoczywały w ciszy tysiące Nocnych Łowców. Lochy były przeznaczone dla najgorszych przestępców: zbuntowanych wampirów, czarowników, którzy złamali Prawo Przymierza, Nocnych Łowców, którzy przelali nawzajem swoją krew. Jace nie należał do żadnej z tych kategorii. Jak ona w ogóle mogła straszyć, że go tam pošle?

– Bardzo mądrze, Jonathanie. Widzę, że przyswoiłeś najlepszą lekcję, jakiej mogło ci udzielić Ciche Miasto. – Uśmiech nadał jej twarzy wygląd wyszczerzonej trupiej czaszki. – Jak trzymać język za zębami.

Clary pomagała Luke'owi sprzątnąć resztki kolacji, kiedy znowu rozległ się dźwięk dzwonka.

Spodziewasz się kogoś? – zapytała. Luke zmarszczył brwi i wytarł ręce w ścierkę.

Nie. Zaczekaj tutaj. – Po drodze wziął coś z kuchennej półki. Coś błyszczącego.

Widziałaś ten nóż? – Simon zagwizdał, wstając od stołu. – Spodziewa się kłopotów?

Myślę, że ostatnio cały czas spodziewa się kłopotów – odparła Clary.

Wyjrzała z kuchni i zobaczyła Luke'a w otwartych frontowych drzwiach. Słyszała jego głos, ale nie odróżniała słów. Nie sprawiał jednak wrażenia zdenerwowanego.

Simon położył dłoń na jej ramieniu i odciągnął ją od drzwi.

Oszalałaś? A j eśli to j akis demon? Wtedy Lukę pewnie będzie potrzebował pomocy. – Z uśmiechem spojrzała na jego rękę. – Jesteś opiekuńczy? Urocze.

Clary! – zawołał Lukę. – Chodź tutaj. Chcę, żebyś kogoś poznała.

Poklepała Simona po dłoni i zdjęła ją ze swojego ramienia. Zaraz wracam.

Lukę miał ręce skrzyżowane na piersi i opierał się o framugę. Nóż zniknął w magiczny sposób. Na frontowych stopniach domu stała dziewczyna o kręconych kasztanowych włosach, zaplecionych w liczne warkoczki, ubrana w jasnobrązową sztruksową kurtkę.

– To j est Maia – przedstawił j ą Lukę. – Właśnie o niej wam mówiłem.

Dziewczyna na nią spojrzała. Jej oczy w jasnym świetle dnia miały dziwny bursztynowy kolor.

Ty musisz być Clary – powiedziała, a kiedy zobaczyła skinienie głową, dodała:

Więc ten blondyn, który wtargnął di „Księżycy Łowcy”, to twój brat?

– Jace. – Clary nie podobało się wścibstwo tej dziewczyny.

– Maia? – Za plecami Clary stanął Simon z rękami wciśniętymi w kieszenie dżinsów.

Tak. A ty j esteś Simon, prawda? Mam kłopot z imionami, ale ciebie pamiętam. – Dziewczyna posłała mu uśmiech.

Świetnie – powiedziała Clary. – Więc teraz wszyscy jesteśmy przyjaciółmi.

Lukę wyprostował się i zakaszłał.

– Chciałem, żebyście się poznali, bo Maia będzie pracować w księgarni przez kilka następnych tygodni – wyjaśnił. – Jeśli zobaczycie ją, jak wchodzi i wychodzi, nie martwcie się. Ma klucz.

– Będę mieć oko na wszystkie dziwne rzeczy – obiecała Maia. – Demony, wampiry, cokolwiek.

– Dzięki – rzuciła Clary. – Teraz czuję się bezpieczna.

Maia zamrugała. To sarkazm?

Wszyscy jesteśmy trochę spięci – odezwał się Simon. – Ja na przykład się cieszę, że ktoś będzie czuwał nad moją dziewczyną, kiedy zostanie sama w domu.

Lukę uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Simon ma rację – przyznała Clary. – Przepraszam, że na ciebie warknęłam.

Nie szkodzi. – Maia zrobiła współczującą minę. – Słyszałam o twojej mamie. Przykro mi. Mnie również.

Clary odwróciła się i poszła do kuchni. Usiadła przy stole i ukryła twarz w dłoniach. Chwilę później zjawił się Lukę.

Przepraszam – powiedział. – Chyba nie byłeś w nastroju, żeby kogoś poznawać.

Clary spojrzała na niego spomiędzy palców.

Gdzie Simon?

Rozmawia z Maia. Ja tylko pomyślałem, że dobrze by było, gdybyś miała przy sobie kogoś znajomego.

Mam Simona. Luke podsunął okulary na czoło.

Czyja dobrze usłyszałam, że nazwał cię swoją dziewczyną?

Clary roześmiała się na widok jego miny.

Chyba tak.

To coś nowego czy powinienem o tym wiedzieć, ale zapomniałem?

Dla mnie to też coś nowego. – Clary odsunęła ręce od twarzy i spojrzała na nie w zadumie. Pomyślała o Znaku, otwartym oku, które zdobiło wierzch prawej dłoni każdego Nocnego łowcy. – Czyjaś dziewczyna, czyjaś siostra, czyjaś córka. Do niedawna nie miałam o tym wszystkim pojęcia i nadal nie wiem tak naprawdę, kim jestem.

Odwieczny problem – stwierdził Lukę.

Clary usłyszała szczęknięcie drzwi frontowych, a potem kroki Simona. Wraz z nim do kuchni napłynął zapach chłodnej nocy.

Mogę tu dzisiaj przenocować? – zapytał. – Trochę późno, żeby wracać do domu.

Wiesz, że zawsze jesteś mile widziany. – Lukę spojrzał na zegarek. – Idę się przespać. Muszę wstać o piątej rano, żeby dojechać do szpitala na szóstą.

Dlaczego na szóstą? – zapytał Simon.

Wtedy zaczynają się godziny odwiedzin – wyj aśniła Clary. – Nie musisz spać na kanapie.

Nie mam nic przeciwko temu, żeby zostać i jutro dotrzymać ci towarzystwa – powiedział Simon, niecierpliwym gestem odgarniając z oczu ciemne włosy. – Zupełnie nic.

Wiem. Miałam na myśli to, że nie musisz spać na kanapie, jeśli nie chcesz.

Więc gdzie... – Jego oczy rozszerzyły się za okularami. – Aha.

W pokoju gościnnym jest podwójne łóżko.

Simon wyjął rękę z kieszeni. Na jego policzki wystąpiły jaskrawe rumieńce. Jace siliłby się na spokój, on nawet tego nic próbował.

Jesteś pewna?

Jestem pewna.

Przeszedł przez kuchnię, nachylił się i pocałował ją w usta, lekko i niezdarnie. Clary uśmiechnęła się i wstała z krzesła.

Dość tych kuchni – powiedziała. – Idziemy.

Wzięła go za nadgarstki i pociągnęła za sobą w stronę pokoju gościnnego, w którym od jakiegoś czasu sypiała.

Grzechy ojców

Jace jeszcze nigdy nie przebywał w tak głębokiej ciemności, jaka panowała w więzieniu w Cichym Mieście. Nie widział podłogi ani sufitu swojej celi. Nie widział nawet własnej dłoni, choć trzymał ją przed oczami. Pamiętał tylko to, co zobaczył w blasku pochodni, kiedy Cisi Bracia zaprowadzili go do lochu, otworzyli zakratowane drzwi i wepchnęli do środka jak zwykłego przestępcę.

Z drugiej strony, prawdopodobnie uważali go za kogoś takiego.

Wiedział, że cela ma podłogę z kamiennych płyt, że trzy ściany są wyciosane w skale, a czwartą tworzą gęsto rozmieszczone pręty z elektrum, osadzone głęboko w kamieniu. Wiedział również, że wzdłuż zachodniej ściany biegnie długi metalowy drąg, bo Cisi Bracia przykuli go do niego srebrnymi kajdanami. Mógł przejść po celi zaledwie kilka kroków, grzechocząc łańcuchem jak duch Marleya. Już zdążył sobie otrzeć prawy nadgarstek, kiedy bezmyślnie próbował się uwolnić, szarpiąc okowami. Dobrze chociaż, że był leworęczny. To, co prawda, nie miało zbyt dużego znaczenia, ale świadomość, że sprawniejszą rękę ma wolną, dodawała mu otuchy.

Zaczął kolejny powolny spacer wzdłuż celi, wodząc palcami po ścianie. Denerwujące było to, że nie wiedział, która jest godzina. W Idrisie ojciec nauczył go oceniać porę po kącie padaniu promieni słonecznych, długości popołudniowych cieni, pozycji gwiazd na nocnym niebie. Ale tutaj nie było gwiazd. Aż zaczął się zastanawiać, czy w ogóle jeszcze kiedyś zobaczy niebo.

Zatrzymał się raptownie. Skąd w ogóle takie myśli? Oczywiście, że zobaczy niebo. Przecież Clave nie zamierza go zabić. Kara śmierci była zarezerwowana dla morderców. Nie opuszczał go jednak lęk, usadowiony tuż pod żebrami, dziwny jak nieoczekiwane ukłucie bólu. Jace nie był podatny na ataki paniki Alec twierdził, że przydałoby mu się trochę konstruktywnego tchórzostwa, ale strach nigdy nie miał dużego wpływu na jego postępowanie.

Przypomniał sobie słowa Maryse: „Ty nigdy nie bałeś się ciemności”.

To prawda. Obecny niepokój wydawał się nienaturalny, zupełnie do niego niepodobny. Musiało chodzić o coś więcej niż zwykłą ciemność. Jace wziął kolejny płytki wdech. Po prosi u

musiał przetrwać tę noc. Jedną noc. To wszystko. Zrobił następny krok. Łańcuch zagrzechotał złowrogo.

Nagle ciszę rozdarł jakiś dźwięk. Jace zamarł. Było to wysokie, przeraźliwe wycie, wyraz czystego, obłądnego przerażenia. Rozbrzmiewał jak przeciągły ton skrzypiec, narastający i coraz ostrzejszy, aż nagle ucichł.

Jace zaklął. Dzwoniło mu w uszach. Czuł w ustach gorycz metalu. Kto by pomyślał, że strach ma smak? Przycisnął plecy do ściany, nakazując sobie spokój.

Zawodzenie rozległo się znowu, tym razem głośniejsze, a potem kolejny krzyk i jeszcze jeden. Z góry dobiegł huk. Jace uchylił się odruchowo, zanim sobie przypomniał, że znajduje się kilka poziomów pod ziemią. Gdy usłyszał następny łoskot, w jego umyśle uformował się obraz: drzwi grobowca otwierają się gwałtownie, wychodzą z niego chwiejnie trupy nieżyjących od wieków Nocnych Łowców, szkielety ledwo trzymające się na i suchych ścięgnach wloką się po białych posadzkach Cichego Miasta, bezcielesne, kościste palce...

Dość! Odetchnął głęboko, przepędzając wizję. Zmarli nie wracają. A zresztą to były trupy Nefiim takich jak on, jego zabici bracia i siostry. Nie miał czego się obawiać z ich strony. Wiec skąd ta panika? Zacisnął pięści, aż paznokcie wbiły mu się w dłonie. Ogarnął go wstyd. Poradzi sobie z tym niegodnym strachem. Zdusi go w sobie. Wziął głęboki wdech i w tym momencie rozbrzmiał kolejny krzyk, bardzo głośny. Gwałtownie wypuścił powietrze z płuc, gdy coś huknęło bardzo blisko niego. Zobaczył błysk światła, gorący ognisty kwiat kłujący w oczy.

Przed nim stał brat Jeremiasz, w prawej ręce ściskający łuczywo. Kaptur miał zsunięty z głowy, twarz zastygła w groteskowym wyrazie przerażenia. Jego zaszyte usta były teraz szeroko otwarte w bezgłośnym krzyku, rozerwane szwy zwisały z pokaleczonych warg. Na jasnej szacie widniały plamy krwi, czarne w blasku płomienia. Archiwista zrobił kilka chwiejnych kroków do przodu, z wyciągniętymi rękami, i... runął twarzą na kamienną posadzkę. Jace usłyszał trzask pękających kości, pochodnia zaskwierczała i wytoczyła się z ręki Jeremiasza w stronę; płytkiej rynny wyciętej w podłodze tuż za zakratowanymi drzwiami celi.

Jace opadł na kolana i sięgnął najdalej, jak pozwalał mu łańcuch, ale nie mógł dosięgnąć pochodni. W jej szybko gasnącym świetle widział martwą twarz Jeremiasza odwróconą ku niemu, krew ciekącą z otwartych ust. Jego zęby były krzywymi, czarnymi pieńkami.

Jace miał wrażenie, jakby jego pierś przygniatał wielki ciężar. Cisi Bracia nigdy nie otwierali ust, nie mówili, nie śmiali się ani nie krzyczeli. Ale dźwięki, które niedawno słyszał,

były wrzasku mi ludzi, niewydających z siebie głosu od pół wieku, wyciem przerażenia potężniejszego od starożytnego Runu Milczenia. Jak to możliwe? I gdzie są pozostali Bracia? Jace chciał zawołać o pomoc, ale nie mógł nabrać dość po wietrzą, bo ogromne brzemień nadal przyciskało go do ziemi. Znowu sięgnął po pochodnię i poczuł, że pęka jedna z małych kostek w nadgarstku. Ból przeszył jego ramię, ale on sam zyskał dodatkowy cal, którego mu brakowało. Chwycił łuczywo i wstał.

Kiedy płomień ożył, Jace usłyszał inny odgłos. Bardzo nieprzyjemny, mokry dźwięk, jakby coś pełzło w jego stronę. Włoski zjeżyły mu się na karku, ostre jak igiełki. Wyciągnął przed siebie pochodnię. Ręka tak mu się trzęsła, że światło tańczyło po ścianach, rozjaśniając mroczne kąty. Niczego tam nie było.

Jednakże zamiast ulgi poczuł jeszcze większy strach. Łapał powietrze wielkimi haustami, jakby wyskoczył spod wody. Przerażenie było tym gorsze, że do tej pory nie znał tego uczucia. Co się z nim działo? Czyżby nagle stał się tchórzem?

Szarpnął mocno kajdany, w nadziei że ból rozjaśni mu w głowie. Nie rozjaśnił. Znowu usłyszał ten odgłos, teraz całkiem blisko, ale teraz towarzyszył mu inny, złowrogi dźwięk, podobny do cichego, stałego szeptu. Niemal oszalały ze strachu cofnął się chwiejnie pod ścianę i drżącą ręką uniósł pochodnię.

Na chwilę zrobiło się jasno jak w dzień, a on zobaczył całą celę, kraty, nagie kamienne płyty, ciało Jeremiasza skulone na podłodze. Drzwi, obok których leżał martwy archiwista, otworzyły się powoli i zaczęło się przez nie gramolić coś ogromnego czarnego i bezkształtnego. Oczy jak płonący lód, osadzone głęboko w ciemnych fałdach skóry, z groźnym rozbawieniem spojrzały na więźnia. Potem stwór skoczył. Tuż przed Jace'em wyrosła wielka chmura skłębionego oparu niczym fala tocząca się po powierzchni oceanu. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, był płomień pochodni, który zajaśniał zielono–niebieskim blaskiem, nim pochłonęła go ciemność.

Całowanie Simona było tak przyjemne jak leżenie w hamaku w letni dzień z książką i szklanką lemoniady. Tego rodzaju rzeczy nigdy się nie nudzą, nie powodują skrępowania ani lęku, a jedyne zmartwienie to metalowa rama łóżka wpijająca się w plecy.

Au! – syknęła Clary, próbując zmienić pozycję.

Sprawiłem ci ból? – Simon z niepokojem uniósł się na łokciu. A może po prostu bez okularów jego oczy wydawały się dwa razy większe i ciemniejsze.

Nie ty, tylko łóżko. Przypomina narzędzie tortur.

Nie zauważyłem – rzekł Simon posępnym tonem, kiedy Clary wzięła poduszkę z podłogi i umieściła ją między nimi.

Nic dziwnego. – Roześmiała się. – Na czym stanęliśmy?

No więc, moja twarz była mniej więcej tam, gdzie jest teraz, ale woja dużo bliżej mojej. Tyle w każdym razie pamiętam.

Jakie to romantyczne. – Przyciągnęła go. Ich ciała do siebie pasowały. Czowała bicie jego serca. Rzęsy Simona, normalni, ukryte za okularami, musnęły jej policzek, kiedy się nachylił żeby ją pocałować. Clary zaśmiała się cicho. – Czy to nie jest dla ciebie dziwne?

Nie. Myślę, że kiedy dostatecznie często coś sobie wyobrażasz, rzeczywistość...

Rozczarowuje?

Nie. Nie! – Simon odsunął się i popatrzył na nią z błyskiem w oczach. – Nawet tak nie myśl. Wprost przeciwnie. Jest... Z piersi Clary wyrwał się chichot.

No dobrze, może wolisz tego nie mówić. Simon przymknął oczy i wykrzywił usta w uśmiechu.

Chciałbym rzucić jakąś przemądrzałą uwagę, ale jedyne, co przychodzi mi do głowy, to... Clary uśmiechnęła się szeroko. – Że chcesz seksu?

Przezań. – Simon chwycił jej rękę, przyszpilił je do łóżka i spojrzał na nią z góry z poważną miną. – Że cię kocham.

Więc nie chcesz seksu? Puścił jej rękę.

Tego nie powiedziałem. Zaśmiała się i pchnęła go w pierś obiema rękami.

Daj mi wstać. Na twarzy Simona odmalował się popłoch.

Nie miałem na myśli tego, że chcę tylko seksu.

Nie o to chodzi. Chcę się przebrać w piżamę. Nie mogę traktować tego wszystkiego poważnie, kiedy jestem w skarpetkach.

Simon popatrzył na nią z żalem, kiedy wyjęła piżamę z ko mody i poszła do łazienki. W progu obejrzała się i rzuciła:

Zaraz wracam.

Nie usłyszała, co odpowiedział, bo zamknęła drzwi. Wyszorowała zęby, a potem przez długi czas spuszczała wodę w umywalce, patrząc na siebie w lustrze szafki na lekarstwa. Włosy miała potargane, policzki czerwone. Czy można to uznać za promienność? Ludzie zakochani powinni jaśnieć, prawda? A może chodziło o kobiety w ciąży, nie pamiętała dokładnie, ale z pewnością powinna wyglądać choć trochę inaczej. Ostatecznie to był jej pierwszy prawdziwy pocałunek. Przeżycie miłe, bezpieczne i przyjemne.

Oczywiście całowała Jace'a w noc swoich urodzin, ale wtedy nie czuła się bezpiecznie, spokojnie ani przyjemnie. Odkryła w swoim ciele coś bardziej gorącego i słodkiego niż krew. Nie myśl o Jasie, nakazała sobie kategorycznie, ale zobaczyła w lustrze, że jej oczy ciemnieją. Ciało pamiętało, mimo że umysł odrzucał tamto wspomnienie.

Puściła zimną wodę i spryskała nią twarz, a potem sięgnęła po piżamę. Świetnie! Wzięła sam dół, bez góry. Wprawdzie Simonowi widok by się spodobał, ale chyba było za wcześnie, żeby paradować przed nim topless. Kiedy wróciła do sypialni, stwierdziła, że przyjaciel śpi na środku łóżka, tuląc do siebie poduszkę. Stłumiła śmiech.

Simon...– wyszeptała.

I w tym momencie usłyszała znajomy, krótki pisk komórki. Aparat leżał na nocnym stoliku. Clary wzięła go i zobaczyła, że to wiadomość od Isabelle.

Szybko włączyła telefon i dwukrotnie odczytała tekst, by się upewnić, że niczego sobie nie wymyśliła. Następnie pobiegła do szafy po płaszcz.

Jonathanie.

Głos był spokojny, mroczny, znajomy jak ból. Jace zamrugał, otworzył oczy i zobaczył tylko ciemność. Zadrzał. Leżał skulony na lodowatej kamiennej posadzce. Musiał zemdleć. Ogarnął go gniew z powodu własnej słabości. Przetoczył się na bok. Nad garstek zakuty w kajdanki pulsował boleśnie. Jest tu kto?

– Z pewnością rozpoznasz własnego ojca, Jonathanie.

W gładkim głosie pobrzmiwały tony kojarzące się z brzękiem żelastwa. Jace próbował wstać, ale jego buty pośliznęły się na czymś mokrym, a on runął do tyłu i z impetem uderzył plecami w kamienną ścianę. Łańcuch zagrzechotał jak chór stalowych dzwonek. Jesteś ranny?

W górze rozbłysło światło, klując go w oczy. Jace zamrugał, żeby odpędzić piekące łzy, i zobaczył, że po drugiej stronie krat, obok trupa Cichego Brata, stoi Valentine. Magiczny kamień,

który trzymał w ręce, rzucał białawy blask na cały loch. Na rdza we plamy na ścianach... i małą sadzawkę świeższej krwi, wypływającej z otwartych ust brata Jeremiasza. Jace poczuł ściskanie w żołądku. Pomyślał o czarnej, bezkształtnej postaci o oczach jak płonące klejnoty.

Ten stwór – wykrztusił. – Gdzie on jest? Co to było?

– Jesteś ranny. – Valentine przysunął się bliżej krat.

– Kto kazał cię tutaj zamknąć? Clave? Lightwoodowie?

Inkwizytorka. – Jace spojrzał na siebie. Na nogawkach spodni i na koszuli miał krew, ale nie wiedział czyją. Spod kajdan sączyło się jej jeszcze więcej.

Valentine patrzył na niego w zamyśleniu. Po raz pierwszy od lat Jace widział ojca w pełnym rynsztunku bojowym Nocnego Łowcy, w zbroi z grubej skóry, która zapewniała swobodę ruchów, jednocześnie chroniąc przed najgroźniejszymi rodzajami demonicznego jadu. Płyty z elektrum osłaniające ramiona i nogi były pokryte hieroglifami i runami. Pierś przecinał szeroki pas, za plecami lśniła rękojeść miecza. Valentine ukucnął, tak że jego zimne czarne oczy znalazły się na poziomie oczu syna. Jace z zaskoczeniem stwierdził, że nie dostrzega w nich gniewu.

Inkwizytorka i Clave to jedno i to samo. A Lightwoodowie nie powinni byli do tego dopuścić. Ja nigdy bym nie pozwolił, żeby ktoś wtrącił cię do więzienia. Jace przywarł plecami do ściany. Tylko tak daleko łańcuch pozwalał mu odsunąć się od ojca.

Przyszedłeś, żeby mnie zabić?

Zabić? Dlaczego miałbym cię zabijać?

A dlaczego zabiłeś Jeremiasza? I nie wciskaj mi bajeczek, że znalazłeś się tu przypadkiem tuż po jego nagłej śmierci. Wiem, że to zrobiłeś.

Valentine po raz pierwszy spojrzał na trupa i powiedział:

Pozostałych Cichych Braci również zabiłem. Musiałem. Mieli coś, czego potrzebowałem.

Co? Poczucie przyzwoitości?

To – rzekł Valentine, jednym szybkim ruchem wyciągając miecz zza pleców. – Maellartach.

Jace stłumił okrzyk zaskoczenia. Rozpoznał ten wielki, srebrny miecz o ciężkim ostrzu i rękojeści w kształcie rozpostartych skrzydeł, który kiedyś wisiał nad Mówiącymi Gwiazdami w sali narad Cichego Miasta. Zabrałeś miecz Cichym Braciom? Nigdy nie należał do nich – odparł Valentine. – On należy do wszystkich Nefilim. To broń, którą anioł wypędził Adama i Ewę z

raju. „A na wschód od ogrodu Eden umieścił cheruby i płomienisty miecz wirujący...”. Jace zwilżył wargi.

– Co zamierzasz z nim zrobić?

Powiem, kiedy uznani, że mogę ci zaufać – rzekł Valentine. – I kiedy będę wiedział, że i ty mi ufasz.

– Tobie? Po tym, jak uciekłeś przez Bramę w Renwick i roztrzaskałeś ją, żebyś nie mógł pójść za tobą? I po tym, jak próbowałeś zabić Clary?

– Nigdy nie zrobiłbym krzywdy twojej siostrze – oświadczył Valentine z błyskiem gniewu w oczach. – Tak samo jak tobie.

– Przez cały czas tylko mnie krzywdziłeś! To Lightwoodowie mnie chronili!

– Nie ja cię tutaj zamknąłem. Nie ja uważam cię za zdrajcę i nie ja ci grożę, tylko Lightwoodowie i ich przyjaciele z Clave. – Valentine umilkł na chwilę. – Ale jestem dumny, kiedy widzę że zachowujesz spokój po tym, jak cię potraktowali.

Zaskoczony Jace tak szybko podniósł na niego wzrok, że zakręciło mu się w głowie. Wziął głęboki wdech. Co?

– Teraz wiem, że to, co zrobiłem w Renwick, było złe – ciągnął Valentine. – Pamiętałem cię jako małego chłopca, którego zostawiłem w Idrisie, posłusznego każdemu mojemu życzeniu, a ujrzałem młodego mężczyznę, upartego, niezależnego i odważnego. Mimo to potraktowałem cię, jakbyś nadal był dzieckiem. Nic dziwnego, że zbuntowałeś się przeciwko mnie.

– Zbuntowałem? Ja... – Jace’a ścisnęło w gardle, jego serce zaczęło dudnić do rytmu bolesnego pulsowania w nadgarstku.

Nie miałem okazji opowiedzieć ci o mojej przeszłości, wyjaśnić, dlaczego zrobiłem rzeczy, które zrobiłem.

Nie ma nic do wyjaśniania. Zabiłeś moich dziadków, uwięziłeś moją matkę. Zabijałeś innych Nocnych Łowców, żeby osiągnąć swoje cele. – Każde słowo smakowało w ustach Jace’a jak trucizna.

Znasz tylko połowę faktów, Jonathanie. Okłamałem cię, bo byłeś za mały, żeby zrozumieć. Teraz jesteś dostatecznie dorosły, żeby poznać prawdę.

Więc powiedz mi prawdę. Valentine sięgnął przez pręty celi i położył dłoń na ręce syna. Dotyk szorstkich, stwardniałych palców był taki sam, jak wtedy, kiedy Jace miał dziesięć lat.

Chcę ci ufać, Jonathanie. Mogę?

Jace nie był w stanie wykrztusić słowa. Zdawało mu się, że wokół jego piersi zaciska się żelazna obręcz, odcinając dopływ powietrza.

Ja... – wyszeptał.

Raptem gdzieś nad nimi rozległ się hałas, jakby trzasnęły me– ulowe drzwi. Potem Jace usłyszał kroki i szepty odbijające się n lian od kamiennych murów Cichego Miasta. Valentine wstał i zamknął dłoń wokół magicznego kamienia, tak że została tylko słaba poświata, w której jego postać była niewyraźnym cieniem.

Nadchodzi szybciej, niż myślałem – mruknął i spojrzał przez kraty na syna.

Poza nikłym blaskiem czarodziejskiego kamienia Jace widział tylko ciemność. Pomyślał o mrocznej istocie, która bezkształtnym cielskiem gasiła przed sobą całe światło.

– Co nadchodzi? – zapytał, pełznąc na czworakach w stronę drzwi.

Muszę iść – powiedział Valentine. – Ale jeszcze nie skończyliśmy, ty i ja. Jace chwycił za pręty.

Rozepnij mnie. Chcę móc walczyć, cokolwiek to jest.

Uwolnienie ciebie to nie jest dobry pomysł w obecnej sytuacji – stwierdził Valentine. Czarodziejskie światełko zamrugało i zgasło, pograżając cel<; w ciemności. Jace rzucił się na kraty. Złamana ręka zareagowała ostrym bólem.

Nie! – krzyknął. – Ojcze, proszę. Kiedy będziesz chciał mnie znaleźć, znajdziesz – powiedział Valentine.

Jace usłyszał oddalające się szybko kroki, a potem już tylko własny urywany oddech.

Jadąc metrem, Clary nie mogła usiedzieć w miejscu. Spacerowała w tę i z powrotem po prawie pustym wagonie, ze słuchawkami od i– Poda dyndającymi na szyi. Bezskutecznie próbowała dodzwonić się do Isabelle. Dręczył ją irracjonalny niepokój.

Pomyślała o Jasie w „Księżycu Łowcy”. Umazany krwią, z zębami obnażonymi w gniewnym warknięciu wyglądał bardziej jak wilkołak niż Nocny Łowca, którego obowiązkiem było chronić ludzi i trzymać Podziemnych w ryzach.

Wbiegła po schodach na Dziewięćdziesiątą Szóstą i zwolniła dopiero za rogiem, kiedy ujrzała przed sobą wielkie szare gmaszysko. W metrze było gorąco, a teraz pot wysychał jej na karku, gdy szła popękany betonowym chodnikiem do frontowych drzwi Instytutu.

Zawahała się, sięgając do dużego, żelaznego dzwonka, który zwisał z architrawy. Była Nocnym Łowcą, tak czy nie? Miała prawo przebywać w Instytucie, tak samo jak Lightwoodowie. Zdecydowanym gestem chwyciła za klamkę, próbując sobie przypomnieć słowa, które kiedyś wypowiedział Jace. „W imię Anioła...”.

Za drzwiami powitał ją mrok rozjaśniony płomykami dziesiątków małych świec. Kiedy pędziła między ławkami, świece migotały, jakby się z niej śmiały. Po wejściu do windy, z trzaskiem zamknęła za sobą metalowe drzwi i wcisnęła guzik drżącym palcem. Zebrała całą siłę woli, żeby się uspokoić. Martwiła się, o Jace’a czy też obawiała się chwili, w której go zobaczy? Jej twarz w lustrze, obramowana podniesionym kołnierzem płaszcza, była drobna i biała, oczy wielkie i ciemnozielone, usta Madę. Niezbyt atrakcyjny wygląd, doszła do wniosku, ale zaraz odpędziła tę myśl. Jakie znaczenie miał jej wygląd? Jace’a na pewno nie obchodził. Nie powinien obchodzić.

Winda zatrzymała się z przeciągłym zgrzytem. Pod drzwiami czekał na nią Church. Pozdrowił ją pełnym niezadowolenia miauknięciem.

Co się stało, Church? – Jej głos zabrzmiał nienaturalnie głośno w cichym korytarzu. Ciekawe, czy w ogóle jest ktoś w Instytucie. Może tylko ona. Ta myśl przyprawiła ją o dreszcz.

Tymczasem niebieski pers odwrócił się i ruszył korytarzem. Minął pusty pokój muzyczny i równie pustą bibliotekę. Skręcił za róg i usiadł przed zamkniętymi drzwiami. „Jesteśmy na miejscu”, mówiła jego mina.

Zanim Clary zdążyła zapukać, drzwi się otworzyły i stanęła w nich Isabelle, bosa, w dzinsach i jasnofioletowym swetrze. Zdziwiła się na jej widok.

Wydawało mi się, że ktoś idzie korytarzem, ale nie sądziłam, że to ty – powiedziała. – Co tutaj robisz?

Clary wytrzeszczyła oczy. – Przysłałaś mi wiadomość. Napisałaś, że Inkwizytorka wtrąciła Jace’a do więzienia.

– Clary! – Isabelle rozejrzała się po korytarzu i przygryzła wargę. – Nie chodziło mi o to, żebyś od razu tutaj pędziła.

– Co ty mówisz? – Clary była wstrząśnięta. – Więzienie!

Tak, ale... – Isabelle westchnęła z rezygnacją i zaprosiła ją gestem do pokoju. – Równie dobrze możesz wejść. A ty, sio. Machnęła na Churcha. – Idź pilnować windy.

Pers łypnął na nią z oburzeniem, położył się na brzuchu i zasnął.

Koty – prychnęła Isabelle i zatrzasnęła drzwi. Cześć, Clary. – Na nieposłanym łóżku siedział Alec.

– Co tutaj robisz?

Clary usiadła na wyściełanym stolku przed zastawioną kosmetykami toaletką Isabelle.

Twoja siostra przysłała mi wiadomość. Napisała, co się stało z Jace'em.

Rodzeństwo wymieniło spojrzenia.

– Och, daj spokój, Alec – powiedziała Isabelle. – Uznałam, że powinna wiedzieć. Nie miałam pojęcia, że zaraz tutaj przybiegnie!

Żołądek Clary wykonał podskok.

– Oczywiście, że przyjechałam! Nic mu nie jest? Dlaczego, do diabła, Inkwizytorka posłała go do więzienia?

Właściwie nie do więzienia, tylko do Cichego Miasta – odparł Alec, siadając prosto i kładąc sobie poduszkę na kolanach. Leniwie skubał koralikowy frędzel.

– Do Cichego Miasta? Dlaczego? Alec się zawahał.

Pod Cichym Miastem są lochy. Czasami trzymają w nich przestępców, zanim zostaną deportowani do Idrisu, gdzie czeka ich proces przed Radą. Ludzi, którzy zrobili naprawdę złe rzeczy. Morderców, zbuntowane wampiry, Nocnych Łowców, którzy łamią Porozumienia. Właśnie tam jest teraz Jace.

Zamknięty z bandą morderców? – Clary zerwała się ze stolka – Co z wami? Dlaczego nie jesteście bardziej zdenerwowani?

Młodzi Lightwoodowie znowu wymienili spojrzenia.

To tylko j edna noc – powiedziała Isabelle. – I nikogo więcej tam z nim nie ma. Pytaliśmy.

Ale dlaczego? Co Jace zrobił?

Zdaje się, że pyskował Inkwizytorce – odparł Alec. Isabelle przysiadła na brzegu toaletki.

To niewiarygodne.

Ta Inkwizytorka musi być szalona – stwierdziła Clary.

Właściwie nie – powiedział Alec. – Gdyby Jace był w waszej przyziemnej armii, myślisz, że pozwolono by mu pyskować Zwierzchnikom? Na pewno nie.

Nie w czasie wojny. Zresztą Jace nie jest żołnierzem.

My wszyscy jesteśmy żołnierzami. Istnieje u nas hierarchia dowodzenia i Inkwizytorka znajduje się blisko jej szczytu, a Jace prawie na samym dole. Powinien traktować ją z większym szacunkiem.

Jeśli uważacie, że słusznie trafił do więzienia, dlaczego prosiliście, żebym tu przyszła? Żebym się z wami zgodziła? Nie rozumiem. Czego ode mnie chcecie?

Nie mówiliśmy, że powinien znaleźć się w więzieniu – obruszyła się Isabelle. – Tylko że niepotrzebnie odszczeniwał się jednemu z najwyższych rangą członków Clave. – 1 dodała nieco ciszej – Poza tym, pomyślałam, że mogłabyś pomóc.

Pomóc? Jak?

uż wcześniej ci mówiłem, że według mnie Jace igra te śmiercią – powiedział Alec. – Musi nauczyć się myśleć o sobie, a to oznacza współpracę z Inkwizytorką.

I uważacie, że ja potrafię go do tego przekonać? – W głosie Clary pobrzmiwało niedowierzenie.

Nie j jestem pewna, czy ktokolwiek j est w stanie przekonać Jace'a do czegokolwiek – stwierdziła Isabelle. – Ale myślę, że ty możesz mu przypomnieć, że ma po co żyć.

Alec nagle tak mocno szarpnął frędzel u poduszki, że koraliki posypały się na koc jak deszcz. Isabelle zmarszczyła brwi.

Alec, nie rób tego.

Clary chciała powiedzieć, że to oni są rodziną Jace'a i k li zdanie liczy się bardziej niż jej, wciąż jednak słyszała w głowic jego głos: „Nigdy nie wiedziałem, gdzie jest moje miejsce. Ale ty sprawiłaś, że zależy mi na tym, żeby je mieć”.

– Możemy pójść do Cichego Miasta, żeby się z nim zobaczyć.

– Powiesz mu, żeby współpracował z Inkwizytorką?

– zapytał Alec. Clary się zastanowiła.

Chcę najpierw usłyszeć, co on ma do powiedzenia.

Alec rzucił zniszczoną poduszkę na łóżko i wstał, marszczy brwi, ale zanim zdążył coś powiedzieć, rozległo się pukanie. Isabelle zeskoczyła z toaletki i podeszła do drzwi.

Na korytarzu stał mały ciemnowłosy chłopiec w okularach. Miał na sobie dzinsy i za dużą bluzę. W ręce trzymał książkę.

Max – zdziwiła się Isabelle. – Myślałam, że śpisz.

Byłem w zbrojowni – odparł chłopiec, zapewne najmłodszy syn Lightwoodów. – I usłyszałem jakieś hałasy dochodzące z biblioteki. Chyba ktoś próbował skontaktować się z Instytutem. – Zerknął na Clary. – Kto to jest?

Clary, siostra Jace’a – odparł Alec.

Oczy Maksa zrobiły się okrągłe.

Myślałem, że Jace nie ma żadnych braci ani sióstr, też tak myśleliśmy. – Alec zdjął sweter z oparcia krzesła. Kiedy go wciągnął, naelektryzowane włosy rozsypały się wokół jego głowy jak ciemne halo.

Przyglądał je niecierpliwym gestem – Lepiej pójde do biblioteki.

Oboje pójdziemy. – Isabelle wyjęła z szuflady lśniący, złoty bat. Wsunęła jego rączkę za pasek. – Może coś się stało.

Gdzie wasi rodzice? – zapytała Clary. Wezwano ich kilka godzin temu, bo w Central Parku zamordowano jakiegoś faerie – wyjaśnił Alec. – Inkwizytorkąposzła z nimi. nie chcieliście iść?

Nie zostaliśmy zaproszeni. – Isabelle oplotła dwa ciemne warkocze wokół głowy i przebiła je małym, szklanym sztyletem– Przypilnuj Maksa, dobrze? Niedługo wrócimy.

Ale... – zaprotestowała Clary.

Zaraz wracamy. – Isabelle wypadła na korytarz. Alec pobiegł za nią.

Kiedy drzwi zamknęły się za nimi. Clary usiadła na łóżku spojrzała na Maksa. Do tej pory nie miała wiele do czynienia z dziećmi – matka nigdy nie pozwalała jej dorabiać jako niańka– więc nie była pewna, jak z nimi rozmawiać i co może je rozbawić. W dodatku chłopiec przypominał jej Simona w tym wieku: chude ręce, chude nogi i okulary, które wydawały się za duże do tak drobnej twarzy. Max odpowiedział jej uważnym spojrzeniem, nie nieśmiałym, tylko zamyślonym i opanowanym.

Ile masz lat? – spytał w końcu. Clary była zaskoczona.

A na ile wyglądam?

– Czternaście.

– Mam szesnaście, ale ludzie myślą, że mniej, bo jestem niska.

Max pokiwał głową.

– Ja też. Mam dziewięć, a ludzie myślą, że siedem. Wyglądasz mi na dziewięć – stwierdziła Clary. – Co tam masz? Książkę?

Max wyjął rękę zza pleców. Trzymał w niej komiks formatu darmowych gazetek wyłożonych na ladach w sklepach spożywczych. Ten miał jaskrawą okładkę z japońskim pismem *kanji* pod angielskim tekstem. Clary się roześmiała. *Naruto*. Nie wiedziałam, że lubisz mangę. Skąd to masz?

Z lotniska. Podobają mi się obrazki, ale nie umiem tego przeczytać.

– Pokaż mi to. – Clary otworzyła komiks. – Czytasz od tyłu, od prawej do lewej zamiast od lewej do prawej. Każdą stronę zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Wiesz, co to znaczy?

– Oczywiście – zapewnił Max.

Przez chwilę Clary martwiła się, że go uraziła. Wyglądał jednak na całkiem zadowolonego. Wziął od niej książkę i przerzucił na ostatnią stronę.

– To jest numer dziewiąty. Chyba powinienem kupić osiem poprzednich, nim zacznę go czytać.

Dobry pomysł. Może ktoś zawiezie cię do Midtown Comies albo Forbidden Planet.

Forbidden Planet? – Max spojrzał na nią pytająco, ale zanim Clary zdążyła odpowiedzieć, do pokoju wpadła zdyszana Isabelle.

Ktoś próbował skontaktować się z Instytutem – wyjaśniła – Jeden z Cichych Braci. Coś się stało w Mieście Kości.

o?

Nie wiem. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby Cisi Bracia prosili o pomoc. – Isabelle była wyraźnie zaniepokojona. Zwróciła się do brata: – Max, idź do swojego pokoju i zostań tam, dobrze? Chłopiec zacisnął zęby.

Wychodzicie z Alekiem? Tak.

Do Cichego Miasta? Max...

Chcę iść z wami.

Isabelle potrząsnęła głową. Rękojeść sztyletu jaśniała za jej głową jak płomień.

kluczone. Jesteś za młody. Ty też jeszcze nie masz osiemnastu lat! Isabelle odwróciła się do Clary z wyrazem niepokoju i desperacji na twarzy.

Pozwól na chwilę, proszę. Gdy zaskoczona Clary wstała, Isabelle chwyciła ją za ramię i wyciągnęła z pokoju. Ledwo zdążyła zatrzasnąć za nimi drzwi, gdy Max rzucił się na nie z hukiem.

– Cholera! – zaklęła Isabelle, mocno trzymając klamkę. – Możesz wyjąć moją stelę? Jest w kieszeni.

Clary pospiesznie sięgnęła po stelę, którą wieczorem dał jej luke.

Użyj mojej.

Kilkoma szybkimi ruchami Isabelle wycięła na drzwiach Znak zamykający. Z drugiej strony dobiegały głośnie protesty Maksa.

Należała do mojej matki – wyjaśniła Clary, kiedy Isabelle oddała jej stelę. I zaraz poprawiła się w myślach: Należy do mojej matki. Należy do mojej matki.

– Hm. – Isabelle uderzyła w drzwi pięścią. – Max, w szufladzie nocnej szafki są batony energetyczne, jeśli zgłodniejesz, Wrócimy najszybciej, jak się da.

Odpowiedział jej wrzask oburzenia. Isabelle wzruszyła ramionami i popędziła korytarzem. Clary musiała podbiec, żeby ją dogonić.

– Co było w tej wiadomości? – zapytała. – Jakież kłopoty?

– Atak. To wszystko.

Przed biblioteką już czekał Alec w czarnej skórzanej zbroi Nocnego Łowcy naciągniętej na ubranie. Jego przedramiona chroniły rękawice, szyję i nadgarstki otaczały Znaki. Przy pasie lśniły serafickie noże, noszące imiona różnych aniołów.

– Jesteś gotowa? Max bezpieczny?

– Wszystko w porządku. – Isabelle wyciągnęła rękę.

– Zrób mi Znaki.

Kreśląc wzory na wierzchach dłoni siostry i na wnętrzach jej nadgarstków, Alec zerknął na Clary.

– Powinnaś wrócić do domu – powiedział. – Lepiej, żebyś nie była tutaj sama, kiedy wróci Inkwizytorka.

Chcę iść z wami – oznajmiła Clary. Isabelle podmuchała naznaczoną skórę, jakby studziła gorącą kawę.

Mówisz jak Max – zauważyła. Max ma dziewięć lat, a ja tyle co wy. Ale nie przesłaś żadnego szkolenia – przypomniał Alec. – Byłabyś tylko kulą u nogi.

Wcale nie – obruszyła się Clary. – Czy któreś z was było w Cichym Mieście? A ja tak. Wiem, jak dostać się do środka. Znam drogę. Alec schował stelę.

Nie sądzę...

Ona ma rację – przerwała mu Isabelle. – Myślę, że powinna z nami iść, skoro chce.

Ostatnim razem, kiedy walczyliśmy z demonem, ona zwyczajnie stchórzyła i zaczęła wrzeszczeć. – Widząc kwaśną minę Clary, Alec posłał jej przeproszające spojrzenie. – Przykro mi ale to prawda.

Uważam, że ona potrzebuje okazji do nauki – stwierdziła Isabelle.. – Wiesz, co zawsze mówi Jace. Wcale nie trzeba szukać niebezpieczeństwa, ono samo cię znajdzie.

Nie możecie zamknąć mnie jak Maksa – dodała Clary, kiedy Alec nadal się wahał. – Nie jestem dzieckiem. I wiem, gdzie jest Miasto Kości. Potrafię tam trafić bez was.

Alec odwrócił się, kręcąc głową i mamrocząc pod nosem coś o dziewczynach. Isabelle wyciągnęła rękę do Clary.

Daj mi swoją stelę. Pora, żebyś otrzymała Znaki.

Miasto Popiołów

Isabelle zrobiła Clary tylko dwa Znaki, po jednym na wierzchach obu dłoni. Jednym było otwarte oko, które zdobiło rękę każdego Nocnego Łowcy. Drugi, Znak ochrony, wyglądał jak dwa skrzyżowane sierpy. Skóra piekła pod dotknięciem steli, ale ból ustał, kiedy jechali taksówką do śródmieścia. Gdy wysiedli na Drugiej Alei, ramiona Clary były lekkie, jakby założyła rękawki do pływania.

Przechodząc pod łukiem z kutego żelaza na Marble Cemetery, wszyscy troje milczeli. Ostatnim razem Clary szła przez ten mały dziedziniec za bratem Jeremiaszem. Dopiero teraz zwróciła uwagę na nazwiska wyryte na murach: Youngblood, Fairchild, Thrushcross, Nightwine, Ravenscar. Obok nich widniały runy. Każda rodzina Nocnych Łowców miała swój własny symbol: Waylandowie kowalski młot, Lightwoodowie pochodnię, a Valentine gwiazdę.

Stopy posągu Anioła stojącego pośrodku dziedzińca zarosła trawa. Jego oczy były zamknięte, smukłe dłonie obejmowały nóżkę kamiennego pucharu, twarz pokrywała gruba warstwa brudu.

Ostatnim razem, kiedy tutaj byłam, brat Jeremiasz otworzył drzwi do Miasta, wykorzystując Znak wyryty na posągu – powiedziała Clary.

Wolałbym nie używać runów Cichych Braci – odparł z ponurą miną Alec. – Od razu wyczuliby naszą obecność.

I tak już zaczynam się niepokoić. – Wyjął sztylet zza pasa, przesunął ostrzem po dłoni i uniósł stuloną rękę nad kamiennym kielichem, żeby ściekła do niego krew z płytkiego nacięcia. – Krew Nefilim. Powinna zadziałać jak klucz.

Powieki Anioła się rozwarły. Przez chwilę Clary spodziewała się, że spomiędzy kamiennych fałd łypną na nią oczy, ale zobaczyła tylko więcej granitu. Chwilę później trawa porastająca stopy Anioła zaczęła się rozstępować. Ziemię przecięła nierówna czarna linia. Clary odskoczyła pospiesznie, kiedy tuż przed nią pojawiła się czarna otchłań. W mrok prowadziły schody. Ostatnio oświetlały je pochodnie. Teraz zobaczyła w dole tylko czerń.

Coś się stało – powiedziała.

Isabelle i Alec nawet nie próbowali się z nią spierać. Clary wyjęła z kieszeni magiczny kamień, który dał jej Jace, i uniosła go nad głowę. Buchnęło z niego światło, przeświecając przez jej rozpostarte palce.

Chodźmy.

Ja pójdę pierwszy, ty za mną, Isabelle na końcu – zarządził Alce, wysuwając się do przodu.

Powoli ruszyli w dół. Buty Clary ślizgały się na wytartych stopniach. Gdy znaleźli się na dole, krótki tunel zaprowadził ich do ogromnej sali, granitowego sadu białych łuków wysadzanych półszlachetnymi kamieniami. Ciągające się w mrok rzędy grobowców wyglądały jak bajkowe domki w muchomorach. Magiczne światło było za słabe, żeby oświetlić całe pomieszczenie,

Nigdy nie sądziłem, że znajdę się w Cichym Mieście – powiedział Alec, rozglądając się z posępną miną. – Nawet po śmierci.

Ja bym się tym nie martwiła – pocieszyła go Clary. – Brai Jeremiasz mówił mi, co robią z waszymi zmarłymi. Pałą ich, a popioły mieszają z marmurem wykorzystywanym do budowy Miasta. Krew i kości zabójców demonów same w sobie są po tęzną ochroną przeciwko złu. Nawet po śmierci Nocni Łowcy służą Sprawie.

– Hm – mruknęła Isabelle. – To jest uważane za zaszczyt. Zresztą, wy, Przyziemni, też palicie swoich zmarłych.

Co nie znaczy, że tu nie jest strasznie, pomyślała Clary. W powietrzu wisiał ciężki zapach popiołów i dymu, znany jej z ostatniej wizyty, ale pod nim krył się jeszcze intensywniejszy odór, jakby gnijących owoców.

Alec zmarszczył nos i wyjął zza pasa jeden z anielskich noży.

Arathiel – wyszeptał.

W blasku ostrza i magicznej lampki Clary znaleźli drugą klatkę schodową i weszli w jeszcze gęściej szy mrok. Światelko pulsowało w jej ręce jak gasnąca gwiazda, a ona zastanawiała się, czy czarodziejskie kamienie kiedykolwiek tracą moc, tak jak latarki na baterie. Miała nadzieję, że nie. Na myśl, że to okropne miejsce pograży się w całkowitej ciemności, ogarnęło ją przerażenie.

Zapach gnijących owoców stał się silniejszy, gdy dotarli do końca schodów i znaleźli się w kolejnym długim tunelu. Ten prowadził do pawilonu otoczonego iglicami z ciosanych kości.

Posadzka była inkrustowana srebrnymi gwiazdami niczym drogocennym konfetti. Na środku stał czarny stół. Na jego śliskiej powierzchni zebrała się kałuża ciemnego płynu, który strużkami ściekał na podłogę.

Kiedy Clary stała przed Radą Braci, na ścianie za stołem wisiał ciężki srebrny miecz. Teraz w jego miejscu widniał wielki, rozmazany, szkarłatny wachlarz.

Czy to krew? – wyszeptała Isabelle. Nie była przestraszona, tylko zdziwiona.

Na to wygląda. – Alec powiódł wzrokiem po pomieszczeniu, mocniej zaciskając dłoń na serafickim nożu. Zdawało się, że w gęstym jak farba mroku coś się porusza.

Co tu się mogło stać? – zastanawiała się Isabelle. – Cisi Bracia... myślałam, że są niezniszczalni...

Kiedy Clary się obróciła, blask czarodziejskiego kamienia padł na dziwne cienie majaczące wśród iglic. Jedna z nich miała osobliwy kształt. Clary nakazała światłu zapłonąć mocniej, a kiedy to nastąpiło, jasna strzała przeszła ciemność, sięgając w głąb sali.

Na iglicę było nadziane, jak robak na haczyk, ciało Cichego Brata. Zakrwawione ręce wisiały tuż nad marmurową posadzką. Wyglądało na to, że nieszczęśnik ma skrzyżowany kark. Pod nim zebrała się krew, zakrzepła i czarna w magicznej poświacie.

Isabelle głośno wciągnęła powietrze.

Alec. Widzisz...?

Tak. – Głos Aleca był posępny. – Widywałem gorsze rzeczy. Martwię się o Jace'a.

Isabelle podeszła do czarnego bazaltowego stołu i przesunęła dłonią po jego powierzchni.

Krew jest prawie świeża – stwierdziła. – To wszystko musiało się wydarzyć niedawno. Alec podszedł do trupa i spojrzał na upiorną sadzawkę. Prowadziły od niej rozmazane ślady stóp.

Ktoś tędy biegł. Chodźmy.

Isabelle wytarła zakrwawione dłonie o ochraniacze na nogi uszyte z miękkiej skóry i ruszyła za bratem.

Trop prowadził od pawilonu do wąskiego tunelu i zniknął w ciemności. Kiedy Alec zatrzymał się i rozejrzał, Clary precyzyjnie się obok niego niecierpliwie i posłała w mrok srebrzystobiały snop magicznego światła. W jego blasku dostrzegła na końcu korytarza podwójne drzwi. Były otwarte.

Jace. Wyczuła, że jest blisko. Puściła się biegiem przed siebie, głośno stukając butami o twardą posadzkę. Usłyszała za sobą wołanie, ale nawet się nie obejrzała. W końcu Alec i Isabelle

też za nią popędzili. Clary wypadła przez drzwi w drugim końcu tunelu i znalazła się w dużym pomieszczeniu z rzędami metalowych prętów osadzonych głęboko w kamieniu. Po drugiej stronie krat dostrzegła skuloną postać. Przed celą leżało bezwładne ciało.

Clary od razu się zorientowała, że Cichy Brat nie żyje. W podartej szacie koloru pergaminu wyglądał jak szmaciana lalka, której wykręcono ze stawów ręce i nogi. Na twarzy pokrytej bliznami zastygł wyraz obłądnego przerażenia, ale dało się ją rozpoznać. To był brat Jeremiasz.

Clary przecisnęła się obok niego do drzwi celi. Zrobione z gęsto rozmieszczonych prętów, miały zawiasy po jednej stronie, ale żadnej gałki ani klamki, za którą mogłaby chwycić. Usłyszała za sobą głos Aleca wymawiającego jej imię, lecz nie zwróciła na niego uwagi. Myślała tylko o tym, jak otworzyć kratę. Ściskając w jednej ręce magiczny kamień, drugą sięgnęła do kieszeni po stelę.

Z celi dobiegł dźwięk, coś w rodzaju stłumionego okrzyku albo szeptu, ale Clary nie miała wątpliwości, że to Jace. Czubkiem steli przesunęła po drzwiach, starając się odtworzyć na twardym metalu Znak, który pojawił się w jej głowie, czarny i kanciasty. Elektrum zasyczało w miejscu, gdzie dotknął go instrument.

Otwórzcie się. Otwierajcie się, otwierajcie! Więzienie wypełnił dźwięk rozdieranej tkaniny. Isabelle krzyknęła, kiedy drzwi wypadły z zawiasów i runęły do wnętrza celi jak zwodzony most. Clary usłyszała również inne hałasy: szczęk metalu o metal, głośny grzechot, jakby ktoś cisnął na ziemię garść kamyków. Weszła do lochu. Krata zakołysała się pod jej stopami.

Magiczne światło, jasne jak w dzień, oblało ciasną celę. Rzędy kajdan z najróżniejszych metali: złota, srebra, stali, żelaza, wyskoczyły ze ścian i z brzękiem runęły na posadzkę, ale Clary utkwiała wzrok w nieruchomej postaci skulonej w kącie. Zobaczyła jasne włosy, wyciągniętą rękę, otwarte kajdanki i zakrwawiony nadgarstek, pokryty paskudnymi siniakami.

Uklękła, odłożyła na bok stelę i magiczny kamień i delikatnie przewróciła Jace'a na plecy. Na bladym policzku miał siniaka, ale gałki oczne poruszały się szybko pod powiekami, na szyi pulsowała żyła.

Clary ogarnęła ulga i w jednej chwili opadło z niej całe napięcie. Odgarnęła włosy z czoła Jace'a z czułością, jakiej do tej pory nie знаła. Nigdy nie miała brata ani siostry, nawet kuzyna. Nic miała okazji opatrywać ran, dmuchać na podrapane kolana, i łuszczyć się o kogoś.

Nie zabrała ręki, kiedy jego powieki drgnęły, a z gardła wy dobył się jęk. Jace był jej bratem. Chyba nic dziwnego, że się o niego martwiła?

Otworzył oczy. Jego źrenice były rozszerzone. Może uderzył się w głowę? Spojrzał na nią wyraźnie zdezorientowany.

Clary? Co tutaj robisz? – Szukałam cię – odparła zgodnie z prawdą. Przez twarz Jacea przebiegł skurcz.

Naprawdę tutaj jesteś? A ja... żyję?

Tak. – Przesunęła dłoń po jego policzku. – Zemdlełeś, to wszystko. I pewnie przy okazji uderzyłeś się w głowę.

Jace nakrył ręką jej dłoń spoczywającą na jego twarzy.

Warto było – powiedział tak cicho, że Clary nie była pewna, czy się nie przesłyszała.

Co się dzieje? – Alec zanurkował do celi. Tuż za nim weszła Isabelle.

Clary szybko cofnęła rękę i natychmiast skarciła się za to w duchu. Przecież nie robiła nic złego.

Jace usiadł z trudem. Twarz miał szarą, koszulę poplamioną krwią. Na twarzy Aleca odmalowała się troska.

Wszystko w porządku? – zapytał, klękając obok przyjaciela. – Co się stało? Pamiętasz? Jace uniósł zdrową rękę.

Jedno pytanie na raz, Alec. Mam wrażenie, że zaraz pęknie mi głowa.

Kto ci to zrobił? – Isabelle była jednocześnie oszołomiona i wściekła.

Nikt. Sam to sobie zrobiłem, kiedy próbowałem się uwolnić. – Jace skrzywił się, patrząc na nadgarstek, który wyglądał, jakby zdarto z niego skórę.

Pozwól – powiedzieli jednocześnie Clary i Alec, wyciągając rece.

Ich oczy się spotkały. Clary pierwsza opuściła dłoń. Alec ujął nadgarstek Jace'a i kilkoma szybkimi ruchami steli narysował na nim, tuż pod bransoletą z krwawiącej skóry, *iratze*, Znak uzdrawiający.

Dzięki – powiedział Jace. Rany już zaczynały się zasklepić. – Brat Jeremiasz...

Nie żyje – powiedziała Clary.

Wiem. – Jace nie przyjął pomocy Aleca. Wstał sam, opierając się o ścianę. – Został zamordowany. – Cisi Bracia pozabijali się nawzajem? – W głosie Isabelle brzmiało niedowierzanie. – Nie rozumiem. Dlaczego miałby i oś takiego zrobić...?

Nie zrobili. Coś ich zabiło. Nie wiem co. – Spazm bólu wykrzywił jego twarz. – Moja głowa...

Może powinniśmy stąd iść – rzuciła Clary z niepokojem. – Zanim to, co ich zabiło...

Wróci po nas? – dokończył Jace. Spojrzał na swoją zakrwawioną koszulę i posiniaczoną rękę. – Myślę, że to coś już sobie poszło. Ale przypuszczam, że jeszcze może się pojawić na jego rozkaz.

Czyj? – zapytał Alec. Jace nie odpowiedział. Zrobił się blady jak papier i zaczął osuwać się na podłogę, ale kiedy Alec go podtrzymał, chwycił go mocno za rękaw i zaprotestował:

Nic mi nie jest. Mogę stać.

Trudno to nazwać staniem, skoro potrzebna ci ściana, żeby utrzymać się na nogach.

To „opieranie się” – sprostował Jace. – Pierwszy etap stania.

Przestańcie się kłócić – skarciła ich Isabelle, kopniakiem usuwając z drogi wypaloną pochodnię. –

Musimy się stąd wydostać. Skoro ta istota zabiła Cichych Braci, z nami poradzi sobie jeszcze szybciej.

Izzy ma rację. Powinniśmy iść. – Clary podniosła z ziemi magiczny kamień. – Jace... możesz chodzić?

Może oprzeć się na mnie. – Alec otoczył ramieniem jego plecy. – Opatrzmy cię, jak już stąd wyjdziemy.

Powoli ruszyli do drzwi celi. Jace zatrzymał się obok nich i popatrzył na brata Jeremiasza leżącego na kamieniach. Isabelle ukucnęła i naciągnęła kaptur na wykrzywioną w grymasie przerażenia twarz martwego archiwisty.

Nigdy nie widziałem, żeby Cichy Brat się bał – powiedział Alec. – Nie sądziłem, że w ogóle są w stanie odczuwać strach.

– Wszyscy odczuwają strach. – Jace był bardzo blady. Zranią rękę trzymał przy piersi, ale raczej nie z powodu fizycznego bólu. Wyglądał na nieobecnego, jakby wycofał się w głąb siebie, ukrywając się przed czymś.

Wrócili po swoich śladach ciemnymi korytarzami i ruszyli w górę po schodach, prowadzących do pawilonu z Mówiącymi Gwiazdami. Tam Clary poczuła intensywną woń krwi i spalenizny, na którą wcześniej nie zwróciła uwagi. Jace, wsparty na Alecu, rozejrzył się ze

zgrozą i wyrazem dezorientacji na twarzy. Gdy Clary zobaczyła, że jego wzrok kieruje się ku ścianie poplamionej krwią, rzuciła pospiesznie:

Nie patrz tam. – I natychmiast zrobiło jej się głupio. Przecież był łowcą demonów i widywał gorsze rzeczy.

Jace pokręcił głową.

Coś jest nie w porządku...

Wszystko tutaj jest nie w porządku. – Alec wskazał głową na las luków. – To najszybsza droga do wyjścia. Chodźmy.

Nie rozmawiali ze sobą, idąc przez Miasto Kości. Wydawało się, że wokół porusza się każdy cień, jakby ciemność skrywa istoty, które tylko czekały, żeby na nich wyskoczyć. Isabelle szeptała coś pod nosem. Clary nie słyszała słów, ale brzmiały, jakby pochodziły z obcego, chyba starego języka, może łaciny.

Kiedy dotarli do schodów wiodących na powierzchnię, odetchnęła z ulgą. Miasto Kości może kiedyś było piękne, ale teraz budziło tylko strach. Gdy Clary stanęła na ostatnim podejściu, w oczy zakłuło ją tak silne światło, że krzyknęła zaskoczona. Nad sobą zobaczyła niewyraźny posąg Anioła, oświetlony od tyłu złotym blaskiem. Obejrzała się na pozostałych. Byli równie zdziwieni jak ona.

Słońce jeszcze nie wzeszło, prawda? – szepnęła Isabelle. – Jak długo byliśmy na dole? Alec spojrzał na zegarek.

Nie aż tak długo. Jace wymamrotał coś cicho. Alec nachylił się do przyjaciela.

Co mówiłeś?

Magiczne światło – powtórzył Jace nieco głośniejszym głosem. Ruszyli w górę po kamiennych stopniach. Dziewczyny pierwsze, Alec tuż za nimi, na pół wlokąc Jace'a. Na szczycie Isabelle zatrzymała się jak wryta. Chwilę później Clary stanęła obok niej i teraz ona wytrzeszczyła oczy.

W ogrodzie roilo się od Nocnych Łowców. Było ich dwudziestu, może trzydziestu, wszyscy w ciemnych strojach do polowania, z płonącymi magicznymi kamieniami w dłoniach.

Przewodziła im Maryse, w czarnej zbroi i płaszczu z odrzuconym kapturem. Za nią tłoczyli się wojownicy Nefilim ze Znakami na rękach i twarzach. Jeden z nich, przystojny mężczyzna o hebanowej skórze, odwzajemnił spojrzenie Clary i Isabelle, a potem spojrzał na Jace'a i Aleca, którzy wreszcie wgramolili się na szczyt schodów i teraz mrugali w jaskrawym świetle. – Na Anioła, Maryse, tam na dole już ktoś był – powiedział.

Pani Lighthwood omal nie krzyknęła na widok Isabelle i Aleca.

Potem zacisnęła wargi, tak że wyglądały jak wąska biała kreska narysowana ołówkiem na twarzy. – Wiem, Malik – wykrztusiła w końcu. – To moje dzieci.

Miecz Anioła

Przez tłum przebiegł szmer. Ci, którzy mieli kaptury naciągnięte na twarze, odrzucili je pospiesznie. Po minach Jace'a, Aleca, I i Isabelle Clary zorientowała się, że znają wielu z Nocnych Łowców zgromadzonych na dziedzińcu.

Na Anioła. – Maryse przesunęła niedowierzające spojrzenie z Aleca na Jace'a i Clary, a na koniec wróciła nim do córki.

Jace odsunął się od Aleca i stanął trochę z boku, z rękami w kieszeniach. Isabelle nerwowo skręcała w rękach złoty bicz, jej brat bawił się telefonem komórkowym. Clary nie miała pojęcia, do kogo mógłby dzwonić o tej porze.

Co tutaj robicie? Alec? Isabelle? Było wezwanie o pomoc z Cichego Miasta...

Odpowiedzieliśmy na nie – odparł Alec, patrząc z niepokojem na zebrany tłum.

Clary wcale się nie dziwiła, że jest zdenerwowany. Jeszcze nigdy nie widziała tylu dorosłych Nocnych Łowców – w ogóle Nocnych Łowców – w jednym miejscu. Przenosząc wzrok z twarzy na twarz, zauważyła, że zgromadzeni różnią się wiekiem, rasą i wyglądem, ale wszyscy emanują wielką, skoncentrowaną mocą. Wyczuwała na sobie ich dyskretne spojrzenia, badawcze, oceniające. Tylko kobieta o falujących srebrnych włosach wpatrywała się w nią natarczywie, bez cienia subtelności. Clary czym prędzej odwróciła wzrok.

Nie było was w Instytucie, nie mieliśmy kogo zawiadomić, więc sami tu przyszliśmy – dodał Alec. – Zresztą to bez znaczenia. Oni nie żyją. Cisi Bracia. Wszyscy. Zostali zamordowani.

Tym razem reakcją na jego słowa była cisza. Nocni Łowcy y znieruchomieli jak stado lwów na widok gazeli.

Nie żyją? – powtórzyła Maryse. – Jak to nie żyją? – To chyba jasne. – U boku pani Lightwood wyrosła nagle kobieta w długim, szarym płaszczu. W migotliwym świetle wyglądała jak karykatura Edwarda Goreya: same ostre kąty, włosy ściągnięte do tyłu, oczy niczym czarne jamy wydrążone w twarzy. Przez najdłuższe palce, jakie Clary w życiu widziała, miała przepleciony srebrny łańcuszek, na którym wisiał jaśniejący magiczny kamień.

Wszyscy nie żyją? Nie znaleźliście nikogo żywego w Mieście?

Alec potrząsnął głową.

Nikogo nie widzieliśmy, Inkwizytorko. A więc to była Inkwizytorka. Z pewnością wyglądała na kogoś, kto jest zdolny do wtrącenia nastoletniego chłopca do lochu tylko z powodu niewłaściwego zachowania.

Nie widzieliście – powtórzyła kobieta. Oczy miała jak twarde, błyszczące koraliki. Odwróciła się do Maryse. – Więc ktoś mógł przeżyć. Na twoim miejscu posłałabym ludzi do Miasta żeby dokładnie je przeszukali. Pani Lightwood zacisnęła usta.

Clary prawie jej nie znała, ale wiedziała, że przybrana matka Jace'a nie lubi, kiedy jej się mówi, co ma robić.

Dobrze.

Odwróciła się do Nocnych Łowców – nie było ich aż tak wielu, raczej dwudziestu niż trzydziestu, choć w pierwszej chwili mogło się wydawać inaczej – i powiedziała coś cicho do Malika. Ten skinął głową, wziął pod rękę srebrnowłosą kobietę i ruszył w stronę wejścia do Miasta Kości. W miarę jak Nefilim kolejno schodzili na dół, zabierając ze sobą magiczne kamienie, blask na dziedzińcu przygasał. Ostatnia była łowczyni o srebrnych włosach. W połowie schodów zatrzymała się i obejrzała na Clary. Jej oczy miały taki wyraz, jakby bardzo chciała coś jej powiedzieć – . . . Po chwili jednak naciągnęła kaptur na twarz i zniknęła w ciemności.

Cisze, która zapadła na cmentarzu, przerwała pani Lightwood.

Dlaczego ktoś miałby mordować Cichych Braci? Oni nie są wojownikami, nie noszą Znaków bitewnych...

Nie bądź naiwna, Maryse – powiedziała Inkwizytorka. – To nie był przypadkowy atak, tylko zbrodnia z premedytacją. Bracia wprawdzie nie są wojownikami, ale jako strażnicy świetnie się sprawdzają. W dodatku, trudno ich zabić. Komuś bardzo zależało na czymś, czego Bracia strzegli w Mieście, że był gotów na wszystko, żeby to zdobyć.

Skąd masz tę pewność?

Dzieciak zamordowany w Central Parku. Wszyscy tam poszliśmy, żeby szukać wiatru w polu. Nie nazwałabym tego szukaniem wiatru w polu. Z faerie spuszczonego krew, podobnie jak z czarownika. Te zabójstwa mogły doprowadzić do poważnych zatargów między Nocnymi Dziećmi a resztą Podziemnych...

Chodziło o odwrócenie uwagi – stwierdziła z przekonaniem Inkwizytorka. – Zabójca, chciał nas wyciągnąć z Instytutu, żeby nikt nie odpowiedział na wezwanie Braci o pomoc. Naprawdę sprytne zagranie. Ale on zawsze był sprytny.

On? – Okolona czarnymi włosami twarz Isabelle była bardzo blada. – Ma pani na myśli... – Valentine'a. Zabrał Miecz Anioła. To dlatego zabił Cichych Braci – powiedział Jace.

Jego słowa wstrząsnęły Clary, jakby dotknęła przewodu pod napięciem.

Po twarzy Inkwizytorki przemknął cień uśmiechu. Alec zmierzył Jace'a wzrokiem.

– Valentine? Nie mówiłeś, że on tu był. Nikt mnie nie pytał.

Niemożliwe, żeby to Valentine zabił Braci. Oni zostali rozszarpani. Żaden człowiek nie byłby w stanie tego zrobić.

– Pewnie miał pomocników – powiedziała Inkwizytorka. – Już wcześniej wykorzystywał demony do swoich celów. A chroniony przez Kielich, mógł wezwać bardzo niebezpieczne istoty. O wiele bardziej niebezpieczne od Pożeraczy. Albo od żalonych Wyklętych.

Mówiąc to, lekko skrzywiła wargi, a Clary odebrała jej słowa jak policzek. Słaba nadzieja, że Inkwizytorka jej nie zauważyła albo nie rozpoznała, rozwiąła się bez śladu.

– Tego nie wiem. – Choć Jace był bardzo blady, na policzkach miał wypieki jak od gorączki. – Ale to na pewno był Valentine. Widziałem go. Kiedy zszedł do lochów, miał ze sobą Miecz. Drażnił się ze mną przez kraty jak na kiepskim filmie, tyle że nie podkręcał wąsa.

Clary spojrzała na niego z niepokojeni. Mówił za szybko i niepewnie trzymał się na nogach. Inkwizytorka chyba nic nie zauważyła.

Więc Valentine przyznał się przed tobą, że zabił Cichych Braci, bo chciał zdobyć Miecz Anioła?

Powiedział ci, dokąd się wybiera i co zamierza zrobić z dwoma Darami Anioła? – wtrąciła pospiesznie Maryse. Jace pokręcił głową. Inkwizytorka zbliżyła się do niego o krok. Płaszcz powiewał wokół niej jak dym. Szare oczy i szare usta tworzyły dwie wąskie poziome linie. Nie wierzę ci.

Wcale tego nie oczekiwałem.

Wątpię, czy Clave ci uwierzy.

Jace nie jest kłamcą... – zapewnił z żarem Alec.

Użyj rozumu, Alexandre – rzuciła Inkwizytorka, nie odrywając wzroku od Jace'a. – Zapomnij na chwilę o lojalności wobec przyjaciela. Jakie jest prawdopodobieństwo, że Valentine

Zarzymał się przy celi syna na ojcowską pogawędkę na temat Miecza Anioła i nie wspomniał, co zamierza z nim zrobić ani dokąd się wybiera?

„*S 'io credesse che mia rispostafosse a persona che mai tornasse al mondo...*” – wyrecytował Jace w języku, którego Clary nie znała.

Dante. „Piekło”. Jeszcze nie jesteś w piekle, Jonathanie Morgenstern, ale jeśli nadal z uporem będziesz okłamywał Clave, pragniesz się tam znaleźć. – Inkwizytorka odwróciła się do reszty zebranych. – Czy nikomu nie wydaje się dziwne, że Miecz Anioła zniknął tuż przed próbą Jonathana Morgensterna i że ukradł go akurat jego ojciec?

Jace wyglądał na wstrząśniętego. Zupełnie, jakby taka myśl nigdy nie przyszła mu do głowy.

Ojciec nie ukradł Miecza dla mnie, tylko dla siebie. Wątpię, czy wiedział o próbie.

Tak czy inaczej, świetnie się złożyło. I dla ciebie, i dla niego.

Nie będzie musiał się martwić, że wyjawisz jego sekrety.

Tak, jest przerażony, że powiem wszystkim, że zawsze chciał być baletnicą – odparował Jace, a kiedy Inkwizytorka na niego popatrzyła, dodał mniej ostrym tonem: – Nie znam żadnych sekretów ojca. Nigdy nic mi nie mówił.

Inkwizytorka zmierzyła go lekko znudzonym wzrokiem.

Po co w takim razie twój ojciec ukradł Miecz, jeśli nie po to, żeby cię chronić?

To Dar Anioła – odezwała się Clary. – Jest potężny. Tak samo jak Kielich. Valentine lubi władzę.

Kielich można wykorzystać do stworzenia armii – powiedziała Inkwizytorka. – Nie rozumiem natomiast, jaki pożytek Valentine miałby z Miecza, który jest używany w czasie procesów.

Może wziął go, żeby zdestabilizować Clave – podsunęła pani Lightwood. – Podkopać nasze morale. Pokazać, że niczego nie jesteśmy w stanie przed nim ochronić, jeśli on tego zapagnie. – Był to zaskakująco dobry argument, choć Maryse mówiła bez zbytniego przekonania. – Faktem jest, że...

Nie usłyszeli, co jest tym faktem, bo Jace uniósł rękę, jaki chciał zadać pytanie, a potem nagle opadł na trawę. Alec natychmiast przy nim ukląkł, ale przyjaciel go odepchnął.

– Zostaw mnie w spokoju. Nic mi nie jest.

Wcale nie. – Clary ukucnęła obok Aleca. Źrenice Jace'a były bardzo duże i ciemne mimo magicznego światła rozjaśniającego nocny mrok. *Iratze*, który Alec nakreślił na jego nadgarstku, zniknął bez śladu. Nie pozostała po nim nawet słaba blizna, świadcząca o tym, że Znak zadziałał. Clary spojrzała na Aleca dostrzegła w jego oczach taki sam niepokój, jaki czuła ona. – dzieje się z, nim coś niedobrego. To poważna sprawa.

Potrzebuję Znak uzdrawiającego. – Inkwizytorka sprawiała wrażenie nie, że jest zła na Jace'a za to, że został ranny. – *Iratze* albo...

Juz próbowaliśmy – przerwał jej Alec. – Nie podziałał. Myślę że o może być demoniczna trucizna.

Demoniczna trucizna? – Maryse zrobiła ruch, jakby chciała podejść do Jace'a, ale Inkwizytorka ją powstrzymała.

– Chłopak udaje – powiedziała zdecydowanym tonem. – Powinien teraz siedzieć w celi Cichego Miasta. Alecl wstał z trawy.

Jak pani może tak mówić? Proszę na niego spojrzeć! – Wskazał na Jace'a, który z zamkniętymi oczami osunął się na ziemię – Nawet nie może ustać na nogach. Potrzebuję lekarza, lpotrzebuję...

Cisi Bracia nie żyją – przypomniała Inkwizytorka. – Masz myśli szpital Przyziemnych?

Nie. – W głosie Aleca brzmiało napięcie. – Pomyślałem o Mangusie.

Isabelle wydała dźwięk pośredni między kichnięciem a kaszlnięciem. Inkwizytorka spojrzała na Aleca pustym wzrokiem.

O Magnusie?

To o czarownik – wyjaśnił Alec. – A dokładniej mówiąc, Wysoki Czarownik Brooklynu.

Masz na myśli Magnusa Bane'a – stwierdziła Maryse. – Jego reputacja...

Wyleczył mnie po walce z Wielkim Demonem – powiedział Alec. – Cisi Bracia nie potrafili nic zrobić, a Magnus...

– To śmieszne – prychnęła Inkwizytorka. – Chcesz pomoc Jonathanowi w ucieczce.

On nie jest w stanie uciec – odezwała się Isabelle. – Nie widzi pani tego?

– Magnus nigdy by nie pozwolił, żeby Jace uciekł – oświadczył Alec. – W jego interesie nie leży drażnienie Clave.

A j ak zamierza temu zapobiec? – spytała kwaśnym tonem Inkwizytorka. – Jonathan jest Nocnym Łowcą. Nie tak łatwo utrzymać go pod kluczem.

Może powinna pani zapytać o to Magnusa – odparował Alec.

Inkwizytorka uśmiechnęła się zimno. Ależ oczywiście. Gdzie on jest?

Alec spojrział na telefon, który trzymał w ręce, a potem na stojącą przed nim chudą, szarą postać.

Tutaj. Magnus! Magnusie, pokaż się.

Nawet Inkwizytorka uniosła brwi, kiedy przez bramę wkroczył Wysoki Czarownik. Miał na sobie czarne skórzane spodnie, pas z klamrą w kształcie litery M wysadzonej klejnotami i kobaltową pruską bluzę wojskową, narzuconą na białą koronkową koszulę. Cały aż lśnił od brokatu. Zerknął na Aleca, a następnie przeniósł spojrzenie na Jace'a, który leżał na trawie.

– Nie żyje? – zapytał. – Wygląda na martwego.

– Nie! – warknęła Maryse. – Nie jest martwy.

Sprawdzaliście? Mogę go kopnąć, jeśli chcecie. –

Magnus ruszył w stronę Jace'a.

– Dość! – krzyknęła Inkwizytorka jak nauczycielka z trzeciej klasy, żądająca, żeby Clary przestała bębnić markerem po ławce – Nie jest martwy, tylko ranny – dodała, prawie z niechęcią.

– Potrzebne są pańskie umiejętności medyczne. Jonathan musi być w dobrej formie na przesłuchaniu.

Dobrze, ale to będzie was kosztować.

Zapłacę – obiecała Maryse. Inkwizytorka nawet nie mrugnęła.

Dobrze. Ale Jonathan nie może zostać w Instytucie. To, że Miecz zniknął, nie oznacza, że przesłuchanie nie odbędzie się zgodnie z planem, A tymczasem chłopaka trzeba zatrzymać pod obserwacją. Istnieje ryzyko ucieczki.

Ryzyko ucieczki? – powtórzyła Isabelle. – Sugeruje pani, że próbował uciec z Cichego Miasta... Już nie jest w celi, prawda?

To niesprawiedliwe! Nie może pani oczekiwać, że tam zostanie, wśród trupów!

Niesprawiedliwe? Niesprawiedliwe? Naprawdę oczekujesz, że uwierzę, że ty i twój brat zjawiliście się w Mieście Kości z powodu wezwania o pomoc, a nie dlatego, że chcieliście uwolnić Jonathana z niepotrzebnego, waszym zdaniem, aresztu? Oczekujesz, że uwierzę, że nie spróbujecie znowu go uwolnić, jeśli pozwolimy mu zostać w Instytucie? Sądzisz, że możesz mnie oszukać równie łatwo jak swoich rodziców, Isabelle Lightwood?

Dziewczyna zrobiła się purpurowa na twarzy, ale zanim zdążyła coś odpowiedzieć, wtrącił się Magnus:

Proszę posłuchać, to żaden problem. Mogę zatrzymać Jace'a u siebie. Inkwizytorka odwróciła się do Aleca.

Czy twój czarownik zdaje sobie sprawę, że Jonathan jest świadkiem niezwykle ważnym dla Clave?

– On nie jest moim czarownikiem. – Policzki Aleca zapłonęły czerwienią.

Już wcześniej mieszkali u mnie więźniowie Clave – rzekł Magnus. Żartobliwa nuta całkiem zniknęła z jego głosu. – Może pani sprawdzić moje referencje. Zapewniam, że są doskonałe.

Czy Clary się tylko wydawało, czy rzeczywiście Magnus y zerknął na Maryse, kiedy to mówił? Inkwizytorka wydała dźwięk który mógł być wyrazem rozbawienia albo niechęci.

– A zatem wszystko ustalone – powiedziała. – Proszę mnie powiadomić, kiedy chłopak będzie w stanie rozmawiać, czarowniku. Mam do niego dużo pytań.

– Oczywiście – odparł Magnus, ale Clary odniosła wrażenie, że wcale nie słuchał Inkwizytorki. Przeszedł przez trawnik i stanął nad Jace'em. – Może mówić? – spytał, zwracając się do Clary.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Jace otworzył oczy. Spojrzał n czarownika, otumaniony i zdezorientowany.

Co tutaj robisz? – wymamrotał. Magnus uśmiechnął się do niego szeroko. Jego zęby zalśnił jak oszlifowane diamenty.

– Cześć, współlokatorze – powiedział.

CZEŚĆ DRUGA

BRAMY PIEKŁA

„Przede mną żadne nie wszczęło się życie, oprócz odwiecznego – ja wiecznie stoję,
Rzućcie nadzieję wy, co tu wchodzicie!...”.

– Dante, „Boska komedia” (przekład: Adam Asnyk)

Jasny Dwór

We śnie Clary była znowu dzieckiem, szła wąskim pasem plaży, wzdłuż promenady na Coney Island. Powietrze wypełniał zapach hot dogów i prażonych orzeszków, śmiech i krzyki dzieci. Morze falowało, jego niebieskoszara powierzchnia wyglądała w blasku słońca jak żywa.

Widziała siebie jakby z oddali. Miała na sobie za dużą dziecięcą piżamę. Dół spodni ciągnął się po ziemi. Wilgotny piasek wchodził między palce stóp, włosy kleiły się do karku. Niebo bezchmurne i błękitne, ale ona drżała, idąc w stronę zamazanej postaci, którą widziała przed sobą.

Gdy się zbliżyła, postać nagle stała się wyraźna, jakby Clary dostroiła aparat fotograficzny. To była jej matka. Klęczała na ruinach nieukończonego zamku z piasku, w tej samej białej sukni, w którą ubrał ją Valentine w Renwick. Trzymała w ręce kawałek drewna wyrzuconego na brzeg, posrebrzonego od soli i wiatru.

Przyszłaś mi pomóc? – zapytała, unosząc głowę. Włosy miała nieuczesane, rozwiane przez wiatr, co nadawało jej młodszy wygląd. – Jest tyle do zrobienia w tak krótkim czasie.

Clary przełknęła twardą gulę, która uwięzła jej w gardle.

– Mamo, tęskniłam za tobą. Jocelyn się uśmiechnęła.

– Ja też tęskniłam, skarbie. Ale nie odeszłam, przecież wiesz, Ja tylko śpię.

– Więc jak mam cię obudzić?! – krzyknęła Clary, ale matka popatrzyła z zatroskaną twarzą na morze.

Niebo było ołowianoszare, czarne chmury wyglądały jak ogromne głowy.

– Chodź tutaj – powiedziała Jocelyn, a kiedy córka do nie podeszła, dodała: – Wyciągnij rękę.

Gdy Clary spełniła polecenie, matka przesunęła patykiem po jej skórze. Dotyk był piekący, drewno zostawiło na przedramieniu taką samą grubą i czarną kreskę, jak stela. Znaku narysowanego przez Jocelyn Clary nie znała, ale jego widok koił oczy.

– Jakie jest jego zadanie? – spytała.

– Powinien cię chronić. – Matka puściła jej rękę.

– Przed czym?

Jocelyn nie odpowiedziała, tylko spojrzała na morze. Clary odwróciła się i zobaczyła, że ocean cofnął się, zostawiając na plaży śmieci, kępy wodorostów i miotające się ryby. Woda wezbrała w falę ogromną jak górskie zbocze, jak lawina, która zaraz runie w dół. Wesole okrzyki dzieci dobiegające od strony promenady zmieniły się we wrzaski przerażenia. Patrząc ze zgroza, Clary widziała, że fala jest przezroczysta jak błona. Dostrzegła przez nią rzeczy, które poruszały się tuż pod powierzchnią morza: wielkie, ciemne, bezkształtne istoty. Wyciągnęła ręce...

Obudziła się, dysząc. Jej serce boleśnie tłukło się o żebra. Leżała w łóżku w gościnnym pokoju Luke'a, przez zasłony sączyło się popołudniowe światło. Włosy przykleiły się do spoconego karku, ręka piekła ją żywym ogniem. Kiedy usiadła i włączyła lampkę stojącą przy łóżku, wcale się nie zdziwiła na widok dużego, czarnego Znak biegącego wzdłuż jej przedramienia.

Kiedy poszła do kuchni, stwierdziła, że Luke zostawił jej na śniadanie słodkie bułeczki w zatłuszczonym kartonowym pudełku, Do lodówki był przyklejony liścik: „Poszedłem do szpitala”.

Zjadła bułeczki w drodze na spotkanie z Simonem. Miał czekać na nią o piątej na rogu Bedford, obok przystanku linii metra L, nie było go jednak w umówionym miejscu. Clary poczuła niepokój, ale na szczęście przypomniała sobie o sklepie z używanymi płytami na rogu Szóstej. I rzeczywiście Simon buszował w dziale nowości CD. Miał na sobie sztruksową kurtkę w kolorze rdzy, z podartym rękawem, i niebieski T-shirt z nadrukiem przedstawiającym chłopca ze słuchawkami tańczącego z kurczakiem. Kiedy ją zobaczył, uśmiechnął się szeroko.

Erie uważa, że powinniśmy zmienić nazwę naszego zespołu na Moj o Pie – rzucił na powitanie.

A jaka jest teraz? Zapomniałam.

Lewatywa z Szampana – odparł przyjaciel, sięgając po płytę Yo Lo Tengo.

Zmieńcie ją – poradziła Clary. – A przy okazji, wiem, co oznacza twoja koszulka.

Nie wiesz. – Simon ruszył do kasy. – Jesteś grzeczną dziewczynką.

Na dworze wiał silny, chłodny wiatr. Clary podciągnęła szalik w paski na brodę.

Martwiłam się, kiedy nie zastałam cię na przystanku – powiedziała.

Simon włożył wełnianą czapkę i skrzywił się, kiedy oślepiło go słońce.

Przepraszam. Przypomniałem sobie, że muszę mieć tę płytę, i pomyślałem...

W porządku. – Clary machnęła ręką. – To moja wina. Ostatnio łatwo wpadam w panikę.

Cóż, po tym, co przeszłaś, trudno cię winić. – W głosie Simona brzmiała skrucha. – Nadal nie mogę uwierzyć w to, co się stało w Cichym Mieście. Nie mogę uwierzyć, że tam poszłaś.

Lukę również. Strasznie się wkurzył.

– Nie dziwię się.

Szli przez McCarren Park. Trawa już przybrała zimową, rdzawą barwę, powietrze było przesycone złotym światłem. Między drzewami biegały psy bez smyczy. Wszystko się zmienia w moim życiu, a świat pozostaje taki sam, pomyślała Clary.

Rozmawiałaś od tamtego czasu z Jace'em? – zapytał obojętnym tonem Simon.

Nie, ale kilka razy pytałam o niego Isabelle i Aleca. Zdaje się, że wszystko u niego w porządku.

Prosił, żebyś go odwiedziła? Dlatego tam idziemy? Nie musi prosić. – Clary z trudem zapanowała nad irytacją.

Właśnie skręcili w ulicę Magnusa. Po obu jej stronach ciągnęły się niskie budynki magazynowe przerobione na mieszkania i studia dla artystów. Zamożnych. Większość samochodów parkujących przy krawężniku była droga.

Gdy zbliżyli się do domu Magnusa, Clary zobaczyła chudą postać wstającą ze schodów. Alec. Miał na sobie długi czarny płaszcz z mocnego, nieco błyszczącego materiału, który upodobali sobie Nocni Łowcy. Jego ręce i szyja były pokryte runami. Lekkie migotanie powietrza wokół niego świadczyło o tym, że otacza go czar niewidzialności.

nie wiedziałem, że sprowadzisz Przyziemnego. – Z niechęcią zerknął na towarzysza Clary.

To właśnie w was lubię – stwierdził Simon. – Zawsze miło mnie witacie.

Och, przestań, Alec – zirytowała się Clary. – O co chodzi? przecież Simon już tutaj był.

Alec westchnął teatralnie, wruszył ramionami i ruszył w górę po schodach. Otworzył drzwi cienkim srebrnym kluczem i szybko schował go do kieszeni na piersi kurtki, jakby miał nadzieję, że tego nie zauważą.

W świetle dziennym mieszkanie wyglądało jak pusty nocny klub po godzinach otwarcia: ciemne, brudne i zaskakująco małe. Ściany były nagie, tu i ówdzie spryskane odblaskową lilią,

deski podłogowe, na których tydzień wcześniej tańczyli faerie, spaczone i wyświecone ze starości.

Witam, witam. – Magnus wyszedł im na powitanie w długim szlafroku z zielonego jedwabiu, narzuconym na srebrną siatkową koszulę i czarne džinsy. W jego lewym uchu iskrzył się czerwony kamień.

Alec, mój drogi. Clary. I chłopiec– szczur. – Ukłonił się Simonowi. – Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

Przyszliśmy do Jace'a – powiedziała Clary. – Dobrze się czuje ?

Nie wiem. Normalnie też tylko leży na podłodze i się nie rusza?

Co...? – zaczął Alec, a kiedy Magnus się zaśmiał, rzucił nadąsany : – To nie było zabawne.

Tak łatwo cię rozdrażnić. Owszem, wasz przyjaciel czuje się dobrze. Tyle że wciąż chowa moje rzeczy i próbuje sprzątać. Teraz niczego nie mogę znaleźć. Jest kompulsywny.

– Jace lubi porządek – wyjaśniła Clary, przywołując wspomnienie jego mnisiego pokoju w Instytucie.

A ja nie. – Magnus obserwował Aleca kątem oka, podczas gdy on, naburmuszony, patrzył prosto przed siebie.

– Jace jest tam, jeśli chcecie go zobaczyć. – Wskazał na drzwi w drugim końcu pokoju.

„Tam” okazało się średniej wielkości pomieszczeniem, zaskakująco przytulnym: przecierane ściany, aksamitne zasłony w oknach, rdzawoczerwone płócienne narzuty na fotelach, które wyglądały jak duże, kolorowe góry lodowe na beżowym morzu supełkowej wykładziny. Na wściekle różowej kanapie leżało prześcieradło i koc, a obok niej worek z ubraniami. Ciężkie kotary całkowicie tłumiły blask dnia. Jedyne źródło świat stanowił migoczący ekran telewizora, choć samo urządzenie było podłączone do prądu.

– Co leci? – zapytał Magnus.

– „Czego nie nosić” – usłyszeli znajome przeciąganie samogłosek.

Kiedy Jace, niedbale rozparty na fotelu, usiadł prosto, Clary przez chwilę myślała, że wstanie i się z nimi przywita, ale on tylko wskazał głową na ekran.

– Spodnie khaki? Kto je nosi? – Odwrócił się i łypnął na Magnusa. – Prawie nieograniczona nadnaturalna moc, a ty wykorzystujesz ją, żeby oglądać powtórki. Co za strata!

– W dodatku TiVo robi mniej więcej to samo – zauważył Simon.

Mój sposób jest tańszy. – Magnus klasnął w dłonie i pokój ,nagle zalało światło. Jace, nadal rozparty w fotelu, zasłonił ręką oczy – Można coś takiego zrobić bez magii? Właściwie tak – odparł Simon. – Wiedziałbyś, gdybyś oglądał filmy informacyjno– reklamowe.

Czując, że nastrój w pokoju się pogarsza, Clary ucięła tę rozmowę:

Wystarczy. – Spojrzała na Jace’ a, który mrugał, jeszcze oślepiiony. – Musimy porozmawiać. Wszyscy. O tym, co się teraz dzieje.

Właśnie zamierzałem obejrzeć „Project Runaway” – zaproponował Jace.

Nic z tego. – Magnus pstryknął palcami i ekran zgasł, wypuszczając mały obłoczek dymu. – Masz teraz ważniejsze sprawy.

Nagle interesuje cię rozwiązywanie moich problemów?

Interesuje mnie odzyskanie mieszkania. Mam dość twoich wiecznych porządków. – Czarownik znowu pstryknął palcami i rzucił groźnym tonem: – Wstawaj.

Bo ty też obrócisz się w dym – dodał z rozmarzeniem Simon.

Nie ma potrzeby wyjaśniać moich gestów – rzekł Magnus. – Implikacje były zawarte w samym pstrykaniu palcami.

Dobrze. – Jace wstał z fotela. Był boso. Wokół jeszcze niewygojonego nadgarstka miał grubą fioletową pręgę. Wyglądał na zmęczonego, ale nie na cierpiącego. – Chcecie spotkania przy okrągłym stole, możemy urządzić spotkanie przy okrągłym stole.

Uwielbiam okrągłe stoły – powiedział rozpromieniony Magnus. – Zdecydowanie wolę je od prostokątnych.

W salonie gospodarz wyczarował wielki okrągły stół i drewnianych krzeseł o wysokich oparciach.

Zdumiewające – powiedziała Clary, siadając na jednym z nich. Okazało się bardzo wygodne. – Jak można stworzyć coś z niczego?

Nie można – odparł Magnus. – Wszystko skądś pochodzi. Na przykład te rzeczy ze sklepu z antykami na Piątej Alei A to... – Na stole nagle pojawiło się pięć białych papierowych kubków; z otworów w plastikowych wieczkach unosiła się, para. – Z Dean & DeLuca na Broadwayu.

Wygląda mi to na kradzież. – Simon przyciągnął do siebie kubek i zdjął pokrywkę. – O, mochaccino. – Spojrzył na Magnusa. – Zapłaciłeś za tę kawę?

Jasne – odparł czarownik, a Jace i Alec uśmiechnęli się drwiąco. – W magiczny sposób sprawiłem, że w ich kasach pojawiły się dolarowe banknoty.

– Naprawdę?

– Nie. – Magnus zdjął wieczko ze swojego kubka. – Ale możesz udawać, że tak zrobiłem, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej. Zatem, jaki jest pierwszy punkt obrad?

Clary objęła dłońmi swój kubek. Może ta kawa była kradziona, ale była też gorąca i zawierała kofeinę. Postanowiła, że kiedyś przy okazji wstąpi do Dean & DeLuca i wrzuci dolara do słoika na napiwki. Zdmuchnęła piankę.

Może na początek dokonajmy oceny sytuacji – zaproponowała. – Jace, mówiłeś, że za tym, co się wydarzyło w Cichy Mieście, stoi Valentine?

Tak. – Jace patrzył w swoją kawę. Alec położył mu dłoń na ramieniu.

– Co się tam stało? Widziałeś go?

Byłem w celi – odparł Jace. – Usłyszałem krzyki Cichych Braci. Potem na dół zszedł Valentine z... Nie wiem, co to było. Coś jak dym ze świecącymi oczami. Demon, ale niepodobny żadnego, jakie widziałem do tej pory. Valentine zbliżył się do krat i powiedział...

Co ci powiedział?

Alec przesunął dłoń na plecy Jace'a, a kiedy Magnus odchrząknął, pospiesznie zabrał rękę, czerwony na twarzy. Simon Uśmiechnął się szeroko, ukryty za kubkiem jeszcze nietkniętej kawki.

O Maellartachu. Chciał zdobyć Miecz Anioła, więc zabił Cichych Braci. Magnus zmarszczył brwi.

Alec, ostatniej nocy, kiedy Cisi Bracia wezwali was na pomoc, gdzie się podziało Conclave? Dlaczego nikogo nie było Instytucie?

Młody Lightwood zrobił zdziwioną minę.

Zeszłej nocy zamordowano w Central Parku Podziemnego, młodego faerie. Z ciała spuszczono krew.

Założę się, że Inkwizytorka myśli, że ja to zrobiłem – stwierdził Jace. – Moje rządy terroru trwają.

Magnus wstał i podszedł do okna. Odsunął zasłonę, wpuszczając do pokoju trochę światła. Na tle szyby zarysował się jego osrty profil.

Krew – powiedział. – Dwie noce temu miałem sen. Widziałem miasto pełne wież z kości. Krew płynęła jego ulicami woda. Simon zerknął z ukosa na Jace’a.

Czy on przez cały czas tak stoi przy oknie i mamrocze coś o krwi?

Nie, Czasami robi to, siedząc na kanapie.

Alec skarcił ich obu wzrokiem.

O co chodzi, Magnusie? – zapytał.

Krew – powtórzył Bane. – To nie może być zbieg okoliczności – Patrzył w dół na ulicę. Daleko nad miastem szybko zapadał zmrok. Niebo przybrało barwę aluminium na zmianę, z pasami różowego złota. – W tym tygodniu doszło do kilku morderstw Podziemnych. Czarownik zabity w wieżowcu przy South Street Seaport miał podejrzyte gardło i poharatane nadgarstki. W „Księżycu Łowcy” kilka dni temu zamordowano wilkołaka i też przecięto mu żyły.

To mi wygląda na wampiry – stwierdził Simon, nagle bardzo blady.

Nie sadze – powiedział Jace. – W każdym razie Raphael stanowczo twierdzi że to nie robota Nocnych Dzieci.

I oczywiście jest godny zaufania – mruknął Simon.

Myślę że w tym wypadku mówił prawdę – orzekł Magnus, zaciągając z powrotem zasłonę. Kiedy wrócił do stołu, trzymał w ręce księgę oprawioną w zielone płótno. Nie wiadomo, skąd ja wziął. – W obu miejscach była wyraźnie wyczuwalna obecność demonów. Sądzę, że ktoś inny jest odpowiedzialny za wszystkie trzy śmierci. Nie Raphael i jego plemię, tylko Valentine.

Clary zerknęła na Jace’a. Usta miał zaciśnięte w wąską kreskę wykrztusić przez zęby: – Dlaczego tak mówisz?

Inkwizytorka uważa, że zabójstwo faerie służyło odwróceniu uwagi – Powiedziała szybko Clary. – Dzięki temu Vlwntinw mógł splądrować Ciche Miasto, nie obawiając się Conclave.

Są łatwiej sze sposoby na odwrócenie uwagi – zauważył Jace. – I lepiej nie narażać się klanowi faerie. Valentine nie mordowałby bez powodu jednego z nich.

Miał powód – stwierdził Magnus. – Potrzebował od dziecka faerie tego samego, co wziął od czarownika i wilkołaka, których zabił.

Czego? – zapytał Alec.

Ich krwi – odparł Magnus, otwierając zieloną księgę. Słowa zapisane na cienkich pergaminowych stronicach jaśniały jak ogień – O, tutaj. – Uniósł wzrok, stukając w kartkę

ostrym paznokciem. Alec pochylił się, lecz Bane go uprzedził: – Nie zdoła odczytać tekstu. To język demonów.

Ale poznaję rysunek. To Maellartach. Widziałem go w książkach.

Alce wskazał na ilustrację srebrnego miecza; taki sam zniknął ze ściany sali narad w Cichym Mieście.

Rytuał Piekielnej Konwersji – powiedział Magnus. – Właśnie tego próbuje dokonać Valentine.

Co to takiego? – Clary zmarszczyła brwi. Każdy magiczny obiekt jest ściśle związany ze źródłem jej mocy – wyjaśnił Magnus. – Miecz Anioła ma serafickie pochodzenie, tak jak noże, których używają Nocni Łowcy, ale tysiąc razy potężniejszy, bo czerpie siłę od samego Anioła, a nie z anielskiego imienia. Valentine chce to zmienić tak, Zeby Maellartachem kierowały nie anielskie, tylko diabelskie moce.

Legalne dobro na legalne zło! – podsumował Simon, zadowolony z siebie.

Cytuje „Dungeons And Dragons” – wtrąciła Clary. – Nie zwracajcie na niego uwagi.

Mellartach j ako Miecz Anioła ma ograniczone zastosowanie dla Valentine’a – ciągnął Magnus. – Ale jako broń, którego demoniczna moc dorównuje jego dawnej anielskiej sile... coś możliwości jest dużo więcej. Na przykład, władza nad demonami, a nie tylko ochrona, którą daje Kielich. Mógłby wzywać demony, zmuszać je do wykonywania jego rozkazów.

Armia demonów? – wtrącił Alec.

Ten facet ma bzika na punkcie woj ska – zauważył Simon.

Albo nawet sprowadzić je do Idrisu – dokończył Magnus.

– Tylko nie pojmuję, po co – zdziwił się Simon. – Przecierz Idris to kraj Nocnych Łowców. Nie starliby demonów na proch?

Demony pochodzą z innych wymiarów – odezwał się Jace. – Nie wiemy, ile ich jest. Może nieskończona liczba. Normalnie chronią nas przed nimi czary, ale gdyby zjawily się wszystkie naraz...

Nieskończona liczba, pomyślała Clary. Przypomniała sobie Wielkiego Demona, Abbadona, i próbowała wyobrazić ich sobie setki. Albo tysiące. Zadrzała. Nagle poczuła się słaba i bezbronna – Nie rozumiem – stwierdził Alec. – Co ten rytuał ma wspólnego z zabójstwami Podziemnych?

Żeby dokonać Rytuału Konwersji, trzeba rozgrzać Miecz do czerwoności, a potem ochłodzić go czterokrotnie we krwi Podziemnych. Raz we krwi dziecka Lilith, raz we krwi Dziecka Księżyca, raz we krwi Nocnego Dziecka i raz we krwi faerie – wyjaśnił Magnus.

O, Boże! – jęknęła Clary. – Więc Valentine nie skończył z zabijaniem? Potrzebuje jeszcze jednego dziecka?

– Dwojga. Nie udało mu się z wilkołakiem. Przeszkodziło mu, zanim zdążył spuścić całą krew, której potrzebował. – Magnus zamknął księgę. Z jej kartek uniósł się kurz. – Tak czy inaczej jest w połowie konwersji Miecza. Pewnie już mógłby wykorzystać jego moc. Wzywać demony...

Ale gdyby to zrobił, pojawiłyby się doniesienia o wzroście demonicznej aktywności – zauważył Jace. – A Inkwizytorka mówiła, że jest wprost przeciwnie. Że panuje spokój.

Możliwe – zgodził się Magnus. – Jeśli Valentine wzywa wszystkie demony do siebie, nic dziwnego, że panuje spokój.

Wszyscy spojrzeli po sobie, ale zanim ktoś zdążył się odezwać, cisze przeszył ostry dźwięk telefonu. Clary aż drgnęła i wylała sobie gorącą kawę na dłoń. Syknęła z bólu.

To moja matka – powiedział Alec, sprawdzając komórkę – Zaraz wracam. – Podeszedł do okna i zaczął rozmawiać ściszym głosem.

Pokaż – zażądał Simon, sięgając po rękę Clary. To nic wielkiego – uspokoiła go Clary. Na nadgarstku miała jaskrawoczerwoną plamę. Simon pocałował oparzenie. Teraz będzie lepiej.

Clary wytrzeszczyła oczy. Nigdy wcześniej nie robił czegoś takiego. Z drugiej strony, przyjaciele właśnie tak się zachowują, prawda? Zabierając rękę, spojrzała przez stół i zobaczyła, że Jace wpatruje się w nich płonącymi złotymi oczami.

Jesteś Nocnym Łowcą – powiedział. – Wiesz, jak radzić sobie z ranami. – Pchnął w jej kierunku swoją stelę. – Użyj jej.

Nie – powiedziała Clary, odsuwając ją. Jace nakrył dłonią magiczny instrument. Clary...

Powiedziała, że nie chce – wtrącił się Simon. – Ha, ha.

Ha, ha? – Jace popatrzył na niego z osłupieniem. – To twój comeback?

Alec zamknął telefon i wrócił do stołu. – Co się dzieje? – spytał zaintrygowany.

Zdaje się, że leci odcinek „Tylko jedno życie do stracenia” – skomentował Magnus. – To wszystko jest bardzo nudne.

Alec odgarnął kosmyk z oczu.

– Powiedziałem matce o Piekielnej Konwersji. Niech zgadnę – rzucił Jace. – Nie uwierzyła ci i o wszystko obwiniła mnie. Alec zmarszczył brwi.

– Niezupełnie. Obiecała, że omówi to z Conclave, ale nie ma wpływu na Inkwizytorkę. Była zła. Zdaje się, że pani Herondale odsunęła mamę i sama przejęła dowodzenie. – Telefon znowu zabrzączał w jego ręce. – Przepraszam. To Isabelle.

Podszedł do okna z komórką przy uchu. Jace spojrzał na Magnusa.

– Chyba masz rację co do tego wilkołaka w „Księżycu Łowcy”. Gość, który znalazł jego ciało, mówił, że w zaułku oprócz niego był ktoś jeszcze, ale uciekł.

Czarownik pokiwał głową.

Wygląda mi na to, że Valentine’owi przeszkodzono w zdobyciu krwi. Pewnie spróbuje znowu z innym likantropem.

Powinnam ostrzec Luke’a – stwierdziła Clary, wstając.

Zaczekaj. – Alec wrócił do stołu z dziwną miną. Czego chciała Isabelle? – spytał Jace. Alec się zawahał.

– Isabelle mówi, że królowa Jasnego Dworu zaprosiła nas na audiencję.

Jasne – mruknął Bane. – A Madonna chce, żebyśmy zatańczył w czasie jej następnego tournée.

– Kto to j est Madonna? – zainteresował się Alec.

Kto to j est królowa Jasnego Dworu? – zawtórowała mu Clary.

Władczyni Faerie, Zaczarowanej Krainy – wyjaśnił Mangus – W każdym razie miejscowej.

Jace wsparł głowę na dłoniach.

Powiedz Isabelle, że nie.

Ale ona uważa, że to dobry pomysł – zaprotestował Alec.

Więc powiedz jej „nie” dwa razy. Alec zmarszczył brwi.

Co to miało znaczyć?

Och, sam wiesz, że niektóre pomysły Isabelle to przeboje, a Inne to prawdziwe katastrofy. Pamiętasz, jak wymyśliła, żeby przemieszczać się pod miastem opuszczonymi tunelami metra? Wspominajmy wielkie szczury...

Lepiej nie – przerwał mu Simon. – Wolałbym w ogóle nie rozmawiać o szczurach.

To co innego – upierał się Alec. – Ona chce, żebyśmy poszli do Jasnego Dworu.

Masz rację, to co innego – zgodził się Jace. – To w ogóle jej najgorszy pomysł.

Ona zna rycerza z tego Dworu – powiedział Alec. – Mówił jej, że królowa jest zainteresowana spotkaniem z nami. Isabelle podsłuchiwała moją rozmowę z matką i uważa, że gdybyśmy zdołali wyjaśnić królowej naszą teorię na temat Valentine'a i Miecza Aniołów, Jasny Dwór by nas poparł i może nawet zjednoczył się z nami przeciwko Valentine'owi.

Czy pójście tam jest bezpieczne? – zapytała Clary.

Oczywiście, że nie jest bezpieczne – odparł Jace, takim tonem, jakby zadała najgłupsze pytanie, jakie w życiu słyszał.

Clary spiorunowała go wzrokiem.

Nie wiem nic o Jasnym Dworze. O wampirach i wilkołakach jest dużo filmów, ale faerie to bajki dla dzieci. Kiedy miałam osiem lat, przebierałam się na Halloween za wróżkę. Mama robiła mi kapelusz, w którym wyglądałam jak wielki jaskier.

Pamiętam. – Simon odchylił się na oparcie krzesła i skrzyżował ręce na piersi. – Ja byłem transformerem. A konkretnie Decepticonem.

Mozemy przejść do rzeczy? – włączył się Magnus. Isabelle uważa, a ja się z nią zgadzam, że lepiej nie ignorować faerie – powiedział Alec. – Skoro chcą rozmawiać, co nam szkodzi spotkać się z nimi? Poza tym, jeśli Jasny Dwór stanie po naszej stronie, Clave będzie musiało wysłuchać, co mamy do powiedzenia.

Jace zaśmiał się bez cienia wesołości. Faerie nie pomogą ludziom.

– Nocni Łowcy nie są ludźmi – zauważyła Clary. – W każdym razie niezupełnie.

– Dla nich nie jesteśmy dużo lepsi od ludzi. A oni na pewno nie są gorsi od wampirów – stwierdził Simon. – Poza tym, między wami chyba dobrze się układało.

Jace popatrzył na niego takim wzrokiem, jakby znalazł coś rosnącego pod zlewem.

Dobrze się układało? Masz na myśli to, że przeżyliśmy? Cóż...

– Faerie to potomstwo demonów i aniołów, obdarzone anielską urodą i diabelską złośliwością – ciągnął Jace. – Wampir może cię zaatakować, jeśli wkroczysz na jego terytorium, natomiast faerie zmusi cię, żebyś tańczyła, aż umrzesz z wyczerpania,

namówi cię do pływania nocą, wciągnie pod wodę i przytrzyma, dopóki twoje płuca nie pękną, dmuchnie ci w oczy czarodziejskim pyłem, aż wyskoczą ci...

Jace! – krzyknęła Clary, przerywając jego litanię. – Zamknij się, Wystarczy.

Posłuchaj, łatwo j est przechytrzyć wampira czy wilkołaka. One nie są bystrzej sze od innych. Faerie natomiast żyją setki lat i są podstępne jak węże. Nie potrafią kłamać, ale są mistrzami kreatywnej prawdy. Odkryją, co jest twoim największym pragnieniem, i dadzą ci to w prezencie... razem ze śmiertelnym żądłem – Jace westchnął.

– Nie są skłonne do pomagania ludziom. Raczej do krzywdzenia pod pozorami pomocy.

A nie uważasz, że jesteśmy dostatecznie bystry, żeby dostrzec różnicę? – zapytał Simon.

A ty jesteś dostatecznie bystry, żeby przypadkiem nie zmienić się w szczura? Simon spiorunował go wzrokiem.

Nie sądzę, żeby twoja opinia miała jakiegokolwiek znaczenie – stwierdził. – Zważywszy na to, że nie możesz z nami iść. W ogóle nie możesz się stąd ruszyć, Jace zerwał się, przewracając krzesło.

Nie zabierzesz Clary do Jasnego Dworu beze mnie! Clary popatrzyła na niego z rozdziawionymi ustami. Poczerwieniał na twarzy, zgrzytał zębami, nabrzmiały mu żyły na szyi. Unikał jej wzroku.

Ja mogę zaopiekować się Clary – oznajmił Alec. W jego głosie brzmiała uraza, że przyjaciel wątpi w jego umiejętności. Albo z innego powodu.

Nie. – Jace spojrział mu w oczy. – Nie możesz. Alce przełknął ślinę.

Idziemy – rzekł przepaszającym tonem. – Głupio byłoby zlekceważyć prośbę Jasnego Dworu. Zresztą Isabelle pewnie już im powiedziała, że przyjdziemy.

Nie ma mowy, żebym was puścił – oświadczył Jace.

– Użyje siły, jeśli będę musiał.

Choć to brzmi kusząco, j est inne wyj ście – odezwał się Magnus, podwijając długie jedwabne rękawy.

– Jakie? Jest umowa z Clave. Nie można jej obejść.

– Ja mogę. – Czarownik uśmiechnął się szeroko. – Nigdy nie wątp we mnie, Nocny Łowco, bo moje talenty są niezrównane i imponujące. Zaczarowałem umowę z Inkwizytorką tak, że mogę wypuścić cię na krótko, jeśli inny Nefilim zajmie twoje miejsce.

A gdzie znajdziemy takiego... – zaczął Alec i urwał gwałtownie. – Aha, masz na myśli mnie. Jace uniósł brwi.

– Już nie chcesz iść do Jasnego Dwom? Alec się zarumienił.

Myślę, że raczej powinienes iść ty niż ja. Jesteś synem Valentine'a, i to ciebie z pewnością chce zobaczyć królowa. Poza tym jesteś czarujący. Jace spiorunował go wzrokiem.

Może nie w tym momencie – przyznał Alec. – Ale zwykle tak. A faerie są bardzo podatne na czyjś urok.

A j a mam dla ciebie, j eśli tu zostaniesz, cały pierwszy sezon „Gilligans Island” na DVD – dodał Magnus na zachętę.

Nikt nie potrafiłby odrzucić takiej pokusy – stwierdził Jace Nadal nie patrzył na Clary.

– Isabelle może się z wami spotkać w parku przy Turtle Pond – powiedział Alec. – Zna sekretne wejście do Dworu. Będzie tam czekać.

I jeszcze ostatnia rzecz. – Magnus wycelował upierścieniony palec w Jacea. – Postaraj się nie dać zabić w Jasnym Dworze. Jeśli zginiesz, będę miał dużo do wyjaśniania ,

W tym momencie na twarzy Jacea pojawi się uśmiech, kto , wcale nie wyrażał rozbawienia. Był niepokojący i groźny, błysk miecza dobytego z pochwy.

Wiesz, mam przeczucie, że to będzie właśnie taka sytuacja.

Mech i grube pędy roślin otaczały brzeg Turtle Pond jak bordiura z zielonej koronki. Powierzchnia stawu była nieruchoma, tylko tu i ówdzie lekko zmarszczona, w miejscach, gdzie płynąca kaczka zostawiła za sobą ślad, albo tam, gdzie wodę przeciął srebrny rybi ogon.

Isabelle siedziała w małej drewnianej altanie i patrzyła na jezioro. Wyglądała jak księżniczka z bajki, czekająca w zaklętej wieży, aż ktoś ją uratuje.

Co prawda, tradycyjna księżniczka nie zachowywałaby się taki jak Isabelle.

Ta, w wysokich butach, z batem i nożami, posiekałaby na kawałki każdego, kto próbowałby zamknąć ją w wieży, zbudowałaby most ze szczątków śmiałka i przeszła po nim beztrudno do wolności, a jej włosy przez cały czas wyglądałyby fantastycznie. To wszystko sprawiało, że trudno było ją polubić, choć Clary się starała. Jace!

– 1 Izzy – powiedział Jace, kiedy zbliżyli się do stawu. Dziewczyna drgnęła i odwróciła się szybko z olśniewającym uśmiechem.

Podbiegła do przybranego brata i go uściskała. Właśnie tak zachowują się siostry, pomyślała Clary. Nie powinny być sztywne, niezręczne i dziwne, tylko szczęśliwe i kochające. Obserwując ich powitanie, próbowała przywołać na twarz szczęśliwy, pełen miłości wyraz.

– Dobrze się czujesz? – spytał Simon. – Bo robisz zeza.

– Nic mi nie jest. – Clary zrezygnowała ze swoich wysiłków.

Na pewno? Jesteś jakaś... skrzywiona.

– Coś zjadłam.

Isabelle ruszyła w ich stronę, Jace za nią. Miała na sobie długą czarną suknię i jeszcze dłuższy płaszcz z miękkiego aksamitu koloru mchu.

Nie mogę uwierzyć, że jednak przyszlście! – wykrzyknęła. – Jak wam się udało przekonać Magnusa, żeby puścił Jace'a?

– Przehandlowaliśmy go za Aleca – odparł Simon. Isabelle zrobiła zaniepokojoną minę.

Chyba nie na stałe?

Nie – uspokoił ją Jace. – Tylko na kilka godzin. Chyba że nie wrócę – dodał w zamyśleniu. – W takim wypadku może zatrzyma Aleca. Potraktuj to jako dzierżawę z opcją wykupu. Isabelle spojrzała na niego.

– Mama i tata nie będą zadowoleni, jeśli się dowiedzą.

– Bo uwolniłaś domniemanego przestępcę, w zamian oddając własnego brata czarownikowi, który wygląda jak Jeź Sonic, a ubiera się jak Łapacz Dzieci z „Chitty Chitty Bang Bang”? – zapytał Słmon. – Pewnie nie będą.

Jace popatrzył na niego w zamyśleniu.

– Istnieje j jakiś szczególny powód, dla którego tutaj jesteś? Nie wiem, czy powinniśmy zabierać cię na Jasny Dwór. Oni nienawidzą Przyziemnych.

Simion przewrócił oczami. Znowu.

Co znowu? – spytała Clary. Za każdym razem, kiedy go irytuję, ucieka do swojego domku na drzewie z napisem „Przyziemnym wstęp wzbroniony”. – Simon wskazał na Jace'a. – Pozwolę sobie przypomnieć, że ostatnim razem, kiedy chciałeś mnie zostawić, uratowałem wam wszystkim życie. Jasne. Jeden raz...

Dwory faerie są niebezpieczne – wtrąciła Isabelle. – Nawet twoja umiejętność strzelania z łuku ci nie pomoże. To nie taki rodzaj niebezpieczeństwa.

Potrafię się o siebie zatroszczyć – oświadczył Simon.

W tym momencie dmuchnął ostry wiatr. Zamiótł suchymi liśćmi po żwirze, cisnął je pod ich nogi. Simon ukrył ręce w ocieplonych wełną kieszeniach kurtki. Nie musisz iść – powiedziała Clary. Przyjaciel zmierzył ją wzrokiem. Przypomniała sobie, jak u Luke'a nazwał ją swoją

dziewczyną, bez cienia wątpliwości czy niezdecydowania w głosie. Jedno można było powiedzieć Simonie: zawsze wiedział, czego chce. Owszem, muszę – oświadczył.

Jace prychnął.

W takim razie jesteśmy gotowi. Ale nie oczekuj szczególnych względów, Przyjemny.

Myśl pozytywnie – poradził mu Simon. – Jeśli będą potrzebowali ludzkiej ofiary, zawsze możesz zaproponować mnie. Zresztą nie jestem pewien, czy reszta z was się kwalifikuje. Jace się rozpromienił.

Zawsze miło, kiedy ktoś zgłasza się na ochotnika.

– Chodźmy – powiedziała Isabelle. – Drzwi zaraz się o tworzą.

Clary się rozejrzała. Słońce już całkiem zaszło. Pokazał się, księżyc, kremowo biały, jeszcze w pełni, lecz zacieniony z jednego brzegu, co nadawało mu wygląd oka z na pół przymkniętą powieką. Nocny wiatr szeleścił gałęziami drzew – postukiwały o siebie z dźwiękiem, jaki mogłyby wydawać puste kości.

– Gdzie są te drzwi? – zapytała Clary. Chodźcie za mną – szepnęła z tajemniczym uśmiechem Isabelle.

Ruszyła na skraj wody, zostawiając głębokie ślady w mokrym błocie. Clary szła za nią, zadowolona, że ma na sobie dżinsy, a nie spódnicę. Kiedy Isabelle podciągnęła płaszcz i suknię nad kolana, odsłaniając białe nogi nad wysokimi butami, Clary zobaczyła na jej skórze Znaki, wyglądające jak jęzory czarnego ognia. Simon idący za Clary pośliznął się na błocie i zaklął. Jace podtrzymał go odruchowo, a on wyszarpnął ramię.

– Nie potrzebuję twojej pomocy.

– Przestańcie. – Isabelle tupnęła nogą w płytką wodę na brzegu stawu. – Obaj. A właściwie wszyscy troje. Jeśli nie będziemy trzymać się razem w Jasnym Dworze, zginiemy.

– Ja nie... – zaczęła Clary.

– Może nie, ale pozwalasz im się tak zachowywać...

– Pogardliwym gestem ręki wskazała na chłopców.

– Przecież nie mogę im mówić, co mają robić!

– Dlaczego nie? Szczerze mówiąc, Clary, jeśli nie zaczniesz wykorzystywać swojej naturalnej kobiecej wyższości, nie wiem, co z tobą zrobię. – Po chwili dodała surowo: – A, żebym nie zapomiała. Na miłość Anioła, nic nie jedzcie ani nie pijcie, kiedy będziemy pod ziemią. Dobrze?

Pod ziemią? – powtórzył Simon z niepokojem. – Nikt nie mówił, że schodzimy pod ziemię.

Isabelle tylko wyrzuciła ręce w górę i z pluskiem weszła do stawu. Zielony płaszcz rozłożył się wokół niej jak wielki nenufar.

Chodźcie. Musimy zdążyć, zanim księżyc się przesunie.

Clary poszła w jej ślady. W jasnym blasku gwiazd widziała małe czarne rybki śmigające wokół jej kostek. Zacisnęła zęby, brnąc dalej. Woda była płytka i czysta, ale lodowata.

Jace wkroczył do jeziora z taką gracją, że ledwo zmącił jego gładką powierzchnię. Idący za nim Simon chlapał głośno i klął pod nosem. Tymczasem Isabelle dotarła na środek stawu i zatrzymała się, zanurzona po żebra w wodzie. Wyciągnęła rękę do Clary.

Stój.

Clary posłusznie spełniła polecenie. Tuż przed nią migotał na wodzie wielki srebrzysty talerz. Nie potrafiła wytłumaczyć tego zjawiska. Wiedziała, że odbicie księżyca powinno się odsuwać, miarę jak się zbliżała, wciąż przed nią uciekać. Ale ono tkwiło w tym samym miejscu jak zakotwiczone.

Jace, ty pierwszy – powiedziała Isabelle. – Chodź.

Przecisnął się obok Clary, odwrócił z uśmiechem, a potem wszedł tyłem w odbicie księżyca... i zniknął.

W porządku – mruknął Simon z nieszczęśliwą miną.

– To było dziwne.

Clary spojrzała na przyjaciela. Woda sięgała mu tylko do bioder, ale on drżał i kulił się, obejmując dłońmi łokcie. Uśmiechnęła się do niego i zrobiła krok do tyłu, prosto w migotliwe srebrne odbicie. Chwiała się przez chwilę, jakby straciła równowagę na najwyższym stopniu drabiny... a potem spadła tyłem w ciemność. Księżyc ją pochłoniął.

Runęła na ubitą ziemię, potknęła się i poczuła dłoń na ramieniu.

– Ostrożnie! – powiedział Jace.

Była przemoczona, strumyki zimnej wody spływały jej plecach, wilgotne włosy kleiły się do twarzy. Mokre ubranie ważyło tonę.

Znajdowali się w wydrążonym w ziemi korytarzu, oświetonym przez fosforyzujące mchy. Kłęb pnączy tworzył zasłoni, w jednym końcu tunelu, z sufitu zwisały długie włochate pędy

niczym martwe węże. Korzenie drzew, uświadomiła sobie Clary, Znajdowali się pod ziemią. Panował tu taki chłód, że oddech tworzył mgiełkę pary wokół ust.

– Zimno?

Jace też był przemoczony; jasne włosy wydawały się niemal bezbarwne w miejscach, gdzie przykleiły się do policzków i czoła. Woda spływała z džinsów i kurtki, biała koszula zrobiła się przezroczysta. Clary widziała pod nią ciemne linie Znaków i niewyraźną bliznę na ramieniu. Szybko odwróciła wzrok.

– Wszystko w porządku – zapewniła.

Nie wyglądasz, jakby było w porządku. – Jace przysunął się bliżej.

Nawet przez warstwy mokrych ubrań Clary poczuła ciepło jego ciała, grzejące jej lodowatą skórę.

Na skraju pola widzenia Clary przeleciał ciemny kształt i z hukiem runął na ziemię. To był Simon, również ociekający wodą. Dźwignął się na kolana i rozejrzał gorączkowo.

Moje okulary...

Mam je. – Clary była przyzwyczajona do pilnowania jego Okularów w czasie gry w piłkę. Zawsze spadały mu pod nogi, a on oczywiście na nie nadeptywał. – Proszę.

Simon oczyścił je z błota i wsunął na nos. Dzięki.

Clary czuła, że Jace ich obserwuje, odbierała jego spojrzenie jak wielki ciężar przyniatający jej barki. Zastanawiała się, czy Simon też odnosi podobne wrażenie. Ledwo zdążył wstać, kiedy z nieba spadła Isabelle, lądując z wdziękiem na ugiętych nogach. Woda spływała z jej długich włosów i ciężkiego aksamitnego płaszcza, ale ona nie zwracała na to uwagi. Ale ubaw!

Dość tego! – powiedział Jace. – W tym roku na gwiazdkę podaruję ci słownik.

Dlaczego? – zdziwiła się Isabelle. Żebyś poszukała w nim słowa „ubaw”. Nie jestem pewien, czy wiesz, co ono znaczy.

Psujesz całą zabawę. – Isabelle przesunęła włosy do przodu wykręciła je jak pranie. Jace się rozejrzał.

– I co teraz? W którą stronę idziemy?

W żadną – odparła Isabelle. – Czekamy, aż po nas przyjdą.

Clary nie spodobał się ten pomysł.

A skąd będą wiedzieć, że już jesteśmy? Musimy pociągnąć jakiś dzwonek czy coś w tym rodzaju?

Dwór wie o wszystkim, co się dzieje na jego terytorium – odparła Isabelle. – Nasza obecność nie pozostanie niezauważona. Simon łypnął na nią podejrzliwie.

A skąd tyle wiesz o faerie i Jasnym Dworze? Ku zaskoczeniu wszystkich Isabelle poczerwieniała. Chwilą później kurtyna z pnączy rozsunała się i wyszedł zza niej faerie, odrzucając do tyłu długie włosy. Clary widziała kilku przedstawicieli tego gatunku na przyjęciu u Magnusa. Rzuciła się je wtedy w oczy ich chłodna uroda i pewna nieziemska dzikości, którą w sobie mieli, nawet kiedy tańczyli czy pili. Ten faerie nie był wyjątkiem. Chłodną, piękną twarz o ostrych rysach okalały pasma granatowoczarnych włosów, oczy miały barwę mchu, na policzku widniało znamię albo tatuaż w kształcie liścia. Kiedy się poruszał, jego zbroja, srebrno-brązowa jak kora zimowego drzewa, mieniła się różnymi kolorami: czernią torfu, zielenią mchu, szarością popiołu, błękitem nieba. Isabelle wydała okrzyk radości i rzuciła mu się w ramiona.

– Meliorn!

A, więc stąd tyle wie – skomentował cicho Simon. Faerie delikatnie odsunął od siebie dziewczynę i spojrzał na nią z powagą.

– Nie pora na demonstrację uczuć. Królowa Jasnego Dworu zaprosiła na audiencję troje Nefilim spośród was. Idziecie?

Clary położyła dłoń na ramieniu Simona. A co z naszym przyjacielem? Meliorn zmierzył go obojętnym wzrokiem.

Przyziemni nie są wpuszczani na Dwór.

– Szkoda, że nikt wcześniej o tym nie wspomniał – powiedział Simon. – Domyślam się, że mam tu czekać, aż wypuszczę pędy?

Faerie myślał przez chwilę.

– To mogłoby być zabawne – stwierdził w końcu.

– Simon nie jest zwykłym Przyziemnym – odezwał się Jace, wprawiając wszystkich w osłupienie. – Można mu zaufać. Stoczył razem z nami wiele bitew.

To znaczy jedną – mruknął Simon. – Dwie, jeśli liczyć tę, w której byłem szczurem. – O jego zaskoczeniu najlepiej świadczyło to, że nie zdobył się na żadną złośliwą uwagę.

Bez Simona nie idziemy – oświadczyła Clary, nie zdejmując dłoni z jego ramienia. – To nie był nasz pomysł, żeby tutaj przyjść. Wasza królowa nas zaprosiła, pamiętasz?

W zielonych oczach Meliorna zabłysła iskra rozbawienia.

Jak chcecie – ustąpił w końcu. – Żeby potem nie mówiono, że Jsny Dwór nie szanuje życzeń swoich gości.

Okręcił się na pięcie i ruszył korytarzem, nie sprawdzając, czy Ida m. Isabelle przyspieszyła kroku i zrównała się z nim, zostawiając swoich towarzyszy z tyłu.

Wolno wam umawiać się z faerie? – nie wytrzymała Clary. – Czy twoim... czy Lightwoodom by nie przeszkadzało, że Isabelle i im... jak mu tam...

Meliorn – odpowiedział Simon.

I Meliorn ze sobą chodzą?

Nie jestem pewien, czy chodzą – odparł z wyraźną ironią Jace – Sądzę, że zostają w domu, a raczej pod ziemią.

Mówisz tak, jakbyś tego nie pochwalał. – Simon odsunął korzeń drzewa.

Z ziemnego korytarza trafili do drugiego, wyłożonego gładkimi kamieniami, pomiędzy których tylko miejscami zwieszał się, jakiś korzeń. Podłoga była z twardego wypolerowanego materiału przypominającego marmur, z żyłkami i plamkami, które układały się w błyszczące linie, jakby zrobiono je ze sproszkowanych klejnotów.

Nie chodzi o to, że nie pochwalam – odparł Jace. – Faerie są znane z tego, że czasami flirtują ze śmiertelnikami, ale zawsze ich porzucają, zwykle w gorszym stanie.

Jego słowa przyprawiły Clary o dreszcz. W tym momencie Isabelle się roześmiała, a kamienne ściany odbiły i wzmocniły ten dźwięk.

– Jesteś taki zabawny! – zawołała. Nagle jej obcas wpadł między dwa kamienie. Isabelle potknęła się, ale Meliorn złapał i podtrzymał, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– Nie rozumiem, jak wy, ludzie, możecie chodzić w takich wysokich butach.

Co najmniej siedem cali, to moje motto – powiedziała Isabelle ze zmysłowym uśmiechem. Meliorn zmierzył ją kamiennym wzrokiem.

– Mówię o obcasach – wyjaśniła Isabelle. – To gra słów, rozumiesz?

– Chodź – powiedział rycerz. – Królowa się niecierpliwi.

Ruszył dalej korytarzem, nie zaszczycając jej drugim spojrzeniem.

– Zapomniałam, że faerie nie mają poczucia humoru – wyburczała Isabelle, kiedy pozostała trójka się z nią zrównała.

Tego bym nie powiedział – odezwał się Jace. – Jest w śródmieściu pewien klub pixie o nazwie „Gorące Skrzydła”. Co prawda, nie byłem tam...

Simon otworzył usta, jakby zamierzał go o coś spytać, ale się rozmyślił. Tymczasem korytarz zaprowadził ich do dużej sali z klepiskiem zamiast podłogi. Wzdłuż ścian stały wysokie kamienne filary oplecione winoroślą i jasnymi kwiatami w najróżniejszych kolorach. Między kolumnami wisiały cienkie tkaniny, ufarbowane na jasny błękit. Pomieszczenie było wypełnione światłem, choć Clary nie widziała żadnych pochodni. Całość przypominała raczej letni pawilon skąpany w jasnym blasku słońca niż podziemną jaskinię z gliny i kamienia.

Pierwsze wrażenie Clary było takie, że znajduje się na powierzchni, a drugie, że sala jest pełna ludzi. W pomieszczeniu rozbrzmiewała dziwna muzyka składająca się ze słodko-kwaśnych, coś w rodzaju słuchowego odpowiednika miodu zmieszanego z sokiem cytrynowym. Tańczyli do niej faerie ustawieni w kręgu. Ich białe stopy ledwo muskały podłogę, włosy – niebieskie, czarne, brązowe, szkarłatne, złote i białe – powiewały jak sztandary.

Teraz zrozumiała, skąd się wzięła nazwa Jasny Dwór. Twarze tańczących istot były blade, ich skrzydła miały kolor liliowy, złoty i niebieski. Jak Jace mógł twierdzić, że chcą ją skrzywdzić? Muzyka, która w pierwszej chwili drażniła jej uszy, teraz brzmiała przyjemnie. Clary nabrała chęci, żeby odrzucić włosy do tyłu i ruszyć do tańca. Wiedziała, że też będzie lekka jak piórko, a jej stopy będą ledwo dotykać ziemi. Zrobiła krok do przodu...

I poczuła mocne szarpnięcie o tyłu. Jace patrzył na nią groźnie. Jego złote oczy jarzyły się jak u kota.

Jeśli zaczniesz z nimi tańczyć, nie przestaniesz, dopóki nie umrzesz – ostrzegł cicho. Clary zamrugnęła. Była zamroczona, jakby wyrwano ją ze snu, półprzytomna. Kiedy się odezwała, mówiła bełkotliwie:

Coo?

Jace prychnął ze zniecierpliwieniem. W ręce trzymał stelę. Clary nawet nie zauważyła, kiedy ją wyjął. Chwycił ją za nadgarstek i szybko nakreślił piekący Znak na jej skórze.

Teraz popatrz.

Spojrzała i... zamarła. Twarze, które wydawały się takie urocze, nadal były urocze, ale czaiło się w nich coś wilczego, niemal dzikiego. Dziewczyna o różowo-niebieskich skrzydłach skinęła na nią, a Clary zobaczyła, że jej palce to gałązki z zamkniętymi listkami, a oczy są całe czarne, bez tęczówek czy źrenic. Chłopiec tańczący obok niej miał skórę w kolorze jadowitej

zieleni i zakręcone rogi wyrastające ze skroni. Kiedy wykonał obrót, jego płaszcz się rozchylił i Clary ujrzała nagie żebra oplecione wstążkami, być może dla ozdoby. Żołądek podszedł jej do gardła.

– Chodź. – Jace pchnął ją do przodu.

Potknęła się, a kiedy złapała równowagę, rozejrzała się z niepokojem, szukając wzrokiem Simona. Odetchnęła z ulgą, kiedy zobaczyła, że Isabelle mocno go trzyma. Tym razem nie miała nic przeciwko temu. Wątpiła, czyjej przyjaciel zdołałby sani przejść przez salę.

Omijając krąg tancerzy, dotarli w drugi koniec pomieszczenia i przeszli przez zasłony z lśniącej tkaniny kołom orzecha. Isabelle puściła Simona, a on się zatrzymał. Kiedy Clary go dogoniła, zobaczyła, że na oczach ma zawiązany szalik. Teraz majstrował przy suple.

Pozwól, że ja to zrobię – powiedziała. Rozwiązała szalik i oddała go Isabelle, dziękując jej skinieniem głowy. Simon odgarnął wilgotne włosy do tyłu.

– Niezła muzyka – rzucił. – Trochę country, trochę rock and rolla.

Meliorn, który na nich czekał, zmarszczył brwi i spytał:

– A tobie nie spodobała się muzyka?

Nawet za bardzo – odparła Clary. – Co to miało być? Rodzaj testu? Żart? Faerie wruszył ramionami.

– Jestem przyzwyczajony do śmiertelników, na których nasze czary łatwo działają. Pomyślałem, że pewnie masz ochronę.

– Ma – powiedział Jace, patrząc w jadeitowe oczy rycerza.

Meliorn bez słowa ruszył dalej. Simon, który szedł obok i Clary, przez jakiś czas milczał.

Co przegapiłem? – odezwał się w końcu. – Nagie tańczące damy?

Clary pomyślała o odkrytych żebrach faerie i zadrżała. Nie musisz niczego żałować. Są sposoby, żeby przyłączyć się do zabawy faerie – wtrąciła się Isabelle. – Jeśli dadzą ci coś na przechowanie, na przykład liść albo kwiat, a ty zatrzymasz go przez całą noc, rano wszystko będzie z tobą w porządku. Albo jeśli pójdziesz gdzieś w towarzystwie faerie... – Zerknęła na Meliorna, który już na nich czekał przy zasłonie z liści.

Oto komnaty naszej pani – powiedział. – Królowa przyjdzie o północy, żeby porozmawiać o śmierci dziecka. Wtedy zdecyduje, czy wypowiedzieć wojnę.

Z bliska Clary zobaczyła, że ekran jest zrobiony z gęsto splecionych pnączy obsypanych bursztynowymi pączkami. Meliorn odsunął kotarę z roślin i zaprosił ich do pomieszczenia znajdującego się po drugiej stronie.

Clary weszła tuż za Jace'em i rozejrzała się z ciekawością.

Komnata była prosta, o ścianach z ziemi obwieszonych jasnymi tkaninami. W szklanych słojach świeciły błędne ogniki. Na niskiej sofie leżała piękna kobieta otoczona przez dworki: różnego rodzaju faerie, od małych duszków po istoty, które wyglądały jak ładne ludzkie dziewczyny o długich włosach... jeśli nie liczyć czarnych oczu pozbawionych źrenic.

Królowo – rzekł z niskim ukłonem Meliorn. – Przyprowaździłem Nefiłim.

Władczyni usiadła prosto. Miała długie szkarłatne włosy, które jakby unosiły się wokół niej niczym jesienne liście na wietrze, jej oczy były niebieskie i czyste jak szkło, spojrzenie ostre jak brzytwa.

Troj e to Nefiłim, j eden to Przyziemny – stwierdziła. Meliorn cofnął się, ale królowa nawet na niego nie spojrziała,

Przyglądała się Nocnym Łowcom. Clary czuła na sobie jej spojrzenie. Mimo urody w królowej nie było nic kruchego. Jaśniła jak płonąca gwiazda.

Przepraszamy, milady. – Jace wysunął się przed swoich towarzyszy i stanął przed królową. Zmienił ton głosu na ostrożny i delikatny. – Wszędzie zabieramy Ze sobą tego Przyziemnego, bo jesteście mu winni ochronę. Władczyni przekrzywiła głowę jak zaciekawiony ptak. Cała uwagę skupiła teraz na Jasie.

Dług krwi? – powiedziała cicho. – Wobec Przyziemnego?

– Uratował mi życie – wyjaśnił Jace.

Clary wyczuła, że stojący obok niej Simon zamierza się odezwać. W duchu nakazała mu milczenie. Jace uprzedzał ich, że faerie nie potrafią kłamać, ale on też nie skłamał. Simon naprawdę uratował mu życie. Tyle że nie z tego powodu zabierali go ze sobą. Nagle Clary zaczęła doceniać to, co Jace określił jako kreatywną prawdę.

Mieliśmy nadzieję, że pani zrozumie. Słyszeliśmy, że jest pani równie dobra jak piękna, a teraz widzę, że pani dobroć rzeczywiście musi być niezwykła.

Królowa uśmiechnęła się z zadowoleniem i pochyliła do przodu. Lśniące włosy zasłoniły jej twarz.

Jesteś równie czarujący jak twój ojciec, Jonathanie Morgenstern – stwierdziła i wskazała na poduszki rozrzucone po podłodze. – Usiądźcie obok mnie. Zjedzcie coś, napijcie się i odpocznijcie. Lepiej się wtedy rozmawia..

Przez chwilę Jace wyglądał na zdeprymowanego. Meliorn nachylił się do niego i szepnął:

Byłoby niemądrze odrzucić zaproszenie królowej Jasnego Dworu.

Isabelle zerknęła na niego i wzruszyła ramionami.

Nie zaszkodzi, jeśli tylko usiądziemy.

Mdiorn zaprowadził ich do jedwabnych poduszek otaczających sofę władczyni. Clary usiadła ostrożnie, jakby się spodziewała, że jakiś ostry korzeń tylko czeka, żeby ją ukłuć. Taką przygodę, królowa pewnie uznałaby za zabawną. Na szczęście obyło inaczej, bez niespodzianek. Poduchy okazały się bardzo wygodne.

Gdy się rozsiedli, podeszła do nich pixie o niebieskawej skórze niosąc tacę z czterema srebrnymi pucharkami. Po wierzchu złotawego napoju pływały płatki róż. Simon postawił naczynie obok siebie. Nie chcesz nawet spróbować? – zapytała pixie.

Nie posłużył mi drink faerie, który ostatnio wypilem – odburknął Simon.

Drink miał mocny, odurzający zapach, bogatszy i jeszcze przyjemniejszy niż woń róż. Clary wyjęła jeden płatek i zgmiotła go w palcach, uwalniając więcej aromatu. Jace trącił ją w ramię.

Nie pij tego – szepnął.

Ale...

Nie pij.

Clary odstawiła pucharek, tak jak Simon. Jej palec wskazujący – kciuk zabarwiły się na różowo. Słyszałam od Meliorna, że wiecie, kto zabił nasze dziecko zeszłej nocy w parku – powiedziała królowa. – I zdradzę wam, że nie jest to dla mnie tajemnicą. Faerie pozbawione krwi? Przynosicie mi imię jednego wampira? Ale to one wszystkie są winne złamaniu Prawa i powinny zostać stosownie ukarane.

Och, nie, przecież to nie wampiry – wyrwało się Isabellw.

Jace skarcił ją wzrokiem.

– Moja przyjaciółka ma na myśli to, że według nas tym mordercą jest ktoś inny. Uważamy, że być może próbuje odwrócić od siebie podejrzewania, kierując je na wampiry.

Macie dowód?

Zeszłej nocy zamordowano również Cichych Braci, ale z żadnego nie spuszczonego krwi. – Jace mówił spokojnym tonem, ale kiedy otarł się o Clary ramieniem, wyczuła jego napięcie.

– A co to ma wspólnego z naszym dzieckiem? Martwy Nefilim to tragedia dla Nefilim, ale nie dla mnie.

Clary poczuła ostre ukłucie na lewej ręce. Spojrzała w dół i zobaczyła małego duszka uciekającego między poduszkami. Na jej palcu pojawiła się kropla krwi. Clary skrzywiła się i podniosła palec do ust. Chochliki były ładne, ale ich ugryzienia paskudne.

Skradziono również Miecz Anioła – powiedział Jace.

– Słyszała pani o Maellartachu?

– To Miecz, który każe Nocnym Łowcom mówić prawdę – odparła królowa wyniośle. – My, faerie, nie potrzebujemy czegoś takiego.

– Zabrał go Valentine Morgenstern. Zamordował Cichych Braci, żeby go zdobyć. Sądzimy, że zabił również faerie. Potrzebował jego krwi, żeby dokonać transformacji Miecza i wykorzystać go do własnych celów.

I to jeszcze nie koniec – dodała Isabelle. – Valentine potrzebuje więcej krwi.

– Więcej naszej krwi? – spytała władczyni.

Nie. – Jace rzucił Isabelle spojrzenie, którego Clary nie potrafiła zinterpretować. – Więcej krwi Podziemnych: wilkołaka, wampira...

Oczy królowej rozblęły odbitym światłem.

Zdaje się, że to nie nasze zmartwienie.

Zabił jednego z waszych – przypomniała Isabelle.

– Nie chcecie zemsty? Spojrzenie władczyni musnęło ją jak skrzydło ćmy.

Nie od razu. Jesteśmy cierpliwym ludkiem, bo mamy cały czas świata. Valentine Morgenstern jest naszym starym wrogiem, ale mamy wrogów jeszcze starszych. Zadowolamy się czekaniem i obserwowaniem.

On wzywa demony – powiedział Jace. – Tworzy armię...

Demony – rzuciła królowa lekkim tonem, a jej dworzanie spokojnie szeptali między sobą. – Demony to wasza sprawa, prawda, Nocny Łowco? Czy to nie dlatego macie władzę nad nami wszystkimi, że je zabijacie?

Nie zjawiliśmy się tutaj po to, żeby wydawać rozkazy w imieniu Clave. Przybyliśmy na pani zaproszenie, bo myśleliśmy, że nam pomożecie, jeśli pozna pani prawdę.

Tak myśleliście? – Władczyni się pochyliła. Jej długie włosy falowały jak żywe. – Pamiętaj, Nocny Łowco, że niektórzy z nas mają dość rządów Clave. Może jesteśmy zmęczeni toczeniem waszych wojen.

Ale to nie jest tylko nasza wojna – zauważył Jace.

– Valentine nienawidzi Podziemnych bardziej niż demony. Jeśli nas pokona, wy będziecie następni.

Królowa wbiła w niego wzrok.

A kiedy tak się stanie, pamiętajcie, że był pewien Nefilim, który ostrzegał was przed tym, co nadchodzi – dokończył Jace.

W komnacie zapadła cisza. Nawet dworzanie umilkli i obserwowali swoją panią. Królowa oparła się o poduszki i pociągnęła łyk napoju ze srebrnego pucharku.

– Ostrzegasz mnie przed własnym rodzicem – stwierdziła. – Sądziłam, że wy, śmiertelnicy, jesteście zdolni przynajmniej do synowskich uczuć, ale ty najwyraźniej nie poczuwasz się do lojalności wobec swojego ojca.

Jace nie odpowiedział. Wyglądało na to, że po raz pierwszy zabrakło mu słów.

– A może twój a wrogość j est udawana – ciągnęła słodkim głosem władczyni. – Miłość czyni wasz gatunek kłamcami.

Ale my naprawdę nie kochamy ojca – odezwała się Clary, kiedy Jace nadal niepokojąco milczał. – Nienawidzimy go.

– Naprawdę? – Królowa sprawiała wrażenie niemal znudzonej.

– Wie pani, czym są więzy rodzinne – odezwał się w końcu Jace. – Pętają jak winorośl. A czasami zaciskają się tak mocno, że mogą zabić.

Rzęsy władczyni zatrzepotały.

– Zdradziłbyś własnego ojca dla dobra Clave?

– Tak, milady.

Śmiech pani Zaczarowanej Krainy był dźwięczny i zimny jak sople lodu.

Kto by pomyślał, że mały eksperyment Valentine'a obróci się przeciwko niemu?

Clary spojrzała na Jace'a, ale po jego minie zorientowała się, że on też nie ma pojęcia, o czym mówi królowa.

– Eksperyment? – powtórzyła Isabelle. Władczyni ją zignorowała. Spojrzenie jej świetlisto niebieskich oczu spoczęło na Jasie.

Faerie lubią sekrety – powiedziała. – Własne i cudze. Przy najbliższym spotkaniu zapytajcie ojca, czyja krew płynie w twoich żyłach, Jonathanie.

Nie zamierzałem o nic go pytać przy następnym spotkaniu– oświadczył Jace. – Ale zrobię to, jeśli pani sobie życzy, milady. Usta królowej wykrzywił uśmiech.

Myślę, że jesteś kłamcą. Ale za to jakim czarującym. Na tyle czaującym, że coś ci przyrzeknę. Zadaj ojcu to pytanie, a ja obiecuje ci swoją pomoc, jeśli wystąpisz przeciwko Valentine’owi. Jace się uśmiechnął.

Pani wspaniałomyślność dorównuje urodzie, milady. Clary zachichotała, ale królowa wyglądała na zadowoloną.

Myślę, że już doszliśmy do porozumienia – stwierdził Jace, wstając z poduszek.

Nietknięty napój zostawił obok pucharku Isabelle. Jego towarzysze również się podnieśli. Isabelle rozmawiała z Meliorem przy zasłonie z winorośli. Rycerz wyglądał na przypartego do muru.

Chwileczkę. – Królowa też wstała. – Jedno z was musi zostać.

Jace zatrzymał się w połowie drogi do wyjścia i odwrócił.

Nie rozumiem. Jej wysokość wskazała ręką na Clary.

Gdy usta śmiertelnika dotkną jedzenia albo picia, należy on do nas. Wiesz o tym, Nocny Łowco. Clary osłupiała.

Ale przecież j a nic nie wypiałam! – Popatrzyła na Jace’a. – Ona kłamie.

Faerie nie kłamią – odparł Jace. Na j ego twarzy malowało zaskoczenie i niepokój. Zwrócił się do władczyni.

– Chyba pani się myli, milady.

Spójrz na jej palec i powiedz, że go nie oblizwała. Simon i Isabelle wytrzeszczyli oczy. Clary spojrzała na swoją rękę.

– Jeden z duszków ugryzł mnie w palec – powiedziała. Przypomniała sobie słodki smak krwi zmieszanej z sokiem. W panice ruszyła do drzwi, ale zatrzymały ją niewidoczne ręce i pchnął z powrotem w głąb komnaty. Przerazona spojrzała na Jace’a. To prawda.

– Powinienem się spodziewać takiej sztuczki. – Jego twarz płonęła. Uwodzicielski wyraz zniknął z niej bez śladu. – Dlaczego pani to robi? Czego pani od nas chce? Głos królowej był miękki jak meszek pająka.

– Może po prostu jestem ciekawa. Nieczęsto mam tak blisko siebie młodego Nocnego Łowcę. Wasze dziedzictwo sięga nieba, podobnie jak nasze, i to mnie intryguje.

Ale w nas nie ma nic piekielnego, w przeciwieństwie do was – odparował Jace.

– Jesteście śmiertelnikami, starzejecie się i umieracie – powiedziała z lekceważeniem królowa. – Jeśli to nie jest piekło, powiedz mi, proszę, co nim jest?

Jeśli chce pani poddać Nocnego Łowcę obserwacji, nie będzie ze mnie dużego pożytku – wtrąciła się Clary. Z trudem zapanowała nad tym, żeby nie krzyknąć albo nie wybuchnąć łzami. Ręka ją bolała w miejscu ugryzienia. – Nic nie wiem o polowaniu na demony. Nie przesłama żadnego szkolenia. Jestem niewłaściwą osobą.

Po raz pierwszy królowa spojrzała bezpośrednio na nią. Clary omal się nie cofnęła.

– Prawdę mówiąc, Clarisso Morgenstern, jesteś najwłaściwszą osobą. – Władczyni przyglądała się jej błyszczącymi oczami. – Dzięki zmianom, które wprowadził w tobie ojciec, nie jesteś taka jak inni Nocni Łowcy. Masz inne talenty.

Talenty? – zdziwiła się Clary. Masz dar słów, których nie można wypowiedzieć, twój brat ma dar samego Anioła. Wasz ojciec o to zadbał, gdy twój brat był dzieckiem, a ty jeszcze się nie urodziłaś.

Ojciec nic mi nie dał – oświadczyła Clary. – Nawet nazwiska.

Jace również wyglądał na zaskoczonego.

Choć faerie nie kłamią, mogą zostać oszukane – zauważył – Sądzę, że padła pani ofiarą żartu albo oszustwa,

milady. We mnie ani w mojej siostrze nie ma nic szczególnego.

Zręcznie wykorzystujesz swój urok – stwierdziła ze śmiechem królowa. – Ale musisz wiedzieć, że nie jesteś zwykłym chłopcem, Jonathanie... – Przeniosła wzrok z niego na Clary, potem na osłupiałą Isabelle i z powrotem na Jace'a. – Czy to możliwe, żebyś nie wiedział?

Wiem, że nie zostawię tutaj swojej siostry. Skoro nie ma w nas żadnych tajemnic, może wyświadczy nam pani łaskę i ją wypuści? – „Dobrze się bawisz?”, mówiły jego oczy. Ton był uprzejmy, ale chłodny.

Uśmiech władczyni był szeroki, a zarazem przerażający.

A gdybym powiedziała, że może ją uwolnić pocałunek?

Jace ma panią pocałować? – ze zdumieniem spytała Clary. Królowa zanosła się śmiechem, a dworzanie natychmiast jej zawtórowali. Ten wybuch wesołości był dziwną, nieludzką mieszaniną pohukiwań, pisków, rechotów i zwierzęcych wrzasków bólu.

Mimo uroku Jonathana nie o taki pocałunek mi chodzi – odparła królowa. Cała czwórka spojrziała po sobie zaskoczona.

Mogłabym pocałować Meliorna – zaproponowała Isabelle.

Nie. Nikogo z mojego Dworu. Meliorn odsunął się od Isabelle, a ona popatrzyła na swoich towarzyszy i rozłożyła ręce. – Nie pocałuję żadnego z was. To oficjalne oświadczenie.

Jeśli chodzi tylko o pocałunek... – zaczął Simon. Przysunął się do Clary, a ona, zaskoczona, nawet nie drgnęła. Kiedy wziął ją za łokcie, z trudem się pohamowała, żeby go nie odepchnąć. Całowała się z nim wcześniej i nawet jej się to podobało, ale teraz sytuacja była dziwna i krępująca. Zerknęli przez ramię na Jace'a i zauważyła jego nachmurzoną minę.

– Nietęgo chcę – rzekła królowa głosem j ak brzęczący kryształ,

Isabelle przewróciła oczami i rzuciła ze zniecierpliwieniem:

Och, na litość Anioła. Jeśli nie ma innego sposobu, żeby się stąd wydostać, pocałuję Simona. Już to robiłam, nie było tak źle.

Dzięki – bąknął Simon. – To bardzo pochlebne.

– Niestety – powiedziała władczyni Jasnego Dworu. Na jej twarzy malowała się radość połączona z okrucieństwem, jakby ich zakłopotanie sprawiało jej wielką przyjemność. – Obawiam się, że to również wam nie pomoże.

– Nie pocałuję Przyziemnego – oświadczył Jace. – Wolę raczej zostać tu na zawsze i zgnieć.

– Na zawsze? – powtórzył Simon. – To strasznie długo.

Jace uniósł brwi.

Wiedziałem. Chcesz mnie pocałować, tak? Simon z irytacją wyrzucił ręce w górę. Oczywiście, że nie. Ale jeśli... Chyba to prawda, co mówią – zauważył Jace. – W okopach mi ma hetero.

Chodziło o ateistów, pacanie – rzucił ze złością Simon. – W okopach nie ma ateistów.

To wszystko j est bardzo zabawne, ale dziewczynę uwolni tylko pocałunek, którego ona najbardziej pragnie – oznajmiła zimno królowa. Wyraz złośliwej satysfakcji na jej twarzy jeszcze się pogłębił, ostry głos kłuł w uszy jak igły. – Tylko taki i nic więcej.

Simon zrobił minę, jakby został spoliczkowany. Clary chciała wyciągnąć do niego rękę, ale stała jak wrośnięta, zbyt przerażona, żeby się poruszyć. Dlaczego pani to robi? – zapytał Jace. Uważam raczej, że was obdarowuję. Jace się zarumienił, ale nic nie odpowiedział. Starał się nie patrzeć na Clary.

To śmieszne – odezwał się Simon. – Przecież to brat i siostra.

Królowa wzruszyła ramionami.

Niesmak nie wyklucza pragnienia. Nie można nim również, obdarzyć jak łaską tych, którzy najbardziej na nie zasługują. Zresztą sami się przekonajcie, że mówię prawdę. Jeśli ona nie chce tego pocałunku, nie będzie wolna.

Simon rzucił coś gniewnym tonem, ale Clary go nie usłyszała. W uszach jej dzwoniło, jakby miała w głowie gniazdo rozwścieczonych os.

Nie musisz tego robić, Clary, to podstęp...

Nie, to test – poprawił go Jace.

Nie wiem, jak ty, Simonie, ale ja chciałabym wydostać stąd Clary – odezwała się Isabelle z napięciem w głosie.

Pocałowałyś Aleca tylko dlatego, że królowa Jasnego Dworu cię o to prosi? – zapytał Simon.

Jasne, że tak. – Isabelle mówiła z irytacją. – Gdybym miała utknąć w Jasnym Dworze na zawsze? Wielka mi rzecz! Przecież to tylko pocałunek. – Racj a – poparł ją Jace.

Clary widziała go jak przez mgłę, kiedy zbliżył się do niej, położył dłoń na jej ramieniu i obrócił ją do siebie.

To tylko pocałunek. Głos miał ochrypy, ale dotykał jej niezwykle delikatnie Clary spojrzała mu w oczy. Były bardzo ciemne, może dlatego, że na dole panował mrok, a może z innego powodu... Widziała swoje maleńkie odbicie w jego rozszerzonych źrenicach.

Zamknij oczy i myśl o Anglii – poradził.

Nigdy nie byłam w Anglii – odparła Clary, ale zacisnęła powieki.

Czuła wilgotny ciężar ubrania, zimnego i drażniącego skórę, lepką słodycz chłodnego powietrza, dłonie Jace'a na swoich ramionach, jedyne źródło ciepła w tej podziemnej komnacie.

Poczuła muśnięcie jego warg, z początku lekkie. Rozchyliła usta pod ich naciskiem. Stwierdziła, że niemal wbrew woli topnieje i staje się uległa, oplata rękami jego szyję jak słonecznik zwracający się do słońca. On też ją objął, wsunął dłonie w jej włosy. Pocałunek

przestał być delikatny. W jednej chwili iskra zmieniła się w płomień. Clary usłyszała, że przez Dwór przebiegł szmer podobny do westchnienia, ale nie zwróciła na niego uwagi, bo zatraciła się w szumie własnej krwi płynącej w żyłach, odurzającym uczuciu nieważkości.

Jace wyplótł ręce z jej włosów, zsunął je wolno po karku na łopatki. Potem je opuścił i cofnął się o krok. Przez chwilę Clary myślała, że upadnie. Miała wrażenie, że straciła ważną część ciała rękę albo nogę. Patrzyła na Jace'a skonsternowana i oszołomiona. Co czuł? Może zupełnie nic? Tego chyba nie zniosła.

Odwzajemnił spojrzenie, a ona dostrzegła na jego twarzy i oczach taki sam wyraz jak w Remick, kiedy patrzył, jak Brama oddzielająca go od rodzinnego domu roztrzaskuje się na drobne kawałki. Wytrzymał wzrok Clary przez ułamek sekundy, a potem odwrócił głowę. Ściągnął na szyi miał napięte, dłonie zaciśnięte w pięści i opuszczone.

Zadowoleni?! – krzyknął do władczyni i jej dworzan.

– Dobrze się pani bawiła?

Królowa uniosła rękę do twarzy, zasłaniając uśmiech.

Jesteśmy niezmiernie zadowoleni – oświadczyła.

– Ale z pewnością nie tak jak wy dwoje.

Mogę tylko przypuszczać, że bawią was emocje śmiertelników, bo nie macie własnych – odparował Jace. Uśmiech zniknął z ust królowej.

Spokojnie, Jace – rzuciła ostrzegawczo Isabelle i zwróciła się do Clary: – Możesz już wyjść? Jesteś wolna?

Clary podeszła do drzwi i nie była zaskoczona, kiedy po drodze nie napotkała żadnego oporu. Trzymając rękę wśród pnączy, odwróciła się do Simona. Patrzył na nią takim wzrokiem, jakby nigdy wcześniej jej nie widział.

Powinniśmy iść – stwierdziła. – Nin będzie za późno. Już jest za późno – mruknął Simon.

Meliorn wyprowadził ich z Jasnego dworu i zostawił w parku bez jednego słowa. Miał sztywne plecy nieprzystępną postawę.

Kiedy wyskoczyli ze stawu, nie pożegnał się z nikim, nawet z Isabelle, tylko odwrócił się i zniknął w drgającym odbiciu księżyca.

Isabelle patrzyła za nim z nachmurzoną miną.

Jace wydał dźwięk podobny do stłumionego śmiechu i postawił kołnierz mokrej kurtki. Wszyscy się trzęśli. Chłodna noc pachniała ziemią, roślinami i miastem. Clary niemal wyczuwała

zapach żelaza w powietrzu. Pierścień budynków w parku migotał od niezliczonych światełek: lodowato niebieskich, zielonych, jaskrawoczerwonych. Woda pluskała cicho o brzeg stawu. Odbicie księżyca przesunęło się w drugi koniec jeziora i tam drżało, jakby ze strachu przed nimi.

Lepiej wracajmy. – Isabelle otuliła się mokrym płaszczem. – Nim zamarzniemy na śmierć.

Powrót na Brooklyn zajmie nam całe wieki – stwierdziła Clary. – Może powinniśmy wziąć taksówkę.

Albo pójść do Instytutu – podsunęła Isabelle. Widząc spojrzenie Jace'a, dodała szybko: – I tak nikogo tam nie ma. Wszyscy są w Mieście Kości i szukają śladów. Tylko wpadniecie na chwilę i przebierzecie się w coś suchego. Poza tym, Instytut to nadal twój dom, Jace.

Dobrze – zgodził się od razu ku jej zaskoczeniu. – I tak muszę coś wziąć ze swojego pokoju. Clary się zawahała.

Sama nie wiem. Mogłabym złapać taksówkę i wrócić z Simonem. – Gdyby spędzili ze sobą trochę czasu, wyjaśniłaby mu, co się stało w Jasnym Dworze, i że nie było wcale tak, jak myślał.

Jace, który sprawdzał, czy woda nie zaszkoziła jego zegarkowi, spojrzał teraz na nią, unosząc brwi.

To może być trochę trudne, zważywszy na to, że już sobie poszedł.

Co?

Clary odwróciła się. Simon zniknął. Stali nad stawem tylko we trójkę. Pobiegnęła kawałek w górę zbocza, wykrzykując jego imię. Dostrzegła go w oddali. Szedł szybko betonową ścieżką prowadzącą na ulicę. Zawołała go jeszcze raz, ale nawet się nie obejrzał.

Śmierć nie będzie miała władzy

Isabelle miała rację. Instytut był zupełnie opustoszały. No, niemal zupełnie. Na czerwonej kanapie w foyer spał Max. Okulary miał przekrzywione, na podłodze leżała upuszczona, otwarta książka, stopy w tenisówkach w bardzo niewygodnej pozycji zwiślały z brzegu sofy.

Clary zrobiło się ciepło na sercu. Max przypominał jej Simona w wieku dziewięciu albo dziesięciu lat: okulary, duże uszy, mruganie.

– Max jest jak kot. Może spać wszędzie. – Jace zdjął mu okulary i położył je na niskim inkrustowanym stoliku. Miał wyraz twarzy, którego Clary nigdy wcześniej nie widziała: zaskakująco opiekuńczy i łagodny.

– Zostawcie jego rzeczy w spokoju, bo tylko je ubłocicie – rzuciła z irytacją Isabelle, rozpinając mokry płaszcz. Suknią przykleiła się jej do ciała, gruby skórzany pas pociemniał od wody. Wystawała zza niego rączka lśniącego bata. – Czuję, że Się przeziębicie. Idę wziąć gorący prysznic.

Kiedy ruszyła korytarzem, Jace odprowadził ją wzrokiem i niechętnym podziwem.

– Czasami przypomina mi się pewien wiersz. „Isabelle, Isabelle, niczym się nie przejmowała. Isabelle nie krzyczała, nie zmykała...”.

A ty kiedykolwiek masz ochotę krzyczeć? – zapytała Clary.

Czasami. – Jace zdjął mokry płaszcz i powiesił go na kołku obok płaszcza Isabelle. – Ona ma rację z tym gorącym prysznicem. Też by mi się przydał.

Ja nie mam się w co przebrać – powiedziała Clary. Nagle zapragnęła kilku chwil dla siebie. Korciło ją, żeby zadzwonić do Simona, dowiedzieć się, czy wszystko u niego w porządku. – Tutaj na ciebie zaczekam.

Nie bądź głupia. Pożyczę ci koszulę. – Przemoczone dzinsy wisały mu nisko na biodrach, tak że między paskiem a brzegiem T-shirtu widać było kawałek bladej, wytatuowanej skóry. Clary odwróciła wzrok.

Nie sądzę...

Chodź. I tak chcę ci coś pokazać. – Mówił zdecydowanym tonem.

Idąc za Jace'em do jego pokoju, Clary ukradkiem zerknęła na ekran komórki i poczuła lód w piersi. Simon nie próbował zadzwonić. Dwa tygodnie temu pokłócili się po raz pierwszy od wielu lat. Od tamtej pory wydawało się jej, że wciąż jest na nią wściekły.

Pokój Jace'a był taki, jak go zapamiętała: porządny i pusty jak cela mnicha. Żadnych plakatów na ścianach, żadnych książek na nocnym stoliku, nic, co świadczyłoby o właścicielu. Nawet kołdra na łóżku była śnieżnobiała.

Jace podszedł do komody i wyjął z niej niebieski T- shirt z długimi rękawami. Rzucił go Clary.

– Skurczył się w praniu. Pewnie i tak będzie na ciebie za duży, ale... – Wzruszył ramionami. – Idę pod prysznic. Krzycz, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

Skinęła głową, trzymając koszulkę przyciśniętą do piersi jak tarczę. Jace chciał chyba jeszcze coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Ponownie wzruszył ramionami i zniknął w łazience, zamykając za sobą drzwi.

Clary opadła na łóżko i wyjęła telefon z kieszeni. Wybrała numer Simona. Po czterech dzwonek odezwała się poczta głosowa. „Cześć, dodzwoniłeś się do Simona. Albo nie mam przy sobie telefonu, albo cię unikam. Zostaw wiadomość i...”.

– Co robisz?

Jace stał w otwartych drzwiach łazienki. Pod prysznicem głośno leciała woda, pomieszczenie wypełniała para. Był bez koszuli, bosy, dołki w kościach biodrowych, widoczne nad nisko opuszczonymi dżinsami, wyglądały jak zrobione palcami w glinie. Clary zamknęła komórkę i rzuciła ją na łóżko.

– Nic. Sprawdzalam godzinę.

– Na stoliku j est zegar – zauważył Jace. – Dzwoniłaś do Przyziemnego, tak?

On ma na imię Simon. – Clary zmięła T- shirt w kulę. A ty nie musisz przez cały czas być wobec niego takim dupkiem. Nieraz ci pomógł. Oczy Jace'a były przymrużone, spojrzenie zamyślane. Od pary wypełniającej łazienkę skręciły mu się włosy.

Czujesz się winna, bo uciekł. Ja nie zadawałbym sobie trudu, żeby do niego dzwonić. Jestem pewien, że będzie cię unikał.

Clary nie próbowała hamować gniewu. A ty to wiesz, bo jesteście bliskimi przyjaciółmi? Wiem, bo widziałem wyraz j ego twarzy, zanim odszedł. Ty na niego nie patrzyłaś, a ja tak.

Clary odgarnęła z oczu i przeczesła ręką wilgotne włosy. Skóra swędziała ją w miejscach, gdzie przywarło do niej mokre ubranie. Pewnie cuchnęła jak dno stawu. Nie mogła zapomnieć i warzy Simona, kiedy w Jasnym Dworze spojrział na nią na tak, jakby jej nienawidził.

To twoja wina! – rzuciła nagle, ogarnięta złością.

– Nie powinienesz być mnie tak całować.

Jace, dotąd oparty o framugę drzwi, teraz stanął prosto.

A jak powinienem cię całować? Wolisz inny sposób?

Nie. – Jej ręce drżały. Były zimne, białe, pomarszczone od wody. Splotła palce, żeby przestały się trząść. – Po prostu nie chcę być całowana przez ciebie.

Nie sądzę, żeby któreś z nas miało wybór w tej kwestii.

I właśnie tego nie rozumiem! – rozgniewała się Clary. – Dlaczego cię zmusiła, żebyś mnie pocałował? To znaczy, królowa. Jaką przyjemność mogła z tego czerpać?

– Słyszałaś, co powiedziała. Uważała, że wyświadcza mi przysługę.

To nieprawda.

Prawda. Ile razy muszę ci powtarzać, że faerie nie kłamią.

Clary przypomniały się słowa Jace'a wypowiedziane u Magnusa. „Odkryją, co jest twoim największym pragnieniem, i dadzą ci to...”. Więc się pomyliła.

Nie pomyliła się. – Ton Jace'a był gorzki. – Zauważyła, jak na ciebie patrzę, jak ty na mnie, a Simon na ciebie. Zagrała na nas jak na instrumentach.

– Wcale na ciebie nie patrzę – wyszeptała Clary. Co?

Powiedziałam, że wcale na ciebie nie patrzę. – Rozplotła spoczywające na kolanach dłonie. Zostały na nich czerwony ślady w miejscach, gdzie zaciskała palce. – A przynajmniej się staram.

Jace miał zmrużone oczy, tak że tylko złotawy blask przeświecał przez rzęsy. Clary dobrze pamiętała pierwszy raz, kiedy go zobaczyła. Przypominał jej wtedy lwa, płowego i śmiertelnie groźnego.

– Dlaczego?

– A jak myślisz? – Jej głos był prawie bezdźwięczny. Dlaczego? – Jace pokręcił głową. – Po co te wszystkie historie z Simonem, dlaczego wciąż mnie odpychasz, nie pozwalasz mi się do siebie zbliżyć...

– Bo to niemożliwe! – Ostatnie słowo bardziej przypominało jęk, mimo wysiłków Clary, żeby nad sobą zapanować. – Wiesz o tym równie dobrze jak ja!

Bo j esteś moją siostrą. Skinęła głową.

– I dla odwrócenia uwagi postanowiłaś wykorzystać swojego starego przyjaciela Simona?

To nie tak. Kocham Simona. Podobnie jak Luke’a – powiedział Jace. – I matkę. Nie. – Jej głos był zimny i ostry jak sople lodu. – Nie mów mi, co czuję.

Kącik ust Jace’a zdrzął ledwo dostrzegalnie. Nie wierzę ci.

Clary wstała. Nie mogła spojrzeć mu w oczy, więc utkwiała wzrok w małej bliźnie w kształcie gwiazdy na jego ramieniu, pamiętając po jakiejś dawnej ranie. „Nie bierzesz udziału w tym życiu pełnym blizn i zabijania”, powiedział kiedyś Hodge.

Jace, dlaczego mi to robisz? Bo mnie okłamujesz. I siebie też. – Oczy Jace’a płonęły i choć ręce miał schowane w kieszeniach, widać było, że sązaciśnięte w pięści. W Clary coś pękło. Słowa same popłynęły z jej ust.

Co mam powiedzieć? Prawdę? Prawda jest taka, że kocham Simona tak, jak powinnam kochać ciebie. Chciałabym, żeby to on był moim bratem, a nie ty, ale nic nie mogę na to poradzić, I ty także! A może masz jakieś pomysły, skoro jesteś tak cholernie sprytny?

Jace z sykiem wciągnął powietrze, a Clary uświadomiła sobie, nic spodziewał się takiego wyznania, nawet za milion lat. Świadczył o tym wyraz jego twarzy. Spróbowała odzyskać panowanie nad sobą. Jace, przepraszam, nie chciałam... Nie przepraszaj. Nie żałuj. – Podeszedł do niej, omal nie potykając się o własne stopy. Jace, który nigdy się nie potykał, który wszystko robił z gracją. Ujął w dłonie jej twarz. Poczwała ciepło jego palców. Wiedziała, że powinna się odsunąć, ale stała jak wrośnięta, patrząc mu w oczy. – Nie rozumiesz. – Jego głos drżał – Nigdy nie czułem czegoś takiego wobec nikogo. Nie sadiłem, że potrafię. Myślałem, że... to, jak dorastałem... mój ojciec...

„Kochać to niszczyć” – powiedziała w odrętwieniu.

– Pamiętam.

– Myślałem, że moje serce jest złamane. – Kiedy to mówił, miał taką minę, jakby był zaskoczony własnymi słowami. „Moje serce”. – Na zawsze. Ale ty...

– Jace, przestań. – Clary nakryła rękami jego dłonie, splotła jego palce ze swoimi. – To bez sensu.

Nieprawda. – W głosie Jace’a brzmiała desperacja. – Jeśli oboje czujemy to samo...

Nie ma znaczenia, co czujemy. Nic nie możemy zrobić.

Własny głos wydał jej się obcy: daleki, żaloszny. – Dokąd musielibyśmy uciec, żeby być razem? Jak mielibyśmy żyć? Moglibyśmy zachować tajemnicę. Ludzie by się dowiedzieli. Ja nie chcę okłamywać moje rodziny, a ty?

Jakiej rodziny? – zapytał z goryczą. – Lightwoodowie i tak już mnie nienawidzą.

– Wcale nie. Ja nie mogłabym powiedzieć Lukę'owi. A mojej mamie, kiedy się obudzi? To, czego pragniemy, byłoby obrzydliwe dla wszystkich, na których nam zależy...

Obrzydliwe? – Oderwał ręce od jej twarzy, jakby go odepchnęła. – To, co czujemy... co ja czuję, jest dla ciebie obrzydliwe?

Zaparło jej dech, gdy dostrzegła wyrazu jego oczu.

– Może – wyszeptwała. – Nie wiem.

– Więc powinnaś była powiedzieć to od razu. Jace...

Ale on już się od niej odsunął, z ponurą miną. Aż trudno było uwierzyć, że przed chwilą patrzył na nią inaczej.

– Przepraszam za to, co powiedziałem. – Mówił sztywnym, oficjalnym głosem. – Nie będę cię więcej całował. Możesz być spokojna.

Serce Clary wykonało powolne salto, kiedy ruszył do łazienki, biorąc po drodze ręcznik z komody. Ale... Jace, co robisz?

Idę wziąć prysznic. Jeśli przez ciebie zleciała cała gorąca i, będę bardzo zły. – Kopniakiem zamknął za sobą drzwi,

Clary opadła na łóżko i spojrzała w sufit. Był pusty jak twarz Jace'a, zanim się od niej odwrócił. Przekręciła się na bok i stwierdziła, że leży na jego niebieskim T- shircie. Koszulka nawet nim pachniała: mydłem, dymem i krwią. Zwinęła się wokół niej, tak jak kiedyś w dzieciństwie wokół ulubionego koca, i zamknęła oczy.

We śnie patrzyła na wodę lśniąca przed nią jak bezkresne lustro, w którym odbija się nocne niebo. I podobnie jak lustro, woda była gładka i twarda, tak że mogła po niej chodzić. Szła, wdychając nocne powietrze i zapach miasta, migoczącego w oddali jak zamek faerie ozdobiony światełkami. W miejscach, gdzie stąpnęła, pojawiała się pajęczyna pęknięć, a spod jej nóg tryskały w górę odłamki szkła.

Niebo zaczęło jaśnieć. Przecinały je ogniste punkciki, niczym płonące zapałki. Leciały z nieba, a ona kulila się przed deszczem rozżarzonych węgielków, zasłaniała się rękoma. Jeden spadł tuż przed nią, ale kiedy uderzył w ziemię, zamienił się w chłopca. To był Jace, cały złocisty: złote oczy i włosy, białe– złote skrzydła, szersze i gęściej porośnięte piórami niż u ptaka.

Uśmiechnął się jak kot i wskazał za nią. Clary się obejrzała i zobaczyła, że za jej plecami stoi ciemnowłosy chłopiec. Simon? Z jego pleców też wyrastały skrzydła, czarne jak noc. Końce piór były zakrwawione.

Clary obudziła się, dysząc ciężko. Przyciskała do siebie koszulkę Jace'a. W sypialni było ciemno, z wąskiego okna nad łóżkiem sączyło się łagodne światło ulicznych latarni. Usiadła. Głowę miała ciężką, bolał ją kark. Szybko rozejrzała się po pokoju i aż podskoczyła, kiedy tuż obok siebie zobaczyła dwa świecące punkciki, jak oczy kota.

W fotelu obok łóżka siedział Jace. Miał na sobie dżinsy i szary sweter, włosy suche i uczesane. W ręce trzymał coś, co lśniło jak metal. Broń? Ale przed czym miałby jej strzec tutaj, w Instytucie?

– Dobrze spałaś?

Kiwnęła głową. W ustach miała sucho.

– Dlaczego mnie nie obudziłeś? – spytała. Uznałem, że przyda ci się odpoczynek. Poza tym,

spałaś jak zabita. Nawet się śliniłaś. Na moją koszulkę. Clary podniosła rękę do ust. Przepraszam.

Nieczęsto się widzi, żeby ktoś się ślinił z takim zapamiętaniem – bezlitośnie ciągnął Jace. – Szeroko otwarte usta, i w ogóle.

Och, zamknij się. – Clary pomacała łóżko wokół siebie i znalazła komórkę. Spojrzała na ekran, choć wiedziała, co zobaczy. – Jest trzecia rano – stwierdziła z konsternacją. – Myślisz, że z Simonem wszystko w porządku?

Prawdę mówiąc, uważam, że jest dziwny – odparł Jace. – I nie sądzę, żeby to miało coś wspólnego z porą. Clary schowała telefon do kieszeni dżinsów.

Idę się przebrać.

Biała łazienka Jace'a nie była większa od łazienki Isabelle, ale dużo czystsza. Pokoje w Instytucie niewiele się od siebie różniły, ale przynajmniej zapewniały prywatność. Clary

zamknęła za sobą drzwi i zrzuciła wilgotną koszulę. Powiesiła ją na stojaku na ręczniki, spryskała twarz wodą, przeczesała grzebieniem skołtunione włosy.

T-shirt Jacea okazał się, zgodnie z jego przewidywaniami, za duży ale był miękki i przyjemnie ciepły. Clary podwinęła rękawy i wróciła do sypialni. Jace siedział w tym samym miejscu i w zadumie wpatrywał się w lśniący przedmiot, który trzymał w rekach. Clary oparła się o tył fotela.

Co to jest?

Zamiast odpowiedzieć, Jace obrócił przedmiot tak, że mogła mu się przyjrzeć. Był to odłamek szkła, ale zamiast odbicia swojej twarzy Clary zobaczyła w nim zieloną trawę, błękitne niebo i czarne, nagie gałęzie drzew.

Nie wiedziałam, że go zatrzymałeś – powiedziała. – Kawalek Bramy.

To po niego chciałem tutaj wrócić. – W jego głosie tęsknota mieszała się z nienawiścią. – Wciąż myślę, że może zobaczę w nim ojca i zorientuję się, co zamierza.

Ale jego przecież tam nie ma, prawda? Jest tutaj. W mieście.

Jace pokręcił głową.

Magnus go szukał i wcale tak nie uważa.

Magnus go szukał? Nie wiedziałam. Jak...

Magnus nie na darmo został Wysokim Czarownikiem. Jego moc rozciąga się na całe miasto i poza jego granice. On wyczuwa różne rzeczy. Clary prychnęła.

Wyczuwa zakłócenia Siły? Jace obrócił się w fotelu i spojrzał na nią, marszcząc brwi.

– Nie żartuję. Po zabójstwie tamtego czarownika w TriBeCA zaczął się przyglądać sprawie. Kiedy u niego zamieszkałem, poprosił mnie o jakąś rzecz należącą do mojego ojca, która ułatwiłaby tropienie. Dałem mu pierścień Morgensternów. Obiecał, że da mi znać, jeśli wyczuje obecność Valentine'a w mieście, ale do tej pory tego nie zrobił.

Może po prostu zależało mu na twoim pierścieniu. Zdaje się, że lubi biżuterię.

– Może go sobie zatrzymać. – Jace zacisnął dłoń wokół kawałka szkła. Ostre, nierówne brzegi odłamka przecięły mu skórę. Pokazała się krew. – Dla mnie jest bezwartościowy.

Hej, spokojnie. – Clary wyjęła mu szkło z ręki i schowała do kieszeni kurtki wiszącej na ścianie. Dłonie Jace'a były poznaczone czerwonymi kreskami. – Może powinniśmy wrócić do Magnusa – zaproponowała ostrożnie.

– Alec już tak długo czeka...

Wątpię, czy ma coś przeciwko temu – odparł Jace, ale posłusznie wstał z fotela i sięgnął po stelę leżącą na komodzie. Narysował Znak gojenia na wierzchu krwawiącej dłoni i powiedział: – Chciałbym cię o coś zapytać.

O co?

– W jaki sposób zabraliście mnie z celi w Cichym Mieście? Jak otworzyliście drzwi?

Och, po prostu użyłam zwykłego Znaku otwarcia i... Przerwało jej ostre brzęczenie. Odruchowo włożyła rękę do kieszeni, ale od razu się zorientowała, że dźwięk jest o wiele głośniejszy i bardziej przenikliwy niż ten, który wydawała jej komórka. Rozejrzała się zaskoczona.

To dzwonek do drzwi Instytutu – powiedział Jace, łapiąc kurtkę. – Chodź.

Znajdowali się w połowie drogi do foyer, kiedy ze swojej sypialni wypadła Isabelle w bawełnianym szlafroku, różowej jedwabnej masce do spania odsuniętej na czoło, z zaspanymi oczami.

Jest trzecia rano! – W jej głosie wyraźnie brzmiała pretensja – Kto dobija się do drzwi o trzeciej rano?

Może Inkwizytorka. – Na samą tę myśl Clary zadrżała.

Powinna sama sobie otworzyć – zauważył Jace. – Każdy Nocny Łowca to potrafi. Instytut jest zamknięty tylko dla Przyziemnych i Podziemnych. Clary poczuła ściskanie w sercu.

Simon! To na pewno on!

Och, na litość boską! – Isabelle ziewnęła. – Czy on naprawdę musi przychodzić o tej nieludzkiej porze, żeby udowodnić ci swoją miłość? Nie mógł zadzwonić? Przyziemni to takie cymbały.

W foyer było pusto. Max najwidoczniej przeniósł się do łóżka. Isabelle przecięła hol i wcisnęła guzik na ścianie. Z głębi katedry dobiegło głucho dudnienie. Winda już jedzie.

Że też nie miał dość rozumu i godności, żeby się upić i zasnąć w jakimś rynsztoku – powiedział Jace. – Muszę stwierdzić, że mnie rozczarował.

Clary go nie słuchała. Narastał w niej strach. Krew pulsowała jej w skroniach. Przypomniała sobie swój sen: anioły, lód, Simon z krwawiącymi skrzydłami. Zadrżała. Isabelle spojrzała na nią ze współczuciem.

Zimno tutaj. – Zdjęła z wieszaka niebieski aksamitny płaszcz. – Masz, włóż to.

Clary szczerze otuliła się miękką tkaniną. Płaszcz był za długi ale ciepły. I miał kaptur podszyty satyną. Odrzuciła go do i tyłu, żeby widzieć drzwi windy.

Gdy się otworzyły, w lustrzanych ścianach zobaczyła własny twarz, bladą i przestraszoną. Bez namysłu wskoczyła do środka i Isabelle popatrzyła na nią z konsternacją.

– Co robisz?

– To Simon – powiedziała Clary. – Jestem pewna. Ale...

Jace wszedł za nią i przytrzymał drzwi Isabelle.

– Chodź, Izzy.

Dziewczyna westchnęła teatralnie i wsiadła do windy.

Clary próbowała pochwycić spojrzenie Jace'a, kiedy w milczeniu jechali na dół – podczas gdy Isabelle upinała ostatnie pasmo włosów – ale on na nią nie patrzył. Zerkał na siebie z ukosa w lustrze windy, gwiżdżąc cicho pod nosem, jak zawsze, kiedy był zdenerwowany. Przypomniała sobie lekkie drżenie jego rąk, kiedy ją objął w Jasnym Dworze. Pomyślała o wyrazie twarzy Simona, a potem o jego ucieczce, gdy zniknął w mroku zalegającym skraj parku. Żołądek miała ściśnięty, ale nie wiedziała, skąd ten strach.

Drzwi windy otworzyły się na nawę katedry, oświetloną tańczącym blaskiem świec. Clary przepchnęła się obok Jace'a i popędziła wąskim przejściem między ławkami. Potknęła się o brzeg płaszcza, podciągnęła go niecierpliwym gestem i ruszyła dalej biegiem do drzwi. Podwójne wrota były zaryglowane sztabami z brązu grubości jej ramienia. Kiedy sięgnęła do najwyższej, w kościele znowu rozbrzmiał dzwonek. Usłyszała, że Isabelle szepcze coś do Jace'a, sięgnęła do najwyższego rygla i poczuła czyjeś silne ręce na swoich – to Jace pomagał jej otworzyć ciężkie drzwi.

Do środka wpadł podmuch, płomienie świec zaskwierczały. Nocne powietrze pachniało miastem: solą i spalinami, chłodnym betonem i śmieciami, a spod tych znajomych woni przebijał zapach miedzi.

Z początku Clary myślała, że schody są puste. Potem zobaczyła e stoi na nich Raphael z czarnymi lokami rozwianymi przez nocny wiatr, w białej koszuli rozpiętej pod szyją, w zagłębieniu której widać było bliznę. Na rękach trzymał bezwładne ciało. Tylko to dostrzegła Clary, patrząc na niego w oszołomieniu. Ciało. Trupa z rękami i nogami zwisającymi jak u szmacianej lalki, z głową odchyloną do tyłu i rozharatany gardłem. Poczowała, że dłoń Jace'a

zaciska się na jej ramieniu jak imadło, i dopiero wtedy zobaczyła znajomą sztruksową kurtkę z podartym rękawem i niebieski T- shirt poplamiony krwią. Krzyknęła.

Clary poczuła, że uginają się pod nią kolana. Upadłaby na ziemię, gdyby Jace jej nie przytrzymał.

Nie patrz – szepnął jej do ucha. – Na litość boską, nie patrz.

Ale ona nie mogła nie patrzeć na krew sklejącą kasztanowe włosy Simona, na jego rozszarpane gardło, na pocięte nadgarstki. Z trudem łapała oddech, przed jej oczami miała czarne plamy. To Isabelle chwyciła jeden z pustych świeczników z boku drzwi i wycelowała nim w Raphaela niczym trójzębem.

Co zrobiłeś Simonowi? – W tym momencie jej głos, czysty rozkazujący, zabrzmiał dokładnie jak głos jej matki.

El no es muerto – odpowiedział Raphael głosem pozbawionym emocji.

Z zaskakującą delikatnością położył Simona na ziemi niemal u stóp Clary. Już zapomniiała, że mimo swojej smukłej budowy Raphael ma nadnaturalną siłę wampirów. W blasku świec, który wylewał się przez drzwi, zobaczyła, że przód koszuli Simona jest mokry od krwi. – Powiedziałeś... – zaczęła.

On żyje. – Jace objął ją mocniej. – Nie umarł.

Clary odsunęła się od niego gwałtownie i opadła na kolana. Nie czuła odrazy, kiedy wsunęła ręce pod głowę przyjaciela i położyła ją sobie na kolanach. Czuła tylko dziecięce przerażenie, które pamiętała z czasów, kiedy miała pięć lat i rozbiła bezcenna lampę Liberty należącą do matki. „Nic się nie stało”, usłyszała znajomy głos. „Posklejamy ją”.

Simon – wyszeptała, dotykając jego twarzy. Nie miał okularów. – Simon, to ja.

– On cię nie słyszy – powiedział Raphael. – Umiera. Clary gwałtownie uniosła głowę.

Ale mówiłeś...

– Mówiłem, że jeszcze nie umarł. Ale za kilka minut, może dziesięć, jego serce przestanie bić. Już nie widzi ani nie słyszy.

Clary instynktownie objęła Simona.

– Musimy zawieźć go do szpitala... albo zadzwonić do Magnusa.

Nic nie poradzą – stwierdził Raphael. – Nie rozumiesz.

Rzeczywiście nie rozumiemy – odezwał się Jace głosem miękkim jak jedwab najeżony szpilkami. – Może powinienes się wytłumaczyć, bo inaczej uznam, że jesteś przeklętą pijawką, i wytnę ci serce. Powinienem był to zrobić, kiedy ostatni raz się spotkaliśmy. Raphael uśmiechnął się bez krzty rozbawienia.

Przysięgłeś, że nie zrobisz mi krzywdy, Nocny Łowco. Zapomniałeś?

Ja nie przysięgałam – wtrąciła się Isabelle, nadal ściskając świecznik.

Wampir ją zignorował. Patrzył na Jace'a. Pamiętam, jak tamtej nocy wdarłeś się do Dum ort, szukałeś swojego przyjaciela. – Wskazał na Simona. – Dlatego kiedy znalazłem go w hotelu, przyniosłem tutaj, zamiast pozwolić, żeby inni wyskali go do ostatniej kropli. Włamał się, więc był dla nas ucziwą zdobyczą. Ale ja zachowałem go przy życiu, bo nie chcę wojny z Nefilim.

Włamał się? – powtórzyła z niedowierzaniem Clary. – Simoii nigdy nie zrobiłby czegoś tak głupiego i szalonego.

Ale zrobił – zapewnił Raphael. – Bał się, że staje się jednym z nas. Chciał wiedzieć, czy można odwrócić ten proces. Może pamiętasz, że kiedy był szczurem, a ty po niego do nas przysłaś, ugryzł mnie w palec.

Godne uznania – skomentował Jace.

Może – mruknął Raphael. – W każdym razie spróbował mojej krwi. A wiecie, jak przekazujemy sobie nawzajem moc. Przez krew.

Przez krew. Clary przypomniała sobie, jak Simon wybiegł do łazienki w czasie filmu o wampirach, jak krzywił się w blasku słońca w McCarren Park.

Myślał, że zmienia się w jednego z was – powiedziała. – Poszedł do hotelu, żeby się przekonać, czy to prawda.

Tak – potwierdził Raphael. – Najgorsze jest to, że gdyby nic nie zrobił, jego objawy z czasem by zniknęły. A teraz... – Wskazał na bezwładne ciało.

Co teraz? – zapytała Isabelle. – Umrze?

I zmartwychwstanie. Będzie wampirem.

Świecznik wypadł z rąk Isabelle, jej oczy się rozszerzyły.

Co?

Jace chwycił prowizoryczną broń, zanim uderzyła w podłogę, Kiedy odwrócił się do Raphaela, jego wzrok był posepny.

Kłamiesz.

Zaczekaj, to sam się przekonasz – odparł Raphael. – Umrze i wstanie jako Nocne Dziecko. Przyszedłem tutaj również z tego powodu. Simon należy teraz do mnie. – W jego głosie nie było siadu ani smutku, ani radości, ale Clary nie mogła się nie zastanawiać, czy jednak nie cieszy się w duchu z takiego obrotu wydarzeń.

– Nic nie można zrobić? Nie ma sposobu, żeby odwrócić ten proces? – zapytała z paniką w głosie Isabelle.

Clary zdziwiła się, że akurat tych dwoje – Jace i Isabelle, którzy nie kochali Simona tak jak ona – próbuje o niego walczyć. Ale być może przemawiali w jej imieniu dlatego, że ona nie mogła wykrztusić słowa.

– Można by uciąć mu głowę i spalić jego serce w ogniu, ale wątpię, czy to zrobicie – powiedział Raphael.

– Nie! – Clary mocniej objęła Simona. – Nie waż się zrobić mu krzywdy.

– Nie zamierzam.

Nie mówiłam do ciebie. – Clary nie spojrzała na wampira. – Nawet o tym nie myśl, Jace. Nawet o tym nie myśl.

W ciszy, która zapadła po jej słowach, było słycać przyspieszony oddech Isabelle. Raphael oczywiście nie oddychał wcale. Jace wahał się przez chwilę, a potem zapytał:

– A czego chciałby dla siebie Simon?

Clary gwałtownie uniosła głowę. Na widok Jace'a, który trzy ma w ręce trójramienny świecznik, przez głowę przemknął jej obraz lichtarza wbitego w pierś Simona i tryskającej z niej fontanny krwi.

Odejdź! – krzyknęła tak głośno, że ludzie idący w oddali ulica obejrzeliby się spłoszeni.

Jace zbladł aż po korzonki włosów. Na zupełnie białej twarzy jego oczy wyglądały jak złote dyski, ogromne i nieludzkie.

Clary, nie sądzisz...

W tym momencie Simon raptownie zaczerpnął tchu i wygiął się w łuk w jej objęciach. Clary znowu krzyknęła i przytuliła go mocniej.

Oczy miał duże, niewidzące i przerażone. Wyciągnął rękę, i ona nie była pewna, czy próbuje dotknąć jej twarzy, czy ją odepchnąć.

To j a – powiedziała, delikatnie kładąc j ego rękę z powrotem na piersi, splatając palce z jego palcami. – Simon,

to ja, Clary. – Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła, że jej dłonie są mokre od krwi, która przesiąkła przez jego koszulę, i od łez, które ciekły jej po twarzy. – Kocham cię. Zaciśnięte ręce na jej dłoniach, wydał ostatnie, chrapliwe tchnienie i przestał oddychać.

Kocham cię. Kocham cię. Kocham cię. Ostatnie słowa skierowane do Simona rozbrzmiewały echem w uszach Clary, kiedy znieruchomiał w jej objęciach. Isabelle mówiła jej coś do ucha, ale ona słyszała tylko głośny szum, jakby toczyła się ku niej fala przypiływu. Patrzyła, jak Isabelle na próżno usiłuje oderwać jej dłonie od rąk Simona. Była zdziwiona. Nie czuła, żeby ścisnęła je aż tak mocno.

W końcu Isabelle się poddała. Wyprostowała się, odwróciła do Raphaela i zaczęła coś do niego gniewnie krzyczeć. W połowie tyrady Clary wrócił słuch, jakby ktoś nagle włączył radio ...i co teraz mamy zrobić?

Pogrzebać go – odparł wampir. Świecznik zadrżał w dłoni Jace'a. – To nie jest zabawne.

Bo wcale nie żartuję – powiedział Raphael spokojnie. – Właśnie tak z nami jest. Umieramy, grzebie się nas, a my potem sami powstajemy z grobu i w ten sposób rodzimy się na nowo. Isabelle skrzywiła się z odrazą.

Nie potrafiłabym tego zrobić.

Niektórzy nie potrafią – przyznał Raphael. – Jeśli nie ma nikogo, kto by im pomógł się odkopać, zostają pod ziemią uwięzieni jak szczury.

Z gardła Clary wyrwał się zdławiony szloch, bardziej przypominający skowyt.

Nie pochowam go w ziemi – oświadczyła. Więc pozostanie w takim stanie, w jakim jest teraz – ostrzegł Raphael. – Martwy, ale nie całkiem. Nigdy się nie przebudzi.

Wszyscy teraz patrzyli na nią. Isabelle i Jace tak, jakby wstrzymywali oddech, czekając na jej odpowiedź, Raphael obojętnie, niemal ze znużeniem.

Nie wszedłeś do Instytutu, bo nie możesz, tak? – zapytała Clary. – Bo to jest święta ziemia.

Niezupełnie... – zaczął Jace, jednak Raphael przerwał mu gestem.

– Muszę was uprzedzić, że nie ma dużo czasu. Im dłużej zwlekamy z włożeniem go do grobu, tym mniej jest prawdopodobne to, że będzie w stanie się odkopać.

Clary spojrzała na Simona. Gdyby nie krwawe rany na nagiej skórze, naprawdę wyglądałby tak, jakby spał.

Możemy go pogrzebać – zdecydowała. – Ale na żydowskim cmentarzu. I chcę tam być, kiedy się obudzi. Oczy Raphaela zabłysły.

To nie będzie przyjemne.

Chodźmy. – Clary zacisnęła usta. – Zostało tylko kilka godzin do świtu.

Ładne i spokojne miejsce

Cmentarz znajdował się na obrzeżach Queens, gdzie bloki mieszkalne ustępowały miejsca szeregom wiktoriańskich domów pomalowanych na pastelowe kolory: różowy, biały i niebieski. Ulice były szerokie i opustoszałe, aleja prowadząca do cmentarza nieoświetlona, nie licząc jednej latarni. Trochę czasu zajęło im otwarcie bramy stelarni i kolejną chwilę znalezienie ustronnego zakątka na grób. Clary, Jace'a i Isabelle chronił czar, ale nie było sposobu, żeby ukryć Raphaela albo ciała Simona. W końcu wybrali szczyt niskiego pagórka, osłoniętego gęstym rzędem drzew od drogi, która biegła w dół.

Pozostałe zbocza wzniesienia były usiane nagrobkami, z których wiele wieńczyła Gwiazda Dawida. Gładkie i białe jak mleko, lśniły w blasku księżyca. W oddali połyskiwało jezioro o lekko zmarszczonej powierzchni. Ładne miejsce, pomyślała Clary. W sam raz, żeby przyjść, złożyć kwiaty na grobie i posiedzieć chwilę, wspominając zmarłego. Ale co innego w nocy pod osłoną ciemności grzebać przyjaciela w płytkim grobie, bez, trumny czy mszy.

Cierpiał? – zapytała Raphaela. Wampir przerwał kopanie i oparł się o rączkę łopaty jak grabarz. „Hamleta”.

Co?

Simon. Cierpiał?

Nie. Wykrwawienie to nie jest taka zła śmierć – odparł Raphael. – To przyjemne, jak zasypianie. Ugryzienie działa jak narkotyk.

Clary zakręciło się w głowie. Przez chwilę myślała, że zemdleje.

Chodź – wyrwał ją z zamyślenia głos Jace'a. – Nie musisz na to patrzeć.

Wyciągnął do niej rękę. Za nim stała Isabelle z batem w ręce. Owinięte w koc ciało Simona leżało na ziemi, u stóp Clary, jakby go strzegła.

Chcę tutaj być, kiedy się obudzi – oświadczyła z uporem.

Wiem. Zaraz wrócimy.

Kiedy się nie poruszyła, wziął ją za ramię i poprowadził w dół zbocza. Tuż nad pierwszą linią grobów znajdowały się głazy. Jace usiadł na jednym z nich i zapiał kurtkę. Było

zadziwiająco zadziwiająco jak na tę porę roku. Clary widziała swój oddech zmieniający się w parę.

Usiadła na kamieniu obok Jace'a i spojrzała na jezioro. Słyszała rytmiczny stuk łopaty uderzającej w ziemię. Raphael nie był człowiekiem. Pracował szybko. Grób nie musiał być głęboki a wykopanie go nie powinno zająć dużo czasu.

Ból przeszył wnętrzności Clary. Zgięła się wpół. Niedobrze mi.

Wiem. Dlatego cię stamtąd zabrałem. Wyglądałaś, jakbyś miała zwymiotować na stopy Raphaela. Clary jęknęła cicho.

– Mógłbym zetrzeć ten uśmiezek z j ego twarzy – rzekł z namysłem Jace. – To jest do rozważenia.

– Zamknij się. – Skurcze ustały. Clary odchyliła głowi,– do tyłu i spojrzała na księżyc, wyszczerbiony srebrny talerz dryfujący po morzu gwiazd. – To moja wina.

Nie twoja.

– Masz rację To nasza wina. Jace odwrócił się do niej.

– Jak na to wpadłaś? – zapytał z irytacją. Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

Przydałby mi się fryzjer. Jego włosy – koloru białego złota w blasku księżyca – podwijały się na końcach, wyraźnie za długie. Blizny na twarzy i szyi wyglądały jak narysowane metalicznym atramentem. Jest piękny, pomyślała z żalem. Ani jeden rys, kształt kości policzkowych, szczęki czy ust, nie świadczył o więzach krwi łączących go z nią czy z Jocelyn. Jace nie był podobny nawet do Valentine'a.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz?

Chciała rzucić mu się w ramiona i wybuchnąć szlochem, a jednocześnie miała ochotę stłuc go pięściami.

– Gdyby nie to, co się wydarzyło w Jasnym Dworze, Simon by żył – powiedziała.

Jace schylił się, wyrwał kępę trawy razem z grudkami ziemi i cisnął ją na bok.

– Królowa nas zmusiła. Nie zrobiliśmy tego dla zabawy ani żeby go zranić. Poza tym, jesteś moją siostrą – dodał z cieniem uśmiechu na ustach.

Nie mów tak...

Jak? „Siostró”? – Jace pokręcił głową. – Kiedy byłem dzieckiem, odkryłem, że gdy dostatecznie często powtarza się jakieś słowo, traci ono swoje znaczenie. Leżałem w łóżku i

powtarzałem różne wyrazy: „cukier”, „lustro”, „szept”, „ciemność”. „Siostra”, jesteś moją siostrą.

Nie ma znaczenia, ile razy to powtórzysz, bo nadal to będzie prawda.

I nie ma znaczenia, że mi tego zabronisz, bo to i tak będzie prawda.

Jace! Przyniosłem krew. Tak jak prosiłeś. – Alec, lekko zdyszany po biegu, wręczył mu czarną plastikową torbę.

Za nim kroczył Magnus, wysoki, chudy i groźny w długim skórzanym płaszczu, który powiewał na wietrze jak skrzydła nietoperza.

Jace otworzył torbę, zajrzał do środka i się skrzywił.

Sam nie wiem, czy pytać, skąd to masz.

Ze sklepu mięsnego na Greenpoincie – odparł Magnus. – To zwierzęca. Usuwają ją z mięsa, żeby było kosherne.

Krew to krew – skwitował Jace, wstając z glazu. Spojrzał Na Clary i zawahał się. – Kiedy Raphael mówił, że to nie będzie przyjemny widok, nie kłamał. Możesz tutaj zostać. Przyślę Isabelle, żeby z tobą zaczekała. Clary uniosła głowę. W świetle księżyca gałęzie drzew rzucały i cinie na jej twarz.

Widziałeś kiedyś, jak wampir wstaje z grobu?

Nie, ale...

Więc tak naprawdę nie wiesz, jak to wygląda, prawda? – Wstała z kamienia. Płaszcz Isabelle opadł wokół niej szeleszczącymi fałdami. – Chcę przy tym być. Muszę.

W mroku widziała tylko fragment jego twarzy, ale zdawało się jej, że dostrzega na niej... podziw.

Wiem, że nie ma sensu mówić ci, co możesz robić – stwierdził Jace. – Chodźmy.

Gdy dotarli na polankę, Raphael właśnie uklepywał duży prostokąt ziemi. Magnus i Alec, którzy szli w pewnej odległości za nimi, chyba się o coś kłócili. Ciało Simona zniknęło Isabelle siedziała na ziemi, z batem zwiniętym na kolanie Drżała.

Jezu, jaki ziąb! – Clary szczerzej otuliła się płaszczem. Starła się nie myśleć o tym, że jego brzeg jest poplamiony krwią Simona. Aksamit był ciepły. – Zupełnie, jakby w ciągu jednej nocy przysła zima.

– Ciesz się, że to nie zima – powiedział Raphael, opierając łopatę o pień drzewa. – Ziemia wtedy zamarza i robi się twajak żelazo. Nie da się jej kopać. Czasami pisklę musi parę miesięcy głodować w grobie, zanim się narodzi.

– Tak ich nazywacie? – zapytała Clary. – Pisklęta?

– Słowo wydawało się niewłaściwe, zbyt przyjazne. Kojarzyło się z żółtymi kurczaczkami.

Tak. – W tym momencie Raphael dostrzegł Magnusa i przez jego twarz przemknął wyraz zdziwienia. – Wysoki Czarownik. Nie spodziewałem się ciebie tutaj.

Byłem ciekaw – odparł Magnus. Jego kocie oczy błysły. – Nigdy nie widziałem zmartwychwstania Nocnego Dziecka i Raphael zerknął na Jace'a, który opierał się o pień drzewa.

– Obracasz się w znakomitym towarzystwie, Nocny Łówco – skomentował.

Mówisz o sobie? – odparował Jace, wygładzając ziemie; czubkiem buta. – To mi wygląda na chępliwość.

– Może miał na myśli mnie – odezwał się Alec. Tak rzadko żartował, że wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni. Widząc na sobie ich wzrok, uśmiechnął się niepewnie. – Przepraszam, to nerwy.

Niepotrzebnie przepraszasz – rzekł Magnus, sięgając do jego ramienia. Alec szybko się odsunął. Czarownik opuścił rękę.

– Co teraz robimy? – zapytała Clary, obejmując się rękoma. Chłód wciskał się we wszystkie pory jej ciała. Z pewnością było zbyt zimno jak na późne lato.

Raphael zauważył ten gest i uśmiechnął się nieznacznie.

Przy zmartwychwstaniu zawsze jest zimno – powiedział. – Żeby się wykluć, pisklę czerpie siłę i energię z otaczających je żywych istot. Clary zmierzyła go wzrokiem. Ty się nie trzęsiesz.

Ja nie żyję. – Odsunął się od grobu i skinął na pozostałych, żeby zrobili to samo. – Zróbcie miejsce. Simon nie da rady się podnieść, jeśli wszyscy będziemy nad nim stać.

Cofnęli się pospiesznie. Isabelle chwyciła Clary za łokieć. Miała zbielejące wargi.

– Co się dzieje? – zapytała Clary.

Może trzeba pozwolić mu odejść... – zaczęła Isabelle.

– Czyli umrzeć. – Clary wyszarpnęła ramię z jej uścisku. – Lepiej, żeby wszyscy, którzy nie są tacy jak ty, byli martwi. Tak uważasz, prawda?

Isabelle zrobiła nieszczęśliwą minę. Janie...

Po polanie przebiegł dźwięk niepodobny do żadnego, jakie Clary w życiu słyszała. Coś w rodzaju dudniącego rytmu, który dochodził z głębi ziemi, jakby nagle głośniejsze zaczęło bić serce świata. Co się dzieje?

W tym momencie ziemia wybrzuszyła się i uniosła pod jej nogami. Clary opadła na kolana. Grób zafalował jak powierzchnia niespokojnego oceanu. Gdy się otworzył, z małego przypominającego mrowisko wyłoniła się ręka z rozpostartymi palcami.

Simon! – Clary próbowała do niego podbiec, ale Raphael złapał ją od tyłu.

– Puść mnie! – Zaczęła się szarpać, ale uścisk wampira stałowy. – Nie widzisz, że on potrzebuje pomocy?

Powinien zrobić to sam. – Raphael nadal ją więził. – Tak jest najlepiej.

– To twój sposób, a nie mój!

Clary w końcu mu się wyrwała i rzuciła przed siebie, ale chwilę później poleciała do tyłu, kiedy uniósł się pod nią grunt. Z naprędce wykopanego grobu wydostawał się skulony stwor drapiąc brudnymi pazurami ziemię. Nagie ramiona miał umazane krwią. Wygramolił się na powierzchnię, podpełzł kilka kroków i upadł.

– Simon – wyszeptała Clary.

Bo oczywiście to był Simon, a nie żaden stwór. Dźwignęli się na nogi i podbiegła do niego, zapadając się w rozkopanej ziemi.

– Clary! – krzyknął Jace. – Co robisz?

Potknęła się, gdy jej stopa wpadła w dołek. Wylądowała na kolanach obok Simona, który nadal leżał bez ruchu, jakby na prawdę był martwy. Zgubił okulary, włosy miał brudne i po sklepane grudami ziemi, jego T-shirt był podarty, a pod nim widniała krew.

Simon. – Clary dotknęła jego ramienia. – Jesteś... Jego ciało stężało pod jej dotykiem, wszystkie mięśnie się napięły, zrobiły twarde jak żelazo.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Gidy odwrócił głowę, zobaczyła jego oczy. Były puste, bez życia. Zerwał się z krzykiem, skoczył na nią błyskawicznie jak atakujący wąż i powalił ją na ziemię.

Simon! – zawołała, ale on najwyraźniej nie słyszał. Twarz miał wykrzywioną i zniekształconą, kiedy zamajaczył nad nią z obnażonymi kłami. Białe i ostre, lśniły w blasku księżyca. Przerażona Clary kopnęła go, ale Simon chwycił ją za ramiona i przydusił do ziemi.

Ręce miał zakrwawione, paznokcie połamane, ale był niewiarygodnie silny. Ścisnął ją mocno, pochylił się...

I pofrunął do tyłu, jakby nic nie ważył. Clary zerwała się, dysząc, i zobaczyła ponurą twarz Raphaela,

Mówilem ci, żebyś trzymała się od niego z daleka – powiedział, klękając przy Simonie, który leżał skulony parę metrów dalej i dygotał.

Clary z sykiem wciągnęła powietrze. Zabrzmiało to jak szloch.

On mnie nie poznaje.

Poznaje, ale jest głodny. – Raphael obejrzał się przez ramię. – Potrzebuje krwi.

Jace, który, blady na twarzy, stał nad grobem jak wmurowany, zrobił krok do przodu i bez słowa podał mu plastikową torbę, jakby składał ofiarę. Raphael chwycił ją i rozerwał. Ze sirodka wypadło kilka przezroczystych woreczków z czerwonym płynem. Szepcząc coś, wampir rozpruł jeden ostrymi paznokciami, przy okazji spryskując krwią przód koszuli, i tak już pobrudzonej ziemią.

Simon chyba wyczuł pokarm, bo zwinął się w kłębek i jęknął żałośnie. Nadal się trząsł. Orał paznokciami ziemię, wywracając oczyma. Raphael szybko podsunął mu woreczek z krwią i trochę szkarłatnej cieczy kapnęło na twarz Simona.

– Masz, pisklaku – powiedział niemal pieszczotliwym głosem. – Pij. Pij.

Simon, który od dziesiątego roku życia był wegetarianinem pił tylko ekologiczne mleko i mdlał na widok igieł, wyrwał woreczek z chudej ręki Raphaela i przystawił go do ust. Pochłonął krew kilkoma haustami i z jękiem odrzucił pusty pojemnik Starszy wampir natychmiast wcisnął mu do ręki drugi.

– Nie pij za szybko – ostrzegł. – Zemdli cię. Simon oczywiście zlekceważył radę. Udało mu się bez mocy otworzyć drugi woreczek. Wychylił go łapczywie, z zamkniętymi oczami. Krew ściekała z kącików jego ust na szyję, brudziła ręce.

Raphael odwrócił się, spojrzał na Clary i pozostałych. Wszyscy mieli na twarzy identyczne miny: przerażenia i odrazy.

Następny posiłek nie będzie już tak wyglądał – uspokoił ich wampir.

Clary odwróciła się i ruszyła chwiejnym krokiem przez polankę. Słyszała, że Jace ją woła, ale się nie zatrzymała. Kiedy dotarła do drzew, zaczęła biec. W połowie zbrocza poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Opadła na kolana i zwymiotowała. Kiedy doszła do siebie,

odpełzła kawałek dalej i wyciągnęła się na ziemi. Prawdopodobnie leżała na czyimś grobie, ale jakoś nie robiło to na niej wrażenia. Przytuliła rozpaloną twarz do chłodnej trawy i pomyślała, po raz pierwszy w życiu, że może jednak martwi wcale nie są takimi pechowcami.

Dym i stal

Oddział intensywnej terapii Beth Hospital zawsze kojarzył się Clary z Antarktyką znaną jej z fotografii. Zimny i obcy, cały w bieli i szarościach z bladoniebieskimi akcentami. Ściany pokoju były białe, rurki wijące się wokół głowy jej matki i rzędy pikających urządzeń szare, koc naciągnięty na pierś niebieski, twarz blada. Rude włosy Jocelyn kontrastowały ze śnieżną bielą poduszki niczym jaskrawa flaga zatknięta na biegunie.

Clary zastanawiała się, gdzie i jak Lukę zdobył pieniądze na opłacenie izolatki. Pewnie mogłaby go o to zapytać, kiedy wróci z brzydkiej małej kafejki mieszczącej się na trzecim piętrze szpitala. Kawa z automatu wyglądała jak smoła i podobnie smakowała, ale Lukę najwyraźniej uzależnił się od tego świństwa.

Metalowe nogi krzesła stojącego przy łóżku zazgrzytały, gdy Clary je odsunęła i usiadła, wyglądając spódnicę. Kiedy przychodziła w odwiedziny, ze zdenerwowania zasychało jej w ustach, jakby coś nabroiła i teraz czekały ją kłopoty. Może działo się tak dlatego, że podobną twarz, bez wyrazu i życia, widywała tylko wtedy, gdy matka była bliska wybuchu gniewu.

– Mamo – powiedziała cicho, ujmując jej lewą dłoń. Skóra, zawsze szorstka, spierzchnięta, pobrudzona farbami i terpentyną, przypominała w dotyku korę drzewa. Clary poczuła twarda, gulę w gardle. – Mamo, ja... – Odchrząknęła. – Lukę mówi, że mnie słyszysz. Nie wiem, czy to prawda. Tak czy inaczej, muszę z tobą porozmawiać. Nie szkodzi, jeśli mi nie odpowiesz. Posłuchaj, chodzi o to, że... – Przełknęła ślinę i spojrzała za okno.

Ponad ceglany murem wznoszącym się naprzeciwko szpitala było widać skrawek błękitnego nieba. – Chodzi o Simona. Coś mu się stało. Z mojej winy.

Kiedy z powrotem spojrzała na twarz matki, opowieść sama popłynęła z jej ust. O poznaniu Jace'a i innych Nocnych Łowców, o poszukiwaniu Kielicha Anioła, o zdradzie Hodge'a i bitwie w Renwick, o tym, jak się dowiedziała, że Valentine jest ojcem jej i Jace'a. I o ostatnich wydarzeniach: nocnej wizycie w Cichym Mieście,

O Mieczu Anioła, o nienawiści Inkwizytorki do Jace'a, o kobiecie ze srebrnymi włosami. Następnie opowiedziała matce o Jasnym Dworze, o żądaniu królowej, o tym, co się później stało

z Simonem. Czują w gardle piekące łzy, ale mówienie sprawiało jej ulgę, choć zrzuciła ciężar z serca przed kimś, kto prawdopodobnie jej nie słyszał.

– Tak więc wszystko schrzaniłam. Pamiętam, jak mówiłaś, że człowiek dojrzewa wtedy, gdy spogląda wstecz i chce zmienić różne rzeczy. To chyba oznacza, że właśnie dorastam. Tylko że... Myślałam, że przy tym będziesz. –

Wytarła łzy i w tym momencie usłyszała za sobą chrząknięcie.

Odwróciła się i zobaczyła, że w drzwiach stoi Lukę ze styropianowym kubkiem w ręce. W blasku szpitalnych świetlówek wyglądał na zmęczonego. We włosach miał siwiznę, niebieska flanelowa koszula była wymięta.

Jak długo tu stoisz? – zapytała.

Niedługo. Przyniosłem ci kawę. – Podał jej kubek, ale Clary się skrzywiła.

Nienawidzę tego paskudztwa. Smakuj e j ak tramppek.

Lukę się uśmiechnął.

– Skąd wiesz, j ak smakuj ą trampki?

Po prostu wiem. – Clary nachyliła się i cmoknęła chłodny policzek Jocelyn. – Do widzenia, mamó.

Niebieska furgonetka stała na betonowym parkingu przed szpitalem. Dopiero kiedy wjechali na FDR Drive, Lukę powiedział:

– Słyszałem, co mówiłaś w szpitalu.

Tak myślałam, że podsłuchujesz. – Mówiła bez gniewu. Nie miała nic do ukrycia przed Lukiem.

Ta historia z Simonem to nie twoja wina.

Jego słowa odbijały się od niewidzialnej ściany, która ją otaczała. Podobnie jak od muru, który wyczarował Hodge, kiedy wydał ją Valentine'owi, ale tym razem nic nie słyszała ani nie czuła przez tę barierę. Była odrętwiała, niczym zamrożona w lodzie.

Słyszysz mnie, Clary?

Miło, że tak mówisz, ale to oczywiście moja wina. Wszystko, co się przydarzyło Simonowi, to moja wina.

Bo był na ciebie zły i dlatego pojechał do Dum ort? Nie pojechał do hotelu dlatego, że był zły na ciebie, Clary. Słyszałem już wcześniej o podobnych sytuacjach. Tak się dzieje z tymi, którzy są na pół przemienieni. I tak pchnąby go tam impuls, któremu nie potrafiły się oprzeć.

Bo miał w sobie krew Raphaela. Ale nic by się nie stało, gdyby nie ja. Gdybym nie zaprowadziła go na przyjęcie u Magnusa...

– Myślałaś, że tam będzie bezpiecznie. Nie narażałaś go na żadne niebezpieczeństwo, które i tobie by nie groziło. Nie możesz się tak zadręczać. – Lukę skręcił na Most Brooklyński. Pod nimi przesuwała się srebrzystoszara wstęga. – To nie ma sensu.

Clary osunęła się na siedzeniu, schowała dłonie w rękawy dzianinowej zielonej bluzy. Brzegi kaptura były postrzępione, wełna łaskotała ją w policzki.

Posłuchaj – mówił dalej Lukę. – Przez całe lata, odkąd go znam, Simon zawsze chciał być tylko w jednym miejscu i robił wszystko, żeby się tam znaleźć.

– Gdzie?

Przy tobie. Pamiętasz, jak spadłaś z drzewa na farmie, kiedy miałaś dziesięć lat, i złamałaś sobie rękę? Pamiętasz, jak się uparł, żeby jechać karetką do szpitala razem z tobą? Kopał i wrzeszczał, aż mu pozwolili.

Śmiałaś się wtedy – przypomniała sobie Clary. – A mama uderzyła cię w ramię.

Trudno było się nie śmiać. Taka determinacja w wieku dziesięciu lat to rzecz warta zobaczenia. Simon był jak pit buli.

Gdyby pit bulle nosiły okulary i były uczulone na pyłki.

Nie da się wycenić takiej lojalności – stwierdził Lukę poważniejszym tonem.

Wiem. I dlatego czuję się jeszcze gorzej.

Clary, mówię ci, że on sam podejmował decyzje. Winisz siebie za to, kim jesteś. A to niczyja wina i nic nie możesz zmienić. Powiedziałaś mu prawdę, a on sam zdecydował, co chce z tym zrobić. Każdy z nas ma wybór. Nikt nie ma prawa nam go odbierać. Nawet z miłości.

Ale właśnie o to chodzi. Kiedy kogoś kochasz, nie masz wyboru. – Dobrze pamiętała, jak ścisnęło się jej serce, kiedy zadzwoniła Isabelle i powiedziała, że Jace zniknął. Wypadła z domu bez chwili wahania. – Miłość odbiera ci możliwość wyboru.

– To dużo lepsze niż alternatywa. Lukę skierował, się w stronę Flatbush. Clary nic nie odpowiedziała. Patrzyła tępo przez okno. Rejony tuż za mostem nie należały do najładniejszych części Brooklynu. Po obu stronach ulicy ciągnęły się brzydkie biurowce i warsztaty samochodowe. Normalnie nie cierpiała tych okolic, ale teraz otoczenie pasowało do jej nastroju.

Miałaś wieści od...? – zaczął Lukę. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że pora zmienić temat.

Od Simona? Tak, wiesz, że tak.

Właściwie zamierzałem powiedzieć „Jace’a”.

A. – Jace kilka razy nagrywał się na jej komórkę. Ona nie odbierała ani nie oddzwaniała. Była to kara za to, co przytrafiło się Simonowi. Najgorsza kara, jaką mogła dla siebie wymyślić. – Nie.

Może chciałabyś się dowiedzieć, czy u niego wszystko w porządku. – Lukę mówił ostrożnym, neutralnym tonem. – Prawdopodobnie przeżywa kiepskie chwile, zważywszy...

Myślałam, że zapytałeś o niego Magnusa. Słyszałam, jak z nim rozmawiałeś o Valentine i tej całej historii z konwersją Miecza Anioła. Na pewno by ci powiedział, gdyby z Jace’em coś było nie tak.

Magnus może mnie informować o jego zdrowiu fizycznym. Natomiast jeśli chodzi o stan psychiczny...

Zapomnij. Nie zadzwonię do Jace’a. – Clary usłyszała we własnym głosie chłód, który ją samą zaskoczył. – Teraz bardziej interesuje mnie zdrowie psychiczne Simona.

Lukę westchnął.

– Jeśli nie umie pogodzić się ze swoim stanem, może po winien...

Oczywiście, że nie umie! – Clary łypnęła na niego oskarży cielsko, ale Lukę, skupiony na drodze, nie zauważył jej spojrzenia. – Akurat wy wszyscy powinniście rozumieć, jak to jest...

Obudzić się pewnego dnia potworem? – W głosie Lukę’u nie było goryczy, tylko znużenie. – Masz rację. Ja rozumiem i jeśli Simon zechce kiedyś ze mną porozmawiać, chętnie mu to powiem. Poradzi sobie, nawet jeśli teraz uważa, że nie.

Clary zmarszczyła brwi. Za nimi zachodziło słońce, tak że lusterko wsteczne jaśniało jak złoto. Od tego blasku aż piekły ją oczy.

– To nie to samo. Ty przynajmniej zawsze wiedziałeś o istnieniu wilkołaków. Zanim on komuś wyzna, że jest wampirem, musi tego kogoś najpierw przekonać, że wampiry w ogóle istnieją.

Lukę chciał chyba coś powiedzieć, ale się rozmyślił.

To prawda. – Byli już w Williamsburgu, jechali prawie pustą Kent Avenue. Po jej obu stronach wznosiły się magazyny. – Ale mam coś dla niego. Jest w schowku na rękawiczki. Tak na wszelki wypadek...

Clary otworzyła schowek i wyjęła z niego cienką broszurkę z rodzaju tych, jakie leżą w poczekalniach szpitali. Zmarszczyła brwi.

– „Jak ujawnić się przed rodzicami” – przeczytała na głos. – Lukę, nie bądź śmieszny. Simon nie jest gejem, tylko wampirem.

Wiem, ale. ulotka radzi, jak wyznać rodzicom trudne prawdy, o których być może oni nie chcą usłyszeć. Mógłby przystosować jeden z tekstów albo ogólnie skorzystać z rad...

Lukę! – rzuciła Clary tak ostrym tonem, że zatrzymał furgonetkę z głośnym zgrzytem hamulców.

Znajdowali się pod jego domem. Po lewej stronie lśniła East River, niebo było pocięte pasami koloru sadzy o różnych odcieniach. Na frontowym ganku siedziała ciemna postać.

Lukę zmrużył oczy. Choć w wilczej postaci miał doskonały wzrok, jako człowiek był krótkowidzem.

Czy to...?

Simon. Tak. – Clary poznała go po sylwetce. – Lepiej pójdę z nim porozmawiać.

Jasne. Tymczasem ja... załatwię swoje sprawy. Mam parę rzeczy do kupienia.

Jakich rzeczy?

Lukę machnął ręką.

Jedzenie. Wrócę za pół godziny. Ale nie siedźcie na dworze. Wejdźcie do domu i zamknijcie dobrze drzwi.

Wiesz, że tak zrobię.

Clary przez chwilę patrzyła za furgonetką, a potem ruszyła w stronę ganku. Serce jej dudniło. Kilka razy rozmawiała z Simonem przez telefon, ale nie widziała go od tamtego straszego poranka, kiedy jeszcze po ciemku przynieśli go, zamroczonego i umazanego krwią, do Lukę'a, żeby się umył, zanim wróci do domu. Pomyślała wtedy, że powinien iść do Instytutu, ale oczywiście to było niemożliwe. Wiedziała, że Simon już nigdy nie zobaczy wnętrza kościoła czy synagogi. Wtedy szedł ścieżką do swoich frontowych drzwi, z przygarbionymi ramionami, jakby się opierał silnemu wiatrowi. Kiedy światło na ganku zapaliło się automatycznie, Simon drgnął gwałtownie, jakby to był blask słońca. Obserwująca go Clary zaczęła cicho płakać na tylnym siedzeniu furgonetki. Łzy kapały na czarny Znak na jej przedramieniu.

Clary – wyszeptał Jace i sięgnął po jej rękę, ale ona odsunęła się raptownie jak Simon przed światłem.

Postanowiła, że nigdy więcej go nie dotknie. Nigdy. To miało być jej kara za to, co zrobiła Simonowi.

Teraz, kiedy szła po schodach, w ustach jej zaschło, czuła ucisk w gardle, ale zabroniła sobie płakać. Płacz tylko pogoi szyłby sprawę.

Simon siedział w cieniu na ganku i ją obserwował. Widziała blask jego oczu w ciemności. Zastanawiała się, czy wcześniej były takie błyszczące. Nie pamiętała. – Simon?

Wstał płynnym, wdzięcznym mchem, od którego przeszedł ją dreszcz. Tego jednego zawsze Simonowi brakowało. Gracji i było w nim coś jeszcze...

– Przepraszam, jeśli cię wystraszyłem. – Mówił niemal oficjalnym tonem, jakby byli sobie obcy.

Wszystko w porządku, to tylko... Długo już tu jesteś?

Nie. Mogę wychodzić dopiero po zmierzchu, pamiętasz?

Wczoraj przypadkiem wystawiłem rękę za okno i omal nie zwęgliło mi palców. Na szczęście, rany szybko się na mnie goją.

Clary wygrzebała klucz z kieszeni i otworzyła drzwi.

– Luke powiedział, żebyśmy weszli do środka.

Bo w ciemności czają się różne brzydkie stwory – dodał Simon, idąc za nią.

Salon wypełniało ciepłe żółte światło. Clary zamknęła drzwi i zasunęła zasuwę. Na haku przy drzwiach nadal wisiał granatowy płaszcz Isabelle. Zamierzała oddać go do pralni, żeby usunięto plamy krwi, ale jeszcze nie miała okazji. Patrzyła na niego przez chwilę, zbierając się na odwagę, a potem spojrzała na Simona.

Siał na środku pokoju, z rękami w kieszeniach kurtki. Miał na sobie dzinsy i wystrzępiony T-shirt z napisem „I Love New York”, który kiedyś należał do jego ojca. Wszystko to było w nim znajome, ale on sam wydawał się obcy.

Okulary – powiedziała, dopiero teraz uświadamiając sobie, w czym rzecz. – Nie nosisz ich. Widziałaś kiedyś wampira w okularach? No, nie, ale...

Już ich nie potrzebuję. Doskonały wzrok to bonus całej tej sytuacji. – Simon opadł na kanapę.

Clary usiadła obok niego, ale niezbyt blisko. Dopiero teraz zobaczyła, jaką przyjaciela ma bladą skórę.

Tuż pod powierzchnią wyraźnie odznaczała się niebieska siateczka żył. Oczy bez okularów były duże i ciemne, rzęsy wyglądały jak pociągnięte czarnym tuszem.

Oczywiście nadal muszę je nosić w domu, ze względu na matkę. Zamierzam jej powiedzieć, że przechodzę na szkła kontaktowe.

Musisz jej powiedzieć i kropka – stwierdziła Clary z przekonaniem, którego wcale nie czuła. – Nie możesz wiecznie ukrywać... swojego stanu.

Mogę spróbować. – Simon przecesał dłonią ciemne włosy i skrzywił usta. – Clary, co ja mam zrobić? Mama wciąż przynosi mi jedzenie, a ja muszę wyrzucać je przez okno. Nie wychodzę od dwóch dni, ale nie wiem, jak długo jeszcze mogę udawać, że mam grypę. W końcu wezwie lekarza i co wtedy? Moje serce nie bije. Doktor jej powie, że nie żyję.

Albo opisze twój przypadek jako medyczny cud.

To nie jest zabawne.

Wiem, ja tylko próbuję...

Wciąż myślę o krwi – poskarżył się Simon. – Śnię o niej. Budzę się, myśląc o niej. Wkrótce zacznę pisać mroczne wiersze na jej temat.

Nie masz już tych buteleczek, które dał ci Magnus?

Mam. W mini lodówce. Ale zostały mi tylko trzy. – Z przejęcia Simon mówił cienkim głosem. – Co będzie, kiedy się skończą?

Nie martw się, zdobędziemy następne – uspokoiła go Clary, choć wcale nie była tego pewna. Zawsze mogła zwrócić się do lokalnego dostawcy krwi jagnięcej zaprzyjaźnionego z Magimsem, ale cała ta sprawa przyprawiała ją o mdłości. – Posłuchaj Simon. Lukę uważa, że powinieneś powiedzieć mamie prawdę. Nie możesz tego wiecznie przed nią ukrywać.

Mogę, cholera, spróbować. – Spójrz na Luke'a – nie ustępowała Clary. – Nadal może prowadzić normalne życie.

A co z nami? Chcesz mieć chłopaka wampira? – Simon zaśmiał się gorzko. – Wyobrażam sobie wiele romantyczny pikników. Ty pijesz dziewiczą piña coladę, a ja krew dziewczyny.

Pomyśl, że jesteś niepełnosprawny – poradziła Clary.

– Po prostu musisz nauczyć się z tym żyć. Jak wielu ludzi.

– Nie wiem, czy jeszcze jestem człowiekiem. Dla mnie tak. Zresztą bycie człowiekiem jest przereklamowane.

Dobrze chociaż, że Jace już nie może nazywać mnie Przyziemnym. Co tam masz? – zapytał, patrząc na ulotkę zwiniętą w jej ręce.

– To? „Jak ujawnić się przed rodzicami?”. Simon wytrzeszczył oczy.

Chcesz mi coś powiedzieć? To nie dla mnie, tylko dla ciebie. – Podała mu broszurkę.

Ja nie muszę ujawniać się matce – powiedział Simon. – Ona już uważa mnie za geja, bo nie interesuję się sportem i nie miałem jeszcze żadnej dziewczyny na poważnie. W każdym razie takiej, o której by wiedziała.

Ale musisz ujawnić się jako wampir – stwierdziła Clary. – Lukę uważa, że mógłbyś wykorzystać jeden z proponowanych tutaj tekstów, tylko że zamiast „gej” użyłbyś słowa...

Rozumiem, rozumiem. – Simon otworzył broszurkę. – . Zróbmy próbę. – Odchrząknął. – Mamo, muszę ci coś powiedzieć. Jestem wampirem. Wiem, że możesz mieć uprzedzenia wobec wampirów. Wiem, że może nie podobać ci się myśl, że jestem jednym z nich. Ale zapewniam cię, że oni są tacy sami jak ty i ja. No, dobrze. Możliwe, że bardziej tacy jak ja niż ty. Simon!

Dobrze, dobrze. Po pierwsze, musisz zrozumieć, że jestem ta sama osobą co zawsze. Bycie wampirem nie jest we mnie najważniejszą rzeczą. To tylko część mnie. Po drugie, powinnaś wiedzieć, że to nie jest kwestia wyboru.

Taki się urodziłem. – Simon zerknął na nią znad broszurki. – Przepraszam, ponownie narodziłem się taki. Clary westchnęła. Wcale się nie starasz.

Przynajmniej mogę ją pocieszyć, że pogrzebaliście mnie na żydowskim cmentarzu. – Simon odłożył broszurkę.

– Może by zacząć od czegoś łatwiejszego... Powiem siostrze.

Pójdę z tobą, jeśli chcesz. Może pomogę im zrozumieć.

Spojrzał na nią zaskoczony, a ona pod maską gorzkiego humoru dostrzegła strach. Zrobiłabyś to?

Ja... – Dalsze słowa zagłuszył nagły pisk opon i brzęk tłukącego się szkła.

Oboje zerwali się z kanapy i podbiegli do okna. Clary odsunęła zasłonę.

Pickup Luke'a stał na trawie, silnik pracował, na chodniku i były widoczne ślady opon. Jeden reflektor się świecił, drugi był rozbity, na kracie widniała ciemna plama. Pod przednimi kołami leżało coś skulonego, białego i nieruchomego. Czyżby Luke kogoś przejechał? Clary poczuła ucisk w gardle. Niecierpliwym gestem przesunęła dłonią po oczach, żeby zetrzeć z nich

czar jak brud z szyby. Nie! Istota pod kołami furgonetki nie była człowiekiem. Gładka, biała, podobna do larwy, wiła się jak robak przyszpilony do deski.

Drzwi od strony kierowcy otworzyły się gwałtownie i ze środka wyskoczył Lukę. Nie zwracając uwagi na ranne stworzenie, popędził przez trawnik w stronę ganku. Ukucnął nad jakąś skuloną postacią: ludzką, niedużą o jasnych włosach zaplecionymi w warkoczyki...

To ta dziewczyna wilkołak, Maia – stwierdził Simon ze zdumieniem. – Co się stało?

– Nie wiem.

Clary chwyciła stelę z półki na książki. Razem z Simonem zbiegli po schodach. Tymczasem Lukę podniósł Maię z ziemi i delikatnie oparł ją o bok ganku. Przód jej koszuli był rozdarty, z rany na ramieniu ciekła krew.

Simon zatrzymał się w pół kroku. Clary omal na niego nie wpadła. Krzyknęła cicho i posłała mu gniewne spojrzenie, zanim zrozumiała. Krew. Bał się na nią patrzeć.

Nic jej nie jest – powiedział Lukę, kiedy dziewczyna jęknęła.

Lekko klepnął ją w policzek, a ona zatrzepotała powiekami.

Maia, słyszysz mnie?

Kiwnęła głową, jeszcze oszołomiona.

Lukę? – wyszeptła. – Co się stało? – Skrzywiła się. – Moje ramie...

Zaniosę cię do środka. Clary, Simon, chodźcie.

Luk wziął dziewczynę na ręce. Był zadziwiająco silny jak na kogoś kto pracuje w księgarni. Kiedyś Clary myślała, że to od wina ciężkich pudeł z książkami. Teraz już знаła prawdziwą przyczynę.

Położył Maię na kanapie obitej wystrzępionym zielonym aksamitem. Wysłał Simona po koc, a Clary do kuchni po mokry ręcznik. Po powrocie do salonu, Clary zastała Maię opartą o poduszkę. Zarumieniona i rozgorączkowana, opowiadała Lukowi, co się stało.

Szłam przez trawnik, kiedy... poczułam jakiś zapach. Czegoś zgniłego, jakby śmieci. Odwróciłam się i wtedy coś mnie uderzyło...

Co? – zapytała Clary, podając ręcznik Lukę'owi. Maia zmarszczyła brwi.

Nie widziałam. Uderzyło mnie, a ja próbowałam to kopnąć, ale było zbyt szybkie...

Widziałem go – powiedział Lukę beznamiętnym tonem. – Akurat podjeżdżałem pod dom i zobaczyłem, że idziesz przez trawnik. A potem zauważyłem za tobą cień. Krzyknąłem przez okno, ale mnie nie usłyszałaś. Potem to coś cię powaliło na ziemię.

Co? – powtórzyła Clary.

Demon Drevak – odparł Lukę ponurym głosem. – Są ślepe Kierują się węchem. Wjechałem na trawnik i uderzyłem go samochodem.

Clary wyrzała przez okno. Istota, która niedawno wiła się, pod kołami furgonetki, zniknęła. Nic dziwnego. Umierając, demony zawsze wracały do swojego wymiaru.

– Dlaczego zaatakował Maię? – I nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. – Myślisz, że to Valentine? Potrzebował krwi wilkołaka do swojego rytuału? Ostatnim razem mu przeszkadzono,

Nie sądzę – powiedział Lukę ku jej zaskoczeniu. – Drevaki nie są pijawkami i zdecydowanie nie mogłyby dokonać takiej jatki, jaką widziałas w Cichym Mieście. Przeważnie służą jako szpiedzy i posłańcy. Myślę, że Maia po prostu weszła mu w drogę. – Spojrzał na dziewczynę, która leżała z zamkniętymi oczami i pojękiwała cicho. – Możesz podciągnąć rękaw, żebym mógł obejrzeć twoją rękę?

Maia przygryzła wargę i kiwnęła głową. Na jej ramieniu widniała długa, czerwona, poszarpana rana, otoczona zaschniętą krwią. Clary z sykiem wciągnęła powietrze, kiedy zobaczyła, że wokół niej sterczą wbite w skórę cienkie czarne igielki.

Maia spojrzała na swoją rękę z wyraźnym przerażeniem.

– Co to jest?

Drevaki nie mają zębów, tylko trujące kolce – wyjaśnił Lukę. – Niektóre ułamały się i zostały w twoim ciele.

Zęby Mai zaczęły dzwonić.

Trucizna? Umrę?

Nie, j eśli szybko zadziałamy – uspokoił j ą Lukę. – Wyciągnę je, ale to będzie bolało. Wytrzymasz?

Maia skrzywiła się, ale kiwnęła głową.

Tylko je wyjmij.

– Co wyjąć? – zapytał Simon, wchodząc do pokoju ze zrolowanym kocem. Rzucił go na podłogę, kiedy zobaczył ramie,– Mai, i cofnął się o krok.

Co to jest?

Mdli cię na widok krwi, Przyziemny? – rzuciła Maia z krzywym uśmiechem i syknęła. – Au, to boli... Wiem – powiedział Lukę, delikatnie owijając rącznikiem Zza pasa wyjął nóż o

cienkim ostrzu. Maia zacisnęła powieki. Rób, co musisz – wykrztusiła cienkim głosem. – Ale... nie chcę, żeby oni patrzyli.

Rozumiem. – Lukę odwrócił się do Clary i Simona.

– Idźcie oboje do kuchni. Zadzwońcie do Instytutu. Wyjaśnijcie, co się stało, i kaźcie im kogoś przysłać. Braci już nie ma, więc najlepiej kogoś z medycznym przeszkoleniem albo czarownika. – Widząc, że Simon i Clary są sparaliżowani widokiem noża i powoli fioł eto więcej ramienia Mai, dorzucił ostrzejszym tonem:

– Ruszcie się!

Tym razem go posłuchali.

Zastęp zbuntowanych aniołów

„Gaspard de la nuit” składa się z trzech części. Jace zagrał pierwszą, wstał od pianina, poszedł do kuchni i z telefonu Luke’a odbył jedną rozmowę. Potem wrócił do instrumentu i utworu Ravela.

Był w połowie trzeciej części, kiedy zobaczył światło przesuwające się po trawniku. Chwilę później zgasło i za oknem z powrotem zapadła ciemność, ale Jace już sięgał po kurtkę.

Cicho zamknął za sobą frontowe drzwi i zbiegł po schodach. Na ścieżce stał motocykl z pracującym silnikiem. Miał dziwny, organiczny wygląd: rury oplatały jego karoserię jak grube liny, reflektor, teraz zgaszony, przypominał lśniące oko. W pewnym sensie wydawał się równie żywy jak właściciel, który opierał się o niego i zaniepokojony patrzył na Nocnego Łowcę. Mał na sobie brązową skórzaną kurtkę, ciemne kręcone włosy opadały mu na kołnierz i na zmrużone oczy. Uśmiechał się szeroko, pokazując ostre białe zęby. W rzeczywistości i chłopak, i motor byli równie martwi. Funkcjonowali dzięki demonicznej energii,

I to tylko w nocy.

– Raphael – rzucił Jace zamiast powitania.

– Przeprowadziłem go, tak jak prosiłeś.

– Widzę.

– Dodam jednak, że byłem bardzo ciekawy, po co ci demoniczny motocykl. Po pierwsze, one właściwie naruszają Przymierze, a po drugie, chodzą plotki, że już jeden masz.

– Mam – przyznał Jace, okrążając maszynę, żeby się jej przyjrzeć ze wszystkich stron. – Ale jest na dachu Instytutu, a ja teraz nie mogę się tam dostać.

Raphael zachichotał.

– Zdaje się, że obaj jesteście Niemile widziani w Instytucie.

– Twój e-pijawki nadal są na liście poszukiwanych?

Wampir pochylił się i splunął na ziemię.

– Oskarżają nas o morderstwa – rzucił z gniewem. – O śmierć wilkołaka, faerie, nawet czarownika, choć mówiłem im, że nic pijemy krwi czarowników. Jest gorzka i wyczynia dziwne rzeczy z tymi, którzy ją konsumują.

– Mówiłeś to Maryse?

– Maryse. – Oczy Raphaela rozbliły – Nie mógłbym z nią rozmawiać, nawet gdybym chciał. Wszystkie decyzje podejmuje teraz Inkwizytorka, wszystkie pytania i prośby przechodzą przez nią. To kiepska sytuacja, przyjacielu, bardzo kiepska.

– I ty mi to mówisz. Poza tym nie jesteśmy przyjaciółmi. Zgodziłem się nie ujawniać Clave historii z Simonem, bo potrzebuję twojej pomocy, a nie dlatego, że cię lubię.

Raphael uśmiechnął się szeroko. Jego białe zęby błysnęły w ciemności.

– Lubisz mnie. – Przekrzywił głowę. – To dziwne. Myślałem, że jesteś inny, odkąd znalazłeś się w niełasce Clave. Przestałeś być ich ulubionym synem. Sądziłem, że stracisz trochę ze swojej arogancji. Ale ty nic się nie zmieniłeś.

Wierzę w konsekwencję – odparł Jace. – Pożyczysz mi motor czy nie?

Domyślałem się, że nie zamierzasz podwieźć mnie do domu? – Raphael odsunął się od maszyny. Na jego szyi błyszczał złoty łańcuszek.

– Nie. – Jace wsiadł na siodełko. – Ale możesz spać w piwnicy pod domem, jeśli obawiasz się wschodu słońca.

– Hm. – Wampir się zamyślił. Był kilka cali niższy od Jace'a i choć wyglądał od niego młodziej, oczy miał dużo starsze. –

Wiec jesteśmy kwita, jeśli chodzi o Simona, Nocny Łowco?

Jace włączył silnik.

– Nigdy nie będziemy kwita, pijawko, ale przynajmniej to jakiś początek.

Nie jeździł motocyklem, odkąd zmieniła się pogoda. Zaskoczył go lodowaty wiatr od rzeki, przeszywający cienką kurtkę i dzinsy dziesiątkami ostrych igiełek. Jace zadrżał. Dobrze, że przynajmniej włożył skórzane rękawice.

Świat wydawał się pozbawiony koloru. Rzeka miała barwę siali, niebo było gołębioszare, horyzont wyglądał jak gruba linia namalowana czarną farbą. Wzdłuż przęsła Mostów Williams–Imrg i Manhattańskiego mrugały światełka. Powietrze pachniało śniegiem, zima miała przyjść dopiero za parę miesięcy.

Ostatnim razem leciał nad rzeką z Clary. Obejmowała go, wczepiała dłonie w jego kurtkę. Wtedy nie było mu zimno.

Wykonał ostry skręt i poczuł, że motocykl gwałtownie się przechyla. Zdawało mu się, że widzi własny cień mknący po wodzie. Kiedy się wyprostował, zobaczył statek o czarnych metalowych burtach, nieoznaczony i prawie nieoświetlony; jego dziób niczym wąskie ostrze przesywał rzekę. Przypominał mu rekina, smukłego, szybkiego i śmiertelnie groźnego.

Zahamował i ostrożnie zaczął się opuszczać w dół, bezdźwięcznie jak liść niesiony podmuchem wiatru. Nie czuł, że spada. Miał wrażenie, że to raczej statek unosi mu się na spotkanie na wstępującym prądzie powietrza. Koła dotknęły pokładu. Jace płynnie zatrzymał maszynę. Nie musiał wyłączyć silnika. Gdy tylko wstał z siodełka, jego dudnienie samo przeszło w warkot, potem w pomruk i wreszcie ucichło. Kiedy Jace się obejrzał, motor wyglądał, jakby łypał na niego jak nieszczęśliwy pies, któremu kazano zostać na miejscu.

Uśmiechnął się i powiedział:

– Wrócę do ciebie. Muszę najpierw coś sprawdzić na łodzi.

Miał dużo do sprawdzenia. Stał przy lewej burcie. Wszystko na statku było pomalowane na czarno: burty, dek, otaczający go metalowy reling, Zaciemniono nawet okna w długiej, wąskiej kabinie. Łódź okazała się większa, niż sądził: miała co najmniej długość boiska piłkarskiego. Nie przypominała żadnego ze statków, które widział do tej pory. Za duża na jacht, za mała na okręt, a w dodatku cała czarna. Ciekawe, skąd ojciec ją wziął.

Jace wolno ruszył przez pokład. Chmury się rozeszły, na niebie zabłysły gwiazdy, bardzo jasne. Po obu stronach widział rozjarzone miasto, jakby stał w pustym, wąskim tunelu utworzonym ze światła. W ciszy jego kroki dudniły głośno. Jace chyba jeszcze nigdy nie przebywał w miejscu, które wydawałoby się tak całkowicie opuszczone. Zaczął się zastanawiać, czy Valentine w ogóle tutaj jest.

Na rufie zatrzymał się i spojrzał na rzekę wcinającą się między Mahnattan a Long Island. Była wzburzona, szare fale srebrzyły się na szczytach, wiał silny, stały wiatr z rodzaju tych, które tworzą się tylko nad wodą. Gdy Jace rozłożył ręce, wicher rozwiął połę jego kurtki jak skrzydła, smagnął twarz włosami, zakłuł w oczy aż do łez.

Na terenie rodowej posiadłości w Idrisie znajdowało się jezioro. Ojciec nauczył go tam pływać pod żaglami, nauczył języka wiatru i wody, fal i powietrza. Mówił, że wszyscy mężczyźni powinni umieć żeglować. Rzadko używał określenia „wszyscy mężczyźni” zamiast

„wszyscy Nocni Łowcy”. Przypominał w ten sposób, że niezależnie od tego, kim będzie Jace, zawsze pozostanie członkiem ludzkiej rasy.

Odwrócił się z piekącymi oczami i zobaczył drzwi między dwoma zaczernionymi oknami kabiny. Podeszedł do nich szybko i chwycił za klamkę. Zamknięte. Stelą wyrył na metalu serię runów. Zawiasy zaskrzypiały, sypiąc czerwonymi płatkami rdzy. Jace zanurkował do środka i znalazł się na słabo oświetlonej klatce schodowej, przesyconej zapachem korozji i stęchlizny. Gdy zrobił krok do przodu, drzwi zamknęły się za nim z hukiem, pogrążając go w ciemności.

Zaklął, szukając w kieszeni magicznego kamienia. Rękawiczki nagle zrobiły się niewygodne, palce miał sztywne z zimna. Powietrze było lodowate. Jace zadrżał, nie tylko z powodu temperatury. Włoski na jego karku się zjeżyły, wszystkie nerwy dygotały z napięcia. Coś było nie tak.

Uniósł runiczny kamień. Czarodziejskie światło, które rozblęzło w mroku, wycisnęło mu łązy z oczu. Po chwili zobaczył przed sobą niewyraźną postać dziewczyny z rękami splecionymi na piersi. Jej włosy odcinały się czerwienią na tle czarnego metalu. Ręka tak mu się trzęsła, że magiczny blask kamienia skakał po mrocznym wnętrzu chaotycznie jak stado świetlików.

– Clary?

Patrzyła na niego, blada na twarzy, z drżącymi wargami. Pytania uwięzły mu w gardle. Co ona tutaj robi? Jak dostała się na statek? Ogarnęło go przerażenie, jakiego jeszcze nigdy w życiu czuł. Coś było nie w porządku z Clary. W chwili kiedy zrobił krok do przodu, odjęła ręce od piersi i wyciągnęła je do niego. Były lepkie od krwi. Na jej białej sukni widniała duża szkarłatna plama.

Nagle Clary się zachwiała, a on chwycił ją jedną ręką. Omal nie upuścił czarodziejskiego światła, kiedy wsparła się na nim całym ciężarem. Poczul bicie jej serca, muśnięcie miękkich włosów na brodzie, tak dobrze mu znane. Ale jej zapach był inny. Aromat kwiatowego mydła i czystej bawełny, który kojarzył mu się z Clary, zastąpiła woń krwi i metalu. Jej głowa opadła do tyłu, oczy wywróciły się do góry białkami. Łomoczące serce zwolniło... zatrzymało się...

– Nie! – Potrząsnął nią tak mocno, że jej głowa zsunęła się bezwładnie z jego ramienia. – Clary! Obudź się!

Po drugim potrząśnięciu zamrugła. Jace’a zalała fala ulgi. Oczy Clary otworzyły się, ale już nie były zielone, tylko mętne i połyskujące bielą, tak jaskrawą jak reflektory na ciemnej

drodze. Jego głowę wypełnił jazgotliwy hałas. Widziałem już te oczy, pomyślał, a potem ogarnęła go ciemność, przynosząc ze sobą ciszę.

W mroku były dziury, kropki światła na czarnym tle. Jace zacisnął powieki, starając się uspokoić. W ustach miał smak miedzi, czuł, że leży na zimnej metalowej powierzchni i że przez ubranie wsącza się w jego ciało chłód. Odliczył w myślach wstecz od stu do jednego, aż jego oddech stał się wolniejszy. I wtedy znowu otworzył oczy.

Nadal otaczała go ciemność, ale – teraz zmieniła się w znajome nocne niebo usiane gwiazdami. Leżał na pokładzie statku w cieniu Mostu Brooklyńskiego, który majaczył nad rufą niczym szara góra z metalu i kamienia. Jęknął, uniósł się na łokciach ł... zamarł, kiedy ujrzał pochylający się nad nim cień, wyraźnie ludzki.

– Dostałeś paskudny cios w głowę – usłyszał głos, który prze śladował go w nocnych koszmarach. – Jak się czujesz?

Jace usiadł i natychmiast tego pożałował, bo żołądek podszedł mu do gardła. Dobrze, że nic nie jadł w ciągu ostatnich dziesięciu godzin. Na pewno by teraz zwymiotował, a tak tylko do ust napłynęła mu kwaśna ślina.

– Świetnie.

Valentine się uśmiechnął. Siedząc na stosie pustych, spłaszczonych pudeł, w eleganckim szarym garniturze i krawacie, wyglądał tak samo, jak wtedy, gdy zasiadał za mahoniowym biurkiem w posiadłości Waylandów w Idrisie.

– A teraz następne oczywiste pytanie. Jak mnie znalazłeś?

– Torturowałem jednego z twoich Raumów – odparł Jace. – To ty mnie nauczyłeś, gdzie mają serca. Zagroziłem mu i wtedy mi powiedział... cóż, nie są zbyt bystre, ale udało mu się wydukać, że przybył ze statku na rzece. Rozejrzałem się i zobaczyłem cień twojej łodzi na wodzie. Wyjawiał mi również, że to ty go wezwałeś, ale tego już sam się domyśliłem.

– Rozumiem. – Jace odniósł wrażenie, że Valentine skrywa uśmiech. – Następnym razem powinieneś przynajmniej uprzedzić mnie o swojej wizycie. Oszczędziłbyś sobie nieprzyjemne go spotkania z moimi strażnikami.

– Strażnikami? – Jace oparł się o zimną metalową poręcz i za czerpnął kilka haustów czystego, chłodnego powietrza. – Masz na myśli demony? Wykorzystałeś Miecz, żeby je wezwać.

– Nie przeczę – przyznał Valentine. – Bestie Luciana rozbiły moją armię Wyklętych, a ja nie miałem czasu ani ochoty, żeby tworzyć kolejną. Teraz zdobyłem Miecz Anioła, więc już ich nie potrzebuję. Mam innych.

Jace pomyślał o Clary, zakrwawionej, umierającej w jego ramionach. Dotknął ręką czoła. Było chłodne w miejscu, gdzie opierał je o reling.

– Ta istota na schodach – powiedział. – To nie była Clary, prawda?

– Clary? – Valentine był lekko zaskoczony. – To właśnie ją zobaczyłeś?

– A dlaczego nie? – Jace silił się na nonszalancję.

Nie miał nic przeciwko sekretom – własnym i cudzym – ale swoje uczucia do Clary mógł znieść tylko nie przyglądając się im zbyt dokładnie. Niestety, miał do czynienia z Valentine'em. Ojciec wszystko uważnie obserwował i analizował, żeby móc to potem odpowiednio wykorzystać. Przypominał tym Jace'owi królową Jasnego Dworu: chłodną, groźną, wyrachowaną.

– Na schodach spotkałeś Demona Strachu – wyjaśnił Valentine. – Agramon przybiera postać, która najbardziej cię przeraża. Karmi się twoim przerażeniem, a potem cię zabija, o ile jeszcze żyjesz. Większość ludzi umiera wcześniej ze strachu. Należy ci pogratulować, że wytrzymałeś tak długo.

– Agramon? – Jace był zaskoczony. – To Wielki Demon. Skąd go wytrzasnąłeś⁹

– Zapłaciłem młodemu i przemądrzałemu czarownikowi, żeby go wezwał. Sądził, że Agramon pozostanie w narysowanym przez niego pentagramie, a on będzie miał nad nim władzę. Niestety, najbardziej bał się tego, że wezwany demon wyrwie się ze swojego więzienia i go zaatakuje. I właśnie tak się stało.

– A więc tak zginął – powiedział Jace.

– Kto?

– Czarownik. Elias. Miał szesnaście lat. Ale to wiedziałeś, prawda? Rytuał Piekielnej Konwersji...

Valentine się roześmiał.

– Nie próżnowałeś, co? Zatem wiesz, dlaczego wysłałem de mony do domu Luciana, tak?

– Chciałeś dopaść Maię, bo jest dzieckiem wilkołakiem. Potrzebowałeś jej krwi.

– Posłałem Drevaki, żeby obserwowały dom Luciana i meldowały mi o wszystkim – odparł Yalentine. ~ Lucian zabił jednego z nich, ale kiedy drugi doniósł mi o obecności młodej likantropki...

– Nasłaleś na nią Raamy. – Jace poczuł się nagle bardzo zmęczony. – Lukę ją lubi, a ty chciałeś go zranić. – Po krótkiej pauzie dodał: – To jest podłe, nawet jak na ciebie.

W oczach ojca zapaliła się iskra gniewu, ale zaraz zgasła. Valentine odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem.

– Podziwiam twój upór. Przypomina mi mój własny. – Wstał z pudeł i wyciągnął rękę do Jace'a. – Chodź. Przejdziemy się po pokładzie. Chcę ci coś pokazać.

Jace chciał odtrącić jego rękę, ale tak bolała go głowa, że nie był pewien, czy zdoła podnieść się samodzielnie. Poza tym lepiej było nie drażnić ojca. Choć Valentine pochwalił go za buntowniczość, w rzeczywistości nigdy nie tolerował nieposłuszeństwa. Jego dłoń była sucha i chłodna, uścisk dziwnie krzepiący. Kiedy Jace wstał, Valentine wyjął z kieszeni stelę.

– Pozwól, że zajmę się twoimi ranami.

Jace cofnął się... po krótkiej chwili wahania, którą ojciec mu pewno zauważył.

– Nie chcę twojej pomocy.

Yalentine schował stelę.

– Jak sobie życzysz.

Ruszył przez pokład. Jace dogonił go po kilku krokach. Znał ojca na tyle dobrze, by wiedzieć, że nigdy się nie obejrzy, żeby sprawdzić, czy syn za nim idzie, ale będzie tego oczekiwał. Miał rację. Kiedy zbliżył się do Valentine'a, ten już zaczął mówić. Ręce trzymał splecione za plecami, poruszał się z niewymuszona gracją niezwykłą u takiego postawnego, barczystego mężczyzny. Idąc, lekko się pochylał, jakby stawiał opór silnemu wiatrowi.

– O ile dobrze pamiętam, znasz *Raj utracony* Milтона?

– Zmusiłeś mnie do przeczytania go tylko jakieś dziesięć c/y piętnaście razy – odparł Jace. – Lepiej rządzić w piekle niż służyć w niebie, et cetera.

– *Non serviam*. Nie będę służył. Właśnie takie słowa napisał Lucyfer na swoim sztandarze, kiedy z zastępem zbuntowanych aniołów ruszył przeciwko zepsutej władzy.

– O co ci chodzi? Że jesteś po stronie diabła?

– Niektórzy mówią że sam Milton był po stronie diabła. Jego Szatan z pewnością jest bardziej interesującą postacią niż Bóg.

Dotarli prawie do dziobu statku. Tam Valentine zatrzymał się i oparł o poręcz. Jace stanął obok niego.

Minęli mosty na East River i kierowali się na otwarte wody między Staten Island a Manhattanem. Światła dzielnicy finansowej migotały na wodzie jak czarodziejska poświata. Niebo było przyprószone diamentowym pyłem, rzeka ukrywała swoje sekrety pod lśniąca czarną taflą tu i ówdzie przeciętą srebrnym błyskiem, który mógł być ogonem ryby... albo syreny. Moje miasto, pomyślał Jace, ale te słowa wciąż przywodziły mu na myśl Alicante i jego kryształowe wieże, a nie drapacze Manhattanu.

– Dlaczego się tutaj zjawieś, Jonathanie? – odezwał się po chwili Valentine. – Po tym, jak cię zobaczyłem w Meście Kości, zastanawiałem się, czy twoja nienawiść do mnie jest nieprzejednana. Prawie machnąłem na ciebie ręką.

Jak zawsze mówił spokojnym tonem, ale było w nim coś... Może nie wrażliwość, ale co najmniej szczerą ciekawość, jakby odkrył, że syn jest w stanie go zaskoczyć.

Jace spojrzał na wodę.

– Królowa Jasnego Dworu chciała, żebym zadał ci jedno pytanie. Jaka krew płynie w moich żyłach?

Po twarzy Valentine'a przemknął wyraz zaskoczenia, niczym dłoń zmazująca wszelkie inne uczucia.

– Rozmawiałaś z królową?

Jace nie odpowiedział.

– To podobne do faerie. Wszystko, co mówią ma więcej niż jedno znaczenie. Jeśli znowu zapyta, powiedz jej, że w twoich żyłach płynie krew Anioła.

– Jak w żyłach każdego Nocnego Łowcy – zauważył Jace, rozczarowany. Liczył na inną odpowiedź. – Chyba nie okłamałbyś królowej Jasnego Dworu, co?

– Nie – rzucił krótko Valentine. – A ty nie przychodziłbyś tutaj, żeby zadać mi to śmieszne pytanie. Jaki naprawdę był twój cel, Jonathanie?

– Musiałem z kimś porozmawiać. – Nie potrafił tak dobrze panować nad swoim głosem jak ojciec. Słyszał w nim ból, niczym ranę krwawiącą tuż pod powierzchnią. – Lightwoodowie... jestem dla nich tylko kłopotem. Lukę też pewnie mnie już znienawidził. Inkwizytorka chce ujrzeć mnie martwym. Zrobiłem coś, co zraniło Aleca, i nawet nie jestem pewien, co.

– A twój a siostra? – zapytał Valentine. – Co z Clarissą?

„Dlaczego musisz wszystko niszczyć?”.

– Też nie jest ze mnie zbyt zadowolona. – Jace się zawahał. Pamiętam, co powiedziałeś w Mieście Kości. Że nigdy nie miałeś okazji wyznać mi prawdy. Nie wierzę ci. Chcę, żebyś to wiedział. Ale pomyślałem, że dam ci szansę, żebyś wyjaśnił, dlaczego.

– Musisz zapytać o więcej kwestii, Jonathanie. – W głosie ojca pobrzmiwała nuta, która zaniepokoiła Jace’a: pokora, która temperowała dumę Valentine’a tak, jak ogień hartuje stal. Jest wiele „dlaczego”.

– Dlaczego zabiłeś Cichych Braci? Dlaczego zabrałeś Miecz? Co planujesz? Dlaczego Kielich Anioła ci nie wystarczył?

Jace powstrzymał się przed zadaniem kolejnych pytań: Dla czego zostawiłeś mnie po raz drugi? Dlaczego powiedziałeś, „już nie jestem twoim synem, a potem po mnie wróciłeś?”

– Wiesz, czego chcę. Clave jest tak beznadziejnie zdeprawowane, że trzeba je zniszczyć i odbudować na nowo. Trzeba uwolnić Idris od wpływów zdegenerowanej rasy, uchronić Ziemię przed demonicznym zagrożeniem.

– Właśnie, demoniczne zagrożenie. – Jace się rozejrzał, jakby sądził, że skrada się ku niemu czarny cień Agramona. – Myślałem, że nienawidzisz demonów, a ty wykorzystujesz ich jako sługi. Pożeraczy, Drevaki, Agramona. Są twoimi strażnikami, lokajami, kucharzami, o ile wiem.

Valentine zaczął bębnić palcami po relingu.

– Nie jestem przyjacielem demonów – oświadczył. – Jestem Nefilim, choć uważam Przymierze za bezużyteczne, a Prawo za ułomne. Człowiek nie musi zgadzać się ze swoim rządem, żeby być patriotą prawda? Trzeba prawdziwego patrioty, żeby wyrazić sprzeciw, powiedzieć, że bardziej kocha się swój kraj, niż dba się o własne miejsce w porządku społecznym. Zostałem ukarany za swój wybór, oszkalowany, zmuszony do ukrywania się, wygnany z Idrisu. Ale jestem i zawsze będę Nefilim. Nie mogę zmienić krwi w moich żyłach, nawet gdybym chciał. A nie chcę.

A ja chcę. Jace pomyślał o Clary. Spojrzał w ciemną wodę. Wiedział jednak, że nie umiałby zrezygnować z polowania, zabijania, poczucia własnej siły i zręczności. Był wojownikiem. Nie potrafił robić nic innego.

– A ty? – zapytał Valentine.

Jace szybko odwrócił wzrok, zastanawiając się, czy ojciec potrafi czytać w jego twarzy. Przez wiele lat mieszkali tylko we dwóch. Kiedyś znał rysy ojca lepiej niż swoje. Valentine był jedyną osobą przed którą Jace nie potrafił ukryć własnych uczuć. A w każdym razie pierwszą taką osobą. Czasami miał wrażenie, że Clary jest w stanie przejrzeć go na wskroś, jakby był ze szkła.

– Nie – powiedział. – Nie chcę.

– Na zawsze Nocny Łowca?

– Przecież tak mnie wychowałeś.

– I dobrze – rzekł Valentine. – Właśnie to chciałem usłyszeć. – Oparł się o poręcz i spojrzał w nocne niebo. W jego srebrzystobiałych włosach były nitki siwizny. Jace dopiero teraz je zauważył. – To jest wojna. Pytanie brzmi: po czyjej stronie będziesz walczył?

– Myślałem, że jesteśmy po tej samej stronie. Przeciwno demonicznym światom.

– Gdyby tak było. Nie rozumiesz, że gdyby Clave leżało na sercu dobro tego świata, gdybym uważał, że się starają, po co miałbym z nimi walczyć, na Anioła? Jaki miałbym powód?

Władzę, pomyślał Jace, ale nie powiedział tego na głos. Juz. sam nie był pewien, co mówić, a tym bardziej, w co wierzyć.

– Jeśli Clave będzie dalej tak postępować, demony dostrzegają jego słabość i zaatakują – stwierdził Valentine. – A oni, wiecznie zajęci kokietowaniem zdegenerowanych ras, nie będą w stanie z nimi walczyć. Demony zniszczą wszystko i nic nie zostanie.

Zdegenerowane rasy. Te znajome słowa przypominały Jace'owi dzieciństwo, które pod pewnymi względami nie było takie złe. Kiedy myślał o ojcu i Idrisie, pojawiały się te same zamazane wspomnienia gorącego słońca, wypalającego zielone trawniki przed ich wiejską posiadłością, i potężnego mężczyzny, który bierze go na ręce i znosi do domu. Musiał być wtedy bardzo mały, ale nigdy nie zapomniał woni świeżo skoszonej trawy, włosów ojca które w słońcu tworzyły białą aureolę wokół jego głowy, ani poczucia bezpieczeństwa.

– Lukę nie jest degeneratem – oświadczył Jace.

– Lucian jest inny. Kiedyś był Nocnym Łowcą. – Valentine mówił beznamytnym tonem.

– Nie chodzi o konkretnych Podziemnych, Jonathanie, tylko o przetrwanie każdej żywej istoty na tej planecie. Anioł nie wybrał Nefilim bez powodu. Jesteśmy najlepsi i dlatego mamy ocalić ludzkość. Niemal dorównujemy bogom, więc musimy wykorzystać swoją moc, żeby uratować świat przed zniszczeniem, niezależnie od kosztów.

Jace oparł się o poręcz. Czubki palców miał zdrętwiałe z zimna, lodowaty wiatr przewiewał go na wskroś, ale oczami wyobraźni widział zielone wzgórza, niebieską wodę i rezydencję Waylandów o kamiennych ścianach koloru miodu.

– Kiedy Szatan kusił Adama i Ewę, powiedział: „Będziecie jak Bóg”. I z tego powodu zostali wypędzeni z raju. – Valentine zrobił pauzę, a potem się roześmiał. – Teraz rozumiesz, dlaczego cię potrzebuję, Jonathanie? Chronisz mnie przed grzechem pychy.

– Są inne rodzaje grzechów. – Jace wyprostował się i odwrócił do ojca. – Nie odpowiedziałeś na moje pytanie o demony. W jaki sposób usprawiedliwisz konszachty z nimi? Zamierzasz wysłać je przeciwko Clave?

– Oczywiście, że tak – odparł bez wahania Valentine, nie zastanawiając się nad tym, czy mądrze jest wyjawiać swoje plany komuś, kto może podzielić się nimi z wrogiem. Nic nie mogło wstrząsnąć Jace’em bardziej niż uświadomienie sobie, jak bardzo pewny sukcesu jest jego ojciec. – Clave nie ustąpi przed rozumem, tylko przed siłą. Próbowałem stworzyć armię z Wyklętych. Za pomocą Kielicha mógłbym uformować wojsko z nowych Nocnych Łowców, ale to by zajęło całe lata. Nie mam tyle czasu. Ludzka rasa nie mam czasu. Dzięki Mieczowi mogę wezwać legiony posłusznych demonów. Będą mi służyć jako narzędzia, zrobią wszystko, co im rozkażę. A kiedy osiągnę cel, każę im zniszczyć siebie nawzajem, a one mnie posłucha ją. – Jego głos był pozbawiony emocji.

Jace tak mocno ścisnął reling, że zabolaty go palce.

– Nie zabijesz wszystkich Nocnych Łowców, którzy ci się przeciwstawiają. To byłoby morderstwo.

– Nie będę musiał. Kiedy Clave zobaczy wojsko, które przeciwko niemu wyślę, od razu się podda. Oni nie są samobójcami.

I są wśród nich tacy, którzy mnie popierają. – W głosie Valentine’a nie było arogancji, tylko spokojna pewność. – Ujawnią się, kiedy przyjdzie pora.

– Myślę, że nie doceniasz Clave. – Jace silił się na spokojny ton. – Nie rozumiesz, jak bardzo cię nienawidzą.

– Nienawiść staje się niczym, kiedy stawką jest przetrwanie. – Valentine powędrował ręką do lśniącej rękojeści Miecza zatkniętego za pas. – Ale nie wierz mi na słowo. Mówiłem, że chcę ci coś pokazać. Patrz.

Wyciągnął Miecz z pochwy. Jace widział Maellartacha na ścianie pawilonu Mówiących Gwiazd w Mieście Kości, ale nigdy nie przyglądał mu się z bliska. Miecz Anioła. Wykuty z ciemnego srebra o przytłumionym połysku. Światło przesuwalo się po klindze, jakby była zrobiona z wody. Rękojeść jarzyła się ognistoróżowym blaskiem.

– Bardzo ładny – stwierdził Jace. W ustach miał sucho.

– Chcę, żebyś go pottrzymał. – Valentine podał synowi broń rękojeścią do przodu, tak jak zawsze go uczył. Miecz iskrzył się w świetle gwiazd.

Jace się zawahał.

– Janie...

– Weź go. – Valentine wcisnął mu broń do ręki.

W chwili, kiedy palce Jace'a zamknęły się wokół uchwytu, w górę główni pomknęła włócznia światła. Jace szybko zerknął na ojca, ale twarz Valentine'a pozostała bez wyrazu.

Ból przeszył ramię i pierś Jace'a. Miecz nie był ciężki, ale jak by ciągnął go do dołu, przez statek, przez zielone wody oceanu, przez kruchą powłokę ziemi. Jace'owi wydawało się, że z jego płuc zostało wysane powietrze. Uniósł głowę, rozejrzał się...

Zobaczył, że noc wokół niego się zmieniła. Na niebie wisiała migotliwa sieć z cienkich złotych drutów. Przeświecały przez nią gwiazdy, jasne jak łebki gwoździ wbitych w czerń. Jace zobaczył krzywiznę globu, który nagle usunął się spod niego. Poraziła go uroda kosmosu. Raptem nocne niebo pękło jak szkło i spomiędzy odłamków wypadła horda ciemnych postaci. Garbate, powykręcane, karłowate, bez twarzy, wydawały z siebie bezgłośny krzyk, który przesywał wnętrze jego czaszki. Owiał go lodowaty wiatr, kiedy obok przemknęły sześciorożne konie. Ich podkowy krzesaly czerwone iskry na pokładzie statku. Jeźdźców nie dało się opisać. Krążące w górze bezokie istoty o skórzastych skrzydłach wrzeszczały i pluły zielonym jadem. Jace przechylił się przez reling i zwymiotował gwałtownie, nie wypuszczając Miecza z ręki. Pod nim morze kotłowało się od demonów niczym truj ąca zupa. Kolczaste stwory o krwistych oczach wielkości spodków walczyły zażarcie ze skłębioną masą śliskich czarnych macek, które wciągały je pod wodę. Syrena schwytna przez dziesięcionogiego pajaka krzyknęła rozpaczliwie, gdy ten wbił kły w jej ogon; jego czerwone oczy błyszczały jak koraliki. Mecz wypadł ręki Jace'a i z brzękiem uderzył o pokład. Obrazy nagle zniknęły, zapadła cisza. Jace wisiał na poręczy, z osłupieniem wpatrując się w morze. Było puste, jego powierzchnia falowała, lekko zmarszczona przez wiatr.

– Co to było? – wychrypiał Jace. Gardło miał jak podrapane papierem ściernym. Dzikim wzrokiem spojrzął na ojca, który schylił się po Mecz Anioła. – Demony, które już wezwałeś?

– Nie. – Valentine wsunął Maellartacha do pochwy. – To są demony, które do granic tego świata przyciągnął Mecz. Zakotwiczyłem statek w tym miejscu, bo tutaj osłona jest najsłabsza.

Zobaczyłeś armię czekającą na moje wezwanie. – Zmierzył syna poważnym wzrokiem. – Nadal uważasz, że Clave nie skapituluje?

Jace zamknął oczy i powiedział:

– Nie wszyscy, nie Lightwoodowie...

– Mógłbyś ich przekonać. Jeśli staniesz przy mnie, przysięgam, że nie spotka ich nic złego.

Ciemność pod powiekami Jace'a przybrała czerwoną barwę. Przed oczami stanęły mu zgliszcza starego domu Valentine'a, zwęglone kości dziadków, których nigdy nie poznał. Potem ujrział inne twarze. Aleca. Isabelle. Maksa. Clary.

– Już dość ich skrzywdziłem – wyszeptał. – Nic więcej nic może im się stać. Nic.

– Oczywiście. Rozumiem. Uważasz, że całe zło, które spotkało twoich przyjaciół i rodzinę, to twoja wina.

Jace ze zdziwieniem stwierdził, że ojciec rzeczywiście rozumie, że uchwycił to, czego nikt inny nie potrafił dostrzec.

– Bo to j est moj a wina.

– Masz rację. Jest.

Jace spojrzął na ojca w osłupieniu pomieszonym z ulgą i przerażeniem. Nie mógł uwierzyć, że Valentine się z nim zgadza. – – Tak?

– Te krzywdy oczywiście nie były zamierzone, ale pod tym względem jesteś podobny do mnie. Zatruwamy i niszczymy wszystko, co kochamy. I istnieje po temu powód.

– Jaki?

Valentine spojrzął w niebo.

– Jesteśmy przeznaczeni do wyższych celów, ty i j a. Ziemskie sprawy tylko nas rozpraszaają. Jeśli pozwalamy, żeby zepchnęły nas z kursu, ponosimy zasłużoną karę.

– I kara spotyka też wszystkich, na których nam zależy?

– Los nigdy nie jest sprawiedliwy. Porwał cię prąd dużo silniejszy od ciebie. Jonathanie. Walczysz z nim, ale utoniesz i razem z tobą również ci, których próbujesz uratować. Płyn z nim, a przetrwasz.

– Clary...

– Żadna krzywda nie spotka twojej siostry, jeśli ze mną zostaniesz. Zrobię wszystko, żeby ją chronić. Sprowadzę ją do Idrisu, gdzie będzie bezpieczna. Obiecuję.

– Alec, Isabelle, Max...

– Dzieci Lightwoodów też znajdą się pod moją ochroną.

– Luke – powiedział cicho Jace.

Valentine się zawahał.

– Wszyscy twoi przyjaciele będą chronieni – zapewnił w końcu. – Dlaczego nie potrafisz mi uwierzyć, Jonathanie? Tylko w taki sposób możesz ich uratować. Przysięgam.

Jace zamknął oczy. Chłód jesieni walczył w nim ze Wspomnieniem lata.

– Już podjąłeś decyzję? – zapytał Valentine. W jego głosie pobrzmiwały stanowczość i ponaglenie.

Jace otworzył oczy. Przez chwilę nic nie widział, oślepiiony przez blask gwiazd.

– Tak, ojcze. Podjąłem decyzję.

CZĘŚĆ TRZECIA

DZIEŃ GNIEWU

„Nadejdzie dzień gniewu, Wieszczony przez Sybillę, I wszystkie światy obróćą się w popiół”.

– Abraham Cole

Nieustraszony

Kiedy Clary się obudziła, przez okna wpadało światło i coś mocno kłuło ją w lewy policzek. Odwróciła się i zobaczyła, że róg szkicownika wpija się w jej twarz. Na pościeli widniała czarna plama w miejscu, gdzie, zasypiając, wypuściła z ręki ołówek. Usiadła z jękiem, rozmasowała policzek i wstała z łóżka.

W łazience były ślady wskazujące na to, co działo się ostatniej nocy: zakrwawione ręczniki wepchnięte do kosza na bieliznę, plamy zaschniętej krwi na umywalce. Clary zadrżała na ten widok. Weszła pod prysznic z grejpfrutowym żelem do mycia, zdecydowana usunąć z ciała ciągle żywe uczucie niepokoju.

Potem otuliła się jednym ze szlafroków Luke'a, wilgotne włosy owinęła ręcznikiem i otworzyła drzwi łazienki. Po drugiej stronie zobaczyła Magnusa. Włosy, poprzedniego dnia nastroszone i posypane brokatem, teraz były przyklapnięte z jednej strony.

– Dlaczego prysznic zabiera dziewczynom tyle czasu? – rzucił z irytacją. – Śmiertelniczki, Nocne Łowczynie, czarodziejki, wszystkie jesteście takie same. Stercząc tutaj, nie robię się młodszy.

Clary odsunęła się, żeby go przepuścić.

– A tak przy okazji, ile masz lat? – spytała z ciekawości.

– Chodziłem już po tym świecie, kiedy Morze Martwe było jeszcze jeziorem, które źle się poczuło.

Clary przewróciła oczami. Czarownik ze niecierpliwieniem machnął ręką.

– Zabieraj się stąd, mała. Muszę wejść. Moje włosy to ruina.

– Nie zużyj całego żelu do mycia – uprzedziła go Clary. – Jest drogi.

W kuchni znalazła filtry i włączyła ekspres. Znajome perko– tanie i cudowny aromat złagodziły uczucie niepokoju. Dopóki istniała na świecie kawa co złego mogło się wydarzyć?

Następnie poszła do sypialni, żeby się ubrać. Dziesięć minut później, w dżinsach i swetrze w niebiesko– zielone pasy, była już w salonie i potrząsała śpiącym Lukiem. Usiadł z jękiem. Włosy miał potargane, twarz pomiętą od snu.

– Jak się czujesz? – zapytała, podając mu wyszczerbiony ku bek z parującą kawą.
– Lepiej. – Spój rżał na swój ą podartą, zakrwawioną koszulę. – Gdzie Maia?
– Śpi w twoim pokoju, nie pamiętasz? Sam go jej odstąpiłeś. – Clary usiadła na poręczy kanapy.

Lukę przetarł podkrążone oczy.

– Niewiele pamiętam z ostatniej nocy – wyznał. – Wiem tylko, że wyszedłem do furgonetki.

– Na zewnątrz ukrywało się więcej demonów. Zaatakowały cię. Jace i ja się nimi zajęliśmy.

– Drevaki?

– Nie – odparła Clary z niechęcią. – Jace nazywał je Raumami.

– Raummy? – Lukę usiadł prosto. – To poważna sprawa. Drevaki są niebezpieczną zarazą, ale Raummy...

– Już wszystko w porządku – uspokoiła go Clary. – Rozprawiliśmy się z nimi.

– Rozprawiliście się? Nie chcę, żebyś...

– To nie tak. – Clary pokręciła głową. – My...

– A gdzie był Magnus? – przerwał jej Lukę, wyraźnie zdenerwowany. – Dlaczego nie poszedł z wami?

– Leczyłem Maię – oświadczył czarownik, wchodząc do salonu. Silnie pachniał grejpfrutem. Włosy miał owinięte ręcznikiem, a na sobie niebieski satynowy dres ze srebrnymi pasami po bokach. – Gdzie wdzięczność?

– Jestem wdzięczny. – Lukę wyglądał, jakby był zły, a jednocześnie starał się nie roześmiać. – Tylko że gdyby coś stało się Clary...

– Umarłbyś, gdybym poszedł z nimi – powiedział Magnus, opadając na krzesło. – Sami poradzili sobie z demonami, prawda?

– No wiesz, to po prostu... – zaczęła się plątać Clary.

– Co po prostu? – Maia, w tym samym ubraniu co wieczorem i w za dużej flanelowej koszuli Luke'a narzuconej na T-shirt, przeszła sztywnym krokiem przez pokój i ostrożnie usiadła na krześle. – To kawa tak pachnie? – zapytała z nadzieją w głosie, marszcząc nos.

Szczerze mówiąc, pomyślała Clary, to niesprawiedliwe, żeby likantropka była taka ładna i apetyczna. Powinna być wielka, owłosiona, z kosmatymi uszami. I właśnie dlatego, dodała w

duchu, nie mam żadnych przyjaciółek i spędzani cały wolny czas z Simonem. Muszę nad sobą popracować. Wstała z poręczy kanapy.

– Przynieść ci?

– Jasne. – Maia energicznie pokiwała głową. – Z mlekiem i cukrem! – zawołała za nią. Kiedy Clary wróciła z kuchni z parującym kubkiem w ręce, dziewczyna zmarszczyła brwi. – Nie pamiętam, co się wydarzyło ostatniej nocy, ale coś mnie dręczy w związku z Simonem...

– Próbowałeś go zabić – powiedziała Clary, siadając z powrotem na poręczy kanapy. – Może o to chodzi.

Maia zbladła.

– Zapomniałam. On jest teraz wampirem. Nie chciałam zrobić mu krzywdy. Ja po prostu...

– Tak? – Clary uniosła brwi. – Co?

Maia odstawiła kubek na stół. Jej twarz przybrała ciemnoczerwony kolor.

– Może się położysz – zaproponował Magnus. – To pomogą kiedy do kogoś dociera straszna prawda.

Oczy Mai napełniły się łzami. Clary z konsternacją spojrzała na czarownika i zobaczyła, że on również wygląda na poruszonego. Przeniosła wzrok na Luke'a i syknęła:

– Zrób coś.

Magnus potrafił leczyć śmiertelne rany ciała niebieskim ogniem, ale to Lukę o niebo lepiej radził sobie z płaczącymi dziewczynami. Zaczął od zrzucenia z siebie koca, ale zanim wstał, frontowe drzwi otworzyły się z hukiem. Po chwili do salonu wkroczył Jace, a za nim Alec z białym kartonowym pudełkiem w ręce. Magnus pospiesznie zdjął ręcznik z głowy i rzucił go za fotel. Bez żelu i brokatu jego włosy były ciemne i proste, sięgające połowy pleców.

Jak zawsze wzrok Clary natychmiast pobiegł ku Jace'owi. Nic nie mogła na to poradzić. Dobrze chociaż, że nikt inny nie zauważył jej spojrzenia. Jace wyglądał na spiętego i czujnego, ale zarazem był wyraźnie zmęczony. Oczy miał podkrążone. Przesunął obojętnym wzrokiem po Clary i zatrzymał go na Mai, która nadal płakała bezgłośnie i chyba nawet nie słyszała, jak weszli.

– Wszyscy są w dobrym nastroju, jak widzę – zauważył. – A jak morale?

Maia wytarła oczy.

– Gówniane – burknęła. – Nienawidzę płakać przed Nocny mi Łowcami.

– Więc płacz w innym pokoju – poradził Jace bez krzty ciepła w głosie. – Nie potrzebujemy, żebyś nam tu pociągała nosem, kiedy rozmawiamy.

– Jace – rzucił ostrzegawczo Lukę, ale Maia już wstała z krzesła i wymaszerowała z pokoju.

– Rozmawiamy? – powtórzyła Clary, patrząc na Jace'a. – Przecież nie rozmawialiśmy.

– Ale będziemy. – Jace opadł na ławeczkę przy pianinie i wy ciągnął przed siebie długie nogi. – Magnus chce mnie skrzyczeć, prawda?

– Tak. – Czarownik oderwał wzrok od Aleca i łypnął na Jace'a spode łba. – Gdzie, do diabła, byłeś? Sądziłem, że to jasne, że masz zostać w domu.

– Myślałam, że on nie ma wyboru – wtrąciła Clary. – Że musi zostać tam, gdzie ty jesteś. No wiesz, z powodu magii.

– Normalnie tak – odparł Magnus z rozdrażnieniem. – Ale ostatniej nocy, po tym wszystkim, czego dokonałem, moje siły... trochę się wyczerpały.

– Wyczerpały?

– Tak. – Magnus był wyraźnie rozeźlony. – Nawet Wysoki Czarownik Brooklynu nie ma niewyczerpanej energii. Jestem tylko człowiekiem. No, półczłowiekiem.

– Ale chyba wiedziałeś, że zabrakło ci sił – odezwał się Lukę łagodnym tonem. – Prawda?

– Tak i dlatego kazałem temu małemu draniowi przysiąc, że zostanie w domu. – Magnus spiorunował Jace'a wzrokiem. – Te raz wiem, ile są warte osławione przysięgi Nocnych Łowców.

– Powinieneś był wiedzieć, że liczy się tylko przysięga na Anioła – stwierdził Jace.

– To prawda – poparł go Alec. Odezwał się po raz pierwszy, odkąd przyszedł.

– Oczywiście, że prawda. – Jace sięgnął po nietknięty kubek Mai, pociągnął łyk kawy i skrzywił się. – Cukier.

– Gdzie byłeś przez całą noc? – zapytał Magnus cierpkim tonem. – Z Alekiem?

– Nie mogłem zasnąć, więc poszedłem na spacer – odparł Jace. – Wracając, natknąłem się na tego smutasa snującego się po ganku. – Wskazał na przyjaciela.

Magnus się rozpromienił.

– Siedziałeś tam przez całą noc? – zapytał Aleca.

– Nie. Poszedłem do domu, a potem wróciłem. Zobacz, że mam inne ubranie.

Wszyscy na niego spojrzeli. Alec miał na sobie ciemny sweter i dżinsy, czyli dokładnie to samo co poprzedniego dnia. Mimo to Clary postanowiła rozstrzygnąć wątpliwości na jego korzyść.

– Co jest w pudełku? – zainteresowała się nagle.

– A, to. – Alec sięgnął po karton i postawił go na stoliku do kawy. – Pączki. Ktoś chce się poczęstować?

Okazało się, że chcą wszyscy. Jace wziął od razu dwa. Po wypiciu kawy, którą przyniosła mu Clary, Lukę wyglądał jak nowo narodzony. Usiadł i odchylił się na oparcie kanapy.

– Jest j edna rzecz, której nie rozumiem – powiedział.

– Tylko j edna? – natychmiast podchwycił Jace. – To jesteś lepszy od nas.

– Wy dwoje wy szliście za mną, kiedy nie wracałem do domu – rzekł Lukę, patrząc na Clary i Jace’a.

– Troje – sprostowała Clary. – Simon poszedł z nami.

– Dobrze, troje. Były dwa demony, ale Clary twierdzi, że nie zabiliście żadnego. Więc co się stało?

– Zabiłbym swojego, gdyby nie uciekł – odparł Jace.

– Ale dlaczego uciekł? – zdziwił się Alec. – Może uznał, że macie przewagę liczebną?

– Bez obrazy, ale pośród was tylko Jace wydaje się groźny – zauważył Magnus. – A niewyszkolony Nocny Łowca i wystraszony wampir...

– To mogłam być ja – przerwała mu Clary. – Myślę, że to ja go wystraszyłam.

Magnus zamrugął.

– Czy właśnie nie powiedziałem...

– Nie miałam na myśli tego, że go wystraszyłam, bo jestem taka przerażająca. Podejrzewam, że chodziło o to. – Uniosła rękę, pokazując wszystkim Znak na przedramieniu.

W salonie zapadła cisza. Jace szybko odwrócił wzrok, Alec zamrugął, Lukę zrobił zdziwioną minę.

– Nigdy wcześniej nie widziałem takiego – oświadczył w końcu. – Ktoś go zna?

– Nie – przyznał Magnus. – Ale nie podoba mi się.

– Nie jestem pewną co on oznacza, ale nie pochodzi z Szarej Księgi – powiedziała Clary, opuszczając rękę.

– Wszystkie runy pochodzą z Szarej Księgi – stwierdził Jace szorstkim tonem.

– Ale nie ten. Zobaczyłam go we śnie.

– We śnie? – Jace wyglądał na wściekłego. – W co grasz, Clary?

– W nic nie gram. Pamiętasz, jak byliśmy w Jasnym Dworze...

Jace spojrział na nią, jakby go uderzyła, ale Clary nie pozwoliła, żeby jej przerwał.

– .. Ą królowa powiedziała, że jesteśmy eksperymentem? Że Valentine uczynił nas innymi, wyjątkowymi? Ja podobno mam dar słów, które nie mogą być wypowiedziane, a ty dar Anioła.

– Nonsensy faerie.

– Faerie nie kłamią. Słowami które nie mogą być wypowiedziane... czyli Znaki. Każdy ma inne znaczenie, ale trzeba je narysować, a nie wymówić. – Clary nie zważała na powątpiewające spojrzenie Jace'a. – latałaś mnie, jak się dostałam do twojej celi w Cichym Mieście? Odpowiedziałam ci, że po prostu użyłam Znaku otwarcia...

– Naprawdę tylko tyle? – Alec popatrzył na nią wyraźnie zaskoczony. – Dotarłem tam zaraz po tobie, a wyglądało to tak, jakby ktoś wyrwał drzwi z zawiasów.

– Mój Znak otworzył nie tylko kratę, ale również wszystko, co było w celi. Kajdanki Jace'a. – Clary wzięła głęboki wdech. – Królowa chyba miała na myśli to, że umiem rysować runy potężniejsze niż te często używane. I może nawet tworzyć nowe.

Jace pokręcił głową.

– Nikt nie potrafi tworzyć nowych runów...

– Może ona potrafi, Jace. – Alec zrobił zamyśloną minę. – Faktem jest, że nikt z nas nie widział wcześniej Znaku, który Clary ma na ręce.

– Alec ma rację – stwierdził Luke. – Clary, może pójdziesz po swój szkicownik?

Spojrzała na niego, zaskoczona. Jego niebieskoszare oczy były zmęczone, zapadnięte, ale malował się w nich taki sam spokój i siła jak wtedy, gdy miała sześć lat, a Luke obiecał jej na placu zabaw w Prospect Park, że będzie stał na dole i złapie ją, gdyby spadła z drabinek.

– Dobrze. Zaraz wracam.

Żeby dostać się do pokoju gościnnego, musiała przejść przez kuchnię. Tam zastała Maię siedzącą na stołku przysuniętym do lady. Dziewczyna wyglądała żałośnie. Na jej widok wstała.

– Clary, mogę z tobą chwilę porozmawiać?

– Właśnie idę po coś do...

– Posłuchaj, przykro mi z powodu Simona. Nie byłam sobą.

– Tak? A co z tym twoim gadaniem, że wilkołaki są skazane na to, żeby nienawidzić wampirów?

Maia wyraźnie się spieszyła.

– Zgadza się, ale... nie muszę przyspieszać tego procesu.

– Wyjaśnij to Simonowi, a nie mnie.

Twarz Mai oblał rumieniec.

– Wątpię, czy zechce ze mną rozmawiać.

– Może zechce. Potrafi wybaczać.

Maia spojrzała na nią uważnym wzrokiem.

– Nie pomyśl, że jestem wścibską ale czy wy dwoje chodzicie ze sobą?

Clary poczuła, że też się rumieni, i w duchu podziękowała swoim piegom, że przynajmniej trochę to maskują.

– Dlaczego cię to interesuje?

Maia wzruszyła ramionami.

– Kiedy pierwszy raz go spotkałam, mówił o tobie jako o najlepszej przyjaciółce, ale za drugim razem nazwał cię swoją dziewczyną. Zastanawiałam się, czy ze sobą zerwaliście i teraz znowu jesteście razem.

– Coś w tym rodzaju. Najpierw byliśmy przyjaciółmi. To długa historia.

– Rozumiem. – Rumieniec zniknął z twarzy Mai i wrócił na nią uśmiešek twardej dziewczyny. – Cóż, jesteś szczęściarą. Nawet jeśli zmienił się w wampira. Jako Nocny Łowca musisz być przyzwyczajona do najdziwniejszych rzeczy, więc pewnie cię to nie odstrasza.

– . Odstrasza – powiedziała Clary tonem ostrzejszym, niż zamierzała. – Ja to nie Jace. Uśmiech Mai stał się szerszy.

– Nikt nim nie jest. I mam wrażenie, że on o tym wie.

– Co to miało znaczyć?

– No, wiesz, Jace przypomina mi mojego dawnego chłopaka. Niektórzy faceci patrzą na ciebie, jakby chcieli seksu. Jace patrzy na ciebie, jakbyście już uprawiali seks, było świetnie, a teraz jesteście tylko przyjaciółmi... choć ty chcesz czegoś więcej. To doprowadza dziewczyny do szaleństwa. Wiesz, o co mi chodzi?

Tak, pomyślała Clary.

– Nie – powiedziała.

- I chyba nie powinnaś, skoro jesteś jego siostrą. Musisz uwierzyć mi na słowo.
- Muszę iść. – Clary już wychodziła z kuchni, kiedy coś przy szło jej do głowy.

Odwróciła się. – Co się z nim stało?

Maia zamrugła.

– Z kim?

– Z twoim chłopakiem. Tym, którego przypomina ci Jace.

– A, to on zmienił mnie w wilkołaka.

– Już mam – oznajmiła Clary, wchodząc do salonu ze szkicownikiem w jednej ręce i pudełkiem kolorowych ołówków w drugiej.

Wysunęła krzesło spod stołu i usiadła, kładąc blok przed sobą. Poczula się, jakby zdawała egzamin do szkoły plastycznej: „Narysuj to jabłko”.

– Co mam zrobić?

– A jak myślisz? – Jace nadal siedział, lekko zgarbiony, na taborecie przy pianinie. Wyglądał, jakby nie spał przez całą noc. Alec stał za nim, oparty o instrument, pewnie dlatego, żeby być jak najdalej od Magnusa.

– Jace, wystarczy – odezwał się Lukę. Wyraźnie był jeszcze osłabiony. – Clary, powiedziałaś, że umiesz rysować nowe runy?

– Powiedziałam, że tak mi się wydaje.

– Chciałbym, żebyś spróbowała.

– Teraz?

Lukę uśmiechnął się słabo.

– Chyba że masz jakieś inne plany.

Clary znalazła czystą stronę w szkicowniku i pomyślała, że jeszcze nigdy papier nie wydawał się jej taki pusty. Wyczuwała napięcie w pokoju. Wszyscy na nią patrzyli: Magnus ze swoją odwieczną kontrolowaną ciekawością Alec bardziej zaabsorbowany własnymi problemami, Lukę z nadzieją Jace z zimną przerażającą obojętnością. Ciekawe, czy kiedyś rzeczywiście uda mu się ją zniechęcić.

Odłożyła ołówek.

– Nie mogę tego zrobić na rozkaz. Muszę mieć jakiś pomysł.

– Jaki? – zapytał Lukę.

– Nawet nie wiem, jakie runy już istnieją. Przydałoby się słowo albo pojęcie, żeby do niego narysować Znak.

– Trudno jest zapamiętać każdy... – zaczął Alec, ale Jace mu przerwał.

– A może „nieustraszony”? – podsunął cicho ku zaskoczeniu Clary. ‘

– Nieustraszony? – powtórzyła.

– Są runy na dzielność, ale nie ma żadnego na odpędzenie strachu. A skoro ty, jak twierdzisz, potrafisz tworzyć nowe... – Jace rozejrzał się i zobaczył zaskoczone miny Aleca i Luke’a. – Po prostu przypomniałem sobie, że nie ma takiego Znak, to wszystko. Wydaje się nieszkodliwy.

Clary spojrzała na Luke’a, a on wzruszył ramionami.

– Dobrze.

Clary wyjęła z pudełka szary ołówek i przytknęła go do papieru. Pomyślała o formach, liniach i zawijasach, o starych znakach w Szarej Księdze, idealnych, zbyt doskonałych, żeby można je wymówić. W jej głowie rozległ się cichy głos: „Kim jesteś, by sądzić, że potrafisz mówić językiem niebios?”.

Ołówek drgnął. Clary była prawie pewna, że to nie ona nim poruszyła. Sam zaczął ślizgać się po papierze, kreśląc pojedynczą linię. Jej serce zabiło mocniej. Pomyślała o matce, siedzącej w zadumie przed płótnem, tworzącej własną wizję świata tuszem i farbą olejną. Kim jestem? Córką Jocelyn Fray. Clary przyłapała się na tym, że powtarza szeptem jedno słowo: „Nieustraszony, nieustraszony”. Ołówek przesunął się w górę, ale teraz to ona nim wodziła, a nie on kierował jej ręką. Kiedy skończyła, przez chwilę z zachwytem patrzyła na swoje dzieło.

Znak nieustraszoności składał się z wielu zygzakowatych linii, był śmiały i aerodynamiczny jak orzeł. Clary wyrwała kartkę ze szkicownika i uniosła ją.

– Patrzcie – powiedziała.

Nagrodziła ją zaskoczona mina Luke’a – a więc jednak jej nie wierzył – i lekko rozszerzone oczy Jace’a.

– Super – powiedział Alec.

Jace wstał z taboretu, przeszedł przez pokój i wyjął jej kartkę ręki.

– Ale czy to działa?

Clary nie była pewna, czy Jace naprawdę chce usłyszeć odpowiedź, czy po prostu jest złośliwy.

– O co ci chodzi?

– Skąd mamy wiedzieć, że Znak działa? Papier nie odczuwa strachu. Teraz to jest zwykły rysunek. Musimy wypróbować go na jednym z nas, żeby się upewnić, że to prawdziwy Znak.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł – stwierdził Luke.

– Świetny. – Jace rzucił kartkę na stół i zaczął zdejmować kurtkę. – Mam stelę. Kto chce to zrobić?

Luke wstał z kanapy.

– Nie – powiedział. – Ty cały czas się zachowuj esz, jakbyś nigdy nie słyszał słowa „strach”. Nie wiem, jak moglibyśmy na twoim przykładzie się przekonać, czy Znak działa.

Alec stłumił parsknięcie. Jace uśmiechnął się cierpko, nie- przyjaźnie.

– Słyszałem słowo „strach”, tylko uznałem, że ono nie dotyczy mnie – oświadczył.

– I właśnie na tym polega problem – skwitował Luke.

– Może w takim razie wypróbujemy go na tobie? – zaproponowała Clary.

Luke pokręcił głową.

– Demoniczna choroba, która wywołuje likantropię, sprawia, że Znaki nie działają.

– W takim razie...

– Wypróbujcie go na mnie – nieoczekiwanie zaoferował się Alec. – Przydałoby mi się trochę nieustraszoneści. – Zdjął kurtkę i rzucił ją na taboret przy pianinie. Przeszedł przez pokój i stanął przed Jace'em. – Zrób to.

Jace zerknął na Clary.

– A może uważasz, że ty powinnaś?

– Nie. Na pewno jesteś lepszy w rysowaniu Znaków niż ja.

Jace wzruszył ramionami.

– Podwiń rękaw, Alec.

Alec spełnił polecenie. Jego przedramię już oplatał jeden, stały Znak, zapewniający idealną równowagę. Wszyscy pochylili się w napięciu, nawet Magnus, kiedy Jace starannie odwzorowywał linie Znak nieustraszoneści na rękę przyjaciela, tuż pod istniejącym wzorem. Alec się krzywił, kiedy stela kreśliła piekącą ścieżkę na jego skórze. Kiedy Jace skończył, schował stelę do kieszeni i przez chwilę podziwiał swoje dzieło.

Przynajmniej ładnie wygląda – stwierdził. – A czy działa... Alec dotknął nowego Znak i podniósł wzrok, żeby sprawdzić, czy wszyscy obecni w pokoju na niego patrzą.

– I co? – zapytała Clary.

– Co co? – Alec opuścił rękaw, zasłaniając Znak.

– Jak się czuj esz? Zauważyłeś j akąś różnicę?

Alec zastanawiał się przez chwilę.

– Właściwie nie.

Jace wyrzucił ręce w górę.

– Więc nie działa.

– Niekoniecznie – odezwał się Luke. – Po prostu nic go jeszcze nie aktywowało. Może tutaj nie ma nic, czego Alec by się bał.

– Buu! – wykrzyknął Magnus.

Jace uśmiechnął się szeroko.

– Daj spokój, na pewno masz jakąś fobię. Co cię przeraża?

Alec myślał przez chwilę.

– Pająki.

– Masz tu jakies pająki? – spytała Clary, zwracając się do Luke'a.

Pan domu zrobił urażoną minę.

– Dlaczego miałbym mieć pająki? Wyglądam na kogoś, kto je zbiera?

– Bez obrazy, ale tak – powiedział Jace.

– Wiecie, może to jednak był głupi eksperyment – stwierdził kwaśnym tonem Alec.

– A co z ciemnością? – podsunęła Clary. – Moglibyśmy za mknąć cię w piwnicy.

– Jestem łowcą demonów – oświadczył Alec. – To oczywiste, że nie boję się ciemności.

– Ale mógłbyś.

– Ale się nie boję.

Clary nie zdążyła odpowiedzieć, bo zabrzączał dzwonek u drzwi. Spojrzała na Luke'a, unosząc brwi.

– Simon?

– Niemożliwe. Jest dzień.

– Racja. – Znowu zapomniała. – Otworzyć?

– Nie. – Luke stęknął z bólu, wstając z kanapy. – Pewnie ktoś się zastanawia, dlaczego księgarnia jest zamknięta.

Gdy otworzył drzwi, aż zeszywniał z zaskoczenia. Clary usłyszała znajomy, ostry głos i chwilę później do salonu wpadły Maryse i Isabelle Lightwood, a tuż za nimi szara, groźna postać. Inkwizytorka. Towarzyszył im wysoki, krzepki mężczyzna o ciemnych włosach i oliwkowej cerze, z gęstą czarną brodą. Choć wtedy był dużo młodszy, Clary rozpoznała go ze starej fotografii, którą kiedyś pokazał jej Hodge. Robert Lightwood, ojciec Aleca i Isabelle.

Magnus gwałtownie uniósł głowę. Jace wyraźnie zbladł, ale poza tym nie okazał żadnych emocji. Alec... Alec przeniósł wzrok z siostry na matkę i ojca, a potem na Magnusa. Jego jasnoniebieskie oczy pociemniały. Zrobił krok do przodu i stanął przed rodzicami.

Na widok syna Maryse zareagowała z opóźnieniem:

– Alec, co ty tutaj robisz, u licha? Chyba jasno dałam do zrozumienia...

– Mamo, tato... – Mówił zdecydowanym, ale łagodnym tonem. – Jest coś, co muszę wam powiedzieć. – Uśmiechnął się do rodziców. – Spotykam się z kimś.

Robert Lightwood spojrział na syna z lekką irytacją.

– Alec, to nie pora...

– Owszem. To ważne. Nie tylko spotykam się z kimś... – Słowa wypływały z jego ust, podczas gdy rodzice patrzyli na niego z konsternacją, a Isabelle i Magnus z niemal identycznym zdumieniem. – Spotykam się z Podziemnym. Spotykam się z czar...

Magnus ledwo dostrzegalnie pstryknął palcami. Powietrze wokół Aleca zamigotało, a on sam wywrócił oczyma i osunął się na podłogę jak ścięte drzewo.

– Alec! – krzyknęła Maryse i przytknęła dłoń do ust.

Isabelle, stojąca najbliżej, uklękła nad bratem. Tymczasem Alec już zaczynał się ruszać. Zamrugał i otworzył oczy.

– Co... co... dlaczego leżę na podłodze?

– Dobre pytanie. – Siostra spiorunowała go wzrokiem. – Co to było?

– Co? – Alec usiadł, trzymając się za głowę. Przez jego twarz przemknął wyraz niepokoju. – Zaczekaj. Czy coś powiedziałem? Zanim zemdlałem?

Jace prychnął.

– Zastanawialiśmy, czy Znak Clary działa? Owszem, działa.

Alec zrobił przerażoną minę.

– Co powiedziałem?

– Że się z kimś spotykasz – odezwał się jego ojciec. – Tylko że nie wyjaśniłeś, dlaczego to takie ważne.

– Nie jest – zapewnił pospiesznie Alec. – To znaczy, z nikim się nie spotykam. I to nie jest ważne. W każdym razie nie byłoby ważne, gdybym się z kimś spotykał, a nie spotykam się.

Magnus spojrział na niego jak na idiotę.

– Alec bredzi – stwierdził. – Skutki uboczne działania demonicznych toksyn. Bardzo niefortunne, ale wkrótce będzie dobrze.

– Demonicznych toksyn? – Głos Maryse był piskliwy. – Nikt nie meldował w Instytucie o ataku demonów? Co tutaj się dzieje, Lucian? To twój dom, prawda? Dobrze wiesz, że gdyby na stąpił atak demonów, powinienes o nim zameldować...

– Lukę też został zaatakowany – powiedziała Clary. – Był nieprzytomny.

– Jakie to wygodne! Wszyscy byli nieprzytomni albo zamroczeni. – Głos Inkwizytorki przeciął powietrze jak nóż, uciszając obecnych. – Podziemny, dobrze wiesz, że Jonathan Morgenstern nie powinien przebywać w twoim domu. Powinien się znajdować pod pieczęcią czarownika.

– Mam nazwisko – wyrwało się Magnusowi, ale kiedy sobie uświadomił, że lepiej nie przerywać Inkwizytorce, dodał pospiesznie: – Zresztą, to nieistotne. Najlepiej o wszystkim zapomnijmy.

– Znam twoje nazwisko, Magnusie Bane – rzekła Inkwizytorka. – Już raz zaniedbałeś obowiązki. Nie dostaniesz następnej szansy.

– Zaniedbałem obowiązki? – Czarownik zmarszczył brwi. Przyprawiając tutaj chłopaka? W umowie, którą podpisałem, nie było ani słowa o tym, że nie mogę zabierać go ze sobą wedle mojego uznania.

– To nie twoja wina – powiedziała Inkwizytorka. – Nie twoje zaniedbanie, że widział się z ojcem zeszłej nocy.

W pokoju zapadła cisza. Alec wstał z podłogi i odszukał wzrokiem Jace'a, ale przyjaciel na niego nie patrzył. Jego twarz była maską.

– To niedorzeczne – obruszył się Lukę. Rzadko bywał taki rozgniewany. – Jace nawet nie wie, gdzie jest Valentine. Proszę przestać go nękać.

– Nękanie jest właśnie tym, czym się zajmuję, Podziemny – oświadczyła Inkwizytorka. – To moja praca. – Odwróciła się do Jace'a. – Powiedz prawdę, chłopcze. Tak będzie dużo łatwiej.

Jace uniósł brodę.

– Nie muszę nic mówić.

– Dlaczego nie, skoro jesteś niewinny? Powiedz nam, gdzie naprawdę byłeś w nocy.

Opowiedz nam o małej łodzi Valentine’a.

Clary wytrzeszczyła oczy. „Poszedłem na spacer”. Może naprawdę tak było. Ale jej serce i żołądek mówiły coś innego. „Wiesz, jakie jest najgorsze uczucie?”, zapytał ją kiedyś Simon. „Nie ufać osobie, którą się kocha najbardziej na świecie”.

Kiedy Jace milczał, Robert Lightwood przemówił głębkim basem:

– Imogen, twierdzisz, że Valentine jest... był...

– Na łodzi – dokończyła Inkwizytorka. – Zgadza się. Na East River.

– To dlatego nie mogłem go znaleźć – powiedział Magnus. – Woda... zepsuła mój czar.

– Co Valentine robił na środku rzeki? – zdziwił się Lukę.

– Zapytaj Jonathana – poradziła Inkwizytorka. – Pożyczył motocykl od przywódcy klanu wampirów i poleciał nim na łódź. Tak, Jonathanie?

Jace nie odpowiedział. Twarz miał nieprzeniknioną. Inkwizytorka sprawiała wrażenie, jakby upajała się atmosferą wyczekiwania panuj ącą w pokój u.

– Sięgnij do kieszeni kurtki – poleciła. – Wyjmij przedmiot, który nosisz przy sobie, odkąd opuściłeś Instytut.

Jace powoli zrobił to, co mu kazała. Kiedy wyjął rękę z kieszeni, Clary rozpoznała lśniący niebiesko– szary fragment lustra. Kawalek Bramy.

– Daj mi to. – Inkwizytorka wyrwała mu odłamek z ręki.

Jace się skrzywił. Brzeg szkła przeciął mu skórę. Na dłoni pojawiła się krew. Maryse jęknęła, ale się nie poruszyła.

– Wiedziałam, że wrócisz po to do Instytutu – rzekła z zadowoleniem Imogen Herondale.

– Wiedziałam, że twój sentymentalizm zwycięży.

– Co to jest? – zapytał Robert Lightwood, oszołomiony.

– Część Bramy – odparła Inkwizytorka. – Kiedy lustro zostało rozbite, zachował się w nim obraz ostatniego celu. – Obróciła kawałek szkła w długich, pajęczych palcach. – W tym wypadku wiejskiej posiadłości Waylandów.

W odłamku Clary widziała skrawek błękitnego nieba. Zastanawiała się, czy w Idrisie kiedykolwiek pada.

Gwałtownym ruchem, kontrastującym ze spokojnym tonem, Inkwizytorka rzuciła szkło na ziemię. Fragment lustra roztrzaskał się w drobny mak. Jace z sykiem wciągnął powietrze, ale nie ruszył się z miejsca.

Inkwizytorka włożyła szare rękawiczki i uklękła wśród szczątków Bramy. Przesiała je w dłoniach, aż znalazła to, czego szukała: cienki kawałek papieru.

Wstała trzymając go w górze, tak żeby wszyscy mogli zobaczyć Znak narysowany atramentem.

– Oznaczyłam ten świstek Znakiem tropiącym i wsunęłam między odłamek lustra a jego tył. – Spojrzała na Jace'a. – Nie rób sobie wyrzutów, że go nie zauważyłeś. Głowy starsze i mądrzejsze od twojej zostały przechytrzone przez Clave.

– Szpiegowała mnie pani – rzucił z gniewem Jace. – Tak po stępuje Clave? Narusza prywatność Nocnych Łowców, żeby...

– Uważaj, co mówisz. Nie tylko ty złamałeś Prawo. – Chłodne spojrzenie Inkwizytorki omiotło pokój. – Uwalniając cię z Cichego Miasta, a potem spod kontroli czarownika, twoi przyjaciele zrobili to samo.

– Jace nie jest naszym przyjacielem, tylko bratem – oświadczyła Isabelle.

– Na twoim miejscu uważałabym na słowa, Isabelle Lightwood – ostrzegła ją Inkwizytorka. – Można by uznać cię za współniczkę i pozbawić Znaków.

– Wspólniczkę? – Ku zaskoczeniu wszystkich to Robert Lightwood wstawił się za córką. – Dziewczyna po prostu próbo wała uchronić naszą rodzinę przed rozbiciem. Na litość boską, Imogen, to są tylko dzieci...

– Dzieci? – Herondale skierowała na niego lodowaty wzrok. – Tak jak wy byliście dziećmi, kiedy Krąg uknuł zniszczenie Clave?

Tak jak mój syn był dzieckiem, kiedy... – Urwała raptownie, odzyskując panowanie nad sobą.

– Więc jednak chodzi o Stephena – powiedział Lukę z czymś w rodzaju współczucia w głosie. – Imogen...

Twarz Inkwizytorki wykrzywił grymas gniewu.

– Nie chodzi o Stephena! Chodzi o Prawo!

Maryse splotła szczupłe palce.

– A Jace? – zapytała. – Co z nim będzie?

– Jutro wróci ze mną do Idrisu. Sami zrezygnowaliście z prawa, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

– Jak pani może go tam zabierać? – oburzyła się Clary. – Kiedy wróci?

– Clary, nie – rzucił Jace błagalnym tonem, ale nie posłuchała.

– To nie Jace jest problemem, tylko Valentine!

– Daj spokój! Dla twojego własnego dobra, daj spokój!

Clary drgnęła, jakby ją uderzył. Nigdy na nią nie krzyczał w ten sposób, nawet kiedy zaciągnęła go do pokoju szpitalnego matki. Ale widząc wyraz jego twarzy, gdy dostrzegł jej reakcję, pożałowała, że jednak nad sobą nie zapanowała.

Nie zdążyła jednak nic więcej dodać, bo Lukę położył dłoń na jej ramieniu i rzekł głosem tak poważnym, jak w tamtą noc, kiedy opowiedział jej historię swojego życia:

– Skoro chłopiec poszedł do Valentine’a, wiedząc dobrze kim on jest ojcem, to oznacza, że my go zawiedliśmy, a nie że on zawiódł nas.

– Daruj sobie tę sofistykę, Lucian – rzuciła z ironią Inkwizytorka. – Zrobiłeś się miękki jak Przyziemny.

– Ona ma rację – odezwał się Alec. Siedział na brzegu kanapy, ze skrzyżowanymi rękoma i zaciśniętymi ustami. – Jace nas okłamał. Nie ma na to usprawiedliwienia.

Jace osłupiał. Był tak pewien lojalności przyjaciela, że Clary wcale mu się nie dziwiła. Nawet Isabelle spojrzała na brata z przerażeniem.

– Alec, jak możesz tak mówić?

– Prawo to Prawo, Izzy – odparł Alec, nie patrząc na siostrę. – Nie wolno go omijać.

Isabelle krzyknęła cicho z wściekłości i zdumienia. Wybiegła z domu i z hukiem zatrzęsła za sobą drzwi. Maryse zrobiła ruch, jakby zamierzała pobiec za córką, ale mąż ją powstrzymał, mówiąc coś do niej cicho.

– Sądzę, że to znak, żebym ja też sobie poszedł – stwierdził Magnus, wstając z krzesła. Clary zauważyła, że unika patrzenia na Aleca. – Powiedziałbym, że miło było was spotkać, ale nie lubię kłamać. I szczerze mówiąc, im później zobaczę was następnym razem, tym lepiej.

Alec wpatrywał się w podłogę, kiedy Magnus wychodził z salonu, zmierzając do frontowych drzwi. Zamknął je za sobą z hukiem.

– Dwoje mniej – skomentował Jace. – Kto następny?

– Wystarczy – ucięła Inkwizytorka. – Podaj mi rękę.

Kiedy Jace spełnił polecenie, wyjęła stelę z ukrytej kieszeni i nakreśliła Znak na nadgarstkach. Kiedy się cofnęła, jego ręce były skrzyżowane i związane czymś, co wyglądało jak obręcz z płomieni. Clary krzyknęła.

– Co pani robi? To go boli...

– Nic mi nie jest, siostrzyczko – uspokoił ją Jace, ale wcale na nią nie patrzył. – Ogień mnie nie sparzy, dopóki nie będę próbował się uwolnić.

– A jeśli chodzi o ciebie – powiedziała Inkwizytorka zwracając się do Clary, choć do tej pory ledwo ją dostrzegała. – Miałaś szczęście, że zostałam wychowana przez Jocelyn i uniknęłaś ojcowskiego piętna. Niemniej jednak, będę miała na ciebie oko. Lukę zacisnął dłoń na ramieniu Clary.

– To groźba? – spytał.

– Clave nie posuwa się do gróźb, Lucianie Graymark. Clave składa obietnice i ich dotrzymuje.

Inkwizytorka mówiła niemal z rozbawieniem. Wszyscy inni obecni w pokoju sprawiali wrażenie wstrząśniętych. Z wyjątkiem Jace'a, który obnażył zęby, jakby warczał, choć Clary wątpiła, czy zdawał sobie z tego sprawę. Wyglądał jak lew w klatce.

– Chodź, Jonathanie – powiedziała Inkwizytorka – Idź przede mną. Jeśli spróbujesz uciekać, wbiję ci nóż między łopatki.

Jace przez chwilę mocował się z gałką u drzwi, próbując ją obrócić spętanymi rękami. Clary zacisnęła zęby, żeby nie krzyknąć. Po chwili wszyscy opuścili dom: Jace, Inkwizytorka i Lightwoodowie z Alekiem nadal wbijającym wzrok w podłogę. Clary i Lukę zostali sami w salonie, pogrążeni w milczeniu pełnym niedowierzania.

Ząb węża

– Co robimy... – zaczęła Clary w chwili, kiedy drzwi zamknęły się za Lightwoodami.

Lukę objął głowę rękami, jakby chronił ją przed pęknięciem na pół.

– Kawy – wyjął. – Potrzebuję kawy.

– Już ci przyniosłam.

Opuścił ręce i westchnął.

– Chcę więcej.

Clary poszła za nim do kuchni. Lukę nalał sobie kawy, usiadł przy kuchennym stole i z roztargnieniem przeczesał ręką włosy.

– Jest źle – powiedział. – Bardzo źle.

– Tak sądzisz? – Clary nie mogła teraz nawet myśleć o kawie. Nerwy miała napięte jak struny. – Co się stanie, jeśli zabiorą go do Idrisu?

– Proces przed Clave. Pewnie uznają go za winnego. Wymierzą karę. Jest młody, więc mogą pozbawić go Znaków, a nie wykląć.

– Co to znaczy?

Lukę nie patrzył jej w oczy.

– To znaczy, że wyrzucą go z Clave, przestanie być Nocnym Łowcą. Będzie zwykłym Przyziemnym.

– Ale przecież to go zabije. Naprawdę. On wolałby umrzeć.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – Lukę dopił kawę i z ponurą miną odstawił pusty kubek. – Dla Clave nie ma to znaczenia. Nie mogą dopaść Valentine’a, więc ukarzą jego syna.

– A co ze mną? Jestem jego córką.

– Ale nie należysz do ich świata, natomiast Jace tak. Nie byłoby źle, gdybyś najakiś czas się przyczaiła. Chciałbym pojechać na farmę...

– Nie możemy tak po prostu zostawić Jace’a! – Clary była wstrząśnięta. – Nigdzie nie jadę.

– Oczywiście, że nie. – Lukę zbył jej protest machnięciem ręki. – Powiedziałem, że bym chciał, anie, że jedziemy. Nasuwa się pytanie, co zrobi Imogen, skoro już wie, gdzie jest Valentine. Grozi nam wojna.

– Może nawet zabić Valentine’a. Nic mnie to nie obchodzi. Ja tylko chcę, żeby Jace wrócił.

– To może nie być łatwe – ostrzegł ją Lukę. – Zważywszy na to, że Jace rzeczywiście zrobił to, o co jest oskarżony.

– Myślisz, że zabił Cichych Braci? – oburzyła się Clary. – Myślisz...

– Nie. Nie uważam, że zabił Cichych Braci. Wiem, że zrobił to, co widziała Imogen: poszedł zobaczyć się z ojcem.

Nagle Clary coś sobie przypomniała.

– Co miałaś na myśli, mówiąc, że to my go zawiedliśmy, a nie na odwrót? Czy to znaczy, że go nie winisz?

– Tak 1 nie. – Lukę wyglądał na znużonego. – Postąpił bardzo głupio. Valentine’owi nie można ufać. Ale kiedy Lightwoodowie odwrócili się do niego plecami, czego się spodziewali? Jest jeszcze dzieckiem, nadal potrzebuje rodziców. Jeśli oni go nie chcą szukać kogoś innego.

– Pomyślałam, że może szukał ciebie. Lukę zrobił smutną minę.

– Ja też tak sądziłem, Clary. Tak sądziłem.

Maia słyszała słabe głosy dochodzące z kuchni. Już przestali wrzeszczeć w salonie. Pora się wynosić. Złożyła liścik, który napisała w pośpiechu, zostawiła go na łóżku Luke’a i podeszła do okna. Mocowała się z nim przez dwadzieścia minut, w końcu je otworzyła do środka wpadło chłodne powietrze to jeden z tych wczesnojesiennych dni, kiedy niebo wydaje się niemożliwie błękitne i odległe, a w powietrzu czuć słaby zapach dymu.

Maia weszła na parapet i spojrzała w dół. Przed Przemian kręciłoby się jej w głowie ze strachu przed wysokością ale i pomyślała przelotnie o swoim zranionym ramieniu i skoczyła. Wylądowała w przysiadzie na popękany beton na pot 1 w ku. Wyprostowała się szybko i obejrzała na dom, ale nikt stanął w oknie i nie zawołał, żeby wracała.

Poczuła lekkie ukłucie rozczarowania. I tak nie zwracali mnie zbytnej uwagi, kiedy byłam w domu, stwierdziła, wdrapując się na wysoką siatkę, która oddzielała podwórze Luke’a

od uliczki. Dlaczego więc mieliby zauważyć, że zniknęłam. Jedyną osobą, która traktowała mnie poważnie, był Simon.

Skrzywiła się na myśl o Simonie. Zeskoczyła po drugiej stronie ogrodzenia i pobiegła ulicą do Kent Avenue. Powiedziała Clary ze nie pamięta nocnych wydarzeń, ale to nie była prawda pamiętała wyraz twarzy Simona, kiedy gwałtownie się przed nim cofnęła. Najdziwniejsze, że w tamtym momencie nadal wyglądał na człowieka bardziej ludzkiego niż wszyscy, których znała Przecięła jezdnię, żeby nie przechodzić przed domem Luke'a. Ulica była niemal opustoszała. Mieszkańcy Brooklynu jeszcze spali w ten późny niedzielny ranek. Maia skierowała się do metra przy Bedford Avenue. Nadal myślała o Simonie, co przyprawiało ją o ból żołądka. Był pierwszą osobą od lat, której chciała zaufać, a przez niego stało się to niemożliwe.

„To dlaczego teraz idziesz, żeby się z nim zobaczyć?” – usłyszała szept w głowie i jak zwykle był to głos Daniela. „Zamknij się”. powiedziała mu twardo. „Nawet jeśli nie możemy zostać przyjaciółmi, jestem mu winna co najmniej przeprosiny”. Ktoś się roześmiał. Dźwięk odbił się echem od murów wysokiej fabryki znajdującej się po jej lewej stronie. Serce Mai nagle ścisnął strach. Obróciła się, ale ulica za nią była pusta. Brzegiem rzeki szła stara kobieta z psami, ale znajdowała się za daleko, żeby usłyszeć krzyk.

Maia przyspieszyła kroku. Była w stanie wyprzedzić w marszu większość ludzi, nie mówiąc o pokonaniu ich w biegu. Nawet z ręką która bolała ją tak, jakby ktoś uderzył w nią młotem, nie musiała obawiać się rabusia czy gwałciiciela. Gdy krótko przybyciu do miasta szła pewnej nocy przez Central Park, . dwóch nastolatków uzbrojonych w noże próbowało ją obrabować i tylko B at powstrzymał ją przed zabiciem ich obu.

Skąd zatem to uczucie paniki?

Obejrzała się za siebie. Staruszka zniknęła. Cała Kent była pusta. Przed nią wznosiła się opuszczona fabryka słodczy – Jesteś Valentine? – wyszeptała. – Myślałam, że... Nadepnął jej rękę. Całe ramię przeszył silny ból. Maia krzyknęła. – Zadałem ci pytanie. Ile masz lat?

– Ile mam lat? – Ból w ręce, zmieszany z duszącym smrodem śmieci, przyprawił ją o mdłości. – Pieprz się.

Między jego palcami pojawił się promień światła. Valentine ciął nim przez jej twarz tak szybko, że nie zdążyła się uchylić. Odruchowo dotknęła piekącego policzka i wyczuła krew pod palcami.

– Ile masz lat? – powtórzył Valentine.

– Piętnaście.

Poczuła raczej niż zobaczyła, że Valentine się uśmiecha.

– Doskonale.

Po powrocie do Instytutu Inkwizytorka oddzieliła Jace'a od Lightwoodów i zaprowadziła go do sali treningowej. Ujrawszy swoje odbicie w wysokich lustrach biegnących wzdłuż ścian, Jace przeżył wstrząs. Nie widział siebie od wielu dni, a ostatnia noc była naprawdę kiepska. Oczy miał podkrążone, koszulę ubrudzoną zaschniętą krwią i błotem z East River, twarz ściągniętą i zmęczoną.

– Podziwiasz siebie? – Głos Inkwizytorki wdarł się w jego rozmyślania. – Nie będziesz wyglądał tak ładnie, kiedy Clave z tobą skończy.

– Zdaje się, że ma pani obsesję na punkcie mojego wyglądu. – Jace z ulgą odwrócił się od lustra. – Czy to dlatego, że panią pociągam?

– Powstrzymaj się od niesmacznych uwag. – Z szarej sakwy wiszącej u pasa Inkwizytorka wyjęła cztery długie anielskie noże. – Mógłbyś być moim synem.

– Stephenem. – Jace przypomniał sobie słowa Lukę'a. – Tak miał na imię, prawda?

Inkwizytorka odwróciła się tak gwałtownie, że ostrza aż zawibrowały od jej gniewu.

– Nie waż się nigdy wymawiać tego imienia.

Przez chwilę Jace zastanawiał się, czy naprawdę mogłaby go zabić. Nic nie powiedział, a tymczasem kobieta się opanowała.

– Stań na środku pokoju, proszę. – Nie patrząc na niego, wskazała miejsce czubkiem noża.

Bez słowa spełnił polecenie. Choć starał się nie patrzeć w lustra, kątem oka widział odbicie swoje i Imogen Herondale. A właściwie wiele odbić, jakby w sali treningowej stało mnóstwo Inkwizytorek grożących mnóstwu Jace'ów.

Spojrzał na swoje spętane ręce. Bolesne napięcie w nadgarstkach i ramionach zmieniło się w silny, przesywający ból. Jace nawet nie mrugnął, kiedy Inkwizytorka spojrzała na jeden z noży, wymówiła jego imię, Jophiel, i wbiła ostrze w drewniane deski podłogi u swoich stóp. Gdy minęła chwila i nic się nie wydarzyło, Jace nie wytrzymał.

– Bum? Coś miało się stać?

– Zamknij się – rzuciła krótko Inkwizytorka. – I zostań tam, gdzie jesteś.

Jace obserwował z rosnącą ciekawością, jak Imogen Herondale przechodzi na jego drugą stronę, wypowiada imię Harahel i wbija drugi miecz w podłogę.

Przy trzecim nożu – Sandalfonie – zrozumiał, co robi Inkwizytorka. Pierwsze ostrze zostało umieszczone na południe od niego, następne na wschód, kolejne na północ. Razem wytyczały strony świata. Jace próbował sobie przypomnieć, co to może oznaczać, ale nic nie wymyślił. Był to jakiś rytuał Clave, ale on nigdy się o takim nie uczył. Gdy Inkwizytorka uniosła ostatni nóż, Taharial, dłonie miał spocone i piekące w miejscu, gdzie ocierały się o siebie.

Imogen Herondale wyprostowała się, najwyraźniej zadowolona z siebie.

– Dobrze!

– Co dobrze? – zapytał Jace, ale uciszyła go gestem ręki.

– Jeszcze jedno, Jonathanie.

Podeszła do ostrza wbitego od południa i uklękła przed nim. Wyjęła stelę i narysowała tuż przy ostrzu pojedynczy Znak. Kiedy wstała, w sali rozbrzmiał wysoki, delikatny, przyjemny ton, jakby ktoś poruszył dzwoneczkiem. Z czterech anielskich noży buchnęło tak oślepiające światło, że Jace odwrócił głowę i zmrużył oczy. Gdy otworzył je chwilę później, zobaczył, że stoi w klatce, której boki wyglądają jak utkane z włókien światła. Poruszały się jak kurtyny podświetlonego deszczu.

Inkwizytorka była teraz zamazaną postacią za jarzącą się ścianą. Kiedy Jace krzyknął, nawet jego głos wydał się drżący i głuchy, jakby wołał do niej przez wodę.

– Co to jest? Co pani zrobiła?

Imogen Herondale się roześmiała.

Jace z wściekłością zrobił krok do przodu, potem drugi. Gdy musnął ramieniem jaśniejącą ścianę, przeszył go prąd, jakby dotknął płotu pod napięciem. Runął na podłogę, bo nie mógł złagodzić rękami upadku.

Inkwizytorka znowu się zaśmiała.

– Jeśli spróbujesz uciec, czeka cię coś więcej niż kolejny wstrząs. Clave nazywa tę karę Konfiguracją Malachi. Tych ścian nie można sforsować, dopóki serafickie noże pozostają tam, gdzie są. Nie robiłabym tego na twoim miejscu – ostrzegła, kiedy Jace uklękł i próbował sięgnąć do najbliższego noża. – Dotknij ostrza, a zginiesz.

– Ale pani może ich dotykać – zauważył z nienawiścią w głosie Jace.

– Ja mogę, ty nie.

– A co zjedzeniem? Z wodą?

– Wszystko we właściwym czasie, Jonathanie.

Jace wstał. Przez świetlistą kurtynę zobaczył, że Inkwizytorka odwraca się do wyjścia.

– Ale moje ręce... – Spojrzał na swoje spętane nadgarstki. Metal wrzynał się w skórę jak żrący kwas. Wokół ognistych kajdanek tworzyły się krwawe pręgi.

– Powinieneś był pomyśleć o tym, zanim poszedłeś zobaczyć się z Valentine'em.

– Jakoś nie boję się zemsty Rady. Nie mogą być gorsi od pani.

– Nie staniesz przed Radą – oznajmiła Inkwizytorka. W jej głosie był spokój, który nie spodobał się Jace'owi.

– Jak to nie stanę przed Radą? Mówiła pani, że jutro zabiera mnie do Idrisu.

– Nie. Zamierzam oddać cię ojcu.

Wstrząs wywołany jej słowami omal nie zwałił go z nóg.

– Mojemu ojcu?

– Twojemu ojcu. Zamierzam przehandlować ciebie za Dary Anioła.

Jace wytrzeszczył oczy.

– Chyba pani żartuje.

– Wcale nie. To prostsze wyjście niż proces. Oczywiście zostaniesz wykluczony z Clave – dodała po zastanowieniu – ale przypuszczam, że się tego spodziewałeś?

Jace pokręcił głową.

– Macie niewłaściwego faceta. Chyba zdaje sobie pani z tego sprawę?

Przez twarz Imogen Herondale przemknął wyraz irytacji. ~ Sądziłam, że dałeś już sobie spokój z tym udawaniem niewinności, Jonathanie.

– Nie miałem na myśli siebie, tylko swojego ojca.

Po raz pierwszy, odkąd ją poznał, Inkwizytorka wyglądała na zdezorientowaną.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Ojciec nie wymieni mnie na Dary Anioła. – Słowa Jace'a były gorzkie, ale ton rzeczowy. – Prędeż pozwoli, żebyście zabili mnie na jego oczach, nim odda wam Kielich i Miecz.

Inkwizytorka pokręciła głową.

– Nie rozumiesz – powiedziała z zagadkową nutą urazy w głosie. – Dzieci nigdy nie rozumieją. Miłości rodzicielskiej nie można porównać z niczym. Żadna nie jest tak wszechmoc

na. Żaden ojciec, nawet Valentine, nie poświęciłby syna dla kawałka metalu, nieważne jak potężnego.

– Nie zna pani mojego ojca. Roześmieje się wam w twarz i zaproponuje pieniądze, żebyście odesłali moje ciało do Idrisu.

– Nie mów bzdur...

– Ma pani rację – przyznał Jace. – Prawdopodobnie każe wam zapłacić za przesyłkę.

– Widzę, że jednak jesteś synem swojego ojca. Nie chcesz, żeby stracił Dary Anioła. Dla ciebie również byłaby to utrata władzy. Nie chcesz przeżyć życia jako okryty hańbą syn przestępcy, więc powiesz wszystko, żeby zachwiać moją decyzją. Ale mnie nie oszukasz.

– Proszę posłuchać. – Jace starał się mówić spokojnie, choć serce mu waliło młotem. Musiała mu uwierzyć. – Wiem, że pani mnie nienawidzi. Wiem, że uważa mnie pani za takiego samego kłamcę jak mój ojciec. Ale teraz powiem pani prawdę. Valentine wierzy w to, co robi. Pani uważa, że jest zły. Natomiast on jest przekonany, że ma rację. Sądzi, że wykonuje dzieło Boże. Nie zrezygnuje z tego dla mnie. Śledziła mnie pani, więc musiała pani słyszeć, co mówił...

– Tylko widziałam, jak z nim rozmawiasz – powiedziała Inkwizytorka. – Nic nie słyszałam.

Jace zaklął pod nosem.

– Proszę posłuchać, złożę każdą przysięgę, jaką pani zechce, by udowodnić, że nie kłamię. Valentine używa Meczą i Kielicha, żeby wzywać demony. Im więcej czasu straci pani na mnie, tym więcej on go zyska, żeby stworzyć armię. Gdy już pani zrozumie, że mój ojciec nigdy nie dobieje targu, nie będziecie mieli szansy go pokonać...

Inkwizytorka prychnęła ze zniecierpliwieniem.

– Jestem zmęczona twoimi kłamstwami.

Jace wstrzymał oddech, kiedy odwróciła się do niego plecami i ruszyła do drzwi.

– Proszę! – krzyknął.

Imogen Herondale zatrzymała się przy drzwiach i obejrzała. Jace widział tylko kanciasty zarys jej twarzy, ostry podbródek, ciemne zagłębienia na skroniach. Szare ubranie stapiało się z cieniami zalegającymi salę, przez co wyglądała jak bezcielesna czaszka unosząca się w powietrzu.

– Nie myśl, że zależy mi na tym, żeby oddać cię ojcu – powie działa. – Valentine Morgenstern na to nie zasługuje. – A na co zasługuje?

– Zęby trzymać w ramionach martwe ciało swojego dziecka. Zobaczyć martwego syna i zrozumieć, że nic nie może zrobić. Nie ma żadnego czaru, żadnego zaklęcia, żadnego targu z piekłem, dzięki któremu go odzyska... – Urwała. – Powinien sam się przekonać – dodała szeptem i pchnęła drzwi.

Kiedy zamknęły się za nią z trzaskiem, Jace patrzył na nie w oszołomieniu, z płonącymi nadgarstkami.

Clary odłożyła słuchawkę, marszcząc brwi.

– Nikt nie odbiera.

– Do kogo próbowałaś zadzwonić? Do Simona?

Lukę pił już piątą kubek kawy i Clary zaczynała się o niego martwić. Czy można zatruć się kofeiną? Nie wyglądało na to, żeby groził mu atak serca czy coś w tym rodzaju, ale idąc do stołu, ukradkiem wyłączyła ekspres, tak na wszelki wypadek.

– Nie. Nie chcę budzić go w dzień, choć powiedział, że mu to nie przeszkadza, dopóki nie musi oglądać światła słonecznego.

– Więc...

– Dzwoniłam do Isabelle, żeby się dowiedzieć, co z Jace'em.

– Nie odebrała?

– Nie. – Clary zaburczało w żołądku. Podeszła do lodówki, wyjęła z niej jogurt brzoskwinowy i zaczęła jeść go mechanicznie, nie czując smaku. W połowie pojemni czka nagle sobie coś przypomniała. – Maia. Powinniśmy sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku. – Odstawiła jogurt. – Pójdę do niej.

– Nie, to ja jestem przywódcą jej stada – powiedział Lukę. – Ona mi ufa. Mogę ją uspokoić, jeśli jest zdenerwowana. Zaraz wrócę.

– Nie mów tak – poprosiła Clary. – Nie lubię, kiedy ludzie tak mówią.

Lukę posłał jej krzywy uśmiech i wyszedł do przedpokoju. Po kilku minutach wrócił zdziwiony.

– Zniknęła.

– Zniknęła? Jak to?

– Po prostu wymknęła się z domu. Zostawiła to. – Cisnął na stół złożoną kartkę papieru.

Clary podniosła ją i przeczytała, marszcząc brwi:

Przepraszam za wszystko. Poszłam naprawić parę rzeczy. Dzięki za to, co dla mnie zrobiliście. Maia.

– „Naprawić parę rzeczy”? O co jej chodziło? Lukę westchnął.

– Małam nadzieję, że ty będziesz wiedziała. – Martwisz się?

– Raamy są jak psy myśliwskie – powiedział Lukę. – Znaj dują ludzi i przyprowadzają ich do tego, kto je wezwał. Ten demon nadal może jej szukać.

– Aha – mruknęła Clary. – Domyślam się, że poszła do Simona.

Lukę spojrzał na nią zaskoczony.

– Wie, gdzie on mieszka?

– Nie mam pojęcia. – Clary sięgnęła do kieszeni po komórkę.

– Wydają się sobie bliscy w pewnym sensie. Zadzwoń do niego.

– Myślałem, że nie lubisz budzić go w dzień.

– Nie lubię, ale muszę się przyzwyczać. Ostatnio dzieją się same dziwne rzeczy.

Simon odebrał po trzecim sygnale. Miał zaspany głos. –

Halo?

– To ja.

Odwróciła się od Lukę'a, głównie z nawyku, nie miała bowiem przed nim sekretów.

– Wiesz, że teraz jestem nocnym stworzeniem – wymamrotał Simon. Clary słyszała, że przewraca się na łóżku. – To oznaczają że śpię cały dzień.

– Jesteś w domu?

– Tak, a gdzie miałbym być? – Wydawał się już bardziej przytomny. – O co chodzi, Clary? Co się stało?

– Maia uciekła. Zostawiła liścik, z którego wynika, że być może idzie do ciebie.

– Nie przyszła. – W głosie Simona brzmiało zdumienie. – W każdym razie jeszcze się nie pokazała.

– Jest ktoś jeszcze w domu oprócz ciebie?

– Nie, mama w pracy, a Rebecca na wykładach. Naprawdę myślisz, że Maia zamierza mnie odwiedzić?

– Zadzwoń do nas, jeśli się pojawi...

– Clary – przerwał jej Simon – zaczekaj chwilę. Chyba ktoś próbuje włamać się do mojego domu.

Jace obserwował zadziwiającą srebrną kurtynę wokół niego. Zaczęły mu drętwieć palce, co, jak podejrzewał, było złym znakiem, ale nie potrafił się tym przejąć. Zastanawiał się, czy Lightwoodowie wiedzą, że on tutaj jest, albo czy będą mieli przykrą niespodziankę, kiedy przypadkiem wejdą do sali treningowej. Ale nie, Inkwizytorka nie była taka niedbała. Prawdopodobnie uprzedziła wszystkich, że pokój jest niedostępny do czasu, kiedy zrobi z więźniem to, co uzna za stosowne. Chyba powinien być zły, nawet wystraszony, ale czuł tylko obojętność. Nic nie wydawało mu się realne: ani Clave, ani Przymierze, ani Prawo, ani nawet jego ojciec.

Kiedy tak leżał na plecach i gapił się w sufit, nagle usłyszał ciche kroki. Usiadł i omiół wzrokiem salę. Za świetlistą kurtyną deszczu dostrzegł ciemną postać. To musiała być Inkwizytorka. Wróciła, żeby jeszcze trochę go podręczyć. Przygotował się na to... i serce mu drgnęło na widok ciemnych włosów i znajomej twarzy.

Może jednak na czymś mu jeszcze zależało.

– Alec?

– To ja. – Przyjaciół ukłękł po drugiej stronie migoczącej ściany.

Jace widział go wyraźnie, ale jego rysy rozmazywały się, kiedy srebrny deszcz falował. Zupełnie jakby patrzył na niego przez czystą wodę zmarszczoną przez wiatr.

Można dostać mdłości, pomyślał.

– Co to jest, w imię Anioła? – Alec wyciągnął rękę, żeby do tknąć dziwnej ściany.

– Nie! – krzyknął Jace. – Porazi cię albo nawet zabije.

Alec cofnął rękę i cicho zagwizdał.

– Inkwizytorka nie żartowała.

– Oczywiście, że nie. Przecież jestem niebezpiecznym przestępcą. – Jace usłyszał cierpki ton w swoim głosie, a kiedy zobaczył, że Alec się wzdryga, przez chwilę czuł złośliwą satysfakcję.

– Właściwie nie nazwała cię przestępcą...

– Nie, jestem tylko bardzo niegrzecznym chłopcem. Robię różne złe rzeczy. Męcę koty. Wykonuję brzydkie gesty przy zakonnicach.

– Nie żartuj sobie. To poważna sprawa. Co, u licha, sobie myślałeś, kiedy poszedłeś zobaczyć się z Valentine'em. Serio, wytłumacz mi, co chodziło ci po głowie?

Jace'owi przyszło na myśl kilka ciętych odpowiedzi, ale stwierdził, że nie ma ochoty popisywać się dowcipem. Był na to zbyt zmęczony.

– Pomyślałem, że j est moim oj cem.

Alec zrobił taką minę, jakby liczył w myślach do dziesięciu, żeby zachować cierpliwość.

– Jace...

– A gdyby to był twój ojciec? Jak ty byś postąpił?

– Mój ojciec? On nigdy by nie zrobił takich rzeczy jak Valentine...

Jace gwałtownie uniósł głowę.

– Robił takie rzeczy! Był wKręgu razem z moim ojcem! Twoja matka też! Nasi rodzice byli tacy sami. Jedyna różnica polega na tym, że twoi dali się złapać i ukarać, a Valentine nie!

Twarz Aleca stężała.

– Jedyna różnica? – powtórzył.

Jace spojrział na swoje ręce. Płonące kajdanki nie powinny być tak długo używane. Krwawe pręgi pod nimi były coraz większe.

– Po prostu nie rozumiem, jak mogłeś chcieć się z nim zobaczyć po tym, co zrobił tobie, a nie w ogóle – wyjaśnił Alec.

Jace nie odpowiedział.

– Przez te wszystkie lata pozwalał ci myśleć, że nie żyje. Może nie pamiętasz, jak było, kiedy miałeś dziesięć lat, ale ja tak. Ktoś, kto cię kocha, nie mógłby zrobić czegoś takiego.

– Valentine obiecał, że jeśli poprę go przeciwko Clave, zadba o to, żeby nikomu, na kim mi zależy, nie stała się krzywda. Tobie, Isabelle, Maksowi czy Clary. Ani waszym rodzicom. Po wiedział...

– Że nikomu nie stanie się krzywda? – W głosie Aleca brzmiało niedowierzanie i pogarda.

– Masz na myśli to, że on osobiście nikogo nie skrzywdzi. Młe.

– Widziałem, co Valentine potrafi, Alec. Jakie demoniczne moce jest w stanie wezwać. Jeśli stworzy tę diabelską armię i wyśle ją przeciwko Clave, będzie wojna. A na wojnach giną ludzie. – Jace się zawahał. – Gdybyś miał szansę uratować wszystkich, których kochasz...

– Jaką szansę? Co jest warte słowo Valentine'a?

– Jeśli on przysięgnie na Anioła, że coś zrobi, dotrzyma słowa. Znam go.

– Pod warunkiem, że go poprzesz przeciwko Clave. Jace kiwnął głową.

– Musiał być bardzo wkurzony, kiedy odmówiłeś – zauważył Alec.

Jace oderwał wzrok od swoich krwawiących nadgarstków i spojrzał na przyjaciela. – Co?

– Powiedziałem...

– Wiem, co powiedziałeś. Dlaczego uważasz, że odmówiłem?

– Bo odmówiłeś. Prawda?

Jace bardzo wolno pokiwał głową.

– Znam cię – stwierdził z przekonaniem Alec i wstał. – Opowiedziałeś Inkwizytorce o Valentine i jego planach, tak? A ona się nie przejęła?

– Nie tyle się nie przejęła, ile raczej mi nie uwierzyła. Uważa, że ma plan, dzięki któremu rozprawi się z Valentine'em. Problem polega na tym, że jej plan jest do niczego.

– O tym może później – powiedział Alec. – Najpierw ważniejsze rzeczy. Musimy wymyślić, jak cię stąd wydostać.

– Co? – Jace'owi lekko zakręciło się w głowie. – Zdawało mi się, że według ciebie powinienem iść prosto do więzienia. „Prawo to Prawo, Isabelle”. To twoje słowa, tak czy nie?

Alec zrobił zdziwioną minę.

– Chyba nie sądziłeś, że mówiłem to poważnie? Po prostu chciałem, żeby Inkwizytorka mi zaufała i nie obserwowała mnie przez cały czas, tak jak obserwuje Izzy i Maksa. Wie, że oni są po twojej stronie.

– A ty? Jesteś po mojej stronie? – Jace usłyszał napięcie w swoim głosie i niemal przeraziło go to, ile znaczy dla niego odpowiedź Aleca.

– Jestem z tobą – zapewnił go przyjaciel. – Zawsze. Dlaczego w ogóle musisz pytać? Szanuję Prawo, ale to, co robiła Inkwizytorka, nie ma nic wspólnego z Prawem. Nie wiem dokładnie, co się dzieje, ale nienawiść, którą ona do ciebie żywi, jest osobista. Wcale nie chodzi o Clave.

– Prowokuję ją – powiedział Jace. – Nic nie mogę na to po radzić. Żli biurokraci tak na mnie działają.

Alec pokręcił głową.

– To nie to. Wyczuwam jakąś zastarzałą nienawiść.

Jace już miał odpowiedzieć, kiedy nagle zaczęły bić dzwony katedry. W sali treningowej ich dźwięk był bardzo donośny. Jace spojrzał w górę. Niemal się spodziewał, że zobaczy Hugona zataczającego powolne kręgi między drewnianymi krokiewiami a łukowatym kamiennym

sklepieniem. Było to ulubione miejsce kruka Hodge'a. Kiedyś Jace sądził, że ptak lubi wbijać pazury w miękkie drewno, ale teraz zrozumiał, że miał tam doskonały punkt obserwacyjny.

– Lukę wspomniał, że Inkwizytorka miała syna o imieniu Stephen. Zdaje się, że próbuje go pomścić. Gdy ją o niego za pytałem, wkurzyła się. Myślę, że on może mieć coś wspólnego z jej nienawiścią do mnie.

Dzwony umilkły.

– Może – bąknął Alec. – Zapytam rodziców, ale wątpię, czy mi powiedzą.

– Nie, lepiej spytaj Lukę'a.

– I mam jechać aż na Brooklyn? Posłuchaj, stąd nie da się wymknąć...

– Skorzystaj z telefonu Isabelle. Wyślij wiadomość do Clary, żeby zapytała Lukę'a.

– Dobrze. – Alec się zawahał. – Chcesz, żeby jeszcze coś jej przekazał? To znaczy, Clary, nie Isabelle.

– Nie. Nie mam jej nic do powiedzenia.

– Simon! – Clary gwałtownie odwróciła się do Lukę'a, ściskając telefon. – Mówi, że ktoś próbuje włamać się do jego domu.

– Powiedz mu, żeby uciekał.

– Nie mogę wyjść – przypomniał Simon z napięciem w głosie. – Chyba że chcę spłonąć.

– Światło dzienne – szepnęła Clary do Luke'a, ale on już zorientował się w sytuacji i szukał czegoś w kieszeniach. Kluczyków do samochodu.

– Powiedz Simonowi, że już jedziemy. Niech się zamknie w pokoju na klucz i na nas czeka.

– Słyszałeś? Zamknij się w pokoju.

– Słyszałem.

Z telefonu dobiegł dźwięk szurania, a potem głośny stuk.

– Simon!

– W porządku. Po prostu przesuwam różne rzeczy pod drzwi.

– Jakie rzeczy? – Clary już stała na ganku, drżąc w cienkim swetrze. Lukę zamykał dom.

– Biurko – odparł Simon z pewną satysfakcją w głosie. – I łóżko.

– Łóżko? – Clary wsiadła do furgonetki i jedną ręką mocowała się z pasem bezpieczeństwa, a tymczasem Lukę zawracał na podjeździe. Gdy ruszyli Kent Avenue, pomógł zapiąć jej pas. – Jak poradziłeś sobie z łóżkiem?

– Zapomniałaś, że wampiry mają niezwykłą siłę?

– Zapytaj go, co słyszy – powiedział Luke.

Pędzili ulicą, a ponieważ nabrzeże Brooklynu nie było w najlepszym stanie, Clary gwałtownie nabierała powietrza za każdym razem, kiedy trafiali na wybój.

– Co słyszysz? – spytała, łapiąc oddech.

– Słyszałem trzask frontowych drzwi. Chyba otworzyli je kopniakiem. Potem Yossarian wbiegł do mojego pokoju i schował się pod łóżkiem, stąd wiem, że ktoś na pewno jest w domu.

– A teraz?

– Teraz nic nie słyszę.

– To dobrze, prawda? – Clary odwróciła się do Luke'a. – Mówi, że teraz nic nie słyszy. Może sobie poszli.

– Może. – W głosie Luke'a brzmiało powątpiewanie. Znaj dowali się teraz na autostradzie i kierowali w stronę dzielnicy Simona. – Zatrzymaj go przy telefonie.

– Co robisz, Simon?

– Nic. Przepchnąłem wszystkie meble pod drzwi i teraz próbuję wydostać Yossariana zza kaloryfera.

– Zostaw go tam, gdzie jest.

– Bardzo trudno będzie wyjaśnić to mamie – stwierdził Simon, po czym w telefonie zapadła cisza. Rozległo się kliknięcie, a następnie na ekranie wyświetlił się komunikat: „Połączenie przerwane”.

– Nie. Nie! – Clary drżącymi palcami wcisnęła klawisz ponownego wybierania.

Simon odebrał natychmiast.

– Przepraszam. Yossarian mnie podrapał i upuściłem telefon.

Clary poczuła ucisk w gardle.

– Najważniejsze, że nic ci nie jest i...

W słuchawce rozległ się taki hałas, jakby potężna fala rozbijała się o brzeg. Clary gwałtownie odsunęła komórkę od ucha.

– Simon! – krzyknęła. – Simon, słyszysz mnie?

Z drugiej strony dobiegły stuki, łoskot, a potem wysokie, przeraźliwe miauczenie... Yossarian? Chwilę później jakiś ciężki przedmiot runął na podłogę.

– Simon? – wyszeptła Clary.

Rozległo się kliknięcie, a potem usłyszała znajomy głos, wyraźnie rozbawiony, przeciągający samogłoski.

– Clarissa. Powinienem się domyślić, że to ty jesteś na linii.

Clary zacisnęła powieki, żołądek podszedł jej do gardła jak na kolejce górskiej w czasie pierwszego zjazdu.

– Valentine.

– Chciałaś powiedzieć „ojcze”. Ubolewam nad tym nowo czesnym zwyczajem zwracania się do rodziców po imieniu.

– Właściwie mam ochotę zwracać się do ciebie dużo bardziej niecenzuralnymi wyrazami niż po imieniu – odburknęła Clary. – Gdzie jest Simon?

– Masz na myśli tego wampira? Wątpliwe towarzystwo dla dziewczyny z dobrej rodziny Nocnych Łowców, nie sądzisz? Oczekuję, że od tej pory będę miał wpływ na wybór twoich przyjaciół.

– Co zrobiłeś Simonowi?

– Nic – odparł wesoło Valentine. – Jeszcze.

I rozłączył się.

Kiedy Alec wrócił do sali treningowej, Jace leżał na podłodze i wyobrażał sobie rzędy tańczących dziewczyn, żeby zapomnieć o bólu w nadgarstkach. Niestety, metoda nie działała.

– Co robisz? – zapytał Alec, klękając tuż przy migotliwej ścianie więzienia.

Jace bez powodzenia usiłował przekonać siebie, że kiedyś takie pytania, zadawane całkiem serio, uważał za miłe, a nie irytujące.

– A tak, przyszło mi do głowy, że poleżę sobie na podłodze 1 trochę powiję się z bólu – odburknął. – To mnie relaksuje.

– Naprawdę? A... jesteś sarkastyczny. To chyba dobry znak. Może usiądziesz? Spróbuję precyzyjnie coś przez ścianę.

Jace usiadł tak szybko, że zakręciło mu się w głowie.

– Alec, nie...

Ale przyjaciel już popchnął coś oburącz jak piłkę. Czerwona kula przedarła się przez migotliwą kurtynę i delikatnie stuknęła Jace'a w kolano.

– Jabłko. – Sięgnął po nie. – Świetny pomysł.

– Pomyślałem, że jesteś głodny.

– Jestem. – Jace ugryzł owoc. Sok, który pociekł mu po rękach, zasyczał w niebieskich płomieniach otaczających nadgarstki. – Wysłałeś wiadomość do Clary?

– Nie. Isabelle nie wpuściła mnie do pokoju. Rzuca w drzwi różnymi przedmiotami i wrzeszczy. Powiedziała, że jeśli wejde, wyskoczy przez okno. I zrobiłaby to.

– Pewnie tak.

– Mam wrażenie, że nie wybaczyła mi, że cię zdradziłem – powiedział z uśmiechem Alec.

– Dobra dziewczyna – skomentował Jace.

– Nie zdradziłem cię, idioto.

– Liczą się intencje.

– To dobrze, bo jeszcze coś ci przyniosłem. Nie wiem, czy się uda, ale warto spróbować.

– Wsunął przez kurtynę coś małego i metalicznego. Był to srebrny dysk wielkości ćwierćdolarówki. Jace odłożył jabłko i z ciekawością wziął go do ręki.

– Co to jest?

– Wziąłem to z biurka w bibliotece. Widziałem, jak rodzice go używali do zdejmowania pęt. Myślę, że to Znak otwierający. Warto spróbować...

Urwał, kiedy Jace niezdarnie ujął krążek w dwa palce. W chwili, kiedy dysk dotknął niebieskich płomieni, kajdanki zamigotały i zniknęły.

– Dzięki. – Jace rozmasował nadgarstki. Na każdym miał pręgę z otartej, krwawiącej rany. Powoli zaczynał czuć koniuszki palców. – To nie pilnik ukryty w urodzinowym cieście, ale przynajmniej nie odpadną mi ręce.

Za falującą kurtyną jego twarz była wydłużona i zniekształcona, ale Alecowi się zdawało, że dostrzega na niej wyraz niepokoju. A może naprawdę Jace się martwił?

– Wiesz, kiedy rozmawiałem z Isabelle, przyszło mi coś do głowy. Powiedziałem jej, żeby nie próbowała wyskoczyć przez okno, bo się zabije.

Jace pokiwał głową.

– Braterska rada.

– Ale potem zacząłem się zastanawiać, czy w twoim wypadku nie byłoby inaczej. Widziałem, jak dokonujesz różnych *rzeczy*, niewiele różniących się od latania. Widziałem, jak spadasz z trzeciego piętra i lądujesz jak kot, wskakujesz z ziemi na dach...

– Słuchanie o moich osiągnięciach jest całkiem przyjemne, ale nie jestem pewien, do czego zmierzasz, Alec.

– Chodzi mi o to, że w twoim więzieniu są cztery ściany, a nie pięć.

Jace wytrzeszczył oczy.

– Więc Hodge nie kłaniał, kiedy mówił, że w codziennym życiu znajomość geometrii się przydaje. Masz rację, Alec. W tej klatce są cztery ściany. Gdyby Inkwizytorka zadowolila się dwie ma, mógłbym...

– Jace! – Alec stracił cierpliwość. – Chodzi o to, że w tej klatce nie ma góry. Niczego między tobą a sufitem.

Jace zadarł głowę. Krokwie znajdowały się tak wysoko, że ginęły w cieniach.

– Chyba oszalałeś.

– Niewykluczone – zgodził się Alec. – Albo po prostu wiem, co potrafisz. – Wzruszył ramionami. – Mógłbyś przynajmniej spróbować.

Jace spojrzał na jego otwartą, szczerą twarz i spokojne niebieskie oczy. Jest szalony, pomyślał. To prawdą że Jace w wirze walki robił zdumiewające rzeczy, jak oni wszyscy. Krew Nocnych Łowców, lata szkolenia... ale nawet on nie dałby rady skoczyć trzydzieści stóp w górę.

„Skąd wiesz, że nie dałbyś rady, skoro nigdy nie próbowałeś?” – rozległ się cichy głos w jego głowie.

Głos Clary. Pomyślał o jej runach, o Cichym Meście i kajdanach, które pękły i spadły mu z rąk. W ich żyłach płynęła ta sama krew. Skoro Clary potrafiła robić rzeczy, które wydawały się niemożliwe...

Z ociąganiem wstał z podłogi i rozejrzał się po sali. Przez kurtynę srebrnego ognia, która go otaczała, widział ogromne lustra i broń wiszącą na ścianach. Schylił się po nadjedzone jabłko, przez chwilę patrzył na nie w zamyśleniu, a następnie wziął zamach i rzucił nim najmocniej, jak zdołał. Owoc z impetem uderzył w migotliwą ścianę i zniknął bez śladu w rozbłysku niebieskich płomieni.

Jace usłyszał cichy okrzyk Aleca. Więc jednak Inkwizytorka nie przesadzała. Zginąłby, gdyby próbował wydostać się z więzienia.

– Jace, nie wiem... – Alec nagle zaczął się wahać.

– Zamknij się i nie patrz na mnie – zbeształ go Jace. – To nie pomaga.

Nie usłyszał odpowiedzi, bo powoli obracał się w miejscu, ze wzrokiem wbitym w krokwie. Uaktywniły się runy zapewniające mu doskonały wzrok, belki stały się wyraźniejsze. Widział teraz wszystkie sęki, słoje i ciemne plamy. Ale krokwie nadal były solidne. Od setek lat

podpierały dach Instytutu. Mogły wytrzymać ciężar nastolatka. Jace rozluźnił dłonie, zrobił kilka głębokich, kontrolowanych oddechów, tak jak nauczył go ojciec. Wyobraził sobie, jak podskakuje, szybuje, z łatwością łapie się belki i kołysze na niej. Był lekki, szybki jak strzała przecinająca powietrze, niepowstrzymany. To będzie łatwe, powiedział sobie w duchu. Łatwe.

– Jestem strzałą Valentine’a – wyszeptał. – Czy on o tym wie, czy nie.

I skoczył.

Serce z kamienia

Clary wcisnęła klawisz ponownego wybierania, ale od razu włączyła się poczta głosowa. Gorące łzy spłynęły po jej policzkach. Cisnęła telefonem o deskę rozdzielczą.

Cholera, cholera...

Już prawie j esteśmy na miej scu – uspokoił j ą Lukę. Nawet nie zauważyła kiedy zjechali z autostrady. Zatrzymali w pod domem Simona, drewnianym, jednorodzinym, pomalowanym na wesoły czerwony kolor. Clary wyskoczyła z furgonetki i popędziła ścieżką zanim Lukę zdążył zaciągnąć ręczny hamulec. Słyszała, jak ją wołał ale nie zatrzymała się, tylko wbiegła po schodach i zabębniła do drzwi.

– Simon! – krzyknęła. – Simon!

– Clary, przestań. – Lukę dogonił ją na ganku. – Sąsiedzi...

– Do diabła z sąsiadami.

Wyjęła z plecaka pęk kluczy, znalazła właściwy, wsunęła go do zamka. Otworzyła drzwi i ostrożnie weszła do holu. Lukę podążał za nią. Zajrzeli przez pierwsze drzwi po lewej stronie. Kuchnia wyglądała tak jak zawsze, od starannie wysprzątanej lady po magnesy na lodówce i zlew, przy którym pocałowała się z Simonem zaledwie kilka dni temu. Słońce, które wpadało przez okna, napełniało pomieszczenie jasnożółtym blaskiem Blaskiem, który mógł spopielić Simona.

Jego pokój znajdował się na końcu korytarza. Drzwi uchylone, ale przez szczelinę Clary widziała tylko ciemność. Wyjęła stelę z kieszeni i ścisnęła ją mocno. Wiedziała, nie jest prawdziwa broń, ale trzymając ją w ręce, czuła się niej.

W pokoju z zaciągniętymi czarnymi zasłonami panował mrok. Jedyne oświetlenie pochodziło od cyfrowego zegara stojącego na nocnej szafce. Kiedy Lukę sięgnął do kontaktu, włączyć światło, coś wyskoczyło na niego w ciemności, sycząc prychając i warcząc jak demon.

Clary krzyknęła, a Lukę chwycił ją za ramiona i brutalnie odepchnął na bok, tak że potknęła się i omal nie upadła, odzyskała równowagę, zobaczyła, że zaskoczony Lukę trzyma w rękach wyrwywającego się, najeżonego, białego kota, przypominał kulkę bawełny z pazurami.

– Yossarian! – zawołała.

Lukę puścił zwierzę, a ono natychmiast śmignęło między jego nogami i wypadło na korytarz. – Głupi kot – mruknęła Clary.

– To nie jego wina. Koty mnie nie lubią.

Lukę ponownie sięgnął do kontaktu.

Gdy zapaliło się światło, Clary głośno wciągnęła powietrze. W pokoju panował porządek, wszystko stało na swoim miejscu nawet dywan nie był przekrzywiony. Łóżko zakrywała staram złożona kapa.

To czar?

Prawdopodobnie nie. Raczej zwykła magia. – Lukę przeszedł przez pokój, rozglądając się uważnie.

Kiedy odsunął zasłonę, Clary zobaczyła, że coś błyszczy na dywanie u jego stóp.

Zaczekaj – powiedziała, schylając się po ów przedmiot. To była srebrna komórka Simona, powgniatana i z oderwaną antenką. Clary otworzyła ją z mocno bijącym sercem. Mimo pęknięcia biegnącego przez cały ekran był na nim wyświetlony tekst: *Teraz mam wszystkich*.

Oszołomiona Clary opadła na łóżko. Poczula, że Lukę wyjmuje jej telefon z ręki. Z sykiem wciągnął powietrze, kiedy odczytał wiadomość.

Co to znaczy: „Teraz mam wszystkich”? – zapytała Clary. Luke położył komórkę na biurku i przesunął dłonią po twarzy.

Obawiam się, że Valentine porwał nie tylko Simona, ale również Maię. I to oznacza, że ma wszystko, czego potrzebuje do Rytuału Konwersji, Clary wytrzeszczyła oczy.

Twierdzisz, że nie chodzi o mnie ani o ciebie? Nas zapewne uważa za bonus, ale nie jesteśmy jego głównym celem. Jest nim zmiana charakteru Miecza Anioła. I do tego potrzebuje...

Krwi dzieci Podziemnych. Ale Maia i Simon nie są dziećmi tylko nastolatkami.

Kiedy został stworzony czar, który zwraca Miecz Anioła ku ciemności, nie istniało jeszcze pojęcie „nastolatek”. Nocny Łowca staje się dorosłym, kiedy kończy osiemnaście lat. Wcześniej jest dzieckiem. Jeśli chodzi o cele Valentine’a, Maia i Simon to dzieci. On zdobył już krew faerie i czarownika. Potrzebował jeszcze wilkołaka i wampira.

Clary nagle zabrakło tchu, jak po ciosie w brzuch.

– Więc dlaczego nic nie zrobiliśmy? Dlaczego nie pomyśleliśmy, żeby ich jakoś ochronić?

– Do tej pory Valentine kierował się wygodą. Wybierał dostępne ofiary. Czarownika zatrudnił pod pretekstem wezwania demona. Faerie też jest dość prosto znaleźć w parku, jeśli siewie, gdzie patrzeć. A „Księżyc Łowcy” to idealne miejsce, żeby dopaść wilkołaka. Pod tym względem się nie zmienił. Nie lubi niepotrzebnie narażać się na niebezpieczeństwa i kłopoty...

– Jace – przerwała mu Clary.

– Co z nim?

– Myślę, że to o niego mu chodzi. Jace musiał zeszłej nocy zrobić na łodzi coś, co naprawdę wkurzyło Valentine’a, tak że porzucił swój stary plan i ułożył nowy.

Lukę wyglądał na zaskoczonego.

– Dlaczego myślisz, że zmiana planów Valentine’a ma wspólnego z twoim bratem?

– Bo tylko Jace potrafi tak bardzo kogoś wkurzyć – odparła z posępną miną Clary.

– Isabelle! – Alec zabębnił pięściami w drzwi pokoju siostry. – Isabelle, otwórz. Wiem, że tam jesteś.

Drzwi uchyliły się odrobinę. Alec zajrzał do środka ale nikogo nie zobaczył po drugiej stronie.

– Ona nie chce z tobą rozmawiać – usłyszał znajomy głos Alec przeniósł wzrok niżej i ujrzał szare oczy łypiące na niego zza pociętych okularów.

– Wpuść mnie, braciszku.

Ja też nie chcę z tobą rozmawiać – oświadczył Max i chciał zamknąć drzwi, jednak Alec błyskawicznie wsunął nogę w szparę.

Nie zmuszaj mnie, żebym cię przewrócił, Max.

Nie zrobisz tego. – Chłopiec z całej siły naparł na drzwi.

Nie, ale mogę pójść po rodziców, a mam wrażenie, że Isabelle tego nie chce. Prawdą Izzy?

Och, na litość boską– rzuciła siostra wściekłym tonem. – Dobrze, Max, Wpuść go.

Brat odsunął się, a Alec wcisnął się do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Isabelle klęczała na parapecie, ze złotym batem owiniętym wokół lewego ramienia. Miała na sobie strój do polowania: wąskie czarne spodnie, obcisłą koszulę ze srebrzystym, ledwo widocznym wzorem z runów, buty do kolan zapinane na klamerki. Wiatr wpadający przez otwarte okno rozwiewał jej

długie włosy. Gdy spiorunowała Aleca wzrokiem, przez chwilę przypominała mu Hugona, czarnego kruka Hodge'a.

Co ty, do diabła, wyprawiasz?! – krzyknął z wściekłością Alec, idąc przez pokój. – Próbujesz się zabić?

Bat wystrzelił jak wąż i owinał się wokół jego kostek. Alec stanął w miejscu. Wiedział, że jeden ruch nadgarstka Isabelle wystarczy, żeby zrobił fikołka i wylądował na twardej podłodze.

Nie podchodź do mnie, Alexandrze Lightwood – ostrzegła go siostra gniewnym tonem. – Nie jestem teraz wobec ciebie życzliwie usposobioną Isabelle...

Jak mogłeś odwrócić się od Jace'a? Po tym wszystkim, co przeszedł? A składałeś przysięgę, że będziecie się nawzajem strzec...

Nie, jeśli to oznaczałoby złamanie Prawa – przypomniał jej Alec.

– Prawo! – warknęła Isabelle. – Istnieją ważniejsze rzeczy niż zasady Clave. Prawo rodziny. Jace jest twoją rodziną.

– Prawo rodziny? – prychnął Alec. – Nigdy o nim im szalem. – Wiedział, że powinien się bronić, ale trudno mu było uwolnić się od długoletniego nawyku poprawiania młodszego rodzeństwa. – Czyżby dlatego, że właśnie je wymyśliłaś?

Isabelle wykonała lekki ruch nadgarstkiem. Alec runął na podłogę, ale na szczęście zamortyzował upadek rękami. Natychmiast przetoczył się na plecy i zobaczył, że stoją nad nim oboje: siostra i brat.

– Co mamy z nim zrobić, Maxwell? – zapytała Isabelle. – Zostawić tutaj związanego, aż znajdą go rodzice?

Alec błyskawicznie sięgnął po nóż i ciął nim bat owinięty wokół kostek. Gdy drut z elektrum pękł z trzaskiem, on zerwał się na nogi w chwili, gdy Isabelle odchyłała ramię do tyłu.

W tym momencie od drzwi dobiegł cichy śmiech.

– No dobrze, już dość go wymęczyliście.

Isabelle wytrzeszczyła oczy.

– Jace!

– We własnej osobie. – Jace wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. – Nie ma potrzeby, żebyście ze sobą walczyli... – Skrzywił się, kiedy podbiegł Max, z radością wykrzykując jego imię. – Ostrożnie. – Łagodnie odsunął chłopca. – Nie jestem teraz w najlepszej formie.

– Widzę – powiedziała Isabelle, przyglądając mu się z niepokojem. Nadgarstki miał zakrwawione, jasne włosy przykleiły się do karku i czoła, twarz i ręce były pobrudzone ziemią. – Inkwizytorka zrobiła ci krzywdę?

– Niezbyt wielką. – Jace spojrzał na Aleca. – Po prostu zamknęła mnie w galerii broni. Alec pomógł mi się wydostać.

Isabelle opuściła rękę z batem.

Alce, to prawda?

Tak. – Jej brat z ostentacją otrzepał kurz z ubrania. – Nie mógł się oprzeć, żeby nie dodać: – A nie mówiłem?

Powinieneś był nam powiedzieć.

A ty powinnaś mieć trochę wiary we mnie...

Dość – przewal im Jace. – Nie ma czasu na kłótnie. Isabelle, jaką masz tutaj broń? Bandaże?

Bandaże? – Isabelle odłożyła bat i wyjęła stelę z szuflady. – Mogę ci narysować *irratze*... Jace pokazał jej nadgarstki.

Irritze byłby dobry na siniaki, ale na oparzenia od runów nie pomoże. – W jasnym świetle sypialni pręgi wyglądały jeszcze gorzej: czarne, zakrwawione, sączące się, miejscami popękane – I będę potrzebował jakiejś broni, zanim...

Isabelle zbladła na ten widok, ale szybko doszła do siebie i zarządziła:

Najpierw bandaże, broń później. – Odłożyła stelę na komodę i zagoniła Jace'a do łazienki, biorąc ze sobą koszyk ze środkami opatrunkowymi. Alec obserwował ich przez uchylone drzwi. Jace opierał się o umywalkę, jego siostra czyściła mu rany i owiazywała je białą gazą. – Dobrze, a teraz zdejmij koszulę.

Wiedziałem, że musisz coś z tego mieć. Jace zrzucił kurtkę i, krzywiąc się, ściągnął przez głowę T-shirt. Skórę miał bladozłotą, mięśnie twarde, ręce oplecione czarnymi runami. Przyjemny mógłby pomyśleć, że liczne białe blizny na jego ramionach to pozostałości starych, źle wykonanych runów, ale wszyscy Nocni Łowcy mieli podobne. Były odznakami honorowymi, a nie skazami. Widząc, że Alec obserwuje go przez drzwi, Jace poprosił:

– Możesz mi przynieść telefon?

– Jest na komodzie – dodała Isabelle.

I dalej rozmawiała z Jace'em przyciszonym głosem. Alec ich nie słyszał, ale podejrzewał, że nie chcą wystraszyć Maksa.

– Nie ma go tutaj! – krzyknął Alec.

Isabelle zaklęła z irytacją kreśląc *irratze* na plecach Jace'a,

Cholera! Zostawiłam go w kuchni. Nie chcę tam iść, bo Inkwizytorka może się gdzieś kręcić.

– Ja pójdę – zaoferował się Max. – Mnie nie będzie się czepiać. Jestem za młody.

– Ja myślę – mruknęła Isabelle i zaraz spytała podejrzliwym tonem: – Po co ci komórka, Alec?

– Po prostu j est mi potrzebna – odburknął brat ze zniecierpliwieniem. – Izzy...

– Jeśli chcesz napisać do Magnusa: „Jesteś super”, zabije cie.

– Kto to jest Magnus? – zainteresował się Max.

– Czarownik – odparł Alec.

– Bardzo sexy czarownik – dorzuciła Isabelle, ignorując wściekłe spojrzenie brata.

– Ale przecież czarownicy są źli. – Max był wyraźnie zbity z tropu.

– Właśnie – powiedziała Isabelle.

– Nic nie rozumiem, ale pójdę po telefon – oświadczył chłopiec. – Zaraz wracam.

Tymczasem Jace ubrał się, wrócił do sypialni i zaczął szukać, broni, grzebiąc w stosach rzeczy porozrzucanych po całej podłodze.

– Jaki mamy plan? – spytała Isabelle. – Wszyscy się stąd wynosimy? Inkwizytorka się wkurzy, kiedy odkryje, że cię nie ma.

Bardziej się wkurzy, kiedy Valentine odrzuci jej propozycje. – Jace w skrócie przedstawił jej zamiar Inkwizytorki. – Jedyne problem polega na tym, że on nigdy na coś takiego nie pójdzie.

Je... j edyny problem? – Isabelle była tak wściekła, że – niemal się jąkała, czego nie robiła, odkąd skończyła sześć lat.

Ona nie może tego zrobić! Nie może oddać cię psychopacie! Jesteś członkiem Clave! Naszym bratem!

Inkwizytorka tak nie uważa.

Nie obchodzi mnie, co ona uważa. Jest okropną jędzą i trzeba ją powstrzymać.

Kiedy stwierdzi, że jej plan ma poważną wadę, może łatwiej będzie ją przekonać – powiedział Jace. – Ale ja nie zamierzam tego sprawdzać. Wynoszę się stąd.

To nie będzie łatwe – zauważył Alec. – Inkwizytorka zrobiła instytutu prawdziwe więzienie, lepsze niż pentagram. Wiesz, że na dole są strażnicy? Wezwała połowę Conclave.

Musi mieć o mnie wysokie mniemanie – skwitował Jace, rozrzucając stos czasopism.

I może się nie myli. – Isabelle popatrzyła na niego w zamyśleniu. – Naprawdę uwolniłeś się z Konfiguracji Malachi, Skaczac trzydzieści stóp w górę? Zrobił to, Alec?

Tak – potwierdził brat. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

A ja nie widziałem nigdy czegoś takiego. – Jace podniósł z podłogi dziesięciocalowy sztylet. Na jego ostry czubek był nadziany różowy biustonosz.

Isabelle zdjęła go gwałtownym szarpnięciem, z naburmuszoną i miną.

Ale jak to zrobiłeś? – spytała. – Wiesz?

– Skoczyłem. – Jace wyciągnął spod łóżka dwa dyski o brzegach ostrych jak brzytwy. Były pokryte kurzem i szarą sierścią. Zdmuchnął ją i powiedział: – Czakramy. Super. Zwłaszcza jeśli spotkam demony z poważną alergią na kocie futro.

Isabelle uderzyła go biustonoszem.

– Nie odpowiedziałeś mi!

– Bo nie wiem, Izzy. – Jace wstał z podłogi. – Może królowa Jasnego Dworu mówiła prawdę i rzeczywiście mam moce o których nic nie wiem, bo jeszcze ich nie wypróbowałem? Clary z pewnością je ma.

– Naprawdę? – Isabelle zmarszczyła czoło.

– Jace... czy ten twój motocykl nadal stoi na dachu? – zapytał nagle Alec.

– Możliwe. Ale jest dzień, więc nie będzie z niego pożytku.

– Poza tym nie zmieścimy się na nim wszyscy – zauważyła Isabelle.

Jace wsunął za pas czakramy i dziesięciocalowy sztylet. Kilka anielskich noży trafiło do kieszeni kurtki.

– To nieistotne, bo nie idziesz ze mną – powiedział.

Isabelle prychnęła.

– Nie rozumiem, co masz na myśli. Nie jesteśmy... – Urwała w pół zdania, bo do pokoju wpadł zdyszany młodszy brat z jej różową komórką w ręce. – Max, jesteś bohaterem. – Wyrwała mu telefon z ręki i spojrzała na Jace'a. – Wrócimy do tego za chwilę. Do kogo dzwoniemy? Do Clary?

– Ja zadzwonię... – zaczął Alec.

– Nie. – Isabelle odepchnęła jego rękę. – Ona mnie lubi bardziej. – Wybrała numer i przyłożyła komórkę do ucha. – Clary? Tu Isabelle. Ja... Co?! – Nagle zbladła i na jej twarzy pojawił się wyraz osłupienia. – Jak to możliwe? Ale dlaczego...

– O co chodzi? – Jace w dwóch krokach znalazł się przy niej – Co się stało? Clary...

Isabelle odsunęła telefon od ucha. Kostki miała zbieleły.

Valentine porwał Simona i Maię, żeby dokończyć rytuał.

Jace wyjął jej telefon z ręki i rzucił krótko do słuchawki:

Jedź do Instytutu, ale nie wchodź do środka. Poczekać na mnie na zewnątrz. – Zakończył rozmowę i podał komórkę Alecowi – Dzwon do Magnusa. Powiedz mu, żeby spotkał się z nim na nabrzeżu Brooklynu. Może wybrać miejsce, ale najlepiej odludne. Będziemy potrzebowali jego pomocy, żeby dostać się statek Valentine'a.

My? – Isabelle wyraźnie się ożywiła.

Magnus, Lukę i ja – rozczarował ją Jace. – Wy dwoje zostaniecie tutaj i zajmiecie się Inkwizytorką. Jeśli Valentine nie wypełni swojej części umowy, będziecie musieli ją przekonać, żeby wysłała przeciwko niemu całe Conclave.

A jak zamierzasz się stąd wydostać? – spytał Alec.

Jace uśmiechnął się szeroko.

Patrz – powiedział i wskoczył na okno. Isabelle krzyknęła, ale Jace już wychodził na zewnętrzny parapet. Przez chwilę na nim balansował, a potem zniknął. Alec podbiegł do okna i wyjrzał przez nie, przerażony, ale zobaczył tylko ogród Instytutu daleko w dole, zbrązowiały i pusty, oraz wąską ścieżkę prowadzącą do frontowych drzwi. Na Dziewięćdziesiątej Szóstej nie było żadnych krzyczących przechodniów, żadnych ostro hamujących samochodów. Zupełnie jakby Jace rozplynął się w powietrzu.

Obudził go monotony, uporczywy dźwięk. Był to powtarzający się chlupot wody uderzającej o coś solidnego – jakby leżał na dnie basenu, który szybko się napelniał i opróżniał. W ustach miał smak metalu, powietrze też pachniało metalem. Czuł piekący ból w lewej ręce. Z jękiem otworzył oczy.

Zobaczył, że leży na twardej, nierównej metalowej podłodze, pomalowanej na brzydki zielonoszary kolor. Ściany były z takiego samego zielonego metalu. W jednej z nich znajdowało się pojedyncze, wysoko umieszczone, okrągłe okno, przez które wpadała odrobina

światła, ale to wystarczyło. Jego ręka leżała w plamie słońca – palce miał czerwone i pokryte pęcherzami.

Po chwili zorientował się, że nie jest sam w pomieszczeniu,, Akurat w ciemności widział doskonale. Naprzeciwko niego z rękami przykutymi do dużej rury, siedziała Maia. Ubranie miała podarte, na lewym policzku wielki siniak, z jednej strony głowy warkoczyki wyrwane razem ze skórą, włosy sklezione krwią. Kiedy usiadł, wytrzeszczyła oczy i zaczęła płakać.

– Myślałam... że... nie żyjesz – wykrztusiła, szlochając.

– Bo nie żyję – powiedział Simon, patrząc na swoją rękę. Oczach jego oczach pęcherze zniknęły, ból ustępował, skóra odzyskiwała normalny kolor.

– Wiem, ale myślałam, że naprawdę nie żyjesz. – Maia próbowała sięgnąć do twarzy spętanymi rękami.

Simon przesunął się w jej stronę, ale coś raptownie go zatrzymało. Na kostce miał kajdanki przymocowane do grubego metalowego łańcucha wpuszczonego w podłogę. Valentine pomyślał o wszystkim.

– Nie płacz – powiedział Simon i natychmiast pożałował swoich słów. Sytuacja była niewesoła. – Nic mi nie jest.

– Na razie. – Maia wytarła mokre policzki rękawem. – Ten człowiek z białymi włosami ma na imię Valentine?

– Widziałas go? – zapytał Simon. – Ja nic nie zdążyłem zobaczyć. Ktoś po prostu wyłamał frontowe drzwi w moim domu i ruszył na mnie jak pociąg towarowy.

– To jest ten Valentine, prawda? Ten, o którym wszyscy mówią. Który wywołał Powstanie.

– To ojciec Jace'a i Clary. Tyle o nim wiem.

– Teraz rozumiem, dlaczego jego głos wydawał mi się znajomy Taki sam jak Jace'a. – Maia się skrzywiła. – Nic dziwnego, że Jace jest takim dupkiem.

Simon nie mógł się z nią nie zgodzić.

– Więc ty nie wi... – Maia urwała w pół słowa. – Słuchaj, wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale kiedy Valentine po ciebie przyszedł, był z nim ktoś, kogo kiedyś znałeś, a kto już nie żyje? Duch?

Simon potrząsnął głową, zdumiony.

– Nie. A co?

Maia się zawahała.

– Widziałam mojego brata. Jego ducha. Myślę, że to halucynacja wywołana przez Valentine’a.

– Cóż, na mnie nie wypróbował takiej sztuczki. Rozmawiałem akurat przez telefon z Clary. Pamiętam, że rzuciłem aparat, Kiedy napastnik na mnie skoczył... – Simon wzruszył ramionami. – To wszystko.

– Z Clary? – Na twarzy Mai odmalowała się nadzieja. – Więc może się domyśla, gdzie jesteśmy. Może po nas przyjdą.

– Może. A gdzie jesteśmy, tak przy okazji?

– Na łodzi. Byłam przytomna, kiedy mnie tu przyprowadził. To wielki, czarny, metalowy statek. Nie ma na nim żadnych świateł i wszędzie są... te stwory. Jeden się na mnie rzucił, a ja zaczęłam krzyczeć. Wtedy Valentine złapał mnie za głowę i uderzył nią o ścianę. Zemdlałam.

– Stwory? Co masz na myśli?

– Demony – powiedziała Maia i zadrżała. – Wszelkiego rodzaju.

Duże, małe, latające. Robią wszystko, co Valentine im karze.

– Ale przecież on jest Nocnym Łowcą. Powinien nienawidzić, demonów.

– Cóż, one chyba o tym nie wiedzą. Nie rozumiem tylko, na co my mu jesteśmy. Wiem, że nienawidzi Podziemnych, ale tyle trudu, żeby zabić dwoje... – Jej zęby zaczęły szczekać jak u nakręcanych zabawek. – Musi czegoś chcieć od Nocnych Łowców. Albo od Luke’a.

Wiem, czego on chce, pomyślał Simon, ale uznał, że nie na sensu mówić tego Mai. I tak już była zdenerwowana. Zdjął kurtkę i cisnął ją przez pokój.

– Trzymaj.

Mai jakoś udało się wykręcić w pętach i zarzucić ją sobie na ramiona. Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Dzięki. A tobie nie jest zimno?

Simon pokręcił głową.

– Ja już w ogóle nie odczuwam zimna.

Maia zamierzała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła. Przez chwilę było wyraźnie widać po jej oczach, że toczy ze sobą walkę.

– Przepraszam – bąknęła w końcu. Zrobiła pauzę, niemal wstrzymując oddech. – Za to, jak wczoraj na ciebie zareagowałam. Wampiry śmiertelnie mnie przerażają. Kiedy pierwszy raz

przyjechałam do miasta, często włóczyłam się po nim z moją paczką: Batem i jeszcze dwoma chłopakami, Stevem i Greggiem. Kiedyś w parku pod mostem trafiliśmy na parę wampirów wysysających krew z woreczków. Doszło do walki. Pamiętani, jak jeden z wampirów podniósł Gregga i po prostu rozerwał go na pół... – Jej głos zrobił się piskliwy. Zakryła ręką usta. – Na pół. Wszystkie wnętrzności wypadły. A potem zaczęli jeść.

Simona ogarnęły mdłości. Ale był niemal zadowolony, że od tej historii zrobiło mu się niedobrze, a nie, że zgłodniał.

Ja bym tego nie zrobił – powiedział. – Lubię wilkołaki. Lubię Luke'a...

Wiem. Tylko że kiedy cię poznałam, wydawałeś się taki ludzki. Przypomniałeś mi, jaka byłam kiedyś.

Maia, nadal jesteś człowiekiem.

Nie jestem.

Pod tymi względami, które się liczą j esteś. Tak j ak j a. Maia próbowała się uśmiechnąć, ale Simon widział, że mu nie uwierzyła, i wcale się jej nie dziwił. Nie był pewien, czy sam obie wierzy.

Niebo zaciągnęło się ciężkimi chmurami i przybrało szpizową barwę. W szarym świetle Instytut wyglądał jak ociosane górskie zboczę. Pochyły dach z łupku lśnił jak nie wypolerowane srebro. Clary zdawało się, że w cieniu przy frontowych drzwiach widzi jakiś ruch, ale nie mogła mieć pewności, bo patrzyła przez brudną szybę furgonetki Luke'a zaparkowanej przecznicę dalej.

– Jak długo? – zapytała po raz czwarty albo piąty.

– Pięć minut więcej niż ostatnim razem, kiedy mnie pytałaś – odparł Lukę.

Siedział rozparty na siedzeniu, z głową odchyłoną do tyłu, i wyglądał na wyczerpanego. Jego szczękę i policzki pokrywała srebrnoszara szczecina, pod oczami miał cienie.

Noce spędzane w szpitalu, atak demonów, a teraz to, z niepokojem pomyślała Clary. Już rozumiała, dlaczego on i jej matka uciekali przed takim życiem. Ona też najchętniej gdzieś by się teraz ukryła.

– Chcesz wejść do Instytutu?

– Nie. Jace powiedział, żeby czekać na zewnątrz. – Clary..., znowu spojrzała przez okno. Teraz była pewna, że w drzwiach stoją jakieś postacie. Kiedy jedna z nich się odwróciła, wydawało jej, że widzi srebrne włosy...

– Patrz. – Lukę usiadł prosto i pospiesznie opuścił szybę swojej stronie.

Clary wyteńczyła wzrok, ale nic nie zauważyła. – Masz na myśli tych ludzi w drzwiach?

– Nie. Strażnicy byli tam już wcześniej. Spójrz na dach. – I pokazał ręką.

Clary przycisnęła twarz do szyby. Zobaczyła tylko gąszcz gotyckich wieżyczek i iglic, rzeźbionych aniołów i łuków. Już miała powiedzieć z irytacją, że nic nie widzi, kiedy jej uwagę przykuł jakiś ruch. Wśród tych pinakli, śmigając od jednego do drugiego przemieszczała się smukła, ciemna postać. W pewnym momencie opadła płasko na bardzo spadzisty dach i zaczęła się z niego zsuwać. Włosy tego kogoś lśniły w szarym świetle jak mosiądz...

Jace.

Clary bez chwili zastanowienia wyskoczyła z furgonetki i popędziła ulicą w stronę kościoła. Lukę coś za nią krzyczał. Wielka budowla wznosiła się setki stóp nad ziemię, niczym strome kamienne urwisko. Jace znajdował się teraz na brzegu dachu i patrzył w dół. To niemożliwe, on tego nie robi, nie. A potni zrobił krok w powietrze, tak spokojnie, jakby schodził z ganku Clary krzyknęła głośno, kiedy runął w dół jak kamień...

I wylądował lekko na stopach tuż przed nią. Clary wytrzeszczyła oczy i rozdziawiła usta, kiedy wstał z płytkiego przysiadu i uśmiechnął się do niej szeroko.

– Gdybym powiedział, że właśnie do was wpadłem, pewnie uznałabyś to za oklepany żart.

– Jak... jak to... jak to zrobiłeś? – wykrztusiła Clary. Zbierało się jej na mdłości.

Zauważyła, że Lukę wysiada z furgonetki i patrzy gdzieś za nią. Obejrzała się i zobaczyła, że od strony frontowych drzwi biegną ku nim dwaj strażnicy. Jednym z nich był Malik, drugim kobieta o srebrnych włosach.

– Cholera.

Jace złapał ją za rękę i pociągnął za sobą. Popędzili w stronę furgonetki i wskoczyli do kabiny. Lukę włączył silnik i ruszył, choć drzwi od strony pasażera jeszcze nie były zamknięte. Jace sięgnął obok Clary i je zatrzasnął. Pickup gwałtownie wyminął Nocnych Łowców. Malik trzymał w ręce coś, co wyglądało na nóż do rzucania. Celował w jedną z opon. Jace zaklął pod nosem, szukając w kieszeni jakiejś broni. Strażnik wziął zamach, ostrze załśniło... i w tym momencie srebrnowłosa kobieta dopadła do niego i chwyciła go za rękę. Malik próbował ją odtrącić. Clary odwróciła się na siedzeniu, ale furgonetka przy pełnej szybkości właśnie skręciła za róg i włączyła się w ruch uliczny na York Avenue. Instytut szybko zostawał w tyle.

Maia zapadła w niespokojną drzemkę, oparta o rurę, z kurtką Simona na ramionach. Simon obserwował, jak blask wpadający przez świetlik przesuwa się po ich celi, i bez powodzenia próbował obliczyć czas. Zwykle używał komórki jako zegarka ale teraz nie miał jej przy sobie.

To jednak; nie było jego największym zmartwieniem. W ustach mu zaschło i bolało go gardło. Był głodny i spragniony jak jeszcze nigdy w życiu. Wszystko to razem składało się na coś w rodzaju wyrafinowanej tortury. A wiedział, że będzie jeszcze gorzej.

Potrzebował krwi. Na myśl o woreczkach ukrytych w przenośnej lodówce przy łóżku jego żyły zapłonęły niczym gorące srebrne druty biegnące tuż pod skórą.

– Simon? – Maia sennie uniosła głowę. Na policzku miała białe wgniecenia w miejscu, gdzie opierała się o rurę.

Ale krążenie szybko jej wracało i biel zmieniała się wróż oczach Simona. Krew. Przesunął suchym językiem po spierzchniętych wargach.

– Tak?

– Jak długo spałam?

– Trzy godziny. Może cztery. Pewnie jest już popołudnie.

– O, dzięki, że trzymałeś wartę.

Nie trzymał warty. Czuł się lekko zawstydzony, kiedy mówił:

– Oczywiście, nie ma problemu.

– Simon.

– Tak?

– Nie zrozum mnie źle, ale cieszę się, że jesteś tu ze mną.

Simon się uśmiechnął. Jego wyschnięta dolna warga pękła a on poczuł w ustach smak krwi. Zaburczało mu w żołądku.

– Dzięki.

Gdy Maia się pochyliła, kurtka spadła jej z ramion.

– Dosięgniesz? – zapytała, wyciągając rękę.

Łańcuch przymocowany do kostki zagrzechotał, kiedy Simon próbował sięgnąć jak najdalej. Maia uśmiechnęła się, gdy koniuszki ich palców się zetknęły...

– Jaka wzruszająca scena!

Simon gwałtownie uniósł głowę. Głos, który rozległ się w ciemności, był chłodny, kulturalny, z lekkim, trudnym do określenia obcym akcentem. Maia gwałtownie cofnęła rękę. Kolory zniknęły z jej twarzy, kiedy zobaczyła mężczyznę stojącego w drzwiach. Nadszedł tak cicho, że żadne z nich go nie usłyszało.

– Dzieci Księżyca i Nocy wreszcie pogodne.

– Valentine – wyszeptła Maia.

Simon nic nie powiedział, tylko wpatrywał się w ich prześladowcę. Więc to był ojciec Clary i Jace'a. Z koroną srebrno-białych włosów i płonącymi czarnymi oczami nie przypominał żadnego z nich, ale wydatne kości policzkowe i kształt oczu przywodziły na myśl Clary, a leniwa arogancja w ruchach i sposobie bycia – Jace'a. Był wysokim mężczyzną barczystym, o mocnej budowie, której nie odziedziczyło żadne z jego dzieci. Wszedł do celi bezszelestnie jak kot, mimo że arsenał, który miał przy sobie, wystarczyłby dla całego plutonu. Jego pierś przecinały grube czarne bandolety ze srebrnymi sprzączkami, zza pleców wystawał srebrny miecz o szerokiej rękojeści. Za kolejny skórzany pas opasujący go w talii był zatknięty zestaw noży, sztyletów i wąskich lśniących ostrzy podobnych do wielkich igieł.

– Wstawaj! – rozkazał Simonowi. – Stań plecami do ściany.

Simon uniósł głowę. Widział, że Maia go obserwuje, blada i przestraszona. W nagłym przypływie opiekuńczych uczuć postanowił, że obroni ją przed Valentine'em, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, którą zrobi.

– A więc j est pan ojcem Clary – powiedział. – Bez obrazy, ale rozumiem, dlaczego ona pana nienawidzi.

Twarz Valentine'a pozostała obojętna, niemal kamienna. Jego usta ledwo się poruszyły, kiedy zapytał:

– Dlaczego?

– Bo widać, że jest pan psychopata.

Tym razem Valentine się uśmiechnął. Był to uśmiech, który nie złagodził jego rysów, nie rozjaśnił oczu ani twarzy, ajedynie lekko wykrzywił usta. Potem Nocny Łowca uniósł zaciśniętą pięść, a Simon cofnął się odruchowo. Jednak Valentine nie zadał mu ciosu, tylko rozprostował palce; na środku jego szerokiej dłoni coś błyszczało. Odwrócił się do Mai, pochylił głowę dmuchnął na nią proszkiem w groteskowej parodii całusa. Pył osiadł na niej jak rój połyskujących os.

Maia wrzasnęła i zaczęła się dziko miotać. Jej krzyk przeplatał się ze szlochem.

– Co jej zrobiłeś?! – ryknął Simon, zrywając się na równe nogi. Skoczył na Valentine’a, ale łańcuch szarpnął go do tyłu – Co zrobiłeś?!

Uśmiech Valentine’a stał się szerszy.

– Srebrny proszek – wyjaśnił. – Parzy likantropy.

Maia przestała się rzucać i, leżąc skulona na podłodze w pozycji embrionalnej, cicho płakała. Krew ciekła z paskudnych czerwonych ran na jej dłoniach i ramionach. Simonowi żołądek podszedł do gardła. Zrobiło mu się tak słabo, że oparł się plecami o ścianę.

– Ty draniu! – wybuchnął, podczas gdy Valentine leniwie strzepywał resztki proszku z ręki. – To tylko dziewczyna, nie zamierzała zrobić ci krzywdy, jest przykuta łańcuchem, na...

Głos uwiązł mu w krtani. Gardło zapiekło go żywym ogniem,

Valentine się roześmiał.

– „Na litość boską”? To zamierzałeś powiedzieć?

Simon milczał. Valentine sięgnął za plecy i wyciągnął z pochwy ciężki srebrny Miecz. Światło zatańczyło na jego klindze jak woda spływająca po srebrnej ścianie, jak odbite promienie słońca. Od tego blasku Simona zabolęły oczy. Odwrócił głowę.

– Ostrze Anioła cię pali, tak jak dławi cię imię Boże – rzekł Valentine chłodnym głosem, ostrym jak kryształ. – Powiadają że ten, kto ginie od Meczą, osiąga bramy nieba. W takim razie, upiorze, wyświadczam ci przysługę. – Czubkiem klingi dotknął gardła Simona. Jego oczy miały barwę czarnej wody i nie było w nich nic: ani gniewu, ani współczucia, ani nienawiści. Tylko pustką jak w świeżo wykopanym grobie. – Jakieś ostatnie słowo?

Simon wiedział, co powinien wyrecytować. „*Stima Yisrael, adonai eloheimi, adonai echad*”. „Słuchaj, Izraelu! Pan jest Bogiem naszym. Pan jedynie!”. Ale kiedy spróbował wymówić te słowa piekący ból przeszył jego gardło.

– Clary – wyszeptał tylko.

Przez twarz Valentine’a przemknął dziwny wyraz, jakby imię i córki w ustach wampira wzbudziło w nim gniew. Wykonał błyskawiczny ruch nadgarstkiem i jednym, gładkim cięciem rozplątał Mieczem szyję Simona.

Na wschód od Edenu

– Jak to zrobiłeś? – ponownie zapytała Clary, kiedy furgonetka pędziła w stronę przedmieść.

– Chodzi ci o to, jak dostałem się na dach? – Jace z półprzymkniętymi oczami, opierając głowę o tył siedzenia. Nadgarstki miał zabandażowane, na linii włosów widniały plamki zaschniętej krwi. – Najpierw wyszedłem przez okno i wspiałem się po murze na górę. Ozdobne gargulce to uchwyty dla rąk. Chciałbym przy okazji zauważyć, że motocykla już nie ma tam, gdzie go zostawiłem. Założę się Inkwizytorka wzięła go na przejażdżkę po Hoboken.

– Chodzi mi o to, jak to zrobiłeś, że się nie zabiłeś, skacząc z dachu katedry – powiedziała Clary.

– Nie wiem. – Kiedy uniósł dłoń, żeby potrzeć oczy, musnął ją ramieniem. – A ty jak stworzyłaś tamten Znak?

– Też nie wiem – przyznała Clary. – Królowa Jasnego Dworu chyba miała rację. Valentine... On nam to zrobił. – Zerknęła na Luke'a, który udawał, że jest zajęty skrętem w lewo. – Prawda?

Nie pora teraz o tym rozmawiać – stwierdził Lukę. – Jace, masz na myśli jakiś konkretny cel czy po prostu chcesz uciec jak najdalej od Instytutu?

Valentine zabrał Maię i Simona na łódź, żeby dokonać rytuału. Będzie chciał to zrobić jak najszybciej. – Jace skubnął bandaż. – Muszę się tam dostać i go powstrzymać.

Nie – uciął Lukę ostrym tonem.

W porządku, musimy się tam dostać i go powstrzymać.

Nie zawiozę cię na statek. To zbyt niebezpieczne.

Widziałeś, co właśnie zrobiłem, i martwisz się o mnie? – rzucił z niedowierzaniem Jace.

Tak, martwię się o ciebie.

Jest mało czasu. Kiedy mój ojciec zabije twoich przyjaciół, wezwie armię demonów, której nawet nie potrafisz sobie wyobrazić. Wtedy już nie da się go powstrzymać.

Wtedy Clave...

Inkwizytorka nic nie zrobi – przerwał mu Jace. – Odcięła Lighwoodów od Clave. Nie chciała zadzwonić po posiłki, nawet kiedy jej powiedziałem, co planuje Valentine. Ma obsesję na punkcie swojego szalonego planu.

– Jakiego planu? – spytała Clary. – Chciała oddać mnie ojcu w zamian za Dary Anioła. – W głosie Jace’a brzmiała gorycz. – Ostrzegłem ją, że Valentine nigdy na to nie pójdzie, ale mi nie uwierzyła. – Zaśmiał się ironicznie. – Isabelle i Alec po wiedzą jej, co się stało z Simonem i Maią aleja raczej się nie łudzę. Inkwizytorka nie ma do mnie zaufania, jeśli chodzi o Valentine’a, i na pewno nie zrezygnuje swojego ukochanego planu tylko po to, żeby uratować dwoje Podziemnych.

– Tak czy inaczej, nie możemy beczynnie czekać na wieści – stwierdziła Clary. – Musimy dostać się na statek. Jeśli nas tam zawieziesz...

– Niechętnie wam to uświadomiam, ale potrzebujemy żeby dostać się na inną łódź – przerwał jej Luke. – Nie jestem pewien, czy nawet Jace potrafi chodzić po wodzie.

W tym momencie zadzwonił telefon Clary. To była wiadomość od Isabelle.

– To adres. – Clary zmarszczyła brwi. – Przy nabrzeżu. Jace zerknął jej przez ramię.

– Tam właśnie musimy pojechać, żeby spotkać się z Magnusem. – Odczytał adres na głos, a Luke wykonał gwałtowny skręt i ruszył na południe. – Statek chronią czary. Wcześniej udało mi się na niego dostać, bo ojciec tego chciał. Tym razem nie zechce. Potrzebujemy czarownika. – Nie podoba mi się ten pomysł – stwierdził Luke, bębniąc palcami po kierownicy. – Pójdę sam, a wy zostaniecie z Magnusem Oczy Jace’a zabłyśły.

– Nie. To ja muszę iść.

– Dlaczego? – zapytała Clary.

Bo Valentine wysługuje się demonem strachu – wyjaśnił Jace. – W ten właśnie sposób zabił Cichych Braci, czarownika, wilkołaka w zaułku za „Księżycem Łowcy” i prawdopodobnie dziecko faerie w parku. Dlatego Bracia mieli taki wyraz przerażenia na twarzach. Dosłownie umarli z strachu.

– Ale krew...

– Później spuścił z nich krew. A w zaułku przeszkodził mu jeden z likantropów i dlatego teraz potrzebuje Mai. – Jace przecesał ręką włosy. – Nikt nie jest w stanie pokonać demona strachu. On dostaje się do twojej głowy i niszczy umysł.

– Agramon – powiedział Lukę i umilkł, patrząc przez przednią szybę. Twarz miał szarą i ściągniętą.

– Tak właśnie nazywał go Valentine.

– On nie jest zwykłym demonem strachu, tylko tym Demonem Strachu. Jak Valentine go zmusił, żeby wykonywał jego rozkazy? Nawet czarownik miałby kłopoty z ujarzmieniem Wielkiego Demona, a poza pentagramem... – Lukę pokręcił głową. – Tak właśnie zginął tamten młody czarownik, prawda? Wzywając Agramona? Jace potwierdził i krótko objaśnił sztuczkę, którą Valentine zastosował wobec Eliasa.

– Kielich Anioła daje mu władzę na demonami, w tym również nad Agramonem – zakończył. – Ale nie taką jak Miecz.

– Teraz jestem jeszcze mniej skłonny cię puścić – oświadczył Luke. – To Wielki Demon, Jace. Trzeba by całego miasta Nocnych Łowców, żeby się z nim rozprawić.

– Wiem, że to Wielki Demon, ale jego bronią jest strach. Jeśli Clary narysuje mi Znak nieustraszoneści, poradzę sobie. Albo przynajmniej spróbuję.

– Nie! – zaprotestowała Clary. – Nie chcę, żeby twoje bezpieczeństwo zależało od mojego głupiego Znaku. A jeśli nie zadziała?

– Już raz zadziałał – przypomniał Jace.

Zjechali z mostu na Brooklyn i toczyli się Yan Brunt Street, między wysokimi ceglanymi fabrykami o oknach zabitych deskami i drzwiach zamkniętych na kłódki. W oddali między budynkami było widać nabrzeże.

– A jeśli tym razem coś popsuję?

Jace odwrócił głowę i na chwilę ich oczy się spotkały.

– Nie popsujesz – rzekł z przekonaniem.

Jesteś pewna, że to ten adres? – spytał Lukę, zatrzymał furgonetkę. – Magnusa nie ma.

Dojechali do dużej fabryki, która wyglądała jak zniszczoną przez wielki pożar. Zostały z niej gołe ceglane ściany, z których sterczały metalowe pręty, pogieęte i osmalone. W oddali Clary widziała dzielnicę finansową dolnego Manhattanu, a na lewo od niej ciemny zarys Governors Island.

– Przyjedzie, skoro tak powiedział Alecowi – stwierdziła z przekonaniem.

Wysiedli z furgonetki. Choć fabryka stała przy ulicy, wzdłuż której ciągnęły się podobne budynki, panowała na niej cisza nie tylko w niedziele. Nie było tutaj żadnych ludzi, żadnych hałasów – cofających ciężarówek, pokrzykiwań – kojarzących się z dzielnicami przemysłowymi. Wiała chłodna bryza od rzeki krzychały mewy. Clary naciągnęła kaptur na głowę i zapięła suwak kurtkę.

Lukę trzasnął drzwiami furgonetki i też zapiął flanelową kurtkę. Bez słowa podał Clary swoje grube wełniane rękawiczki, na nią za duże, ale przynajmniej ciepłe. Ponownie się rozejrzał.

– Gdzie Jace? – spytała.

Lukę pokazał ręką. Jace klęczał nad wodą – ciemna postać ze złotą czupryną jedynym kolorowym akcentem na tle szarego nieba i brązowej rzeki.

– Myślisz, że potrzebuje prywatności?

– W tej sytuacji prywatność to luksus, na który żadne z nas nie może sobie pozwolić – odparł Lukę.

Ruszył w stronę rzeki, a Clary podążyła za nim. Fabryka stała tyłem do nabrzeża, wzdłuż niej ciągnęła się szeroka żwirowa plaża. Płytką wodą chlupotała o skały pokryte wodorostami. Wokół czarnego śladu po ognisku leżały kawałki drewna, wszędzie wały się zardzewiałe puszkki i butelki. Jace zdjął kurtkę stanął na skraju wody. Wrzucił do niej coś małego i białego. Tajemniczy przedmiot wpadł z pluskiem do rzeki i zniknął.

– Co robisz? – zapytała Clary.

Jace się odwrócił. Wiatr cisnął mu włosy na twarz.

– Wysyłam wiadomość.

Ponad jego ramieniem Clary zauważyła że z szarej wody wynurza się lśniąca macka – jakby żywy kawałek wodorostu – ściskająca coś białego. Chwilę później zniknęła.

– Do kogo?

Jace łypnął na nią z ukosa.

– Do nikogo.

Ruszył przez kamienistą plażę do miejsca, gdzie zostawił kurtkę. Leżały na niej trzy długie noże. Za pas miał zatknięte ! ostre metalowe dyski.

Przesunął palcami po matowych, białoszarych klingach, czekających na imiona.

– Nie miałem okazji pójść do zbrojowni, więc to jest cała broń, jaką mamy. Możemy się przygotować, zanim pojawi się Magnus. – Wziął do ręki pierwszy nóż i powiedział: – Abrariel. – Seraficki nóż zamigotał i zmienił kolor. Jace podał go Luke’owi.

– Ja dziękuję. – Lukę podciągnął kurtkę i pokazał kindżał zatknięty za pasek.

Jace podał Abrariela Clary, a ona w milczeniu przyjęła broń, ciepłą w dotyku, jakby wibrowało w niej tajemne życie.

– Camael. – Drugi nóż, któremu Jace nadał imię, zadrżał i pojaśniał. Na koniec ochrzcił trzeci: – Talantes.

– Użyłeś kiedyś imienia Razjel? – zapytała Clary, kiedy Jace wsunął broń za pas i włożył z powrotem kurtkę.

– Nigdy. Tego się nie robi.

Skierował wzrok na ulicę, wypatrując Magnusa. Clary wyczuła jego niepokój, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, zabrzączał jej telefon. Otworzyła go i bez słowa podała Jace’owi, a on odczytał wiadomość, unosząc brwi.

– Inkwizytorka dała Valentine’owi czas do wieczora, żeby zdecydował się, czy chce mnie, czy Dary Anioła – oznajmił. – Ona i Maryse kłóciły się przez wiele godzin, więc jeszcze nie zauważyła, że mnie nie ma.

Gdy oddawał jej komórkę, ich palce się zetknęły. Clary szybko cofnęła dłoń, choć miała na niej grubą rękawicę. Zobaczyła, że po jego twarzy przemyka cień, ale Jace nic nie powiedział, tylko odwrócił się do Luke’a i spytał z zaskakującą gwałtownością: – Syn Inkwizytorki umarł? Dlatego taka jest? Lukę westchnął i wsunął ręce do kieszeni kurtki. – Jak się tego domyśliłeś?

Ze sposobu, w jaki reaguje, kiedy ktoś wypowiada jego imię. Tylko wtedy okazuje jakieś ludzkie uczucia.

Lukę wypuścił powietrze z płuc. Podsunął okulary na czoło i zmrużył oczy przed ostrym wiatrem wiejącym od rzeki.

– Inkwizytorka jest taka z wielu powodów. Stephen to tylko jeden z nich.

– Dziwne – stwierdził Jace. – Nie wygląda na kogoś, kto lubi dzieci.

– Nie cudze – powiedział Lukę. – Co innego własne. Stephen był jej złotym chłopcem. Prawdę mówiąc, podziwiali go i lubili wszyscy, którzy go znali. Należał do ludzi, którzy są dobrzy we wszystkim, zawsze mili, ale nie nudni, przystojni, ale nie tak, żeby inni ich nienawidzili. No cóż, może trochę go nienawidziliśmy.

– Chodził z tobą do szkoły? – zapytała Clary. – Z mamą i Valentine'em? Tam go poznałeś?

– Herondale'owie prowadzili londyński Instytut i Stephen tam chodził do szkoły. Widywałem go częściej, kiedy wszyscy skończyliśmy szkoły, a on przeniósł się z powrotem do Alicante. W swoim czasie spotykałem się z nim naprawdę często. – Spojrzenie Luke'a stało się dalekie, szaroniebieskie jak rzeka.

– Po tym, jak się ożenił.

– Należał do Kręgu? – spytała Clary.

– Nie wtedy. Dołączył do nas po tym, jak... po tym co się ze mną stało. Vpotrzebował nowego zastępcy i koniecznie chciał Stephena. Imogen, która była bardzo lojalna wobec Clave, wpadła w histerię. Błagała Stephena, żeby się zastanowił,

ale on się od niej odciął. Nie chciał rozmawiać ani z nią, ani ze swoim ojcem. Był zauroczony Valentine'em. Chodził za nim wszędzie jak cień. – Luke zrobił pauzę. – Rzecz w tym, że Valentine uważał, że żona Stephena nie jest dla niego odpowiednia. Dla kogoś, kto ma być zastępcą przywódcy Kręgu. Ona miała... niepożądane koneksje rodzinne. – Ból w głosie Luke'a zaskoczył Clary. Czyżby aż tak bardzo zależało mu na tych ludziach? – Valentine zmusił Stephena, żeby rozwiódł się z Amatis i ożenił powtórnie. Jego drugą żoną została bardzo młoda dziewczyna, zaledwie osiemnastoletnia, o imieniu Celinę. Ona też była pod wielkim wpływem Valentine'a, robiła wszystko, co jej kazał. Potem Stephen zginął w czasie ataku Kręgu na kryjówkę wampirów. Celinę się zabiła, kiedy się o tym dowiedziała. Była wtedy w ósmym miesiącu ciąży. Ojciec Stephena umarł na atak serca. W ten sposób Imogen straciła całą rodzinę. Nie mogła nawet

pochować prochów synowej i wnuka w Mies'cie Kości, bo Celine popełniła samobójstwo. Została pogrzebana na rozstaju dróg poza Alicante. Imogen jakoś przeżyła te nieszczęścia, ale... zmieniła się w lód. Kiedy w czasie Powstania zginął Inkwizytor, jej zaproponowano to stanowisko, więc wróciła z Londynu do Idrisu. Nigdy więcej nie wspomniała słowem o Stephenie. Teraz, już wiecie, dlaczego tak bardzo nienawidzi Valentine'a.

– Bo mój ojciec zatruwa wszystko, czego się dotknie? – podsunął z goryczą Jace.

– Bo twój ojciec, mimo wszystkich swoich grzechów, nadal ma syna, a ona nie. Poza tym obwinia go o śmierć Stephena. – I ma rację – stwierdził Jace. – To była jego wina.

– Niezupełnie. Dał Stephenowi wybór, ale Stephen sam podjął decyzję. Valentine ma wiele na sumieniu, ale nigdy nikogo nie szantażował ani nie zmuszał, żeby wstąpił do Kręgu. Zależało mu na prawdziwych wyznawcach. Odpowiedzialność za wybory Stephena spoczywa na nim samym.

– Wolna wola – zauważyła Clary.

– Jaka tam wolna! – obruszył się Jace. – Valentine... – Dał ci wybór, prawda? – przypomniał Lukę. – Kiedy przyszedłeś się z nim zobaczyć. Chciał, żebyś został i przyłączył się do niego?

– Tak. – Jace spojrział w stronę Governors Island.

Clary widziała rzekę odbijającą się w jego oczach. Miały barwę stali, jakby szara woda wypłukała z nich całe złoto. – A ty powiedziałeś „nie” – dokończył Lukę. Jace łypnął na niego spode łba i burknął: – Wolałbym być mniej przewidywalny. Lukę odwrócił się, jakby chciał ukryć uśmiech.

– Ktoś idzie.

Rzeczywiście zbliżał się do nich ktoś bardzo wysoki, o czarnych włosach powiewających na wietrze.

– Magnus – powiedziała Clary. – Ale wygląda... jakoś inaczej...

Kiedy czarownik do nich podszedł, zobaczyła że jego włosy, zwykle nastroszone, posypane brokatem i błyszczące jak kula dyskotekowa, są gładkie i okalają jego twarz jak czarny jedwab. Tęczowe skórzane spodnie zamienił na ciemny staromodny garnitur i czamy płaszcz z lśniąco srebrnymi guzikami. Jego kocie oczy jarzyły się bursztynem i zielenią.

– Wyglądacie na zaskoczonych ~ stwierdził. Jace spojrział na zegarek.

– Zastanawialiśmy się, czy przyjdiesz.

– Powiedziałem, że przyjdę, więc przyszedłem. Po prostu potrzebowałem czasu, żeby się przygotować. Tu nie chodzi o zwykłą sztuczkę, Nocny Łowco, tylko o poważną magię. – Odwrócił się do Luke'a. – Jak ręka?

– Dobrze, dziękuję. – Lukę zawsze był uprzejmy.

– To twoja furgonetka stoi zaparkowana przy fabryce? – Magnus pokazał ręką. – Możesz ją otworzyć? To znaczy, mógłbym zrobić to sam – pstryknął palcami – ale to byłoby niegrzeczne.

– Jasne. – Lukę wzruszył ramionami.

Obaj poszli w stronę fabryki. Kiedy Clary zrobiła ruch, jakby chciała iść za nimi, Jace chwycił ją za ramię.

– Zaczekaj. Chcę z tobą chwilę porozmawiać.

Clary odprowadziła wzrokiem Magnusa i Luke'a. Stanowili dziwną parę, wysoki czarownik w długim czarnym płaszczu i niższy, mocniej zbudowany mężczyzna w dżinsach i flanelowej kurtce, ale obaj byli Podziemnymi, uwięzionymi w tej samej przestrzeni między zwykłym a nadnaturalnym światem.

– Ziemia do Clary! Gdzie jesteś?

Odwróciła się do Jace'a. Słońce zachodziło za jego plecami nad rzeką, tak że jego twarz znajdowała się w cieniu, a włosy wyglądały jak złota aureola.

– Przepraszam.

– W porządku. – Musnął jej twarzy wierzchem dłoni. – Czasami całkiem się wyłączasz. Chciałbym znaleźć się w twojej głowie,

„Jesteś w niej, żyjesz w mojej głowie przez cały czas”, chciała powiedzieć, ale zamiast tego spytała:

– O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

Jace opuścił rękę.

– Chcę, żebyś mi narysowała Znak nieustraszoneści, zanim wróci Luke.

– Dlaczego zanim wróci?

– Bo powie, że to zły pomysł. Ale to jedyna szansa, by pokonać Agramona. Luke., nie spotkał go, nie wie, jaki on jest. Ja wiem.

Clary przyjrzała się twarzy Jace'a. – Jaki?

Jego oczy pozostały nieprzeniknione.

– Widzisz to, czego boisz się najbardziej na świecie.

– Nawet nie wiem, co to jest.

– Uwierz mi, że nie chciałabyś się dowiedzieć. Masz stelę?

– Tak. – Clary zdjęła rękawiczkę i sięgnęła do kieszeni lekko drżącą dłonią. – Gdzie chcesz mieć Znak?

– Im bliżej serca, tym lepiej. – Odwrócił się do niej plecami, zdjął kurtkę i rzucił ją na ziemię. Następnie ściągnął T-shirt, obnażając plecy. – Na łopatkę będzie w sam raz.

Skóra w tym miejscu miała bledszy odcień złota niż na rękach i twarzy i była gładka tam, gdzie nie pokrywały jej blizny.

Clary przyłożyła czubek steli do ramienia Jace'a i poczuła, że jego mięśnie się napinają.

– Nie naciskaj tak mocno...

– Przepraszam. – Clary rozluźniła się, pozwalając, żeby Znak spłynął z jej umysłu do dłoni. Czarna linia, którą zostawiała stela, wyglądała jak narysowana węglem. – Zrobione.

Jace odwrócił się i włożył koszulkę.

– Dzięki. – Słońce płonęło nisko nad horyzontem, barwiąc niebo na kolor krwi i róż, zmieniając rzekę w płynne złoto, łagodząc brzydotę miejskiego pustkowia, które ich otaczało. – A ty?

– Co ja? – zapytała Clary. Jace postąpił krok w jej stronę.

– Podciągnij rękaw. Zrobię ci Znak.

– A, racja. – Wyciągnęła do niego obnażone przedramię. Dotyk steli przypominał lekkie ukłucie igłą, która tylko zadrapała skórę, nie przebijając jej. Zafascynowana Clary patrzyła na czarne linie. Znak, który powstał w czasie jej snu, nadal był widoczny, jedynie trochę zbladł na brzegach.

– „I rzekł Pan do niego: Nie! Ktokolwiek by zabił Kaina, siedmiokrotną pomstę poniesie. Położył też Pan na Kainie znak, aby go nikt nie zabijał, kto go spotka”.

Clary obejrzała się, ściągając rękaw. Na ustach obserwującego ich Magnusa błąkał się lekki uśmiezek. Czarny płaszcz unosił się wokół niego na wiejącym od rzeki wietrze.

– Znasz Biblię? – spytał Jace, schylając się po kurtkę.

– Urodziłem się w bardzo religijnym stuleciu, mój chłopcze – odparł Magnus. – Zawsze uważałem, że Kain dostał pierwszy odnotowany Znak, który z pewnością go ochronił.

– Ale Kain nie był jednym z aniołów – zauważyła Clary. Czy nie zabił swojego brata?

– A czy my nie planujemy zabić naszego ojca? – wtrącił Jace.

– To co innego – stwierdziła Clary, nie zdążyła jednak wytłumaczyć, na czym polega różnicą bo w tym momencie furgonetka wjechała na plażę, przyskając zwirom spod kół.

Lukę wychylił się przez okno.

– W porządku! – zawołał do Magnusa. – Wsiadajcie.

– Dojedziemy tym na łódź? – spytała ze zdumieniem Clary. Myślałam...

– Jaką łódź? – Magnus się zaśmiał, wskakując do kabiny i siadając obok Luke’a. Wskazał kciukiem za siebie. – Wy dwoje usiądźcie z tyłu.

Jace wdrapał się na tył furgonetki i schylił się, że pomóc siostrze. Kiedy Clary usadowiła się na zapasowym kole, zobaczyła namalowany na metalowej podłodze czarny pentagram otoczony kołem. Jego ramiona były udekorowane skomplikowanymi zawijasami, niepodobnymi do runów, które znała. Patrząc na nie, miało się takie wrażenie jak wtedy, gdy człowiek próbuje zrozumieć osobę mówiącą językiem podobnym do angielskiego.

Luke wychylił się do nich przez okno.

– Wiecie, że wcale mi się to nie podoba! – krzyknął. Wiatr zagłuszał jego głos. – Clary, zostaniesz w samochodzie z Magnusem. Jace i ja pójdziemy na statek. Rozumiesz?

Clary kiwnęła głową i skuliła się w kącie furgonetki. Jace usiadł obok niej, zapierając się stopami o podłogę.

– Będzie ciekawie.

– Co... – zaczęła Clary, ale w tym momencie furgonetka ruszyła.

W pierwszej chwili buksowała kołami na żwirze, po czym gwałtownie wyrwała do przodu, prosto w płyciznę na brzegu i rzeki. Clary poleciała na szybę oddzielającą tył pickupa od kierowcy i pasażera. Czyżby Luke zamierzał ich wszystkich potopić? Zobaczyła, że szoferka jest pełna oślepiających niebieskich kolumn światła które wiły się i skręcały. Samochód podskakiwał, jakby jechał po wybojach albo drewnianych balach. Po chwili ruszyli gładko naprzód, niemal sunąc po wodzie.

Clary uklękła i wyjrzała przez boczne okienko furgonetki. Płynęli... nie, jechali po ciemnej wodzie. Opony ledwo muskały powierzchnię rzeki, wywołując drobne fale, którym czasami towarzyszyła fontanna niebieskich iskier wyczarowanych przez Magnusa. Panowała cisza, nie licząc cichego pomruku silnika i krzyków mew w górze. Clary spojrzała na Jace’a. Odpowiedział jej szerokim uśmiechem.

– To naprawdę zrobi wrażenie na Valentinie.

– No, nie wiem – powiedziała Clary. – Inne doborowe od działy mają batarangi i umiejętność chodzenia po ścianach, a my tylko akwaciężarówkę.

– Jeśli ci się nie podoba, Nefilim, możesz spróbować iść po wodzie – dobiegł z kabiny głos Magnusa.

– Chyba powinniśmy wejść – stwierdziła Isabelle, przyciska ją ucho do drzwi biblioteki. Skinęła na Aleca, żeby podszedł bliżej. – Słyszysz coś?

Brat stanął obok niej, uważając, żeby nie upuścić telefonu. Magnus obiecał, że zadzwoni, jeśli będzie miał jakieś wieści. Do tej pory nie zadzwonił.

– Nie.

– Właśnie. Przeszli na siebie wrzeszczeć. – Ciemne oczy Isabelle załśniły. – Teraz czekają na Valentine’a.

Alec odsunął się od drzwi i podszedł do najbliższego okna korytarzu. Niebo miało kolor węgla do połowy zanurzonego w rubinowych popiołach.

– Słońce zachodzi.

Isabelle sięgnęła do klamki.

– Chodźmy.

– Zaczekaj...

– Nie chcę, żeby nas okłamała na temat tego, co powiedział Valentine – oświadczyła Isabelle. – Albo co się dzieje. Poza tym. chcę go zobaczyć. Ojca Jace’a. A ty nie?

Alec wrócił pod drzwi biblioteki.

– Tak, ale to nie jest dobry pomysł, bo...

Siostra nacisnęła klamkę i szeroko otworzyła drzwi. Z uśmiechem obejrzała się przez ramię i weszła do środka. Alec zaklął pod nosem i podążył za nią.

Jego matka i Inkwizytorka stały naprzeciwko siebie przy dwóch końcach wielkiego biurka jak bokserzy w narożnikach. Policzki Maryse były jasnoczerwone, włosy rozsypane wokół twarzy. Isabelle posłała bratu spojrzenie, jakby mówiła: „Może jednak nie powinniśmy wchodzić. Mama wygląda na wściekłą”.

Z drugiej strony, jeśli Maryse wyglądała na wściekłą Inkwizytorka sprawiała wrażenie bliskiej obłądu. Kiedy drzwi biblioteki stanęły otworem, odwróciła się gwałtownie, z wykrzywionymi ustami.

– Co tutaj robicie?! – krzyknęła.

– Imogen – powiedziała pani Lightwood.

– Maryse! – Inkwizytorka podniosła głos. – Mam dość ciebie i twoich dzieci, nieletnich przestępców...

– Imogen – powtórzyła Maryse. W jej głosie brzmiał ton, który sprawił, że nawet Inkwizytorka obejrzała się za siebie.

Powietrze przy mosiężnym globusie migotało jak woda. Zaczął się w nim formować kształt, jakby ktoś kładł czarną farbę na białe płótno. Po chwili przybrał postać mężczyzny o szerokich barach. Obraz za bardzo drgał, żeby Alec mógł zobaczyć więcej szczegółów oprócz tych, że intruz jest wysoki i ma szopę włosów koloru soli.

– Valentine. – Inkwizytorka wyglądała na zaskoczoną.

Alec pomyślał, że przecież musiała się go spodziewać.

Powietrze przy globusie zamigotało jeszcze mocniej i mężczyzna wyszedł z niego jak z wody. Miał imponującą posturę: ponad sześć stóp wzrostu, szeroką klatkę piersiową i silne, potężne ramiona z wyraźnie zarysowanymi mięśniami. Jego twarz była prawie trójkątna, zwężająca się do ostrego podbródka. Mógł uchodzić za przystojnego, lecz Alec stwierdził, że jest zupełnie niepodobny do Jace'a, bladozłotego efeba. Ponad jego lewym ramieniem sterczała rękojeść Miecza Anioła. Nie musiał być uzbrojony, bo nie pojawił się tutaj fizycznie, a zatem wziął go ze sobą żeby zirytować Inkwizytorcę.

– Imogen – powiedział Valentine. Jego ciemne oczy patrzyły na nią z wyrazem zadowolenia i rozbawienia. (Spojrzenie zupełnie jak u Jace'a, pomyślał Alec). – I Maryse, moja Maryse, tyle czasu.

Pani Lightwood przełknęła ślinę i oświadczyła:

– Nie jestem twoją Maryse, Valentine.

– A to zapewne są twoje dzieci – mówił dalej Morgenstern, jakby gospodyni wcale się nie odezwała. Pod jego spojrzeniem Aleca przebiegł dreszcz, jakby coś podrażniło mu nerwy. Ojciec Jace'a wypowiadał zwyczajne słowa ale w jego oczach malował się groźny, drapieżny wyraz, tak że Alec miał ochotę wyjść przed siostrę i zasłonić ją sobą. – Podobne do ciebie.

– Zostaw moje dzieci w spokoju, Valentinie – zażądała MARSę, siląc się na spokojny ton.

– To niesprawiedliwe, bo ty mojego dziecka nie zostawiłaś w spokoju. – Morgenstern odwrócił się do Inkwizytorki. – Dostałem twoją wiadomość. To wszystko, na co cię stać?

Imogen Herondale zamrugła powoli, jak jaszczurka.

– Mam nadzieję, że moja propozycja jest jasna.

– Mój syn w zamian za Dary Anioła, zgadza się? Inaczej go zabijesz.

– Zabij e go?! – z przerażeniem wykrzyknęła Isabelle. – Mamo!

– Zamilcz, Isabelle! – syknęła Maryse.

Inkwizytorka posłała młodym Lightwoodom jadowite spojrzenie spod przymrużonych powiek i rzekła:

– Dobrze rozumiałeś warunki, Morgenstern.

– Moja odpowiedź brzmi: nie.

– Nie? – Inkwizytorka miała taką minę, jakby stanęła na twardym gruncie, który teraz zapadł się pod jej nogami. – Nie blefuj, Valentinie. Bo zrobię tak, jak zapowiedziałam.

– O, w to nie wątpię, Imogen. Zawsze byłaś kobietą zdeterminowaną i bezlitosną. Rozpoznaję w tobie te cechy, bo sam je posiadam.

– Nie jestem taka jak ty. Przestrzegam Prawa...

– Nawet jeśli nakazuje ci ono zabić kilkunastoletniego chłopca, żeby ukarać jego ojca? Nie chodzi o Prawo, Imogen, Chodzi o to, że mnie nienawidzisz i obwiniasz o śmierć swoje go syna, a to, co robisz teraz, jest twoim sposobem na odplacenie mi. Ale ja nie zrezygnuję z Darów Anioła, nawet dla Jonathana.

Przez dłuższą chwilę Inkwizytorka tylko na niego patrzyła.

– Ale to twój syn – powiedziała w końcu. – Twój e dziecko.

– Dzieci dokonują własnych wyborów – odparł Valentine. – To jest coś, czego ty nigdy nie zrozumiesz. Zaproponowałem Jonathanowi bezpieczeństwo, jeśli ze mną zostanie, a on je odrzucił i wrócił do Instytutu. Teraz ty zemścisz się na nim, o czym go zresztą uprzedzałem. Jesteś bardzo przewidywalną Imogen.

Inkwizytorka nie zwróciła uwagi na obelgę.

– Clave będzie się domagać jego śmierci, jeśli nie oddasz mi Darów Anioła – ostrzegła. – Nie zdołam ich powstrzymać.

– Jestem tego świadom – zapewnił Valentine. – Ale nic nie mogę zrobić. Dałem Jonathanowi szansę, a on z niej nie skorzystał.

– Drań! – krzyknęła nagle Isabelle i zrobiła ruch, jakby chciała się na niego rzucić. Ale chwycił ją za ramię i pociągnął do tyłu. – Jesteś...

– Isabelle! – Brat zakrył jej usta ręką. Valentine posłał im rozbawione spojrzenie.

– Ty... zaproponowałeś mu... – Inkwizytorka zaczynała przypominać robota o przepalonych obwodach. – A on odmówił? – Potrząsnęła głową. – Przecież to twój szpieg... twoja broń...

– Tak myślałaś? – W głosie Valentine’a brzmiało szczere zdziwienie. – Nie interesuje mnie szpiegowanie sekretów Clave. Interesuje mnie tylko zniszczenie go. I żeby osiągnąć ten cel, mam w swoim arsenale dużo potężniejszą broń niż chłopiec.

– Ale...

– Możesz wierzyć, w co chcesz. – Morgenstern wzruszył ramionami. – Jesteś nikim, Imogen Herondale. Marionetką reżimu, który wkrótce zostanie rozbity, a jego rządy się skończą. Nie możesz zaoferować mi nic, na czym by mi zależało.

– Valentine! – Inkwizytorka rzuciła się na niego, ale jej ręce przeszły przez niego jak przez wodę. Morgenstern cofnął się z wyrazem najwyższej odrazy na twarzy i zniknął.

Niebo lizały ostatnie jęzory gasnącego ognia, woda przybrała barwę żelaza. Clary zadrżała i otuliła się kurtką.

– Zimno ci?

Jace stał z tyłu furgonetki i patrzył na ślad, który zostawiała za sobą na wodzie: dwie białe linie piany. Teraz podszedł i usiadł obok Clary, opierając się plecami o tylne okno kabiny, niemal całkiem zasnutą niebieskawym dymem. – A tobie nie?

– Nie. – Zdjął kurtkę i podał ją Clary.

Włożyła ją rozkoszując się miękkością skóry. Kurtka była na nią za duża, ale ciepła i wygodna. – Zostaniesz w furgonetce, tak jak kazał Luke? – A mam wybór? – W dosłownym sensie nie.

Zdjęła rękawiczkę i wyciągnęła do niego rękę. Jace ujął ją i ścisnął mocno. Clary spojrzała na ich splecione palce, jej drobne, o kwadratowych czubkach, jego długie i szczupłe.

– Znajdziesz Simona – powiedziała. – Wiem, że znajdziesz.

– Clary. – Granatowa woda odbijała się w jego oczach. – On może być... to znaczy, on może...

– Nie. – W jej głosie nie było cienia wątpliwości. – Będzie cały i zdrowy. Na pewno.

Jace wypuścił powietrze z płuc. W jego oczach coś zaśniło, jakby łzy. Ale to nie były łzy, tylko refleksy.

– Chcę cię o coś zapytać – powiedział. – Wcześniej się bałem. Ale teraz nie boję się niczego.

Ujął jej policzek. Jego dłoń była ciepła na chłodnej skórze i Clary stwierdziła, że jej strach też zniknął, jakby Jace miał władzę nad Znakiem nieustraszoneści i mógł dotykiem przekąsić jej jego moc. Uniosła podbródek i rozchyliła wargi w oczekiwaniu... Musnął je lekko ustami jak piórkiem, a potem się odsunął. Jego oczy nagle się rozszerzyły, a ona zobaczyła w nich czarną ścianę, wymazującą złoty kolor: cień statku.

Jace z cichym okrzykiem zerwał się na równe nogi. Clary wstała niezdarnie w jego ciężkiej skórzanej kurtce. W blasku niebieskich iskier lecących z okien szoferki zobaczyła, że burta statku jest zrobiona z falistego czarnego metalu, że otaczają u góry żelazna poręcz, a na pokład biegnie wąska drabinka. Od lodzi buchały fale zimna, jak mroźne powietrze od góry lodowej. Kiedy Jace coś do niej zawołał, jego oddech zmienił się w kłęбки pary, a słowa zagłuszył nagły ryk potężnego silnika.

Clary zmarszczyła brwi.

– Co mówileś?

Jace wsunął dłoń pod jej kurtkę, tak że musnął palcami nagą skórę. Clary krzyknęła zaskoczona a on wyjął zza paska seraficki nóż, który wcześniej od niego dostała, i wcisnął go jej do ręki.

– Mówiłem, żebyś dożyła Abrariela, bo nadchodzą.

– Kto nadchodzi?

– Demony. – Pokazał ręką.

Clary dopiero po chwili spostrzegła wielkie, niezdarne ptaki, które już kiedyś widziała. Jeden za drugim spadały z relingu i leciały wzdłuż burty jak kamienie, a potem wyrównywały lot i kierowały się prosto na dryfującą na wodzie furgonetkę.

Kiedy podleciały bliżej, Clary zobaczyła, że to wcale nie są ptaki, tylko brzydkie fruujące istoty podobne do pterodaktyli, z szerokimi, skórzastymi skrzydłami i kościstymi trójkątnymi głowami. Ich paszcze były najeżone żłobkowanymi, ostrymi zębami – rzędami zębów – pazury lśniły jak brzytwy.

Jace wdrapał się na dach kabiny z płonącym Telantesem w ręce. Kiedy dotarły do niego pierwsze latające stwory, zamachnął się nożem. Trafił jednego z demonów, odcinając mu wierzch czaszki, tak jak ścina się czubek jajka. Istota upiornie zaskrzeczała i przewróciła się na bok, rozpaczliwie machając skrzydłami. Kiedy wpadła do rzeki, woda zawrzała.

Drugi demon uderzył w maskę furgonetki, żłobiąc pazurami długie bruzdy w metalu. Gdy rzucił się na przednią szybę, pojawiła się na niej sieć pajęczynowych pęknięć. Clary krzyknęła do Luke'a, ale kolejny stwór zanurkował na nią ze stalowego nieba jak strzała. Gwałtownym ruchem odciągnęła rękaw kurtki Jace'a pokazując Znak chroniący. Demon wydał przeraźliwy skrzek, podobnie jak pierwszy, i zaczął machać skrzydłami do tyłu... ale już było za późno. Clary zobaczyła że demon nie ma oczu, tylko i wgłębienia po obu stronach czaszki. Kiedy wbiła mu Abrarid.i w pierś, rozpadł się, zostawiając po sobie smugę czarnego dymu.

– Dobra robota – pochwalił ją Jace.

Zeskoczył z dachu szoferki, żeby rozprawić się z kolejnym nadlatującym wrogiem. Rękojeść jego sztyletu była śliska od czarnej krwi.

– Co to za stwory? – wysapała Clary.

Zatoczyła Abrarid.i szerokim łuk, trafiając w pierś kolejnego demona. Ten, z głośnym krakaniem uderzył ją skrzydłem zakończonym grzbietem z kości ostrych jak noże, rozpruło rękaw kurtki Jace'a na całej długości.

– Moja kurtka! – krzyknął Jace z wściekłością i zaatakował stwora, kiedy ten próbował się wzbąć w górę. Przeszył ostrzem jego grzbiet. Demon wrzasnął i zniknął. – Bardzo ją lubiłem.

Clary odwróciła się gwałtownie, kiedy w jej uszy wwił się zgrzyt metalu. Dwa latające demony wbiły pazury w dach kabiny i próbowały go oderwać. Luke stał na masce i ciął napastników kindzalem. Jeden runął z furgonetki i zniknął, zanim uderzył w wodę. Drugi wzbil się w powietrze, z dachem w pazurach. Skrzecząc triumfalnie, poleciał w stronę statku.

Przez chwilę niebo było czyste. Clary podbiegła do szoferki i zajrzała do środka. Czarownik pólleżał na siedzeniu, z szarą i warzą ale w półmroku nie mogła stwierdzić, w jakim jest stanie.

– Magnus! – krzyknęła. – Jesteś ranny?

– Nie. – Usiadł z trudem i odchylił się na oparcie. – Tylko... wyczerpany. Czary chroniące statek są silne. Zdjęcie ich... to duży wysiłek. Ale jeśli tego nie zrobię, każdy, kto postawi nogę na jego pokładzie, umrze.

– Może powinieneś pójść z nami – zaproponował Luke.

– Ze statku nie dam rady neutralizować czarów. Muszę to robić stąd. Tak to działa. – Uśmiech Magnusa był bardzo blady. – Poza tym, nie jestem dobry w walce. Mam inne umiejętności.

– A co, jeśli... – zaczęła Clary, nadal zaglądając do kabiny.

– Clary! – krzyknął Luke, było już jednak za późno. Żadne z nich nie zauważyło stwora, który przywarł do boku furgonetki. Teraz pofrunął w górę i głęboko wbił pazury w tył kurtki Clary. Następnie z triumfalnym, przeciągłym wyciem wzbił się w powietrze, trzymając w szponach bezradną zdobycz.

– Clary! – wrzasnął Luke i podbiegł na brzeg maski. Tam się zatrzymał i spojrzał z rozpaczą na malejącą skrzydlatą postać obciążoną łupem.

– Nie zabije jej – uspokoił go Jace, zeskakując z dachu kabiny. – Zanieś ją swojemu panu.

Jakaś nuta w jego głosie zmroziła Luke'owi krew w żyłach Odwrócił się i spojrzał na chłopca.

– Ale...

Nie dokończył, bo Jace płynnym ruchem skoczył z furgonu ki do brudnej rzeki i popłynął w stronę łodzi. Silnymi ruchami zagarniał wodę, aż tworzyła się na niej piana.

Luke odwrócił się do Magnusa, którego blada twarz była ledwo widoczna za popękaną przednią szybą. Uniósł rękę i wydawało mu się, że czarownik kiwa głową w odpowiedzi.

Schował kindżał za pas i dał nurka do rzeki.

Alec puścił Isabelle, spodziewając się, że siostra zacznie wrzeszczeć w chwili, kiedy on zabierze rękę z jej ust. Nie zrobiła tego. Stała w milczeniu i patrzyła na Inkwizytorę, która, kredowobiała na twarzy, lekko się zachwiała.

– Imogen – powiedziała Maryse. W jej głosie nie było nawet śladu gniewu ani żadnej innej emocji.

Inkwizytorka chyba jej nie usłyszała. Bezwładnie opadła na stary fotel Hodge'a.

– Mój Boże – powiedziała. – Co ja zrobiłam?

Pani Lightwood zerknęła na córkę.

– Sprowadź ojca.

Isabelle, wystraszona jak nigdy, skinęła głową i wymknęła się z pokoju.

Maryse podeszła do Inkwizytorce i spojrzała na nią z góry.

– Oddałaś zwycięstwo Valentine'owi – powiedziała. – Właśnie to zrobiłaś.

– Nie – wyszeptała Inkwizytorce.

– Dobrze wiedziałaś, co zamierza Valentine, kiedy zamknęłaś Jace’a. Nie chciałaś, żeby Clave zaangażowało się w tę sprawę, bo to by pokrzyżowało twoje plany. Zależało ci, żeby Valentine cierpiał, tak jak on tobie kazał cierpieć. Chciałaś mu pokazać, i te możesz zabić jego syna, tak jak on zabił twojego. Chciałaś go upokorzyć. – Tak.

– Ale Valentine’a nie da się upokorzyć. Od razu mogłam cię o tym uprzedzić. Nigdy nie miałaś nad nim władzy. On tylko udawał, że rozważa twoją propozycję, by zyskać absolutną pewność, że nie wezwiemy posiłków z Idrisu. A teraz jest już za późno.

Inkwizytorka uniosła na nią udęcony wzrok. Włosy wysunęły się z jej koka i opadały luźnymi kosmykami wokół twarzy. Wyglądała prawie na załamana, ale Alec wcale nie czerpał przyjemności z tego widoku. Zmroziły go słowa matki: „Za późno”.

– Nie, Maryse – powiedziała Inkwizytorka. – Jeszcze możemy...

– Co możemy? Zadzwoić do Clave? Oni potrzebowaliby wielu dni, żeby tu dotrzeć. Jeśli chcemy stawić czoło Valentine’owi..., a Bóg wie, że nie mamy innego wyjścia...

– Musimy zrobić to teraz – przerwał jej głęboki głos. W progu stał z ponurą miną Robert Lightwood.

Alec spojrział na ojca. Minęły lata, odkąd widział go w pełnym rynsztunku. Ostatnio zajmował się głównie administracją, kierowaniem Conclave, sprawami Podziemnych. Widząc go teraz w ciężkiej, ciemnej zbroi, z mieczem na plecach, Alec przypomniał sobie, jak w dzieciństwie ojciec wydawał mu się najsilniejszym, największym i najbardziej groźnym mężczyzną na świecie. I nadal był onieśmielający. Syn próbował teraz podchwycić jego wzrok, ale Robert patrzył na Maryse.

– Conclave już jest gotowe – oznajmił. – Łodzie w porcie.

– Nie ma nas wystarczająco dużo... nie możemy... – zaprotestowała Inkwizytorka Lightwood ją zignorował. Nawet nie oderwał wzroku od żony, – Powinniśmy wkrótce ruszać. – W jego tonie był respekt którego w nim brakowało, kiedy zwracał się do Inkwizytorki. – A Clave? – spróbowała znowu Imogen Herondale. – Trzeba ich poinformować.

Maryse przesunęła telefon po biurku w jej stronę.

– Ty do nich zadzwoń. Powiedz im, co zrobiłaś. To twoje zadanie.

Inkwizytorka bez słowa wpatrywała się w aparat, trzymając rękę na ustach.

Nim Alec zaczął jej współczuć, drzwi znowu się otworzyły i do biblioteki wpadła Isabelle w stroju Nocnego Łowcy, z długim złotym batem w jednej ręce i drewnianą naginatą w drugiej, Spojrzała na brata, marszcząc brwi.

– Idź się przygotować – powiedziała. – Płyniemy na statek Valentine’a.

Alec nic nie mógł poradzić na to, że kącik jego ust uniósł się lekko. Jego siostra zawsze była taka zdeterminowana.

– To dla mnie? – zapytał, wskazując naginatę.

Isabelle cofnęła ją gwałtownym ruchem.

– Weź swoją!

Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, pomyślał Alec i ruszył do drzwi. Nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Odwrócił nie zaskoczony.

To był ojciec. Patrzył na syna i choć się nie uśmiechał, na jego pobrużdżonej i zmęczonej twarzy malował się wyraz dumy.

– Jeśli potrzebujesz broni, Alexandrze, w przedpokoju jest moja *guisarme*. Gdybyś chciał jej użyć.

Alec przełknął ślinę i kiwnął głową, ale zanim zdążył podziękować, usłyszał za sobą głos Isabelle:

– Proszę, mamó.

Odwrócił się i zobaczył, że siostra wręcza naginatę matce. Maryse wzięła broń i na próbę zamachnęła się nią z dużą wprawą.

– Dziękuję, Isabelle – powiedziała i błyskawicznym ruchem wycelowała ostrze w serce Inkwizytorki.

Imogen Herondale spojrzała na nią pustymi oczami roztrzaskanego posągu. – Chcesz mnie zabić, Maryse? Maryse Lightwood syknęła przez zęby:

– Nie. Potrzebujemy każdego Nocnego Łowcy, który jest w mieście, łącznie z tobą. Wstawaj, Imogen, i przygotuj się tło bitwy. Od tej pory ja tutaj wydaję rozkazy. – Uśmiechnęła się, – pośepnie. – A pierwszą rzeczą, którą zamierzam zrobić, jest uwolnienie mojego syna z przeklętej Konfiguracji Malachi.

Alec patrzył na nią z dumą. Przemawiając tak, wyglądała wspaniale, jak prawdziwa wojowniczką i Nocną Łowczynią. Jej twarz płonęła słuszną furją.

Nie podobało mu się, że musi zepsuć tę chwilę, ale wkrótce i tak sami odkryją, że Jace zniknął. Lepiej, żeby ktoś złagodził szok.

Odchrząknął.

– Właściwie powinniście coś wiedzieć...

Widoczna ciemność

Clary zawsze nienawidziła kolejek górskich, nie znosiła tego uczucia, kiedy żołądek podchodzi do gardła w chwili, gdy wagonik opada. Porwana z furgonetki i uniesiona w powietrze jak mysz w szponach jastrzębia poczuła się dziesięć razy gorzej. Krzyknęła głośno, kiedy z wielką szybkością poszybowali w górę. Gdy spojrzała w dół, zobaczyła jak jest wysoko, i uświadomiła sobie, co się stanie, jeśli latający demon ją wypuści.

Natychmiast umilkła. Pickup wyglądał jak zabawka dryfująca na falach. Wokół niej wirowało miasto, rozmazane płaszczyzny niezliczonych światełek. Może doceniłaby widok, gdyby nie było tak strasznie. Demon przechylił się i zanurkował, tak że raptem zaczęła spadać. Kiedy wyobraziła sobie, że z wysokości setek stóp uderza w lodowatą wodę, zacisnęła powieki ale spadanie w całkowitej ciemności okazało się jeszcze gorsze. Otworzyła oczy i ujrzała, że czarny pokład statku przybliżyła SIE, ku niej jak ręką żeby zgarnąć ją z nieba. Krzyknęła po raz drugi, gdy lecieli ku ciemnemu prostokątowi wyciętemu w metalowej powierzchni. Teraz znajdowali się wewnątrz statku.

Demon zwolnił. Clary widziała pokłady otoczone relingami i fragmenty jakiejś zdezelowanej maszynerii. Wszędzie leżały porzucone części i narzędzia. Oświetlenie elektryczne nie działało, ale wszystko przenikała słaba poświata. Valentine zasilał statek jakąś tajną energią.

A ona wysysała z otoczenia całe ciepło. Lodowate powietrze aż szczypało Clary w twarz. Tymczasem demon dotarł na sam dół statku i pofrunął długim mrocznym korytarzem, wlokąc ją bezceremonialnie. Kiedy skręcił za róg, uderzyła kolanem w rurę. Jej nogę przeszył ból. Gdy krzyknęła usłyszała nad sobą skrzekliwy śmiech. Nagle demon wypuścił ją ze szponów, a ona zaczęła spadać. Obracając się w powietrzu, próbowała podkulić pod siebie ręce i kolana. Omal jej się udało. Z impetem runęła na ziemię i przetoczyła się w bok, oszołomiona.

Leżała na twardej metalowej powierzchni, w półmroku. Prawdopodobnie kiedyś była to ładownia – o gładkich ścianach i bez drzwi. Wysoko w górze widniał kwadratowy otwór, przez

który wpadała do środka odrobina światła. Clary czuła ból w całym ciele, jak w jednym wielkim siniaku. Nagle usłyszała szept:

– Clary?

Z trudem przekręciła się na bok. Obok niej ukląkł jakiś cień. Kiedy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczyła małą postać, włosy splecione w warkoczyki, ciemnobrązowe oczy. Maia.

– Clary, to ty?

Usiadła, nie zważając na przeszywający ból w plecach.

– Maia. O, Boże. Maia! – Popatrzyła na dziewczynę, a następnie rozejrzała się gorączkowo. W pomieszczeniu znajdowały się tylko one dwie. – Gdzie on jest? Gdzie Simon?

Maia przygryzła wargę. Nadgarstki miała zakrwawione, twarz ze śladami zaschniętych łez.

– Clary, tak mi przykro – powiedziała cichym, zachrypniętym głosem. – Simon nie żyje.

Mokry i zmarznięty na kość Jace opadł na pokład statku, Woda ściekała mu z włosów i ubrania. Spojrzał w wygwieżdżone nocne niebo, dysząc ciężko. Wspięcie się po rozchybotanej żelaznej drabince, źle przyśrubowanej do metalowej burty, okazało się niełatwym zadaniem, zwłaszcza gdy się miało śliskie ręce, a mokre ubranie ciągnęło w dół jak ołowiane ciężarki.

Gdyby nie Znak nieustraszonej, Jace pewnie martwiłby się że jeden z latających demonów porwie go z drabinki, jak ptak robaka z gałęzi. Na szczęście, wszystkie wróciły na statek, gdy tylko złapały Clary. Jace nie miał pojęcia dlaczego, ale już dawno zrezygnował z prób zrozumienia działań ojca.

Na tle nieba zarysowała się nad nim ludzka głowa. To był Lukę, który właśnie wgramolił się po drabince. Z trudem pokonał reling i zeskoczył po jego drugiej stronie.

– Wszystko w porządku? – spytał.

– Tak. – Jace wstał i się rozejrzał. Cały drżał. Na łodzi było lodowato, zimniej niż w wodzie, a nie miał kurtki. – Gdzieś tu są drzwi prowadzące do środka. Ostatnim razem je znalazłem. Musimy po prostu obejść pokład.

Lukę ruszył przed siebie, ale Jace wysunął się przed niego, mówiąc:

– Ja pójdę pierwszy.

Lukę spojrział na niego ze zdziwieniem, ale bez słowa ruszył za Jace'em w stronę zaokrąglonego dziobu statku. Słyszeli tylko dobiegający z dołu chlupot wody o burty. – Co powiedział twój ojciec, kiedy się z nim widziałeś? – zapytał Lukę. – Co ci obiecał?

– No, wiesz, to co zwykle. Bilety na Knicksów do końca życia.

– Jace mówił lekkim tonem, ale wspomnienie gryzło go bardziej niż przejmujące zimno. – Przyrzekł, że jeśli opuszczę Clave i wrócę z nim do Idrisu, ani mnie, ani nikomu, na kim mi zależy, nie stanie się żadna krzywda.

– Myślisz... – Lukę się zawahał. – Myślisz, że zrobiliby krzywdę Clary, żeby się na tobie odegrać?

Gdy dotarli na dziób, Jace dostrzegł w oddali Statuę Wolności, słup jasnego światła.

– Nie. Myślę, że porwał ją, żeby ściągnąć nas na łódź. Żeby mieć kartę przetargową. To wszystko.

– Nie jestem pewien, czy potrzebna mu karta przetargowa – rzekł cicho Lukę, sięgając po kindżał.

Jace powiódł spojrzeniem za jego wzrokiem i wytrzeszczył *oczy*.

W pokładzie po zachodniej stronie statku ziała czarna dziura, jakby w metalu wycięto prostokąt. Wylewało się z niej ciemne mrowie potworów. Jace wrócił pamięcią do poprzedniej nocy, kiedy stał w tym miejscu, z Mieczem Anioła w ręce, i obserwował z przerażeniem, jak niebo i morze roją się od straszdeł. Teraz te koszmarnie istoty, cała armia demonów, pojawiły się tuż przed nim: białe Raumy, rogate Oni o zielonych ciałach i wielkich ustach, smukłe czarne Kuri, pająkowate stwory o ośmiu odnóżach zakończonych szczypcami i kłach, które sterczały z oczodołów i ociekały jadem...

Jace nie potrafił ich zliczyć. Wyjął zza pasa Camaela. Biały blask oświetlił pokład. Demony zasyczały na jego widok, ale żaden się nie cofnął. Znak nieustraszoneści zaczął parzyć skórę Jace'a. Ciekawe, ile demonów zdołałby zabić, nim znak się wypali.

– Stój! Stój! – Lukę chwycił go za koszulę i szarpnął do tyłu. Jest ich zbyt wiele, Jace. Jeśli wrócimy do drabinki...

– Nie możemy. – Jace uwolnił się i pokazał ręką. – Odcięły nas z obu stron.

To była prawda. Falanga Molochów, buchających płomieniami z pustych oczodołów, zablokowała im drogę ucieczki. Lulu– zaklął z wściekłością.

– Skacz przez burtę. Zatrzymam je.

– Ty skacz – powiedział Jace. – Mnie tu jest dobrze.

Lukę odrzucił głowę do tyłu i warknął, obnażając ostre, psie kły. Uszy też mu się wydłużyły.

– Ty... – Urwał raptownie, bo skoczył na niego Moloch z wyciągniętymi pazurami.

Kiedy potwór mijał Jace'a, ten od niechcenia dźgnął go nożem w plecy. Demon z wyciem zatoczył się na Lukę'a, a on chwycił go za szponiastą łapę i cisnął przez reling.

– Znak nieustraszoneści, tak? – zapytał. Jego oczy jarzyły się; bursztynowym blaskiem.

Z dołu dobiegł głośny plusk.

– Istotnie – przyznał Jace.

– Chryste! Sam go sobie narysowałeś?

– Nie ja, tylko Clary.

Biały płomień serafickiego ostrza przeciął powietrze. Na po kład padły dwa Drevaki. Za nimi nadciągały dziesiątki innych, skacząc i wyciągając macki zakończone igłami.

– Nastolatki! – prychnął Lukę, jakby to było najbrzydsze słowo, jakie znał, i rzucił się na atakującą horde.

– Nie żyje? – Clary wytrzeszczyła oczy, jakby Maia mówiła w nieznanym języku. – To niemożliwe.

Dziewczyna nie odpowiedziała tylko popatrzyła na nią smutnymi, ciemnymi oczami.

– Wiedziałabym. – Clary usiadła i przyłożyła do piersi dłoń zaciśniętą w pięść. – Czuję to.

– Ja też tak myślałam. Kiedyś. Ale nigdy się nie wie.

Clary wstała z podłogi. Zniszczona kurtka Jace'a, rozorana na plecach ostrymi pazurami, ciążyła jej na ramionach. Zrzuciła ją niecierpliwym gestem. Jace będzie zły, pomyślała. Powinnam kupić mu nową. Powinnam...

Odetchnęła głęboko. Słyszała tylko własne dudniące serce, ale nawet ten dźwięk wydawał się odległy.

– Co się wydarzyło? – zapytała.

Maia nadal klęczała na podłodze.

– Valentine nas porwał i przykuł łańcuchami w jakimś ciemnym pomieszczeniu. Po jakimś czasie zjawił się z mieczem, długim i jasnym, który jakby świecił własnym blaskiem. Dmchnął na mnie srebrnym proszkiem, żebym nie mogła z nim walczyć, a potem poderżnął

Simonowi gardło. – Jej głos przeszedł w szept. – Później przeciął mu nadgarstki i zebrał jego krew do misek. Zabrali je jego diabelscy słudzy, a on zostawił Simona jak bezużyteczną zabawkę, z której wypruł wnętrzości. Krzyczałam... ale wiedziałam, że on nie żyje. Potem jeden z demonów przyniósł mnie tutaj.

Clary tak mocno przyciskała wierzch dłoni do ust, że poczuła w nich słony smak krwi. Rozwiała się mgła zasnuwająca jej umysł.

– Musimy się stąd wydostać.

– Bez obrazy, ale to oczywiste. – Maia wstała, krzywiąc się. Niestety, nie ma stąd wyjścia. Nawet dla Nocnego Łowcy. Może gdybyś była...

– Gdybym była kim? – zapytała Clary, chodząc po celi. Jace'em? Nie jestem nim. – Kopnęła w ścianę i usłyszała głuchy dźwięk. Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej stelę. – Ale mam własne talenty.

Wbiła czubek steli w ścianę i zaczęła rysować. Linie spływały z jej ręki, czarne, jak skreślone węglem, gorące jak jej wściekłość. Gdy w końcu się cofnęła, oddychając ciężko, zobaczyła, że Maia patrzy na nią ze zdumieniem.

– Dziewczyno, co ty zrobiłaś? – wykrztusiła likantropka.

Clary nie była pewna. Ściana wyglądała tak, jakby dziewczyna chlusnęła na nią wiadrem kwasu. Metal wokół Znak topił się jak lody w upalny dzień. Odsunęła się jeszcze o krok i patrzyła na powstającą dziurę. Teraz miała wielkość dużego psa. Za nią było widać stalowe pręty i inne metalowe wnętrzości statku. W końcu otwór przestał się powiększać, ale jego brzegi nadal syczały. Maia zrobiła krok do przodu i odepchnęła reke Clary, która próbowała ją zatrzymać, mówiąc:

– Zaczekaj. Stopiony metal... może być toksyczny.

Maia prychnęła.

– Jestem z New Jersey. Urodziłam się w toksycznym otoczeniu. – Zajrzała do dziury. – Po drugiej stronie jest metalowy pomost. Idę. – Odwróciła się, wsunęła w otwór najpierw stopy, potem całe nogi i zaczęła wolno pełznąć tyłem. – Auu! Ramiona mi uwięzły. Popchniesz mnie? – Wyciągnęła rękę.

Clary chwyciła ją za barki i mocno nacisnęła. Maia zbieleła na twarzy, potem poczerwieniała... i nagle wyskoczyła z dziury jak korek od szampana. Z drugiej strony dobiegł krzyk, a po nim głucho stuknięcie.

Clary z niepokojem wsadziła głowę w otwór.

– Nic ci nie jest?

Maia leżała kilka stóp niżej na wąskim pomoście. Przetoczyła się wolno na plecy i usiadła, krzywiąc się z bólu.

– Moja kostka... – Widząc minę Clary, dodała szybko: – Będzie dobrze. My szybko zdrowiejemy, przecież wiesz.

– Wiem. Dobrze, teraz moja kolej.

Kiedy Clary schyliła się, żeby wejść do dziury, stela wbiła się jej w brzuch. Bała się upadku, ale jeszcze bardziej czekania w ładowni na to, co się stanie. Wsunęła stopy w otwór i...

Ktoś chwycił ją za tył koszuli i pociągnął do góry. Stela wypadła jej zza paska i z grzechotem uderzyła o podłogę. Clary krzyknęła. Brzeg swetra wpił jej się w szyję, tak że zaczęła się dławić. Chwilę później, uwolniona, runęła na ziemię, uderzając kolanami w metalową posadzkę. Kaszłąc, przetoczyła się na plecy. Wiedziała, co zobaczy.

Nad nią stał Valentine. W jednej ręce trzymał seraficki nóż, jaśniejący ostrym białym światłem. Drugą rękę, którą wcześniej złapał ją za koszulę, miał zaciśniętą w pięść. Jego rzeźbiona, biała twarz zastygła w szyderyczym uśmiechu.

– Nieodrodna córka swojej matki – powiedział. – Co tym razem wyprawiasz, Clarisso?

Clary uklękła z trudem. W ustach czuła smak krwi z rozciętej wargi. Kiedy spojrzała na Valentine'a, tłący się gniew rozkwitł w jej piersi jak trujący kwiat. Ten człowiek, jej ojciec, zabił Simona i zostawił go martwego na podłodze jak śmieć. Sądziła, że wie, co to znaczy nienawidzić. Myliła się. Dopiero teraz poczuła nienawiść.

– Gdzie likantropka? – spytał Valentine, marszcząc brwi.

Clary pochyliła się i splunęła krwią na jego buty. Valentine cofnął się z okrzykiem zaskoczenia i odrazy, unosząc nóż. Przez moment widziała niepohamowaną furię w jego oczach i pomyślała, że naprawdę ją zabije, klęczącą u jego stóp.

Lecz on powoli opuścił broń. Minął ją bez słowa i zajrzał w otwór. Clary przeczesła wzrokiem podłogę. Gdy zobaczyła stelę Jocelyn, sięgnęła po nią wstrzymując oddech...

W tym momencie Valentine się obejrzał. Jednym krokiem znalazł się przy niej i kopnął stelę poza jej zasięg. Instrument poleciał tuż nad podłogą i wypadł przez dziurę w ścianie. Clary przymknęła oczy. Czuła się tak, jakby straciła matkę.

– Demony znajdą twoją przyjaciółkę – powiedział Valentine, wsuwając seraficki nóż do pochwy przy pasie. – Ona nie ma dokąd uciec. Podobnie jak żadne z was. Wstawaj, Clarisso.

Clary dźwignęła się powoli, obolała po upadku. Krzyknęła cicho, kiedy ojciec chwycił ją za ramiona i obrócił plecami do siebie. Zagwizdał. Był to wysoki, ostry, nieprzyjemny dźwięk Clary wyczuła podmuch i usłyszała łopot skórzastych skrzydeł. Próbowwała się wyrwać, ale Morgenstern był zbyt silny. Skrzydła otoczyły ich, chwilę potem oboje zostali uniesieni w powietrze Valentine trzymał ją w ramionach jak prawdziwy ojciec.

Jace pomyślał, że on i Lukę już powinni być martwi. Sam nie wiedział, dlaczego jeszcze żyją. Pokład statku był śliski od krwi, On też cały się kleił od posoki, łącznie z włosami. Oczy piekły go od potu. Na prawym ramieniu miał głębokie cięcie, lecz nie zyskał ani chwili czasu, żeby narysować Znak uzdrawiający. Kiedy unosił rękę, jego bok przeszywał piekący ból.

Udało się im wcisnąć we wnękę w metalowej burcie statku i z tego schronienia odpierali ataki diabelskich istot. Jace wykorzystał oba czakramy, tak że został mu tylko seraficki nóż i sztylet, który wziął od Isabelle. Tak uzbrojony nie stanąłby do walki z nawet kilkoma demonami, a teraz musiał walczyć z całą hordą. Powinien być przerażony, ale nie czuł prawie nic... tylko odrazę do stworów, które nie należały do tego świata, i wściekłość na Valentine'a, który je wezwał. Wiedział, że ten brak strachu nie jest dobrą rzeczą. Nie bał się nawet tego, że traci krew.

Gdy pająkowata istota popędziła w jego stronę, skrzeczając i tryskając żółtym jadem, uchylił się, ale nie dość szybko, tak że kilka kropel spryskało jego koszulę. Trucizna zasyczała wżerając się w materiał. Jace poczuł szczypanie, jakby kilkanaście małych rozżarzonych igiełek wbiło się w jego skórę.

Przeciwnik wypuścił kolejny śmiercionośny strumień. Jace znowu zrobił unik i tym razem jad trafił Oni, który zachodził go z boku. Demon wrzasnął z bólu i rzucił się na pająka z wyciągniętymi pazurami. Obaj szczepili się i potoczyli po pokładzie.

Inni napastnicy odskoczyli od trującej kałuży, która utworzyła barierę między nimi a Nocnymi Łowcami. Jace wykorzystał chwilę spokoju i odwrócił się do swojego towarzysza. Z trudem rozpoznał Luke'a – uszy miał wilcze, spiczaste, zęby obnażone, zakończone pazurami dłonie czarne od posoki.

– Powinniśmy pobiec do relingów. – Głos Luke'a przypominał warczenie. – Uciec ze statku. Nie damy rady zabić ich wszystkich. Może Magnus...

– Nie uważam, żeby szło nam tak źle. – Jace zakręcił serafickim nożem, co okazało się złym pomysłem. Dłoń miał mokra od krwi, tak że broń omal nie wysliznęła mu się z ręki.

– Zważywszy na okoliczności.

Lukę znów wydał dźwięk, który mógł być warknięciem albo śmiechem, albo jednym i drugim. W tym momencie coś wielkiego i bezkształtnego spadło z nieba, zwalając ich obu z nóg.

Jace runął twardo na pokład. Seraficki nóż wyleciał mu z ręki, potoczył się po metalowej powierzchni i wypadł za burtę. Chłopak zaklął i wstał chwiejnie.

Istotą, która na nich wylądowała, był Oni, niezwykle duży jak na ten gatunek, a w dodatku wyjątkowo sprytny, skoro po myślał o tym, żeby wdrapać się na dach nadbudówki i skoczyć na nich z góry. Teraz siedział na Luke'u i ciął go ostrymi kłami, które wyrastały mu z czoła. Lukę bronił się najlepiej, jak potrafił, własnymi pazurami, ale cały był zboczony krwią. Kindżał leżał kawałek dalej. Wilkołak sięgnął po broń, ale przeciwnik chwycił jego nogę w pajęcze odnóża i opuścił ją na swoje kolano jak gałąź. Jace usłyszał trzask kości i krzyk Luke'a.

Skoczył po kindżał, zerwał się, wbił go w szyję Oni i pociągnął z taką siłą, że uciął mu głowę. Demon zachwiał się do przodu, z kikuta trysnęła czarna ciecz. Chwilę później zniknął. Sztylet z brzękiem uderzył o pokład tuż obok właściciela. Jace podbiegł do Luke'a i ukląkł przy nim. – Twoja noga...

– Jest złamana. – Wilkołak próbował usiąść. Twarz miał wykrzywioną z bólu.

– Szybko się zrośnie – pocieszył go Jace.

Lukę rozejrzał się z ponurą miną. Oni nie żył, ale jego śmierć nie poszła na marne. Inne demony, zachęczone jego przykładem.

wdrapywały się na dach nadbudówki. W przyćmionym blasku księżyca, Jace nie potrafił ocenić, ile ich jest. Dziesiątki? Setki? Przy pewnej liczbie dokładność przestawała mieć znaczenie.

Lukę zacisnął dłoń na rękojeści kindżału.

– Nie dość szybko – powiedział.

Jace wyciągnął zza pasa sztylet Isabelle, swoją ostatnią broń, która nagle wydała mu się żałośnie mała. Nie poczuł strachu, tylko smutek. Zobaczył Aleca i Isabelle, jakby stali przed nim z uśmiechami na twarzach, a potem Clary, wyciągającą do niego ręką.

Wstał w chwili, kiedy demony skoczyły z dachu całą falą, odcinając blask księżyca. Przesunął się, żeby zasłonić Luke'a, ale to nic nie dało. Napastnicy otoczyli ich ze wszystkich

stron. Jeden wyrósł tuż przed nim, szkielet o wysokości sześciu stóp, szczerzący połamane zęby. Na jego gnijących kościach wisiały strzępy kolorowych tybetańskich flag modlitewnych. W kościstej ręce ścisnął katanę, co było o tyle niezwykle, że większość demonów nie miała broni. Ostrze pokryte demonicznymi runami było dłuższe od ręki Jace'a, zakrzywione, ostre i śmiertelnie groźne.

Jace rzucił sztyletem. Nóż utknął między żebrami przeciwnika, ale demon nawet tego nie zauważył. Kroczył dalej, niepowstrzymany jak śmierć. Powietrze wokół niego cuchnęło grobami. Szkieletowa ręka uniosła katanę...

W ciemności tuż przed Jace'em śmignął szary cień, poruszający się z wprawą i precyzją. Katana świsnęła w powietrzu, metal zazgrzytał o metal, niewyraźny napastnik odparował pchnięciem i sam zadał cios w górę z taką szybkością, że Jace ledwo go dostrzegł. Kościotrup runął do tyłu i zniknął w chwili, kiedy czaszka roztrzaskała się w drobny mak. Wokół siebie Jace usłyszał wrzaski demonów, wyjących z bólu i strachu. Okręcił się i zobaczył dziesiątki postaci, ludzkich postaci. Przybysze wdrapywali się na relingi, zeskakiwali na pokład i pędzili prosi n na rojące się demony. Byli uzbrojeni w świetliste miecze, nosili czarne obcisłe stroje...

– Nocni Łowcy? – wyszeptał zaskoczony Jace.

– A któżby inny? – W ciemności błysnął biały uśmiech.

– Malik? To ty? Mężczyzna skłonił głowę i rzekł:

– Przepraszam za to, co było wcześniej. Wykonywałem rozkazy.

Jace już miał powiedzieć Malikowi, że właśnie ocalił mu życie, co aż nadto rekompensowało próby zatrzymania go w Instytucie, ale w tym momencie rzuciła się na nich gromada wymachujących mackami Raumów. Malik przyjął szarżę bojowym okrzykiem i serafickim nożem jaśniejącym jak gwiazda. Jace już miał go wesprzeć, kiedy czyjaś ręka chwyciła go za ramię i odciągnęła na bok.

To był Nocny Łowca, cały w czerni, z kapturem nasuniętym na twarz.

– Chodź ze mną.

– Puść mnie. – Jace wyrwał się natrętowi. – Muszę iść po Luke'a. Jest ranny.

– Och, na litość Anioła... – Nocny Łowca puścił go i odrzucił kaptur długiego płaszcza, ukazując wąską białą twarz i szare oczy płonące jak diamenty. – Czy choć raz zrobisz to, co ci kaze, Jonathanie?

To była Inkwizytorka.

Mimo szybkości, z jaką mknęli w powietrzu, Clary kopnęłyby Valentine'a, ale, niestety, trzymał ją tak mocno, jakby jego ramiona były żelaznymi obręczami. Stopy wprawdzie miała wolne i wierzgała nimi zawzięcie, ale nie mogła go trafić.

Krzyknęła, kiedy demon nagle się przechylił i skręcił. Valentine się roześmiał. Przez wąski, metalowy tunel wlecieli do dużo większego wnętrza. Stwór postawił ich łagodnie na podłodze.

Ku zaskoczeniu Clary Valentine też uwolnił ją z uścisku. Odskokczyła od niego i aż się zatoczyła. Rozejrzała się z niepokojem. Kiedyś zapewne była tutaj maszynownia. Urządzenia odsunięto pod ściany, tak że powstała duża, kwadratowa, wolna przestrzeń. Podłoga była z grubego czarnego metalu. Na środku stały cztery misy, dostatecznie duże, żeby można w nich wykopać psa. Wnętrza pierwszych dwóch pokrywały rdzawe plamy. Trzecia była pełna ciemnoczerwonej cieczy, czwarta pusta.

Za misami stała metalowa szafka, na którą narzucono ciemne płótno. Kiedy Clary się zbliżyła, zobaczyła, że na tkaninie leży wrębny miecz promieniujący czarnym blaskiem, niemal brakiem światła, widoczną ciemnością.

Odwróciła się i spojrzała na Valentine'a, który obserwował ją, w milczeniu.

– Jak mogłeś to zrobić? – zapytała. – Jak mogłeś zabić Simona? On był tylko... chłopcem, zwykłym człowiekiem...

– Nie był człowiekiem – odparł jedwabistym głosem Morgenstern.

– Stał się potworem. Nie widziałaś tego, Clarisso, bo miał twarz przyjaciela.

– Nie był potworem. – Przynęła się bliżej Miecza. Był wielki i na pewno ciężki. Zastanawiała się, czy zdołałaby go podnieść... a nawet gdyby tak, to czy dałaby radę się nim zamachnąć? – To nadal był Simon.

– Nie myśl, że nie potrafię wczuć się w twoją sytuację – rzeki Valentine. Stał bez ruchu w pojedynczym słupie światła wpadającego przez właz w suficie. – Tak samo było ze mną, kiedy Lucian został pogryziony.

– Opowiadał mi – odparła Clary. – Dałeś mu sztylet i kazałeś się zabić.

– To był błąd – przyznał Valentine.

– Dobrze chociaż, że to przyznajesz...

– Sam powinienem był go zabić. Pokazałbym, że mi na nim zależy.

Clary potrząsnęła głową. – Ale nie zależało. Nigdy na nikim ci nie zależało. Nawet na mojej matce. Nawet na Jasie. Oni po prostu byli twoją własnością.

– Ale czy nie tym właśnie jest miłość, Clarisso? Posiadaniem na własność? „Ja należę do mojego miłego, a mój miły należy do mnie”, jak mówi Pieśń nad Pieśniami.

– Nie cytuj Biblii. Nie sądzę, żebyś ją rozumiał. – Stała teraz bardzo blisko szafki, rękojeść Miecza miała w zasięgu. Ukradkiem wytarła o dzinsy spocone dłonie. – Nie jest tak, że ktoś należy do ciebie, chodzi o to, że ty oddajesz się komuś. Wątpię, czy kiedykolwiek coś komuś dałeś. Może z wyjątkiem koszmarów.

– Oddać siebie komuś? – Błady uśmiezek nie zniknął z ust Valentine’a. – Tak jak ty oddałaś się Jonathanowi?

Jej ręką unosząca się ku Mieczowi, zamknęła się w pięść. Clary przycisnęła ją do piersi, z niedowierzaniem wpatrując się w ojca. – Co?

– Myślisz, że nie zauważyłem, jak wy dwoje na siebie patrzycie? Jak on wymawia twoje imię? Możesz uważasz, że nie potrafisz nic czuć, ale to nie znaczy, że nie dostrzegam uczuć w innych.

Ton Valentine’a był chłodny, każde słowo niczym kawałek lodu wwiercało się w jej uszy. – Sądzę, że możemy o to winić tylko siebie, twoja matka i ja. Trzymaliśmy was dwoje tak długo z dala od siebie, że nigdy nie nabraliście do siebie niechęci, która byłaby bardziej naturalna między rodzeństwem.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Chyba wyraziłem się jasno. – Valentine wyszedł z kręgu światła, tak że jego twarz znalazła się w cieniu. – Widziałem Jonathana po tym, jak zobaczył demona strachu. Agramon ukazał mu się jako ty. To mi powiedziało wszystko, co musiałem wiedzieć. Największym lękiem w życiu Jonathana jest miłość, którą czuje do swojej siostry.

– Nie robię tego, co mi się każe – oświadczył Jace. – Ale mógłbym zrobić, gdyby mnie pani ładnie poprosiła.

Inkwizytorka miała taką minę, jakby chciała przewrócić oczami, ale zapomniała, jak to się robi.

– Muszę z tobą porozmawiać. Jace zmierzył ją wzrokiem.

– Teraz?

Inkwizytorka położyła dłoń na jego ramieniu.

– Teraz.

– Pani oszalała. – Jace popatrzył na statek, który wyglądał jak obraz piekła Boscha. Roilo się na nim od demonów, które skrzeczały, wyły, piszczwały, cięły pazurami, kłapały zębami. Wśród nich uwijali się Nefilim ze świecącą w mroku bronią. Wyraźnie było widać, że Nocnych Łowców jest o wiele za mało. – Nie ma mowy... nie w środku bitwy...

Uścisk kościstej ręki Inkwizytorki był zaskakująco silny.

– Teraz.

Pchnęła go, a on zrobił krok do tyłu, zbyt zaskoczony, żeby zareagować. Po kolejnym kroku znaleźli się w niszy. Inkwizytorka puściła Jace'a, sięgnęła między fałdy płaszcza i wyjęła dwa serafickie noże. Szeptem wymówiła ich imiona, a potem kilka słów, których Jace nie znał, i wbiła je w pokład po jego obu bokach. Buchnęło od nich białe światło o niebieskim zabarwieniu, które odgrodziło oboje od reszty statku.

– Znowu mnie pani zamyka? – spytał Jace, patrząc na nią z niedowierzaniem.

– To nie jest Konfiguracja Malachi. Możesz się stąd wydostać, jeśli chcesz. – Inkwizytorka splotła chude ręce. – Jonathanie...

– Jace.

Nie widział bitwy toczącej się za ścianą blasku, ale słyszał jej odgłosy, krzyki i wycie demonów. Gdyby odwrócił głowę, dostrzegłby iskrzącą się wodę. Kołysało się na niej około tuzina łodzi, smukłych trimaranów używanych na jeziorach Idrisu. Łodzi Nocnych Łowców.

– Co pani tutaj robi? Po co pani przyszła?

– Miałaś rację – przyznała Inkwizytorka. – Co do Valentine'a. Nie dobiłby targu.

– Powiedział, że jeśli chodzi o niego, mogę umrzeć. – Jace'owi nagle zakręciło się w głowie.

– Oczywiście, gdy odmówił, zwołałam Conclave i ściągnęłam je tutaj. Ja... jestem winna tobie i twojej rodzinie przeprosiny.

– Odnotowane – rzucił niedbale Jace. Nienawidził przeprosin.

– Alec i Isabelle? Są tutaj? Nie zostaną ukarani za to, że mi pomagali?

– Są tutaj i nie zostaną ukarani. – Inkwizytorka nadal patrzyła na niego badawczym wzrokiem. – Nie rozumiem Valentine'a.

Jak ojciec może godzić się na śmierć swojego dziecka, jedyne dziecko...

– Tak. – Jace’a rozbolała głowa. Wolałby, żeby Inkwizytorka zamilkła albo żeby zaatakowały ich demony. – To rzeczywiście zagadka.

– Chyba że...

Popatrzył na nią zaskoczony.

– Chyba że co?

Dźgnęła go palcem w ramię.

– Skąd to masz?

Jace spojrział w dół i zobaczył, że trucizna pająkowatego demona wyżarła dziurę w koszuli, tak że spora część jego lewego ramienia była teraz obnażona.

– Koszulę? Od Macy’ego. Z zimowej wyprzedaży.

– Bliznę. Tę na ramieniu.

– A, to. – Jace’a zdziwiła intensywność jej spojrzenia. – Nie jestem pewien. Coś się stało, kiedy byłem bardzo mały. Tak mówił ojciec. Jakiś wypadek. A co?

Inkwizytorka wypuściła z sykiem powietrze.

– To niemożliwe – wyszeptwała. – Ty nie możesz być...

– Czym nie mogę być?

W głosie Imogen Herondale zabrzmiała niepewność:

– Przez te wszystkie lata, kiedy dorastałeś, naprawdę myślałeś, że jesteś synem Michaela Waylarida...?

Jace’a ogarnęła złość, spotęgowana ukłuciem rozczarowania.

– Na Anioła, wyciągnęła mnie pani z bitwy, żeby znowu zadawać te same cholerne pytania? Nie uwierzyła mi pani za pierwszym razem i nadal nie wierzy. Nigdy mi pani nie uwierzy, choć wszystko, co mówiłem, jest prawdą. – Wskazał palcem na to, co działo się po drugiej stronie świetlnego muru. – Powiniennem być tam i walczyć. Dlaczego mnie pani tutaj zatrzymuje? Żeby po tym, jak wszystko się skończy, jeśli ktoś z nas przeżyje, mogła pani iść do Clave i powiedzieć, że nie walczyłem po waszej stronie przeciwko ojcu? Niezła próba. Inkwizytorka zbladła jeszcze bardziej.

– Jonathanie, to nie...

– Mam na imię Jace! – krzyknął.

Herondale drgnęła, z półotwartymi ustami, jakby zamierzała coś powiedzieć. Ale Jace nie chciał tego usłyszeć. Ruszył przed siebie, omal nie zwałając jej z nóg, i kopnął jeden z serafickich noży wbitych w pokład. Broń się przewróciła, jaśniejąca ściana zniknęła.

Za nią panował chaos. Ciemne postacie śmigały w tę i z powrotem po pokładzie, demony gramoliły się przez leżące ciała, powietrze wypełniał dym i wrzaski. Jace wyteżył wzrok, żeby dostrzec kogoś znajomego w tym kłębowisku. Gdzie był Alec i Isabelle?

– Jace! – Inkwizytorka pobiegła za nim z twarzą ściągniętą strachem. – Jace, nie masz broni, weź przynajmniej...

Urwała, kiedy z ciemności tuż przed Jace'em wyłonił się demon, jak góra lodowa przed dziobem statku. To nie był ten, którego widział wcześniej tej nocy. Ten miał żółte ślepia, pomarszczony pysk, zręczne ręce wielkiej małpy i długi ogon skorpiona. Zasycał przez połamane zęby przypominające igły. Nim Jace zdążył zrobić unik, ogon wystrzelił do przodu z szybkością atakującej kobry. Kolec jadowy celował prosto w jego twarz...

I po raz drugi tej nocy między nim a śmiercią wyrósł cień.

Inkwizytorka dobiła noża o długim ostrzu i zasłoniła go własnym ciałem. Żądło skorpiona wbiło się w jej pierś.

Imogen Herondale krzyknęła, ale utrzymała się na nogach. Ogon demona odchylił się do tyłu, gotowy do następnego ciosu, jednak Inkwizytorka zdążyła rzucić nożem. Celnie. Gdy broń wbiła się w gardło demona, runy wyryte na jego ostrzu zajaśniały. Z sykiem, jakby powietrze uciekało z przebitego balonu, potwór zgiął się wpół, bijąc ogonem o pokład, i zniknął.

Inkwizytorka upadła. Jace ukląkł, wziął ją za ramię i przewrócił na plecy. Na przedzie jej szarej bluzki rozlewała się czerwona plama. Twarz była zwiotczała i żółta, jakby kobieta już nie żyła.

– Inkwizytorko? – Jace nie potrafił wymówić jej imienia, na wet teraz.

Zamrugła i z ogromnym wysiłkiem skinęła żeby się do niej zbliżyć. Jace pochylił się i usłyszał jej szept, ostatnie tchnienie.

– Co? – spytał ze zdumieniem. – Co to znaczy?

Nie było odpowiedzi. Inkwizytorka opadła na pokład, jej oczy były szeroko otwarte i nieruchome, usta wykrzywiały grymas podobny do uśmiechu.

Jace usiadł na piętach, odrętwiały i oszołomiony. Imogen Herondale nie żyła. Przez niego.

Nagle ktoś chwycił go za tył kurtki i dźwignął na nogi. Jace sięgnął ręką do pasa i uświadomił sobie, że jest bez broni. Ale kiedy się odwrócił, zobaczył znajome niebieskie oczy, wpatrujące się w niego z niedowierzaniem.

– Żyjesz – powiedział Alec i w tym jednym krótkim słowie zawarł całe bogactwo uczuć.

Na jego twarzy malowała się ulga równie wielka jak wyczerpanie. Mimo chłodu czarne włosy kleiły się do policzków i czoła. Ubranie było poplamione krwią, rękaw kurtki poszarpany i rozcięty. W jednej ręce Alec ścisnął zakrwawioną *guisarnie*, w drugiej kołnierz przyjaciela.

– Najwyraźniej – powiedział Jace. – Ale to nie potrwa długo, jeśli nie dasz mi jakiegś broni.

Alec puścił go, rozejrzał się szybko i wyjął zza pasa seraficki miecz.

– Masz. Nazywa się Samandiriell.

Ledwo Jace wziął broń do ręki, ruszył prosto ku nim średniej wielkości Drevak, wrzeszcząc zajadle. Jace uniósł Samandiriella, ale przyjaciel go uprzedził i ciosem *guisarme* rozprawił się z napastnikiem.

– Ładna broń – stwierdził Jace, lecz Alec nie patrzył na niego, tylko na szarą postać leżącą na pokładzie. – To Inkwizytorka? Czy ona...?

– Nie żyje – potwierdził Jace.

– Iz Bogiem – rzucił Alec zawziętym tonem. – Jak to się stało?

Jace już miał odpowiedzieć, kiedy przerwał mu głośny okrzyk; – Alec! Jace!

Przez dym biegła w ich stronę Isabelle. Mała na sobie do pasowaną kurtkę, umazaną żółtawą posoką, na nadgarstkach i kostkach złote łańcuszki z runicznymi amuletami, w ręce bat z elektrum.

– Jace, myśleliśmy... – zaczęła wyciągając do niego ręce.

– Nie. – Jace odruchowo cofnął się przed jej uściskiem. – Jestem cały zakrwawiony. Nie dotykaj mnie.

Na twarzy dziewczyny odmalowała się uraza.

– Wszyscy cię szukaliśmy. Mama i tata...

– Isabelle! – krzyknął Jace, ale było już za późno. Wielki pajak uniósł się za nią i trysnął żółtą trucizną z kłów.

Isabelle krzyknęła ale z imponującą szybkością strzeliła z bata, przecinając demona na pół. Stworzył runę na pokład w dwóch kawałkach i zniknął.

Jace przyskoczył do Isabelle w chwili, kiedy zatoczyła się do przodu. Bat wysunął się jej z ręki, ale Jace ją złapał i niezdarnie przytulił do siebie. Jad demona rozlał się głównie po kurtce, ale parę kropel spadło na szyję. W tych miejscach skóra zaczęła się palić z sykiem. Isabelle, która nigdy nie okazywała bólu, jęknęła cicho.

Alec rzucił broń i pospieszył siostrze na pomoc. Wziął ją z ramion Jace'a i delikatnie ułożył na pokładzie. Ukląkł obok niej ze stelą w ręce i spojrzał na przyjaciela. – Odpieraj ataki.

Jace nie mógł oderwać oczu od Isabelle. Krew spływała po jej szyi na kurtkę i włosy.

– Musimy zabrać ją z łodzi – stwierdził ochryplym głosem. – Jeśli tu zostanie...

– Umrze? – Alec wodził czubkiem steli po szyi siostry, najdelikatniej jak mógł. – Wszyscy zginiemy. Jest zbyt wielu przeciwników. Wyrzynająnas. Inkwizytorka zasłużyła na śmierć... To jej wina.

– Zaatakował mnie Scorpios – powiedział Jace, zastanawiając się, dlaczego broni osoby, której nienawidził. – Ona mnie zasłoniła. Uratowała mi życie.

– Tak? – W głosie Aleca brzmiało zdumienie. – Dlaczego? – Chyba uznała, że warto mnie ratować.

– Ale ona zawsze... – Na twarzy Aleca pojawił się prze strach. – Za tobą... dwa...

Jace odwrócił się i zobaczył dwa demony: Pożeracza o ciele aligatora, ze żłobkowanymi zębami i ogonem skorpiona zwiniętym nad grzbietem, i Drevaka, którego blade tułów robaka lśnił w blasku księżyca. Usłyszał, że za nim Alec z sykiem wciąga powietrze, i cisnął Samandiriem. Broń zakreśliła w powietrzu srebrzysty łuk i przecięła ogon Pożeracza tuż pod żądłem.

Ranny demon zawył. Drevak odwrócił się zdezorientowany i woreczek z trucizną trafił prosto w jego pysk. Torebka pękła wylał się z niej jad. Drevaka wydał z siebie przeraźliwy wrzask i zwałił się na pokład z głową wyżartą prawie do kości. Chwili; później zniknął. Pożeracz, z krwią tryskającą z kikuta ogona, powlókł się jeszcze kilka kroków przed siebie i też rozplynał się bez śladu.

Jace schylił się i ostrożnie podniósł Samandiriela. W miejscu, gdzie rozlała się trucizną pokład syczał, w metalu pojawiały się małe dziurki.

– Musimy ją stąd zabrać – powiedział Alec, trzymając za ramię bladą ale stojącą prawie o własnych siłach Isabelle.

– Dobrze. Ty to zrób. Ja zajmę się tym. – Czym? – spytał ze zdziwieniem Alec. – Tym – powtórzył Jace, pokazując ręką.

Przez dym i płomienie szło w ich stronę coś ogromnego, przygarbionego i masywnego. Co najmniej pięć razy większego od innych demonów znajdujących się na statku. Miało pancerne cielsko i liczne odnóża zakończone ostrymi, chitynowymi pazurami. Do tego stopy słonia, duże i płaskie, głowę gigantycznego komara z kilkoma parami owadzich oczu i długą czerwoną trąbą.

Alec gwałtownie zaczerpnął tchu. – Co to jest, do diabła? Jace milczał przez chwilę. – Duży – stwierdził w końcu. – Bardzo. – Jace...

Spojrzał na Aleca, potem na Isabelle. Wewnętrzny głos mówił mu, że być może widzi ich po raz ostatni, ale wcale się nie bał, nie o siebie. Chciał powiedzieć im coś na pożegnanie, na przykład, że ich kocha i każde z nich jest dla niego warte więcej niż tysiąc Darów Anioła. Ale takie słowa nie chciały przejść mu przez gardło.

– Alec, zaprowadź Isabelle do drabinki albo wszyscy zginiemy. – Jedyńie na tyle się zdobył.

Przyjaciel przez chwilę patrzył mu w oczy, a następnie skinął głową i pociągnął siostrę, mimo jej protestów, w stronę relingu. Pomógł jej przejść przez poręcz. Jace odetchnął z ulgą, kiedy Isabelle zaczęła schodzić po drabince. Teraz ty, Alec, pomyślał. Idź już.

Tak się nie stało. Isabelle, teraz już niewidoczna, krzyknęła głośno, kiedy jej brat zeskoczył z relingu na pokład. Jego *guisarme* leżała tam, gdzie ją upuścił. Podniósł ją teraz i ruszył w stronę Jace'a, żeby stawić czoło zbliżającemu się demonowi.

Jednak potwór wykonał nagły zwrot i ruszył prosto na niego. Jace rzucił się, żeby zasłonić przyjaciela, ale metalowy pokład przeżarty przez truciznę załamał się pod jego ciężarem. Stopa wpadła mu w dziurę, on sam upadł z impetem.

W tym samym momencie demon zaatakował. Alec wykonał pchnięcie *guisarme* i zatopił jej ostry czubek w cielsku napastnika. Stwór wydał z siebie dziwnie ludzki wrzask, z rany trysnęła czarna krew. Alec cofnął się i sięgnął po następną broń, ale demon machnął pazurzastą kończyną, powalił go na ziemię i owinał trąbą.

Gdzieś krzyknęła Isabelle. Jace rozpaczliwie próbował wyciągnąć nogę z dziury. Ostre brzegi metalu rozorały jego skórę, gdy w końcu uwolnił się szarpnięciem i wstał chwiejnie.

Uniósł Samandiriela. Z serafickiego ostrza buchnęło światło, jasne jak spadająca gwiazda. Demon cofnął się z cichym sykiem. Przez chwilę Jace myślał, że puści Aleca ale stwór z

zadziwiająca szybkością odchylił głowę do tyłu i z wielką siłą cisnął swoją zdobycz w powietrze. Alec runął na pokład śliski od krwi, zaczął po nim sunąć i z ochrypłym krzykiem wyleciał za burtę.

Isabelle zawołała imię brata. Jej krzyki były jak szpikulce wbijane w uszy Jace'a. Samandriel nadal płonął jasnym blaskiem w jego ręce, oświetlając demona, który teraz kroczył prosto na niego. Jego owadzie oczy jarzyły się drapieżnie, ale Jace widział tylko Aleca wypadającego za burtę i tonącego w ciemnej wodzie. Zdawało mu się, że czuje słoną wodę w ustach. Albo krew. Demon był tuż– tuż. Jace zamachnął się i rzucił nożem, demon wrzasnął piskliwie. I nagle ze zgrzytem pękającego metalu pokład usunął się spod stóp Jace'a, a on sam runął w ciemność.

Dies Irae

– Mylisz się – powiedziała Clary, ale w jej głosie nie było prze konania. – Nic nie wiesz o mnie ani o Jasie. Po prostu próbujesz...

– Próbuję do ciebie dotrzeć, Clarisso. Sprawić, żebyś zrozumiała. – Głos Valentine'a nie zdradzał żadnych uczuć oprócz lekkiego rozbawienia.

– Śmiejesz się z nas. Myślisz, że możesz mnie wykorzystać, żeby zranić Jace'a, więc śmiejesz się z nas. Już nawet nie jesteś zły. Prawdziwy ojciec byłby zły.

– Jestem prawdziwym ojcem. Ta sama krew, która płynie w moich żyłach, płynie również w twoich.

– Moim ojcem jest Lukę – oświadczyła ze znużeniem Clary. – Już to przerabialiśmy.

– Uważasz Luke'a za swojego ojca tylko ze względu na stosunki łączące go z twoją matką...

– Stosunki? – Clary się roześmiała. – Lukę i moja matka są przyjaciółmi.

Przez chwilę była pewna, że widzi cień zaskoczenia na jego twarzy, ale w jego głosie pobrzmiwała tylko ironia.

– Czyżby? Naprawdę myślisz, że Lucian tylko z przyjazni znosił to wszystko: milczenie, ukrywanie się, ucieczki, sekrety których sam do końca nie znał? W twoim wieku niewiele wiesz o ludziach, Clary, a jeszcze mniej o mężczyznach.

– Możesz insynuować, co chcesz, na temat Luke'a. To bez różnicy. Mylisz się co do niego, tak jak mylisz się co do Jace'a. Musisz wszystkim przypisywać brzydkie motywy, bo tylko takie rozumiesz.

– A gdyby kochał twoją matkę, też uważałabyś, że ma brzydkie pobudki? Co jest brzydkiego w miłości, Clarisso? A może czujesz w głębi serca, że twój drogi Lucian nie jest człowiekiem Inie jest zdolny do uczuć, tak jak myje rozumiemy...

– Lukę j est takim samym człowiekiem j ak j a – rzuciła z pasj ą Clary. – A ty nienawistnikiem.

– O, nie. Tylko nie to. – Przynął się do niej o krok. – Uważasz tak, bo patrzysz na mnie i na to, co robię, przez pryzmat swojego rozumienia świata. Przyziemni tworzą między sobą rozróżnienia, które wydają się śmieszne Nocnym Łowcom. Opierają je na rasie, religii, narodowości i dziesiątkach drobnych, nieistotnych rzeczy. Przyziemnym wydają się one logiczne, bo choć sami nie widzą ani nie uznają istnienia Świata Cieni, gdzieś tam jednak w ich pamięci jest pogrzebana prastara wiedza że na ziemi chodzą inne istoty, których celem jest zadawanie krzywd i niszczenie. Ponieważ demoniczne zagrożenie jest niewidoczne dla Przyziemnych, muszą przypisywać je sobie nawzajem. Twarz, wroga nakładają na twarz sąsiada i w ten sposób prowadzą do tragedii ciągnących się przez całe pokolenia. – Zrobił następny krok w jej stronę, a Clary cofnęła się odruchowo, aż dotknęła szafki. – Ja nie jestem taki. Znam prawdę. Przyziemni widzą jak przez szkło, natomiast Nocni Łowcy dostrzegają to, co niewidoczne. Znamy zło i wiemy, że choć istnieje wśród nas, nie należy do tego świata. Nie wolno pozwolić, żeby zapuściło tutaj korzenie, wyrosło jak trujący kwiat, który zdusi wszelkie życie. Clary chciała sięgnąć po Miecz i rzucić się na Valentine’a, ale jego słowa nią wstrząsnęły. Mówił takim spokojnym, sugestywnym tonem, a ona wcale nie uważała, że można pozwolić demonom obrócić ziemię w popiół, tak jak wiele innych światów. Jednak...

– Luke nie jest demonem – powiedziała. – Sądzę, Clarisso, że masz niewielkie doświadczenie, jeśli chodzi o demony. Spotkałeś kilku Podziemnych, którzy wydali ci się dobrzy, i teraz patrzysz na świat przez pryzmat ich dobroci. Demony są dla ciebie strasznymi istotami, które wyskakują z ciemności, żeby atakować i zabijać. I są takimi istotami. Ale istnieją również demony o wiele subtelniejszej i bardziej dyskretnej, które chodzą wśród ludzi nierozpoznane, nie napotykając przeszkód. Ale robią tak potworne rzeczy, że ich bardziej bestialscy pobratymcy wydają się w porównaniu z nimi łagodni jak baranki. Żył w Londynie pewien demon, który udawał potężnego finansistę. Nigdy nie był sam, więc nie mogłem go dopaść i zabić, choć wiedziałem, kim jest. Kazał swoim sługom sprowadzać zwierzęta i dzieci... wszystko co małe i bezbronne...

– Przestań. – Clary zasłoniła uszy rękami. – Nie chcę tego słuchać.

Mimo to głos Valentine’a rozbrzmiewał w jej głowie nieubłaganie, stłumiony, ale nadal słyszalny.

– Zjadał je powoli przez wielu dni. Miał swoje sposoby, żeby utrzymać je przy życiu w trakcie najgorszych tortur. Jeśli potrafisz sobie wyobrazić dziecko, które próbuje do ciebie dopęłznąć, choć połowę ciała ma oderwaną...

– Przestań! – Clary opuściła ręce. – Wystarczy, dość!

– Demony żywią się śmiercią bólem i szaleństwem. Zabijam je dlatego, że muszę. Dorastałaś w fałszywie pięknym raju, otoczonym kruchymi szklanymi ścianami, moja córko. Twoja matka stworzyła świat, w którym chciała żyć, i wychowała cię w nim, ale nigdy ci nie powiedziała, że to iluzja. Przez cały ten czas demony tylko czekały, żeby rozbić szkło i uwolnić cię od kłamstwa.

– To ty roztrzaskałeś te ściany – wyszeptała Clary. – Wciągnąłeś mnie w to wszystko. Nikt inny, tylko ty.

– A szkło, które cię skaleczyło, ból, krew? O to również mnie obwiniasz? To nie ja zamknąłem cię w więzieniu.

– Przestań wreszcie mówić!

Clary dzwoniło w głowie. Chciała krzyknąć: „Porwałś moja matkę to jest twoja wina!”. Ale zaczęła rozumieć, co Lukę miał na myśli, kiedy ostrzegł, że nie można spierać się z Valentine’em, Tak nią manipulował, że nie zgadzając się z nim, miała poczucie, że broni demonów, które przegryzają dzieci na pół. Zastanawiała się, jak Jace wytrzymał przez te wszystkie lata kiedy żył w cieniu wymagającego i dominującego ojca. Chyba już wiedziała skąd się wzięła arogancja Jace’a i jego pozorny chłód emocjonalny.

Brzeg szafki wpijał się jej w nogi. Od chłodu, który bil od Miecza, jeżyły się jej włosy na karku. – Czego chcesz ode mnie? – zapytała. – A dlaczego sądzisz, że czegoś od ciebie chcę?

– Bo inaczej byś ze mną nie rozmawiał. Uderzyłbyś mnie w głowę i czekał na... na następny etap.

– Następny etap jest taki, że twoi przyjaciele, Nocni Łowcy znajdą cię, ajaim powiem, że jeśli chcąodzyskać cię żywą muszą mi oddać likantropkę. Nadal potrzebuję jej krwi. – Nigdy nie przehandlująMai za mnie!

– I tu się mylisz – stwierdził Valentine. – Wiedzą, jaką wartość ma Podziemna, a jaką dziecko Nocnych Łowców. Dobiją targu. Takie jest Prawo Clave. – Prawo?

– Właśnie – odparł Valentine. – Teraz rozumiesz? Nie ma aż takich różnic między mną a Clave, między mną a Jonathanem, czy nawet między mną a tobą, Clarisso. My tylko nie zgadzamy się co do metod. – Uśmiechnął się i ostatnim krokiem pokonał dzielącą ich odległość.

Clary błyskawicznym ruchem sięgnęła za siebie i chwyciła Miecz Anioła. Był ciężki, jak się spodziewała tak że omal go nie upuściła. Uniosła go z trudem i wycelowała ostrze w Valentine'a.

Upadek zakończył się raptownie, kiedy Jace uderzył w twardą metalową powierzchnię z taką siłą że zadzwoniły mu zęby. Zakaszła i poczuł smak krwi w ustach. Dźwignął się z trudem.

Stał na metalowej kładce pomalowanej na ciemnozielono, w wielkiej i pełnej ech stalowej komorze o ciemnych, półokrągłych ścianach. Patrząc w górę, dojrzał przez otwór w kadłubie mały skrawek rozgwieżdżonego nieba.

Wnętrze statku było labiryntem pomostów i drabinek, które krzyżowały się ze sobą i prowadziły donikąd. Panowało tu lodowate zimno, tak że jego oddech zamieniał się w białe obłoczki pary. I było bardzo mało światła. Jace sięgnął do kieszeni po czarodziejski kamień runiczny.

Jego biały blask rozjaśnił mrok. Kładka była długa i kończyła się drabinką prowadzącą na niższy poziom. Kiedy Jace ruszył w jej stronę, coś zaśniło pod jego nogami.

Stela. Schylił się po nią i rozejrzał odruchowo, jakby w każdej chwili ktoś mógł zmaterializować się w ciemności. Skąd, do diabła, wzięła się tutaj stela Nocnego Łowcy? Gdy ją rozpoznał przeszył go ból. Clary.

Ciszę nagle zakłócił cichy śmiech. Jace okręcił się, wsuwając stelę za pas. W poświacie magicznego kamienia zobaczył ciemną postać stojącą na końcu pomostu. Jej twarz była ukryta w cieniu.

– Kto tam jest?! – zawołał.

Nie otrzymał odpowiedzi, a jedynie odniósł wrażenie, że ktoś się z niego śmieje. Instynktownie powędrował dłonią do pasa ale okazało się, że kiedy spadał, wypuścił seraficki nóż. Nie miał żadnej broni.

Ale czego zawsze uczył go ojciec? Użyte właściwie, prawie wszystko może być bronią. Ruszył wolno w stronę postaci zwracając uwagę na różne szczegóły otoczenia. Rozporą której mógł się chwycić, by się rozkołysać i wymierzyć kopniaka. Kawałek ułamanego metalu, na który mógł nadzieć przeciwnika. Wszystkie te myśli przebiegły mu przez głowę w ułamku

sekundy, zanim nieznajomy odwrócił się i w czarodziejskim zalśniły jego białe włosy. Jace stanął jak wryty.

– Ojczy? To ty?

Pierwszą rzeczą którą sobie uświadomił Alec, było lodowate zimno. Drugą to, że brakuje mu tchu. Próbował zaczerpnąć powietrza i jego ciało wpadło w drgawki. Usiadł gwałtownie wypłuł strumień brudnej, gorzkiej wody, zaczął się krztusić i kaszleć.

Wreszcie mógł oddychać, ale miał wrażenie, że jego płuca płoną. Rozejrzył się, dysząc ciężko. Znajdował się na platformie z blachy falistej... nie, to był tył furgonetki. Pickupa dryfującego na środku rzeki. Naprzeciwko siedział Magnus Bane i patrzył na niego bursztynowymi kocimi oczami, które jarzyły się w ciemności.

– Co... co się stało? – zapytał, szcękając zębami.

– Próbowałeś wypić East River – odparł Bane, a Alec zobaczył, że jego ubranie też jest mokre i przyklejone do ciała jak druga skóra. – Wyciągnąłem cię.

Alecowi dudniło w głowie. Pomacał pas, ale nie znalazł steli. Próbował odtworzyć w pamięci ostatnie wydarzenia: statek opanowany przez demony, pod stopami wszędzie krew, atakujące stwory...

– Isabelle! Schodziła po drabince...

– Nic jej nie jest. Dotarła na łódź. Widziałem ją. – Magnus dotknął głowy Aleca. – Natomiast ty masz wstrząs mózgu.

– Muszę wracać do walki. – Alec odepchnął jego rękę. – Jesteś czarownikiem. Nie możesz... nie wiem, polecieć ze mną z powrotem na statek albo coś w tym rodzaju? I wyleczyć mnie, skoro już zacząłeś⁹

Magnus oparł się z powrotem o bok furgonetki. W blasku gwiazd jego oczy były zielonożłote i błyszcząły jak klejnoty.

– Przepraszam – bąknął Alec, choć nadal uważał, że Magnus powinien go zrozumieć. Powrót na statek był teraz najważniejszą rzeczą. – Wiem, że nie musisz nam pomagać... to przysługa...

– Przestań. Nie chcę oddawać ci przysług. Robię dla ciebie różne rzeczy, bo... cóż, jak myślisz, dlaczego je robię?

Alec poczuł ucisk w gardle; nie mógł wydobyć ani słowa. Wciąż mu się to przytrafiało w obecności Magnusa. Gdy tylko chciał powiedzieć coś ważnego albo prawdziwego, w gardle rosła mu gęła.

– Muszę wrócić na statek – oświadczył w końcu.

– Pomógłbym ci, ale nie mogę. – Bane sprawiał wrażenie zbyt zmęczonego, żeby się gniewać. – Usunięcie czarów osłaniających statek, bardzo silnych, demonicznego pochodzenia było ciężkim zadaniem. W dodatku, kiedy wpadłeś do wody musiałem szybko rzucić czar na furgonetkę, żeby nie zatoniła kiedy stracę przytomność, a to jest tylko kwestią czasu, Alec, – Przesunął dłonią po oczach. – Ale zdążysz jeszcze doprowadzić samochód z powrotem na ląd.

– Ja... nie wiedziałem.

Alec spojrzał na Magnusa, który liczył sobie trzysta lat. zawsze wyglądał tak, jakby przestał się starzeć jako dwudziestolatek. Teraz wokół jego oczu i ust zarysowały się wyraźne zmarszczki. Włosy opadły mu na czoło, przygarbione plecy były charakterystyczną dla niego niedbałą postawą, tylko świadectwem wyczerpania.

Alec wyciągnął ręce. Były blade w blasku księżyca, pomarszczone od wody, poznaczone dziesiątkami srebrnych blizn. Magnus spojrzał na nie z lekkim zdziwieniem.

– Weź moją siłę – zaproponował Alec. – Żebyś mógł daleko funkcjonować.

Czarownik się nie poruszył.

– Sądziłem, że musisz wracać na statek – powiedział.

– Muszę walczyć, ale przecież ty też to robisz, prawda? Bierzesz udział w walce, tak samo jak Nocni Łowcy na statku. Możesz zaczerpnąć ode mnie trochę siły, słyszałem, że czarownicy to potrafią więc ci ją dają. Weź ją. Jest twoja.

Valentine się uśmiechnął. Miał na sobie czarną zbroję i rękawice, które lśniły jak pancerze czarnych insektów.

– Mój syn.

– Nie nazywaj mnie tak – powiedział Jace, czując, że zaczynają mu się trząść ręce. – Gdzie Clary?

Morgenstern nie przestał się uśmiechać.

– Zbuntowała się przeciwko mnie. Musiałem dać jej nauczkę.

– Co jej zrobiłeś?

– Nic. – Valentine podszedł do niego na tyle blisko, że mógłby go dotknąć, gdyby wyciągnął rękę, ale tego nie zrobił. – Nic, po czym nie doszłaby do siebie.

Jace zacisnął dłonie w pięści, by ojciec nie zobaczył, że drżą.

– Chcę ją zobaczyć.

– Naprawdę? Akurat teraz? – Valentine spojrział w górę, jakby mógł przebić wzrokiem kadłub statku i zobaczyć rzeź trwającą na pokładzie. – Sądziłbym raczej, że będziesz chciał walczyć razem ze swoimi przyjaciółmi. Szkoda, że ich wysiłki zdadzą się na nic.

– Tego nie wiesz.

– Wiem. Na każdego z nich mogę wezwać tysiąc demonów, i Nawet najlepsi Nefiłim nie poradzą sobie z taką przewagą liczebną. Jak biedna Imogen.

– Skąd...

– Widzę wszystko, co się dzieje na moim statku. – Valentine zmrużył oczy. – Wiesz, że zginęła przez ciebie, prawda?

Jace wziął głęboki wdech. Czuł, że jego serce dudni, jakby chciało wyskoczyć mu z piersi.

– Gdyby nie ty, w ogóle by się tu nie zjawili. Myśleli, że ratują ciebie. Gdyby chodziło tylko o dwójkę Podziemnych, nie zawracaliby sobie głowy.

Jace prawie o nich zapomniał.

– Simon i Maia...

– Nie żyją. Oboje. – Ton Valentine'a był niedbały. – Ilu jeszcze musi zginąć, zanim dotrze do ciebie prawda?

Jace miał wrażenie, że jego głowę wypełnia kłębiący się dym. Ramię paliło go żywym ogniem.

– Już odbyliśmy podobną rozmowę. Mylisz się, ojcze. Może masz rację co do demonów, a nawet co do Clave, ale to nie jest sposób...

– Chodziło mi o to, kiedy zrozumiesz, że j esteś taki j ak ja? – przerwał mu Valentine.

Mimo zimna Jace zaczął się pocić.

– Co?

– Ty i ja jesteśmy do siebie podobni. Sam mi powiedziałeś, że wychowałem cię na swoją kopię. Masz moją arogancję. Masz moją odwagę. I tę cechę, która powoduje, że inni bez wahania oddają za ciebie życie.

Coś dźwięczało w umyśle Jace'a. Jakby o czymś zapomniał. Ręka piekła go coraz bardziej.

– Nie chcę, żeby ludzie oddawali za mnie życie! – krzyknął.

– Chcesz. Podoba ci się świadomość, że Alec i Isabelle zginęliby za ciebie. I twoja siostra również. Że Inkwizytorka umarła zamiast ciebie, prawda, Jonathanie? A ty stałeś obok niej i pozwoliłeś...

– Nie!

– Jesteś taki jak ja. Nic dziwnego, prawda? Jesteśmy ojcem i synem, dlaczego nie mielibyśmy być podobni?

– Nie! – Jace chwycił za znajdujący się tuż obok niego skręcony metalowy pręt, a ten pękł z głośnym trzaskiem. Ułamany koniec był ostry i nierówny. – Nie jestem taki jak ty! – wykrzyknął i wbił drąg w pierś ojca.

Vlentine otworzył usta i zatoczył się do tyłu. Przez chwilę Jace był w stanie tylko się gapić i myśleć gorączkowo: Pomyliłem się, to naprawdę on. A potem Valentine zapadł się w sobie i rozsypał, jakby jego ciało było z piasku. Powietrze wypełnił odór spalenizny, popiół rozwił się w chłodnym powietrzu.

Jace dotknął ramienia. Skóra w miejscu, gdzie spalił się Znak nieustraszoneści, była gorąca.

– Agramon – wyszeptał i osunął się na kolana.

Tylko chwilę klęczał na pomoście, podczas gdy jego dudniący puls się uspokajał, ale dla niego trwało to całą wieczność. Kiedy wreszcie wstał, nogi miał zeszywniałe z zimna, czubki palców sine. W powietrzu nadal unosił się swąd, choć nie było śladu Agramona.

Ściskając w ręce ułamany kawałek pręta, Jace ruszył do drabinki w drugim końcu kładki. Wysięk, którego wymagało od niego zejście w dół, gdy miał wolną tylko jedną rękę, rozjaśnił mu w głowie. Zeskoczył z ostatniego szczebla i znalazł się na niższym, wąskim pomoście biegnącym wzdłuż boku dużej metalowej komory. Po ścianach pięły się dziesiątki innych kładek, rury i wszelkiego rodzaju maszyny. Z rur dochodziły dudniące dźwięki, od czasu do czasu któraś wypuszczała z hukiem coś, co wyglądało jak para, ale Jace'owi nadal dokuczał przenikliwy ziąb.

Nieźle miejsce sobie znalazłeś, ojczu, pomyślał. Puste, przemysłowe wnętrza nie pasowało do Valentine'a, który przywiązywał wagę do tego, z jakiego kryształu są jego karafki.

Jace rozejrzał się po labiryncie. Nie wiedział, w którą stronę pójść. Ruszył do następnej drabinki i zauważył ciemnoczerwoną plamę na metalowej podłodze.

Dotknął jej czubkiem buta. Krew, jeszcze wilgotna, lepka. Świeża. Jego puls przyspieszył. Trochę dalej na pomoście zauważył następną plamę i jeszcze jedną niczym ślad z okruszków chleba.

Gdy za nim podążył, jego kroki dudniły głośno na stalowej kładce. Czerwone plamy układały się w dziwny wzór. Nie jakby rozegrała się tutaj walka, ale jakby niesiono tędy kogoś rannego.

W końcu dotarł do drzwi z czarnego metalu, oznaczone go wgłębieniami i rysami. Wokół gałki widniał krwawy odcisk. Jace mocniej ścisnął rękę i pchnął drzwi.

Uderzyła go fala jeszcze zimniejszego powietrza, od którego zaparło mu dech. Pomieszczenie było puste, nie licząc metalowej rury biegnącej wzdłuż jednej ściany i czegoś, co leżało w kącie i wyglądało jak stos worków. Kiedy Jace ostrożnie ruszył przed siebie, w odrobinie światła, które wpadało przez wysoko osadzony bulaj, zobaczył, że to wcale nie są śmieci, tylko ciało.

Jego serce zaczęło walić młotem.

Metalowa podłoga lepła się od krwi. Buty odrywały się o nią z nieprzyjemnym ssącym dźwiękiem. Ukłękł przy nieruchomej postaci. Był to chłopiec o ciemnych włosach, w dżinsach i zakrwawionym T- shircie.

Jace wziął go za ramię i przewrócił na plecy. Ciało było bezwładne, jak pozbawione kości, brązowe oczy skierowane w górę, niewidzące. Jace'owi oddech uwiązł w krtani, gdy poznał Simona.

Biały jak papier, na szyi miał paskudną ranę, na obu nadgarstkach cięcia o nierównych brzegach.

Jace opadł przy nim na kolana. Pomyślał o Clary, o jej bólu, o tym, jak mocno ścisnęła jego rękę. „Poszukaj Simona. Wiem, że go znajdziesz”.

I znalazł. Ale za późno.

Kiedy miał dziesięć lat, ojciec wyjaśnił mu wszystkie sposoby zabijania wampirów. Przebij kołkiem, odetnij głowę, podpal, żeby płonęły jak błędne ognie. Pozwól, żeby słońce spaliło je na popiół. Albo je wykrwaw. One potrzebują krwi, żeby przeżyć, krew jest dla nich

tym, czym benzyna dla samochodu. Patrząc na poszarpaną ranę na gardle Simona, nietrudno było odgadnąć, co zrobił Valentine.

Jace wyciągnął rękę, żeby zamknąć oczy Simona. Jeśli Clary zobaczy go martwego, lepiej, żeby nie widziała go w takim stanie. Przesunął rękę w dół na kołnierz koszuli, żeby ją podciągnąć i zakryć ranę.

Simon się poruszył. Zamrugnął i wyrócił oczyma. Obnażył czubki kłów, charcząc. Oddech zasyczał w jego rozplatanym gardle.

Jace'a ogarnęły mdłości, jego ręka zacisnęła się na kołnierzu Simona. On nie jest martwy. Ale, na Boga, musiał strasznie cierpieć. A Jace nie mógł go uzdrowić bez...

Bez krwi. Puścił koszulę Simona i zębami podciągnął prawy rękaw. Nierównym końcem pręta zrobił długie nacięcie wzdłuż nadgarstka. Potem wypuścił go z rąk. Metal uderzył z brzękiem o metalową podłogę. Powietrze wypełnił ostry zapach miedzi.

Jace spojrzał na nieruchome ciało. Uniósł rękę nad twarzą Simona, tak żeby krew skąpy wała mu po palcach do jego ust. Nie widząc żadnej reakcji, pochylił się nad nim i przycisnął krwawiący nadgarstek do warg nieprzytomnego chłopaka. Jego oddech tworzył białe obłoczki w lodowatym powietrzu.

– Pij, idioto – wyszeptał. – Pij.

Przez chwilę nic się nie działo. Potem Simon mocniej zacisnął powieki, a Jace poczuł ostre ukłucie w nadgarstku, a potem coś w rodzaju ssania. Wampir podniósł prawą rękę i zacisnął ją na przedramieniu Jace'a, tuż nad łokciem. Wygiął plecy w hak. Nacisk stawał się coraz mocniejszy, w miarę jak kły zagłębiały się w ciele Nocnego Łowcy. Jego ramię przeszył ból.

– W porządku – powiedział Jace. – Wystarczy.

Ciemnobrązowe tęczy spjrzały na niego przytomnie, na policzki wróciły kolory, usta się lekko rozchyliły,

odslaniając białe kły poplamione krwią.

– Simon?

Wampir zerwał się z niewiarygodną szybkością. Odrzucił Jace'a w bok, rzucił się na niego jak błyskawica i wbił mu zęby w szyję. Jace uderzył głową w metalową podłogę, aż zadzwoniło mu w uszach. Próbował się wyrwać, ale ręce Simona, które go przyszpiliły, były jak żelazne obręcze.

Ból, w pierwszej chwili ostry, przeszedł w łagodne pieczenie, podobne jak przy kreśleniu runów stelą, i momentami nawet przyjemne. Po żyłach Jace'a rozlało się senne uczucie spokoju, jego mięśnie się rozluźniły. Ręce, które usiłowały odepchnąć napastnika, teraz zaczęły go przyciągać. Jace czuł, że jego serce bije coraz wolniej. Na skraju jego pola widzenia pojawiła się migotliwa ciemność, piękna i dziwna. Zamknął oczy...

Silny ból przeszył mu szyję. Jace gwałtownie zaczerpnął tchu i rozwarł powieki. Simon siedział na nim i wpatrywał się w niego, zakrywając ręką usta. Jego rany zniknęły, przód koszuli płamiła świeża krew.

Jace znowu wyraźnie poczuł siniaki na ramionach, cięcie na nadgarstku, rozorane gardło. Już nie słyszał bicia własnego serca, ale wiedział, że ono trzepocze w jego piersi. Simon odjął dłoń od ust. Kły zniknęły.

– Mogłem cię zabić – powiedział. W jego głosie brzmiała błagalna nuta.

– Powinienem być ci pozwolić – odparł Jace.

Simon popatrzył na niego i wydał z siebie zdławiony dźwięk. Stoczył się z Jace'a, opadł na kolana, zgiął się wpół. Jace widział na jego szyi ciemną siateczkę naczyń pod białą skórą rozgałęziające się niebieskie i fioletowe linie. Żyły wypełnione krwią.

Moją krwią. Jace usiadł i sięgnął po stelę. Przesunięcie nią po ramieniu wymagało tyle siły co wleczenie ołowianej rury po boisku piłkarskim. Kiedy skończył rysować *iratze*, oparł głowę o ścianę, oddychając ciężko. Znak uzdrawiający zaczynał działać, ból powoli ustępował. Moja krew w jego żyłach.

– Przepraszam – powiedział Simon. – Tak mi przykro.

Gdy Jace poczuł się lepiej, wstał ostrożnie, spodziewając się zawrotów głowy, ale okazało się, że jest tylko trochę osłabiony i zmęczony. Simon nadal klęczał, patrząc na swoje ręce. Jace chwycił go za tył koszuli i podniósł z ziemi.

– Nie przepraszaj, tylko się rusz. Nie możemy tracić czasu. Yalentine ma Clary.

W chwili kiedy zamknęła dłoń na rękojęści Maellartacha, palce jej zdrętwiały, a w górę ramienia powędrowało lodowate zimno. Zaskoczona, gwałtownie wciągnęła powietrze i mocniej ścisnęła Miecz, ale wysliznął jej się z ręki i z brzękiem upadł na podłogę u jej stóp.

Nie widziała, żeby Yalentine wykonał jakiś ruch, ale chwilę później stał przed nią trzymając Mecz. Na jej ręce pojawiła się czerwona, zaogniona pręga.

– Naprawdę myślałaś, że pozwolę ci użyć broni? – odezwał się Valentine, kręcąc głową z niezadowoleniem. – Nie zrozumiałaś ani słowa z tego, co mówiłem? Zdaje się, że z dwojga moich dzieci tylko jedno jest w stanie pojąć prawdę.

Clary zacisnęła poparzoną dłoń w pięść, niemal z radością witając ból.

– Jeśli masz na myśli Jace’a, on też cię nienawidzi. Valentine uniósł Mecz i wycelował go w obojczyk Clary. – Wystarczy – rzucił krótko.

Czubek klingi był ostry. Kiedy Clary wzięła głębszy oddech, przeciął jej skórę. Strużka krwi spłynęła na pierś. Pod dotykiem Meczą chłód rozlał się po jej żyłach, jakby wstrzyknięto w nie drobinki lodu. Znowu zdrętwiały jej dłonie.

– Jesteś zepsuta przez wychowanie – stwierdził Valentine – Twoja matka zawsze była upartą kobietą. Mędzy innymi to kochałem w niej na początku. Myślałem, że wytrwa przy swoich ideałach.

To dziwne, pomyślała Clary z dziwną obojętnością mimo przerażenia, że kiedy wcześniej widziała ojca w Renwicku, w obecności Jace’a ujawniła się jego charyzma. Natomiast teraz nie zadawał sobie trudu, żeby zrobić na niej wrażenie, a bez tej powierzchownej patyny czaru wydawał się... pusty. Jak wydrążony posąg, w którego oczach jest tylko ciemność.

– Powiedz mi, Clarisso, czy twoja matka kiedykolwiek o mnie mówiła?

– Twierdziła, że mój ojciec nie żyje. – Nie mów nic więcej, ostrzegła samą siebie, ale była pewna, że Valentine wyczytał resztę odpowiedzi w jej oczach: Szkoda, że to nieprawda.

– A nigdy ci nie uświadomiła, że jesteś inna? Wyjątkowa? Clary przełknęła ślinę i czubek miecza wbił się trochę głębiej w skórę.

– Nigdy mi nie powiedziała, że jestem Nocnym Łowcą.

– Wiesz, dlaczego twoja matka mnie zostawiła? – zapytał Valentine, patrząc na nią wzdłuż ostrza.

Łzy zapiekły Clary w gardle. Wydała z siebie zdławiony dźwięk.

– Masz na myśli, że był tylko jeden powód?

– Zrzuciła mi – ciągnął Valentine, jakby jej nie usłyszał – że zmieniłem jej pierwsze dziecko w potwora. Porzuciła mnie, że bym mnie zrobił tego samego z drugim. Z tobą. Ale się spóźniła.

Zimno było tak intensywne, że Clary nawet nie była w stanie drżeć. Zupełnie jakby Mecz zmieniał ją w bryłę lodu.

– Nigdy mi tego nie powiedziała – wyszeptwała. – A Jace nie jest potworem. Ja też nie.

– Nie mówiłem o...

Właz nad ich głowami otworzył się z łoskotem i z góry skoczyły dwie ciemne postaci. Clary z zaskoczeniem i ogromną ulgą stwierdziła, że pierwszą z nich jest Jace, lecący jak strzała. Lekko i pewnie wylądował tuż za Vlentine'em. W dłoni ścisnął zakrwawiony stalowy pręt z ułamanym czubkiem.

Drugi człowiek zeskoczył na podłogę obok Jace'ą z taką samą lekkością, ale bez jego gracji. Clary ujrzała smukłego chłopca o ciemnych włosach i pomyślała: Alec. Dopiero kiedy się wyprostował, zapomniała o Mieczu, o bólu, o wszystkim.

– Simon!

Ich wzrok spotkał się na chwilę. Clary miała nadzieję, że z jej twarzy wyczytał niewysłowioną ulgę. Łzy, które od dawna zbierały się w oczach, pociekły jej po policzkach. Nie podniosła ręki, żeby je wytrzeć.

Vlentine odwrócił głowę i spojrzał za siebie. Przez jego twarz przemknął wyraz najszczęśliwszego zdumienia.

Gdy tylko odjął broń od gardła Clary, lód się stopił, zabierając ze sobą całą jej siłę. Opadła na kolana. Kiedy uniosła rękę, żeby wytrzeć łzy, zobaczyła, że koniuszki palców ma białe, prawie odmrożone.

Jace popatrzył na nią ze zgrozą i przeniósł wzrok na ojca.

– Co jej zrobiłeś?

– Nic – odparł Vlentine, odzyskując panowanie nad sobą. – Jeszcze.

Ku zaskoczeniu Clary Jace zbladł, jakby słowa ojca nim wstrząsnęły.

– To ja powinienem zapytać, co zrobiłeś, Jonathanie – rzekł Vlentine i choć mówił do Jace'a, patrzył na Simona. – Dlaczego on jeszcze żyje? Wampiry potrafią się regenerować, ale nie kiedy zostało w nich tak mało krwi.

– Masz na myśli mnie? – zapytał Simon. Clary wytrzeszczyła oczy. Jej przyjaciel mówił jakoś inaczej. Nie jak dzieciak odszczekujący się dorosłemu, tylko jak ktoś, kto uważa, że potrafi stawić czoło Vlentine'owi Morgensternowi jak równy równemu. Jak ktoś, kto sobie na to zasłużył. – A tak, zgadza się, zostawiłeś mnie na pewną śmierć.

– Zamknij się. – Jace spiorunował go wzrokiem. – Pozwól mi odpowiedzieć na pytanie. – Odwrócił się do ojca. – Dałem Simonowi napić się mojej krwi. Dlatego nie umarł.

Surowe rysy twarzy Valentine'a stwardniały jeszcze bardziej. Wydawało się, że kości zaraz przebiją skórę.

Z własnej woli dałeś wampirowi napić się swojej krwi? Jace wahał się przez chwilę. Zerknął na Simona, który wpatrywał się w Valentine'a z głęboką nienawiścią.

– Tak – odparł ostrożnie.

– Nie masz pojęcia, co zrobiłeś, Jonathanie – rzekł Valentine strasznym głosem. ~ Nie masz pojęcia.

– Uratowałem mu życie, które ty próbowałeś odebrać. Tyle wiem.

– Wskresiłeś potwora, który będzie zabijał, żeby się pożywić. Tacy jak on są wiecznie głodni...

– Teraz jestem głodny – wtrącił Simon i uśmiechnął się, obnażając kły. Lśniły bielą, opierając się na dolnej wardze. – Nie miałbym nic przeciwko odrobinie krwi. Oczywiście twoja pewnie by mnie zemdlila, ty trujący...

Valentine się roześmiał.

– Chciałbym zobaczyć, jak próbujesz, pijawko. Kiedy dotknie cię Miecz Anioła, spłoniesz.

Clary zobaczyła, że Jace biegnie wzrokiem do Miecza, a potem do niej. W jego oczach dostrzegła niewypowiedziane pytanie.

– Nie zdobył krwi Mai, więc nie dokończył Rytuału Konwersji... – powiedziała szybko.

Valentine spojrział na nią z uśmiechem i ledwo dostrzegalnie poruszył Mieczem. Clary poczuła silne uderzenie, jakby ogromna fala ścięła ją z nóg, wciągnęła pod wodę i wyrzuciła w powietrze. Potoczyła się po podłodze i z impetem uderzyła w grodz. Tam znieruchomiała, skulona, bez tchu, obolała.

Simon rzucił się w jej stronę, ale kiedy Valentine zamachnął się Mieczem Anioła, wyrosła przed nim ognista kurtyna, tak że musiał się cofnąć przed palącym zarem.

Clary dźwignęła się na łokciach. W ustach miała krew, świat wokół wirował, a jej się zdawało, że zaraz zemdleje. Surowo nakazała sobie zachować przytomność.

Ogień zgasł, ale Simon nadal kucał na podłodze, oszołomiony. Valentine przeniósł wzrok na syna i rzekł:

– Jeśli teraz go zabijesz, j jeszcze możesz naprawić to, co zrobiłeś.

– Nie – szepnął Jace.

– Weź broń, którą trzymasz w ręce, i wbij mu ją w serce. – Głos Valentine’a był łagodny.
– Jeden prosty ruch. Robiłeś to już wcześniej.

Jace ze spokojem odwzajemnił spojrzenie ojca.

– Widziałem Agramona – powiedział. – Miał twoją twarz.

– Spotkałeś się z Agramonem sam na sam? – Mecz Anioła zalsnił, kiedy Valentine ruszył w stronę syna. – I przeżyłeś? – Zabiłem go.

– Zabiłeś Demona Strachu, a nie chcesz zabić jednego wampira, nawet na mój rozkaz?

– Jest wampirem, to prawda, ale ma na imię Simon – odparł Jace, twardo patrząc na ojca.

Valentine zatrzymał się przed nim z bronią w ręce. Mecz Anioła płonął ostrym czarnym blaskiem.

– Domyślam się, że nie zmieniłeś zdania? To, co mi powiedziałeś na statku, było twoim ostatnim słowem? A może żałujesz, że mnie nie posłuchałeś?

Jace wolno pokręcił głową. W ręce nadal ścisnął ułamany pręt, ale drugą sięgnął za pas. Nie spuszczał oczu z ojca, tak że Clary nie była pewna, czy Valentine widzi, co robi jego syn. Miała nadzieję, że nie.

Tak, żałuję, że cię nie posłuchałem – powiedział Jace. Nie! Serce Clary podskoczyło. Czyżby uważał, to jedyny sposób, żeby uratować ją i Simona?

Twarz Valentine’a złagodniała.

– Jonathanie...

– I zamierzam zrobić to ponownie. Teraz.

Wykonał błyskawiczny ruch ręką. Coś poszybowało w stronę Clary, upadło kilka cali od niej z metalicznym brzękiem i potoczyło się po podłodze.

To była stelajej matki.

Valentine zaczął się śmiać.

– Stela? Jace, to jakiś żart? A może wreszcie...

Clary nie usłyszała reszty zdania. Uniosła się odrobinę i syknęła kiedy ból przeszył jej głowę. Do oczu napłynęły łzy, wzrok się zamazał. Wyciągnęła drżącą rękę po stelę. A kiedy jej dotknęła usłyszała głos, tak wyraźny, jakby matka stała obok niej. „Weź ją, Clary, i użyj. Wiesz, co robić”.

Kurczowo zacisnęła palce na steli i usiadła, nie zważając na falę bólu, która przetoczyła się przez jej głowę i plecy. Była Nocnym Łowcą, a z bólem można żyć. Usłyszała jak Valentine

wykrzykuje jej imię, a potem jego zbliżające się kroki... I wbiła stelę w grodz z taką siłą, że kiedy jej czubek dotknął metalu, rozległ się syk, jakby coś się paliło.

Zaczęła rysować i jak zawsze w takich momentach cały świat zniknął. Została tylko ona, stela i metalowa ściana. Przypomniała sobie, jak stała pod celą w Mieście Kości i szeptała: „Otwórzcie się. Otwierajcie się, otwierajcie!”. Stworzenie Znak, który zerwał więzy Jace’ą wymagało od niej całej siły, ale w ten wkładała jej sto razy więcej. Ręce ją paliły. Krzyknęła, ciągną stelę w dół po grodzi, kreśląc na niej grubą linię, czarną jak węgiel. Otwórz się.

Włożyła w Znak całą swoją frustrację, całe rozczarowanie, całą wściekłość. Otwórz się. Całą miłość i ulgę, że Simon żyje, całą nadzieję, że oni wszyscy się uratują. Otwórz się!

Nadal ściskając stelę, opuściła rękę na kolana. Przez chwilę w pomieszczeniu panowała cisza, kiedy wszyscy – Jace, Valentine, nawet Simon – gapili się na Znak płonący na metalowej ścianie.

Pierwszy odezwał się Simon, zwracając do Jace’a: – Co to znaczy?

Ale to Valentine mu odpowiedział, nie odrywając wzroku od grodzi. Na twarzy miał wyraz... niezupełnie taki, jakiego spodziewała się Clary: mieszaninę triumfu i przerażenia, rozpacz i zachwyty.

– *Mene mene tekel upharsin*. Clary wstała chwiejnie.

– Wcale nie – wyszeptała. – To znaczy: „Otwórz się”. Valentine spojrzał jej w oczy.

– Clary...

Zgrzyt metalu zagłuszył jego słowa. Ściana z solidnej stali wygięła się i zadrżała. W powietrzu zaczęły fruwać nity, do środka trysnęły strumienie wody.

Valentine coś krzyczał, ale jego słowa zginęły wśród łoskotu, kiedy wszystkie gwoździe i śruby spajające statek wypadły z miejsc zamocowania.

Clary próbowała podbiec do Simona i Jace’a, ale w tym momencie przez coraz większą dziurę w ścianie wlała się kolejna fala lodowatej wody i ścięła ją z nóg. Gdzieś tam Jace wołał jej imię, głośno i z rozpaczą, przekrzykując potworny hałas. Ona tylko raz zdążyła go zawołać i przez poszarpany otwór w metalowej grodzi wypadła ze statku.

Obracała się i miotała w czarnej rzece, ogarnięta panicznym strachem przed niezmierną głębią, przed milionami ton wody, które na nią napierały ze wszystkich stron, wyciskały powietrze z pękających płuc. Nie wiedziała, gdzie jest góra, a gdzie dół, w którą stronę płynąć. Wciągnęła duży haust brudnej wody i pod jej powiekami eksplodowały gwiazdy. Szum w uszach

ustąpił miejsca wysokiemu, słodkiemu śpiewowi. Umieram, stwierdziła ze zdumieniem. I raptem z rzeki wychynęła para białych rąk. Objęły ją i przyciągnęły. Zobaczyła jeszcze długie, dryfujące włosy i pomyślała: mam, ale zanim ujrzała twarz Jo- celyn, ciemność zamknęła jej oczy.

Clary odzyskała przytomność i usłyszała wokół siebie głosy. W oczy raziło ją światło. Leżała na plecach na blaszanej podłodze furgonetki Luke'a. W górze kołysało się czarno- szare niebo. Czowała zapach rzeki, dymu i krwi. Nad nią, niczym balony na sznurkach, unosiły się białe twarze. Stały się wyraźniejsze, kiedy zamrugowała.

Lukę i Simon. Obaj patrzyli na nią z troską i niepokojem. Przez chwilę wydawało się jej, że Lukę raptem posiwił, ale potem stwierdziła, że jego włosy są pokryte popiołem. Ich ubrania i skórę pokrywała czarna maź.

Clary zakaszlała i poczuła w ustach popiół. – Gdzie Jace?

– On... – Simon pobiegł wzrokiem do Luke'a.

Clary ścisnęło się serce.

– Nic mu nie jest? – Próbowwała usiąść, ale ostry ból przeszył jej głowę. – Gdzie on jest? Gdzie?

– Tutaj. – Jace pojawił się na skraju jej pola widzenia. Ukląkł obok. Twarz miał w cieniu. – Powinienem być przy tobie, kiedy się obudzisz. To tylko... – Jego głos się załamał.

– Co tylko? – Patrzyła na niego. W blasku gwiazd jego włosy były bardziej srebrne niż złote, oczy pozbawione koloru, skóra w czarne i szare smugi.

– Myślał, że ty też nie żyjesz – powiedział Lukę i nagle wstał, patrząc na rzekę.

Niebo było zasnuwane czarnym i szkarłatnym dymem, jakby płonęło.

– Też? A kto jeszcze...? – Raptem chwycił ją mdlący ból. Jace zobaczył wyraz jej twarzy i sięgnął do kieszeni po stelę.

– Nie ruszaj się, Clary,

Zapiękło ją przedramię, a chwilę potem zaczęło się jej rozjaśniać w głowie. Podniosła się i zobaczyła, że siedzi na mokrej desce na tyle furgonetki, a pod nią chlupocze kilka cali wody zmieszanej z popiołem, sypiącym się z nieba jak drobna mżawka.

Clary spojrzała na uzdrawiający Znak, który Jace narysował na wewnętrznej stronie jej przedramienia. Szybko odzyskiwała siły, jakby wtłoczył w jej żyły zastrzyk energii.

Jace przesunął palcami po narysowanym przez siebie *iratze* i cofnął rękę. Jego dłoń była zimna i mokra jak jej skóra. Cały był przemoczony, łącznie z włosami, ubranie kleiło się do ciała.

Clary miała w ustach kwaśny smak, jakby polizała popici niczkę.

– Co się stało? Wybuchł pożar?

Jace zerknął na Luke'a, który wpatrywał się w falującą czarnoszarą rzekę. Tu i ówdzie na wodzie kołysały się małe łodzie, ale nigdzie nie było śladu statku Valentine'a.

– Tak. Statek spłonął doszczętnie. Nic z niego nie zostało. – Gdzie są wszyscy? – Clary przesunęła wzrok na Simona, który jako jedyny z nich był suchy. Jego blada skóra miała lekko zielonkawe zabarwienie, jakby miał mdłości albo gorączkę. – Gdzie Isabelle i Alec?

– Na jednej z łodzi Nocnych Łowców. Wszystko z nimi w porządku.

– A Magnus? – Odwróciła się i zajrzała do kabiny furgonetki. Stwierdziła, że w środku jest pusto.

– Musiał zająć się paroma ciężej rannymi Nocnymi Łowcami – wyjaśnił Luke.

– Ale wszyscy są cali? Alec, Isabelle, Maia, tak? – Własny głos zabrzmiał w jej uszach słabo i cienko.

– Isabelle została ranna – powiedział Luke. – Podobnie jak Robert Lightwood. Będzie potrzebował dużo czasu, żeby wyzdrowieć. Wielu innych Nocnych Łowców nie żyje, w tym Malik i Imogen. To była bardzo ciężka bitwa i nie poszła nam dobrze. Valentine zniknął. Miecz również. Conclave jest w rozsypce. Nie wiem...

Clary popatrzyła na niego uważnie. Zaniepokoił ją ton jego głosu.

– Przepraszam – powiedziała. – To moja wina. Gdybym nie...

– Gdybyś nie zrobiła tego, co zrobiłaś, Valentine zabiłby wszystkich na statku – przerwał jej gwałtownie Jace. – Tylko dzięki tobie nie doszło do masakry.

Clary wytrzeszczyła oczy.

– Masz na myśli Znak?

– Doszczętnie zniszczyłaś statek – powiedział Luke. – Wszystkie śruby, nity, spawy, gwoździe, wszystko, co trzymało go wkupię, po prostu pękło. Całość rozpadła się na kawałki, łącznic ze zbiornikami paliwa. Ledwo zdążyliśmy wskoczyć do rzeki, zanim wybuchł pożar. To, co zrobiłaś... jeszcze nikt czegoś takiego nie widział.

– Aha – bąknęła Clary. – Czy ktoś... został przeze mnie ranny? – Sporo demonów utonęło razem ze statkiem – odparł Jace. – Ale nie ucierpiał żaden z Nocnych Łowców.

– Bo potrafiały pływać?

– Bo zostali uratowani. Nixie wyciągnęły nas z wody. Clary przypomniała sobie ręce wysuwające się z rzeki i słodki śpiew. A więc to wcale nie była jej matka.

– Masz na myśli wodne faerie?

– Królowa Jasnego Dworu dotrzymała słowa, na swój sposób. Obiecała nam wszelką pomoc.

– Ale skąd ona... – Skąd wiedziała? W tym momencie Clary pomyślała o przenikliwych oczach królowej i o Jasie, który na plaży w Red Hook wrzucił do wody świstek papieru. Postanowiła o nic nie pytać.

– Łodzie Nocnych Łowców zaczynają odpływać – oznajmił Simon, patrząc na rzekę. – Chyba zabrali wszystkich.

– Prawda. – Lukę rozprostował plecy. – Pora ruszać. Przeszedł wolno do kabiny i po chwili silnik zaczął pracować,

a furgonetka sunąć po wodzie. Krople tryskające w górę spod kół przybierały szaroniebieskąbarwę jaśniejszego nieba.

– Strasznie to dziwne – powiedział Simon. – Wciąż mi się wydaje, że pickup zaraz utonie.

– Nie mogę uwierzyć, że po ostatnich przygodach uważasz, że to dziwne – skomentował Jace, ale w jego tonie nie było złośliwości ani irytacji. Wydawał się jedynie bardzo, bardzo zmęczony.

– Co będzie z Lightwoodami? – zapytała Clary. – Po tym wszystkim, co się stało... Clave...

Jace wzruszył ramionami.

– Clave działa po swojemu. Nie mam pojęcia, co zrobią. Ale na pewno będą bardzo zainteresowani tobą. I tym, co potrafisz.

Simon wydał z siebie zdławiony dźwięk. Z początku Clary myślała, że to wyraz protestu, ale kiedy uważniej mu się przyjrzała, zobaczyła że jeszcze bardziej zzieleniał.

– Co się dzieje, Simon?

– Rzeka – powiedział. – Płynąca woda nie jest dobra dla wampirów. Jest czysta, a my... nie.

– East River trudno uznać za czystą – zauważyła Clary i delikatnie dotknęła jego ramienia. – Nie wpadłeś do wody, kiedy statek poszedł na dno?

– Nie. Jace rzucił mnie na dryfujący kawałek metalu. Clary zerknęła przez ramię na Jace’a. Teraz widziała go trochę wyraźniej. Ciemność z wolna się rozpraszała.

– Dziękuję – powiedziała. – Myślisz... Jace uniósł brwi.

– Co myślę?

– Że Valentine utonął?

– Nigdy nie zakładaj, że zły facet jest martwy, dopóki nie zobaczysz jego ciała – ostrzegł Simon. – Taka pewność kończy się zasadzką i nieszczęściem.

– Masz rację – przyznał Jace. – Sądzę, że nie zginął. Inaczej znaleźlibyśmy Dary Anioła.

– Clave może się bez nich obejść? Niezależnie od tego, czy Valentine żyje, czy nie?

– Clave zawsze idzie do przodu – odparł Jace. – Tylko to po trafi. – Odwrócił się twarzą do wschodniego horyzontu. – Słońce wstaje.

Simon zeszytywniał. Clary popatrzyła na niego najpierw ze zdziwieniem, a potem z przerażeniem. Odwróciła się i stwierdziła, że wschodni horyzont przybiera krwisty odcień. Dostrzegła brzeg tarczy słonecznej barwiący wodę wokół nich na nic ziemskie odcienie zieleni, szkarłatu i złota.

– Me! – wyszeptała.

Jace spojrzał na nią zaskoczony, a następnie przeniósł wzrok na Simona, który siedział bez ruchu i wpatrywał się we wschodzące słońce jak mysz w kota. Wstał szybko, ruszył w stronę kabiny i powiedział coś cicho do kierowcy. Lukę obejrzał s i c na nią i na Simona, a potem spojrzał na Jace’a i potrząsnął głową.

Chyba wcisnął pedał gazu, bo furgonetka nagle wyrwała do przodu. Clary chwyciła się bocznej ściany, żeby utrzymać równowagę. Jace krzyknął do Lukę’ą że musi być jakiś sposób, żeby to cholerstwo jechało szybciej, ale ona wiedziała, że nigdy nic prześcigną świtu.

– Trzeba coś zrobić – powiedziała do Simona. Nie mogła uwierzyć, że w ciągu niecałych pięciu minut jej ogromna ulga zmieniła się w przerażenie. – Moglibyśmy zakryć cię ubraniami...

Simon nadal wpatrywał się w słońce, zielony na twarzy.

– Szmaty nie pomogą – powiedział. – Raphael mówił, że tylko mury chronią nas przed słońcem.

– Ale musi być coś...

– Clary. – W szarym świetle przedświtu oczy miał wielkie i ciemne. Wyciągnął do niej rękę. – Chodź tutaj.

Przytuliła się do niego, starając się zakryć jak najwięcej jego ciała swoim. Wiedziała jednak, że to bezcelowe, bo kiedy padną na niego promienie słońca, Simon spłonie.

Siedzieli przez chwilę w całkowitej ciszy, spleceni ramionami. Clary czuła, że jego pierś unosi się i opada. To był nawyk, a nie konieczność. Jej przyjaciel nie musiał oddychać, ale mimo to mógł umrzeć.

– Nie pozwolę ci umrzeć – powiedziała.

– Nie masz żadnej szansy. – Simon się uśmiechnął. – Nie sądziłem, że jeszcze kiedyś zobaczę słońce. Chyba się myliłem.

– Simon...

W tym momencie Jace coś krzyknął. Clary podniosła wzrok i zobaczyła, że niebo poróżowiało, jakby do czystej wody ktoś wlał farbę. Simon znieruchomiał.

– Kocham cię – powiedział. – Nigdy nikogo nie kochałem oprócz ciebie.

Złote nici, które przeszły różowe niebo, wyglądały jak żyły na drogim marmurze. Woda wokół nich zapłonęła czerwonym blaskiem. Simon zeszywniał i odchylił głowę do tyłu. Jego oczy przybrały złotą barwę, na skórze pojawiły się czarne linie, niczym pęknięcia na roztrzaskanym posągu.

– Simon! – krzyknęła Clary.

Usiłowała zasłonić go własnym ciałem, ale ktoś odciągnął ją do tyłu. To Jace chwycił ją za ramiona. Próbowała się wyrwać, ale trzymał mocno i mówił jej coś do ucha. Zrozumiała go dopiero po dłuższej chwili:

– Clary, popatrz.

– Nie. – Zakryła rękami twarz. Poczowała na dłoniach zapach stęchłej wody z dna furgonetki. Była słona jak łzy. – Nie chcę patrzeć. Nie chcę...

– Clary. – Jace chwycił ją za nadgarstki i oderwał jej ręce od twarzy. Blask świtu zakłuł ją w oczy. – Spójrz.

Spojrzała. I usłyszała własny świszczący oddech w płucach, kiedy gwałtownie zaczerpnęła tchu. Simon siedział na tyle furgonetki, w snopie światła, i patrzył na siebie z rozdziawionymi ustami. Słońce tańczyło za nim na wodzie, końcówki jego włosów lśniły jak złoto. Nie spalił się na popiół, tylko siedział spokojnie w dziennym blasku, a blada skóra jego twarzy, ramion i dłoni była nietknięta, bez skazy.

Nad Instytutem zapadała noc. Słaby czerwony blask zachodu padał przez okna sypialni na stos *rzeczy* leżących na łóżku, stos dużo mniejszy, niż Jace się spodziewał. Siedem lat życia i jedynie tyle przez ten czas zgromadził: pół worka ubrań, kupkę książek i trochę broni.

Zastanawiał się wcześniej, czy odchodząc, powinien zabrać te parę drobiazgów, które uratował z rodzinnej posiadłości w Idrisie. Magnus oddał mu srebrny pierścień Valentine'a, ale on już nie miał ochoty go nosić. Powiesił go na łańcuszku na szyi. W końcu postanowił zabrać wszystko. Nie było sensu zostawiać tutaj niczego.

Pakował do worka ubrania, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Podeszedł do nich, spodziewając się Aleca albo Isabelle.

Zobaczył Maryse. Mała na sobie surową czarną suknię, włosy ściągnięte do tyłu. Wyglądała starzej, niż ją zapamiętał. Dwie głębokie zmarszczki bieły od kącików ust do brody. Tylko oczy miały żywszy kolor.

– Mogę wejść? – zapytała.

– Możesz robić, co chcesz – odparł, wracając do łóżka. – To twój dom. – Wziął parę koszul i wepchnął je do worka.

– Właściwie to dom Clave – sprostowała Maryse. – My jesteśmy tylko dozorcami.

Jace spakował buty.

– Wszystko jedno.

– Co robisz? – Gdyby Jace nie znał Maryse, pomyślałby, że jej głos lekko zadrżał.

– Pakuję się. To właśnie robią ludzie, kiedy się wyprowadzają.

Pani Lightwood zbladła.

– Nie odchodź – poprosiła. – Jeśli chcesz zostać...

– Nie chcę zostać. To nie jest moje miejsce.

– Dokąd pójdziesz?

– Do Luke'a – odparł i zobaczył, że Maryse drgnęła. – Na jakiś czas. Potem nie wiem.

Może wrócę do Idrisu.

– Myślisz, że tam jest twoje miejsce? – W jej głosie brzmiały smutek i ból.

Jace przestał się pakować.

– Nie wiem, gdzie jest moje miejsce.

– Z rodziną. – Maryse ostrożnie zrobiła krok do przodu. – Z nami.

– Wyrzuciłaś mnie. – Jace usłyszał twardą nutę we własnym głosie. – Przepraszam – dodał łagodniejszym tonem. – Za wszystko, co się wydarzyło. Ale wtedy nie chciałaś mnie tutaj widzieć, więc nie sędzę, żebyś chciała teraz. Robert będzie chory jeszcze przez jakiś czas. Musisz się nim opiekować. Ja tylko bym przeszkadzał.

– Przeszkadzał? – z niedowierzaniem powtórzyła Maryse. – Robert chce cię zobaczyć, Jace...

– Wątpię.

– A co z Alekiem? Z Isabelle, Maksem. Oni cię potrzebują. Jeśli nie wierzysz, że chcę, żebyś został – czemu wcale się nie dziwię – musisz wiedzieć, że oni tego bardzo chcą. Przeżyliśmy ciężkie chwile, Jace. Nie rań ich bardziej, niż już zostali zranieni.

– To nie fair.

– Nie winie cię, jeśli mnie nienawidzisz. – Jej głos rzeczywiście drżał. Jace odwrócił się i spojrzał na nią zaskoczony. – Ale potraktowałam cię tak, a nie inaczej, wyrzuciłam cię z domu, żeby cię chronić. I dlatego, że się bałam.

– Bałaś się mnie?

Pani Lightwood skinęła głową.

– No, tak, teraz czuję się dużo lepiej – rzucił kwaśno Jace. Maryse wzięła głęboki wdech.

– Myślałam, że złamiesz mi serce, tak jak Valentine – wyznała. – Byłeś pierwszą istotą spoza mojej rodziny, którą po nim pokochałam. I byłeś tylko dzieckiem...

– Myślałaś, że j jestem kimś innym.

– Nie. Zawsze wiedziałam, kim jesteś. Odkąd pierwszy raz cię zobaczyłam, gdy w wieku dziesięciu lat wysiadłeś ze statku, który przyplłynął z Idrisu, wkroczyłeś do mojego serca, tak jak moje dzieci, kiedy się urodziły. – Potrząsnęła głową. – Nie rozumiesz. Nigdy nie byłeś rodzicem. Nigdy nie kochałeś tak, jak kocha się swoje dzieci. I nikt nie potrafi rozgniewać cię tak jak one.

– Zauważyłem tylko gniew – stwierdził po chwili Jace.

– Nie spodziewam się, że mi wybaczysz – powiedziała Maryse. – Ale gdybyś został dla Isabelle. Aleca i Maksa, byłabym bardzo wdzięczna...

– Nie chcę twojej wdzięczności – przerwał jej Jace i wrócił do pakowania. Zasunął suwak.

– *Ala claire fontaine men allentpromener.*

Jace się odwrócił.

– Co?

– *Ily a longtemps que je t'aime. Jamais je ne foublierai.* To stara francuska ballada, którą kiedyś śpiewałam Alecowi i Isabelle. Ta, o którą mnie pytałeś.

W pokoju robiło się coraz ciemniej. W półmroku Maryse wyglądała niemal tak jak wtedy, kiedy Jace miał dziesięć lat, jakby nie zmieniła się wcale przez ostatnie siedem. Była surowa, zmartwiona, niespokojna i... pełna nadziei. Nie znał innej matki.

– Myliłeś się, mówiąc, że nigdy ci jej nie śpiewałam. Po prostu nigdy mnie nie słyszałeś. Jace bez słowa sięgnął po worek, rozpiął suwak i wysypał swoje rzeczy na łóżko.

EPILOG

– Clary! – Matka Simona rozpromieniła się na widok dziewczyny stojącej w drzwiach. – Nie widziałam cię od wieków. Już zaczynałam się martwić, że ty i Simon się pokłóciliście.

– O, nie. Po prostu nie czułam się dobrze, to wszystko.

Nawet magiczny Znak uzdrawiający nie dokona cudu. Clary nie była zaskoczona, kiedy rano po bitwie obudziła się z potwornym bólem głowy i gorączką. Uznała, że to przeziębienie – kto by go nie złapał po kilku nocnych godzinach marznięcia na rzece w mokrym ubraniu? – ale Magnus stwierdził, że najprawdopodobniej przeforsowała się, tworząc Znak, który zniszczył statek Valentine’a.

Matka Simona zacmokała ze współczuciem.

– Tego samego wirusa złapał Simon w zeszłym tygodniu. Ledwo mógł wstać z łóżka.

– Ale teraz już mu lepiej, prawda? – Clary wiedziała, że tak jest, ale nie miała nic przeciwko temu, żeby znowu usłyszeć te krzepiące słowa.

– Jest zdrowy. Chyba siedzi w ogrodzie. Będzie szczęśliwy, kiedy cię zobaczy.

Szeregowe domy z czerwonej cegły na ulicy Simona były oddzielone ładnymi, białymi płotkami z kutego żelaza, w których znajdowały się furtki prowadzące do małych ogródków na tyłach. Mimo błękitnego nieba i słonecznej pogody panował chłód. Clary czuła zapach śniegu w powietrzu.

Zamknęła za sobą furtkę i poszła szukać Simona. Rzeczywiście znalazła go w ogrodzie, wyciągniętego na plastikowym leżaku, z otwartym komiksem na kolanach. Odłożył go na widok Clary, usiadł i uśmiechnął się szeroko.

– Hej, dziecino.

– Dziecino? – Clary przysiadła obok niego na leżaku. – Żartujesz sobie ze mnie?

– Tylko chciałem wypróbować to słowo.

Clary nachyliła się i pocałowała go w usta. Kiedy się odsunęła, Simon nadal miał palce wplecione w jej włosy, ale jego wzrok był zamyślony.

– Cieszę się, że przyszedłeś – powiedział.

– Ja też. Przyszłabym wcześniej, ale...

– Byłaś chora, wiem.

Spędziła tydzień na kanapie Lukę'a, opatulona kocem. Pisała SMS-y do przyjaciela i oglądała powtórki „CSI”. Podobał się jej świat, w którym każda zagadka zostaje rozwiązana naukowymi metodami.

– Już mi lepiej. – Zadrżała i mocniej otuliła się białym kardiganem. – Dlaczego siedzisz na dworze przy takiej pogodzie? Nie marzniesz?

Simon pokręcił głową.

– Nie czuję ciepła ani zimna. Poza tym... – wykrzywił usta w uśmiechu – chcę spędzać jak najwięcej czasu na słońcu. Nadal jestem senny w ciągu dnia, ale walczę z tym.

Clary dotknęła policzka Simona wierzchem dłoni. Jego twarz była nagrzana od słońca, ale pod skórą zimna.

– Ale wszystko inne się nie zmieniło?

– Masz na myśli to, że nadal jestem wampirem? Tak. Zdaje się, że tak. Nadal mam ochotę na krew, serce mi nie bije. Będę musiał unikać lekarzy, ale ponieważ wampiry nie chorują... – Wzruszył ramionami.

– Rozmawiałeś z Raphaelem? On nadal nie ma pojęcia, dla czego możesz wychodzić na słońce?

– Najmniejszego. Zdaje się, że jest z tego powodu wkurzony. – Simon łypnął na nią sennym wzrokiem, jakby była druga rano, a nie po południu. – Myślę, że to się kłóci z jego wyobrazeniami o właściwym porządku rzeczy. Poza tym będzie miał kłopot z wyciągnięciem mnie gdzieś w nocy, skoro jestem zdeterminowany, żeby włączyć się za dnia. – Można by sądzić, że powinien być zachwycony.

– Wampiry nie lubią zmian. Są tradycjonalistami. – Uśmiechnął się, a Clary pomyślała, że on nigdy się nie zmieni. Kiedy ja skończę pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt lat, on nadal będzie wyglądał na szesnaście. Nie była to miła myśl. – W każdym razie moja kariera muzyczna na tym skorzysta. Jeśli wierzyć w historie Annę Rice, wampiry są wielkimi gwiazdami rocka.

– Nie jestem pewna, czy ta informacja jest wiarygodna. Simon wyciągnął się na leżaku. – A co j est? Poza tobą oczywiście?

– Wiarygodne? Tak o mnie myślisz? – zapytała z udawaną urazą Clary. – Niezbyt to romantyczne.

Po twarzy Simona przemknął cień Clary...

– O co chodzi? – Sięgnęła po jego rękę. – Mówisz głosem od złych wieści.

Odwrócił wzrok.

– Nie wiem, czy to jest zła wiadomość, czy nie.

– Wszystko jest takie albo takie. Po prostu mi powiedz, że z tobą wszystko w porządku.

– Tak. Ale sądzę, że nie powinniśmy się więcej widywać.

Clary omal nie spadła z leżaka.

– Już nie chcesz, żebyśmy byli przyjaciółmi?

– Clary...

– To z powodu demonów? Bo zmieniłeś się w wampira? Mówiła coraz wyższym tonem.

– Wiem, że ostatnio działy się zwariowane rzeczy, ale mogę trzymać cię z daleka od tego wszystkiego. Mogę...

Simon się skrzywił.

– Zaczynasz popiskiwać jak delfin, wiesz? Przestań.

Clary umilkła.

– Chcę, żebyśmy nadal byli przyjaciółmi – powiedział Simon. – Chodzi mi o to, że nie jestem pewien co do tej drugiej kwestii.

– Drugiej kwestii?

Zarumienił się. Clary nie wiedziała, że wampiry mogą się rumienić. Wyglądało to niepokojąco przy jego bladej cerze.

– Chodzenia ze sobą.

Clary milczała przez dłuższą chwilę, szukając słów.

– Dobrze, że nie powiedziałaś „całowania”. Bałam się, że tak to nazwiesz.

Simon popatrzył na ich splecione ręce.

W porównaniu z jego palcami jej były małe, a skóra o odcień ciemniejsza. Z roztargnieniem pogłaskał kciukiem jej kostki. – Nigdy bym tak tego nie nazwał.

– Myślałam, że tego właśnie chcesz – powiedziała Clary. – Mówiłeś...

Spojrzał na nią spod ciemnych rzęs.

– Że cię kocham? Bo kocham. Ale to nie wszystko.

– Chodzi o Maię? – Zęby Clary zaczęły szczerkać, nie tylko z zimna. – O to, że ją lubisz?

Simon się zawahał.

– Nie, to znaczy, tak. Lubię ją ale nie w taki sposób, jak myślisz. Chodzi o to, że ona wie, jak to jest być odmieńcem. Przynień czuję się inaczej niż przy tobie.

– Ale jej nie kochasz...

– Może kiedyś mógłbym... – Może ja mogłabym cię kiedyś pokochać.

– Jeśli tak się stanie, przyjdź i mi powiedz. Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Jej zęby szczykały coraz mocniej.

– Nie mogę cię stracić, Simon. Nie mogę.

– Nigdy nie stracisz. Nie zostawiam cię. Ale wolę mieć to, co nas łączy i jest prawdziwe i ważne, niż żebyś udawała coś innego. Kiedy jestem z tobą chcę wiedzieć, że jestem z prawdziwą Clary.

Przytuliła głowę do jego głowy i zamknęła oczy. Mimo wszystko to nadal był Simon, pachniał jak on, mydłem do prania.

– Ja sama nie wiem, jaka ona jest.

– Ale ja wiem.

Nowy pickup Lukę'a stał przy krawężniku, z silnikiem pracującym na jałowym biegu, kiedy Clary wyszła z domu Simona i zamknęła za sobą furtkę.

– Podrzuciłeś mnie, ale nie musiałeś odbierać – powiedziała, wsiadając do kabiny. Można było się spodziewać, że Lukę wy mieni starą, zniszczoną furgonetkę na nową identyczną.

– Wybacz mój rodzicielski strach – odparł Lukę, podając jej kawę w papierowym kubku. Clary spróbowała łyk; bez mleka i z mnóstwem cukru, tak jak lubiła. – Ostatnio robię się trochę nerwowy, kiedy nie mam cię w zasięgu wzroku.

– Tak? – Clary mocno trzymała kubek, żeby nie rozlać kawy, kiedy podskakiwali na wyboistej drodze. – Myślisz, że jak długo to potrwa?

Lukę się zamyślił.

– Niedługo. Pięć, może sześć lat.

– Lukę!

– Pozwolę ci chodzić na randki, kiedy skończysz trzydzieści. – Właściwie to nie brzmi tak źle. Może nie będę gotowa przed trzydziestką.

Lukę zerknął na nią z ukosa.

– Ty i Simon...?

Machnęła ręką, w której nie trzymała kubka.

– Nie pytaj.

– Rozumiem. – Pewnie tak było. – Podrzucić cię do domu?

– Jedziesz do szpitala? – Poznała to po jego napięciu, którego żarty nie zdołały zamaskować. – Pojadę z tobą.

Gdy wjechali na most, Clary spojrzała na rzekę. Nigdy nie nudził się jej ten widok. Wąski pas w kanionie murów Manhattanu i Brooklynu, lśniący w słońcu jak folia aluminiowa. O dziwo, nigdy nie próbowała go narysować. Kiedyś zapytała matkę,

dłaczego własna córka ani razu nie posłużyła jej jako modelka. „Malując coś, próbujesz to schwytać na zawsze”, odpowiedziała Jocelyn, siedząc na podłodze. Z pędzla kapął na jej dzinsy kadmowy błękit. „Jeśli naprawdę coś kochasz, nie starasz się zatrzymać tego na zawsze. Musisz temu czemuś pozwolić się zmieniać”. Aleja nienawidzę zmian. Clary wzięła głęboki wdech. – Valentine powiedział mi na statku coś o... – Nic dobrego nie może zaczynać się od słów: „Valentine po wiedział” – stwierdził Luke.

– Chodziło o mnie i moją mamę. Powiedział, że jesteś w niej zakochany.

Utknęli w korku na moście. Clary słyszała łoskot przejeżdżającego pociągu linii Q.

– Myślisz, że to prawda? – zapytał Luke po dłuższym milczeniu.

– Hm. – Wyczuwając napięcie w powietrzu, Clary starannie dobierała słowa. – Nie wiem. On mówił już to wcześniej, aleja uznałam, że robi tak z nienawiści. Tym razem zaczęłam się zastanawiać i... uświadomiłam sobie, że zawsze jesteś obok, że byłeś dla mnie jak tata, że praktycznie mieszkaliśmy latem na farmie, a poza tym nigdy nie widziałam, żebyście, ty czy mama, umawiali się z kimś innym. Pomyślałam, że może...

– Co pomyślałaś?

– Że może byliście ze sobą przez cały ten czas, ale nie chcieliście się przede mną przyznać. Może myśleliście, że jestem za młoda, żeby to zrozumieć. Może baliście się, że zacznę pytać o ojca. Ale już nie jestem za młoda, żeby zrozumieć. Możesz mi powiedzieć wszystko.

– Może nie wszystko. – W furgonetce toczącej się wolno do przodu znowu zapadła cisza. Luke mrużył oczy przed słońcem, palcami bębnił po kierownicy. W końcu rzekł: – Masz rację. Jestem zakochany w twojej matce.

– To świetnie – ucieszyła się Clary, siląc się na entuzjazm, choć przerażała ją myśl o zakochanych ludziach w wieku jej mamy i Luke'a.

– Ale ona o tym nie wie – dokończył Lukę.

– Nie wie? – Clary wykonała zamaszysty ruch ręką. Na szczęście kubek był już pusty. – Jak to możliwe? Nie powiedzia- łaś jej?

– Prawdę mówiąc, nie – odparł Lukę, wciskając pedał gazu, tak że furgonetka wystrzeliła do przodu.

– Dlaczego?

Lukę westchnął i ze znużeniem potarł szczecinę na brodzie.

– Bo zawsze był niewłaściwy moment.

– To mama wymówka i dobrze o tym wiesz.

Lukę wydał z siebie coś pomiędzy chichotem a chrząknięciem wyrażającym irytację.

– Może, ale to prawda. Kiedy sobie uświadomiłem, co czuję do Jocelyn, miałem tyle samo lat, co ty teraz. Szesnaście. I wszyscy wtedy poznaliśmy Valentine’a. Nie byłem dla niego żadnym rywalem. Nawet się cieszyłem, że skoro ona mnie nie chce, będzie z kimś, kto naprawdę na nią zasługuje. – Jego głos zrobił się twardy. – Kiedy zrozumiałem, jak bardzo się myliłem, było już za późno. Gdy razem uciekliśmy z Idrisu, zaproponowałem, że się z nią ożenię. Powiedziałem, że nie ma znaczenia, kto jest ojcem jej dziecka, bo wychowam je jak własne. Jocelyn pomyślała, że po prostu się nad nią lituję. Nie mogłem jej przekonać, że myślę przede wszystkim o sobie. Oświadczyła, że nie chce być dla mnie ciężarem i nie może mnie prosić o tak wiele. I zostawiła mnie w Paryżu. Wróciłem do Idrisu, ale wciąż byłem niespokojny, nigdy szczęśliwy. Zawsze czegoś mi brakowało. Brakowało mi Jocelyn. Wyobrażałem sobie, że ona gdzieś tam potrzebuje mojej pomocy, że woła mnie, ale ja jej nie słyszę. W końcu pojechałem jej szukać.

– Pamiętam, że była szczęśliwa – odezwała się cicho Clary. – Kiedy ją znalazłeś.

– I tak, i nie. Ucieszyła się na mój widok, ale jednocześnie symbolizowałem dla niej cały świat, od którego uciekła. Nie chciała być jego częścią. Zgodziła się, żebym został, kiedy jej obiecałem, że zrezygnuję z wszelkich więzi ze stadem, z Clave, z Idrisem, ze wszystkim. Zaproponowałem, że wprowadzę się do was, ale Jocelyn uznała, że moje transformacje byłyby zbyt trudne do ukrycia przed tobą a ja musiałem się z nią zgodzić. Kupiłem księgarnię, przybrałem nowe nazwisko i udawałem, że Lucian Graymark nie żyje. I na dobrą sprawę tak właśnie było.

– Naprawdę zrobiłeś dużo dla mojej mamy. Wyrzekłeś się całego swojego życia.

– Zrobiłbym jeszcze więcej – powiedział Lukę. – Ale ona z takim przekonaniem mówiła, że nie chce mieć nic wspólnego z Clave i Podziemnym Światem, a ja mimo udawania jestem likantropem. Żywą pamiątką. Jocelyn nie życzyła sobie, żebyś poznała prawdę. Wiesz, że nigdy nie zgadzałem się na wyprawy do Magnusa, który wymazywał twoje wspomnienia i Wzrok, ale ona tego chciała, a ja nie próbowałem jej powstrzymać, bo wtedy by mnie odprawiła. I było wykluczone, żeby zgodziła się za mnie wyjść, pozwoliła na to, żebym był twoim ojcem i cały czas ukrywał prawdę. To by wszystko zepsuło, zburzyło te kruche ściany, które tak usilnie starała się zbudować między sobą a Światem Cieni. Nie mogłem jej tego zrobić. Więc milczałem.

– To znaczy, że nigdy jej nie powiedziałaś, co czujesz?

– Twoja matka nie jest głupia, Clary. – Lukę mówił spokojnym głosem, ale było w nim słycać napięcie. – Musiała wiedzieć. Proponowałem, że się z nią ożenię. Choć zawsze uprzejmie odmawiała mogę tylko przypuszczać, że ona wie, co do niej czuję, ale zdaję sobie sprawę, że sama mnie nie kocha.

Clary milczała.

– W porządku – rzekł Lukę, siląc się na lekki ton. – Pogodziłem się z tym dawno temu.

W Clary drgały nerwy, i to raczej nie od kofeiny.

– Oświadczyłeś się jej, ale czy wyznałeś, że ją kochasz? Nie wydaje mi się.

Lukę milczał.

– Trzeba było powiedzieć prawdę. Uważam, że mylisz się co do jej uczuć.

– Nie, Clary. – Lukę mówił zdecydowanym głosem. Wystarczy.

– Pamiętam, jak kiedyś ją zapytałam, dlaczego nie chodzi na randki. – Clary zignorowała jego karcący ton. – Powiedziała, że już oddała komuś serce. Sądziłam, że mówi o moim tacie, ale teraz... nie jestem taka pewna.

Lukę zrobił zaskoczoną minę.

– Tak powiedziała? Pewnie miała na myśli Valentine'a.

– Nie sądzę. – Clary zerknęła na niego z ukosa. – Nie masz tego dość? Że nigdy nie mówisz, co naprawdę czujesz?

Tym razem cisza trwała do chwili, kiedy zjechali z mostu na Orchard Street, pełną sklepów i restauracji, nad którymi wisiały szyldy z pięknymi chińskimi znakami namalowanymi złotą i czerwoną farbą.

– Tak, miałem dość – odparł Lukę. – Kiedyś myślałem, że to, co łączy mnie z twoją matką i z tobą, jest lepsze niż nic. Ale skoro nie możesz powiedzieć prawdy ludziom, na których najbardziej ci zależy, w rezultacie samego siebie też oszukujesz.

Clary usłyszała chrzęst. Spojrzała w dół i zobaczyła, że zgmiotła pusty papierowy kubek w nierozpoznawalną kulę.

– Zawieź mnie do Instytutu – poprosiła. Lukę spojrział na nią zaskoczony.

– Myślałem, że chcesz jechać do szpitala?

– Później się tam spotkamy – powiedziała Clary. – Najpierw muszę coś załatwić.

Dolny poziom Instytutu był pełen światła słonecznego i jasnych drobinek kurzu. Clary pobiegła wąskim przejściem między ławkami i wcisnęła guzik od windy.

– No jedź, jedź. Szybciej...

Złote drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. W środku stał Jace. Jego oczy rozszerzyły się na jej widok.

– ...jedź. – Clary opuściła rękę. – O, cześć.

– Clary?

– Obciąłeś włosy.

Na twarz nie opadały mu już długie lśniące pasma – zostały starannie i równo przycięte. Jace wyglądał bardziej cywilizowanie, nawet trochę doroślej. Ubranie również było porządne: ciemnoniebieski sweter i dżinsy. Coś srebrnego błyszczało na jego szyi.

– Tak, Maryse mnie ostrzygła. – Drzwi windy zaczęły się zamykać. Zatrzymał je ręką. – Masz jakąś sprawę w Instytucie?

Clary pokręciła głową.

– Po prostu chciałam z tobą porozmawiać.

– Aha. – Z lekko zaskoczoną miną wysiadł z windy i pozwolił, żeby drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem. – Właśnie biegłem do Taki po jedzenie. Nikt jakoś nie ma ochoty gotować...

– Rozumiem.

– Możemy tam porozmawiać. – Jace ruszył do drzwi, ale po kilku krokach przystanął i obejrzał się na nią.

Światło dwóch lichtarzy, między którymi stanął, nadawało złote zabarwienie jego włosom i skórze. Wyglądał jak anioł. Clary ścisnęło się serce.

– Idziesz czy nie? – warknął wcale nie po anielsku.

– Tak, idę.

W drodze do Taki Clary starała się unikać tematów związanych z nią i Jace'em. Zamiast tego spytała, co u Isabelle, Aleca i Maksa.

Jace się zawahał. Gdy przecinali Pierwszą Aleję, dmuchnął na nich chłodny wiatr. Niebo było bezchmurne i błękitne, idealny nowojorski jesienny dzień.

– Przepraszam. – Clary skrzywiła się, zła na siebie. – Muszą czuć się okropnie. Wszyscy, których znali, nie żyją.

– U Nocnych Łowców jest inaczej – pocieszył ją Jace. – Jako wojownicy w każdej chwili spodziewamy się śmierci, w przeciwieństwie do was...

Clary westchnęła.

– Przyziemnych. To zamierzałeś powiedzieć, tak?

– Tak – przyznał. – Czasami nawet mnie trudno jest pamiętać, kim naprawdę jesteś.

Zatrzymali się przed budynkiem z zapadniętym dachem. Iryft, który strzegł drzwi wejściowych, spojrzał na nich podejrzliwymi, czerwonymi oczami.

– Jestem Clary.

Jace spojrzał na nią z ukosa i od niechcienia odgarnął włosy, które wiatr cisnął jej na twarz. – Wiem.

W prawie pustej restauracji zajęli narożny boks. Kaelie, kelnerka pixie, opierała się o kontuar i leniwie poruszała niebiesko–białymi skrzydłami. Ona i Jace kiedyś chodzili ze sobą. Drugi boks zajmowała para wilkołaków. Jedli surowe kawałki jagnięciny i kłócili się o to, kto wygrałby pojedynek: Dumble–dore z ksiązek o Harrym Potterze czy Magnus Bane.

– Zdecydowanie Dumbledore – powiedział pierwszy. – Zna potężne Mordercze Zakłęcie.

– Ale Dumbledore nie jest prawdziwy – zauważył jego towarzysz.

– Uważasz, że Magnus Bane istnieje naprawdę? – prychnął pierwszy likantrop. – Spotkałeś go kiedyś?

– To takie dziwne – szepnęła Clary, zsuwając się niżej na ła wie. – Słyszysz, co oni mówią?

– Nie. To niegrzecznie podsłuchiwać.

Kiedy Jace studiował menu, Clary miała okazję mu się przyjrzeć. „Nigdy na ciebie nie patrzę”, powiedziała mu kiedyś. To była prawda, a przynajmniej nie obserwowała go w taki

sposób, jakby chciała okiem artystki. Zawsze rozpraszały ją detale: zarys policzka, podwinięte rzęsy, kształt ust.

– Gapisz się na mnie – stwierdził Jace, nie podnosząc wzroku znad karty. – Dlaczego? Coś ze mną nie tak?

Clary uratowało przybycie Kaelie. Zauważyła że ołówek kelnerki to srebrzysta gałązka brzozy. Pixie spojrzała na nią niebieskimi oczami bez białek i źrenic. – Już wiesz, na co masz ochotę?

Clary zamówiła kilka przypadkowych pozycji z menu. Jace poprosił o talerz frytek batatów i kilka dań na wynos. Kaelie odeszła, zostawiając za sobą słaby zapach kwiatów.

– Przekaż Alecowi i Isabelle, że jest mi przykro z powodu tego, co się stało – poprosiła Clary. – I powiedz Maksowi, że innym razem przyniosę mu Zakazaną Planetę.

– Tylko Przyziemni mówią, że jest im przykro, kiedy w rzeczywistości mają na myśli „podzielać swój żal” – zauważył Jace. – To nie była twoja wina, Clary. – Jego oczy nagle po ciemniały. – To była wina Valentine’a.

– Domyślam się, że nie...

– Że nie ma po nim śladu? Nie ma. Chyba gdzieś się przy czał do czasu, kiedy będzie mógł dokończyć to, co zaczął. Potem... – Jace wzruszył ramionami.

– Co potem?

– Nie wiem. To szalenie. Trudno odgadnąć, co zrobi szalenie.

– Unikał jej spojrzenia, więc musiał mieć na myśli wojnę. Właśnie tego chciał Valentine. Wojny z Nocnymi Łowcami. I wiadomo było, że do niej doprowadzi. Pozostawała tylko kwestia, gdzie uderzy najpierw. – Tak czy inaczej, nie sądzę, żebyś akurat o tym chciała ze mną porozmawiać.

– To prawda. – Gdy nadeszła ta chwila, Clary miała trudności ze znalezieniem słów. Dostrzegła swoje odbicie w srebrnym uchwycie na serwetki. Biały kardigan, biała twarz, wypieki na policzkach. Wyglądała, jakby miała gorączkę. I tak się czuła. – Od kilku dni chcę z tobą porozmawiać...

– To ciekawe. – Jego ton był nienaturalnie ostry – Bo za każdym razem, kiedy dzwoniłem, Lukę mówił, że jesteś chora. Domyśliłem się, że mnie unikasz. Znowu.

– Nie unikałam. – Clary raptem odniosła wrażenie, że między nimi jest mnóstwo wolnej przestrzeni, choć boks nie był duży, a oni nie siedzieli daleko od siebie. – Myślałam o tobie przez cały czas.

Jace wyciągnął do niej rękę nad stolikiem. Kiedy Clary ją ujęła, poczuła wielką ulgę.

– Ja też o tobie myślałem.

Jego uścisk był ciepły, kojący. Clary przypomniała sobie, jak w Renwick wyjęła z jego dłoni zakrwawiony odłamek szkła Bramy – jedyną rzecz, która została z jego dawnego życia – a on wziął ją w ramiona.

– Naprawdę byłam chora. Przysięgam. Omal nie umarłam wtedy na statku, przecież wiesz.

Puścił jej rękę, ale patrzył na nią z taką intensywnością jakby chciał zapamiętać jej twarz.

– Wiem. Za każdym razem, kiedy prawie umierasz, ja też umieram.

Słowa Jace'a sprawiły, że jej serce zabiło mocniej, jakby wypięła wielki haust czystej kofeiny.

– Jace, przyszłam ci powiedzieć, że...

– Zaczekaj. – Uniósł ręce. – Pozwól, że najpierw cię prze proszę.

– Przepraszam⁹ Za co?

– Za to, że cię nie słuchałem. – Przechesał włosy palcami i wtedy zauważyła małą cienką bliznę na jego szyi. Wcześniej jej tam nie było. – Wciąż mi mówiłaś, że nie mogę dostać od ciebie tego, na czym mi zależało, a ja cię nie słuchałem i wciąż naciskałem. Po prostu cię pragnąłem i nie obchodziło mnie, co inni mają do powiedzenia na ten temat. Nawet ty.

W ustach nagle jej zaschło, ale zanim zdążyła coś odpowiedzieć, zjawiała się Kaelie z pełną tacą. Dopiero teraz Clary zobaczyła, co zamówiła. Zielony koktajl mleczny, coś, co wyglądało jak surowy hamburger, i talerz naleśników polanych czekoladą. Co prawda, wybór dań ł tak nie miał znaczenia. Jej żołądek był tak ściśnięty, że nie mogła nawet myśleć o jedzeniu.

– Jace, nie zrobiłeś nic złego. Ty...

– Nie, pozwól mi skończyć. – Patrzył na swoje frytki, jakby w nich były zawarte wszystkie sekrety wszechświata. – Clary, muszę powiedzieć to teraz, bo... inaczej w ogóle nie powiem. – Mówił coraz szybciej. – Myślałem, że straciłem rodzinę. I nie chodzi mi o Valentine'a, tylko o Lightwoodów. Sądziłem, że na całym świecie zostałaś mi tylko ty. Ja...

niemal wariowałem z powodu straty i dlatego wyzywałem się na tobie. Przepraszam. Miałaś rację.

– Nie. Byłam głupia. I okrutna dla ciebie...

– Miałaś prawo. – Spojrzał jej w oczy.

A Clary raptem naszło pewne wspomnienie. Miała wtedy cztery lata i płakała, kiedy na plaży zerwał się wiatr i zniszczył zamek z piasku, który zbudowała. Matka pocieszyła ją, że może wznieść następny, ale nie ukoła w ten sposób jej żalu, bo to, co Clary uważała za stałe i pewne, okazało się kruche i mogło w każdej chwili zniknąć przy byle podmuchu.

– Słusznie zauważyłaś, że nie żyjemy i nie kochamy w próżni. Są wokół nas ludzie, którym na nas zależy i których możemy zranić albo nawet zniszczyć swoim postępowaniem. Bylibyśmy tak samolubni jak Yalentine.

Wymówił imię ojca takim tonem, że Clary poczuła się tak, jakby drzwi uderzyły ją w twarz.

Od tej chwili będę tylko twoim bratem – oświadczył Jace, patrząc na nią nadzieją i oczekiwaniem, że będzie zadowolona a ona chciała krzyknąć, żeby przestał, bo roztrzaskuje jej serce na kawałki. „Tego właśnie chciałaś, prawda?”

Minęło dużo czasu, zanim odpowiedziała, a kiedy to zrobiła, jej głos brzmiał jak echo, dochodzące z bardzo daleka.

Tak. – Usłyszała szum fal w uszach, oczy piekły ją jak od piasku albo słonej wody. – Właśnie tego chciałam.

Clary wchodziła odrętwiała po szerokich schodach, które prowadziły do dużych szklanych drzwi Beth Israel. W pewnym sensie była zadowolona, że jest tutaj. Najbardziej ze wszystkiego pragnęła rzucić się w ramiona matki i rozpłakać, nawet jeśli nie mogła jej wyjaśnić, dlaczego tak *rozpacza*.. A z braku takiej możliwości siedzenie przy jej łóżku i cichy płacz też były jakimś wyjściem.

w Taki trzymała się całkiem nieźle, nawet uściskała Jace'a na pożegnanie. Rozkleiła się dopiero, kiedy wsiadła do metra. W pewnym momencie stwierdziła, że *ryczy* z powodów, z jakich do tej pory nie płakała: Jace'a, Simona, Luke'a, matki i nawet Valentine a. Buczała tak głośno, że mężczyzna siedzący naprzeciwko podał jej chusteczkę, a ona wrzasnęła: „Na co się gapisz, pacanie?!”, bo tak się robiło w Nowym Jorku. I od razu poczuła się trochę lepiej.

Kiedy dotarła na szczyt schodów, zobaczyła, że stoi tam jakaś kobieta. Mała na sobie długi, ciemny płaszcz narzucony na suknię niepodobną do tych, jakie widuje się na ulicach Manhattanu. Płaszcz był z ciemnego aksamitu, obszerny kaptur zasłaniał twarz nieznajomej. Clary rozejrzała się i zobaczyła, że żadna z osób znajdujących się w pobliżu nie zwraca uwagi na osobliwą zjawę. Zatem czar działał.

Weszła na ostatni stopień i zatrzymała się przed kobietą. Nawet nie widziała jej twarzy.

– Proszę posłuchać, jeśli przyszła pani tutaj, żeby się ze mną zobaczyć, proszę mi powiedzieć, o co chodzi. Nie jestem teraz w nastroju do czarów i tajemnic.

Zauważyła, że ludzie zerkają na stukniętą dziewczynę, która mówi do siebie. Zwalczyła impuls, żeby pokazać im język.

– Dobrze.

Głos był łagodny, dziwnie znajomy. Gdy nieznajoma odrzuciła kaptur z głowy, na ramiona spłynęły srebrne włosy. To była kobieta, którą Clary widziała na dziedzińcu Marble Cemetery, ta sama, która uratowała ich w Instytucie przed Malikiem. Z bliska Clary zobaczyła, że jej twarz jest kanciasta, o zbyt ostrych rysach, żeby uznać ją za ładną, ale oczy mają intensywną orzechową barwę.

– Mam na imię Madeleine. Madeleine Bellefleur.

– I czego pani ode mnie chce?

Kobieta... Madeleine, zawahała się.

– Znałam Jocelyn, twoją matkę – oznajmiła – Byłyśmy przyjaciółkami wldrisie.

– Nie może pani się z nią zobaczyć – uprzedziła Clary. – Żadnych odwiedzających oprócz rodziny, dopóki jej stan się nie poprawi. – Ale się nie poprawi.

Clary poczuła się tak, jakby ją spoliczkowano.

– Co?

– Przykro mi – rzekła Madeleine. – Nie chciałam cię zdenerwować. Po prostu wiem, co jest Jocelyn, i żaden przyziemny szpital nie może dla niej teraz nic zrobić. To, co jej się stało... ona sama to sobie zrobiła, Clarisso.

– Nie. Nie rozumie pani. Vlentine...

– Zrobiła to, zanim dopadł ją Vlentine. Żeby nie mógł wydobyć z niej żadnych informacji. Tak to zaplanowała. To była tajemnica, którą podzieliła się tylko z jedną osobą i tylko tej osobie wyjawiała jak odwrócić czar. Tąsobajestemja.

– Ma pani na myśli...

– Tak – powiedziała Madeleine. – Mogę ci pokazać, jak obudzić matkę.

Podziękowania

Napisanie tej książki nie byłoby możliwe bez wsparcia i zachęty ze strony mojej grupy pisarskiej: Holly Black, Kelly Link, Ellen Kushner, Delii Sherman, Gavina Granta i Sarah Smith. Nie mogłabym również obejść się bez zespołu NB: Justine Larbalestier, Maureen Johnson, Margaret Crocker, Libby Bray. Cecila Castellucciego, Jaidy Jones, Diany Peterfreund i Marissy Edelman. Dziękuję również Eve Sinako i Emily Lauer za pomoc (i za dowcipne komentarze) oraz Sarze Rees Brennan za to, że kocha Simona bardziej niż kogokolwiek innego na świecie. Jestem wdzięczna wszystkim z Simon & Schuster i Walker Books za to, że wierzyli w te książki. Szczególne podziękowania dla mojego wydawcy, Karen Wojtyli, za wszystkie uwagi pisane fioletowym ołówkiem, Sarah Payne za wprowadzanie zmian po ostatecznym terminie, Barze MacNeill za czuwanie nad arsenałem Jace'a i mojemu agentowi Barry'emu Goldblattowi za mówienie, że jestem idiotką, kiedy byłam idiotką. I także mojej rodzinie: matce, ojcu, Kate Conner, Jimowi Hallowi, mojej cioci Naomi i kuzynce Joyce za zachętę. I Joshowi, który nie ma jeszcze trzech lat.